POLSKA W OBEC WYBUCHU
WOJEN HUSYCKICH,

NAPISAŁ

Stanisław Smolka.

(Dokończenie).

IV.

Poselstwo Hinka z Kolsztynu.—Zjazd niepołomicki r. 1420.—Drugie poselstwo Prażan. Witold.—Unia z Czechami w obec programu politycznego Witolda.—Husytyzm i kościół wschodni.—Unia kościelna.—Witold przyjmuje koronę czeską.—Zygmunt i Niemcy.—Jagiełło.—Zjazd lubelski r. 1421.—Stanowisko kościoła polskiego w obec Husytyzmu.—Statuta Trąby.—Zbigniew Oleśnicki.—Jego program polityczny.—Poselstwo Oleśnickiego i Tarnowskiego do Zygmunta.—Projekt Zygmunta.—Przelotne zwycięstwo Oleśnickiego. Sprawa raciborska. Poselstwo Zawiszy Czarnego. Małżeństwo króla. Zwycięstwo Witolda.

Lipcowe uchwały praskie rychło owoc wydały. Zaledwie zjazd łęczycki się ukończył a król przybył do Wolborza, stanął przed nim Hynek z Kolsztynu, poseł czeski, ofiarując mu w imieniu narodu czeskiego koronę św. Wacława. W myśl uchwał zjazdu łęczyckiego należało mu dać odpowiedź wymijającą ze względu na stanowisko polityczne Zygmunta. Jagiełło odpowiedział, że „w rzeczy tak ważnéj i zawiłéj nie może nic postanowić bez naradzenia się z Witoldem, postara się zatém o to, by z nim odbyć zjazd w téj sprawie. Nie można zaprzeczyć, że to był najłatwiejszy sposób odwleczenia

i więcéj niż w Polsce jego wpływowi ulegał, kiedy łatwiéj było przeciwne wpływy zneutralizować a w ostatecznym razie śmiałym zwrotem całéj kwestyi czesko-polskiéj nowy zupełnie nadać kierunek.

Pierwsze już wieści bowiem o czeskich poselstwach obudzić musiały w Witoldzie gorącą sympatyą dla sprawy husyckiéj, tém gorętszą, że powiew przyjaznych uczuć czeskiego narodu rozżarzył w nim iskrę geniuszu, popiołem ciężkich zawodów przysypaną, i rozniecił z niéj w bujny płomień dawne marzenia i zamysły. Być może, że pierwszém uczuciem, które Witolda wówczas ogarnęło, była namiętna radość, że teraz przyszła chwila zemsty na Zygmuncie. Za ów „ryk boleści", za owe „łez potoki" (1), które stary Kiejstutowic przelał na wieść o wyroku wrocławskim, wydrzéć teraz Zygmuntowi dziedziczną przodków koronę! Tak sromotnie wpaść w łapkę Luxemburczyka, tak wywieść się w pole, to dla Witolda było hańbą, która mu pewnie nie tylko téj nocy nie dała przespać, w któréj złowrogi zwiastun przybył z wieścią o wyroku wrocławskim. Natura tak dumna i gwałtowna łatwo wyszuka dla myśli, która namiętnéj żądzy zemsty ma dogodzić, odpowiednie miejsce w rozległym systemie swych marzeń i dążności politycznych, łatwo ją z celem życia swego pogodzi. Tutaj była to rzecz z natury swéj tém łatwiejszą, że kwestya czeska sama narzucała się na nowe ogniwo w łańcuchu dawnych jego zamysłów. Ująć ją zatém, silnie wpleść w ten łańcuch i skrępować nim rzeczywistość, to był w téj chwili cel pragnień Witolda.

Unia z Czechami wprowadza w system wymarzonego państwa Witoldowego nowy czynnik etnograficzny, z krwi i kości słowiański, który reakcyą przeciw niemczyźnie podnosi potęgę uczuć słowiańskich do nieznanéj dotychczas wysokości i, w imię tych uczuć, pragnie zbratania się ze słowiańskiemi żywiołami Polski i Litwy. Jeśli ojczyzna Witoldowa przez unią z Polską zbliżyła się o sto mil do Zachodu, to związek z Czechami posuwał ją w tym kierunku o drugą mil setkę, w głąb' samych Niemiec; przyszłe wielkie państwo słowiańskie stawało jedną stopą w samym środku Europy. Jeśli indywidualność czeskiego narodu, przesiąknięta na wskroś zachodnim wpływem niemieckiego świata, wytwarzała owę przepaść pomiędzy Polską a Czechami, to w programie politycznym Witolda była właśnie tym pożądanym, silniejszym niż Polska, czynnikiem cywilizacyi zachodniéj, który na cały obszar wymarzonego państwa, na wscho-

(1) Długosz, Hist. Pol. IV. 246.

dnią zwłaszcza jego połać, ożywczy wpływ miał rozlewać. Przyjąwszy wreszcie Czechy w system tego państwa, można było zamarzyć o stanowczéj przewadze nad Polską, którąby Czechy i Litwa w swoje ramiona ujęły.

Jakkolwiek bowiem Ruś litewska i Czechy, w głąb' Niemiec usunięte, mogły się wydawać przeciwnemi biegunami słowiańskiego świata, to nie brak było jednak ważnych względów, które je wzajemnie zbliżały do siebie i zdolne były obudzić u jednéj i u drugiéj strony gorącą chęć ściślejszego zespolenia.

Przedewszystkiém nasuwa się tu ten wzgląd, który prałatów polskich tak odstręczał od czeskiego narodu, który w każdym razie utrudniał unią z Czechami, lecz w stosunku z Litwą, a zwłaszcza z Rusią litewską, mógł stać się owym węzłem sympatycznym, zbliżającym obydwa narody. Zarówno Husytyzm jak i kościół wschodni były w oczach katolickiego świata herezyą, a to było owym punktem stycznym, który je zbliżał do siebie pomimo tak znacznéj przepaści, która je dzieliła. Witold dobrze pamiętał Hieronima z Pragi, tego bohatéra i męczennika Husytyzmu, który przed siedmiu laty bawił u niego w gościnie. Zdążali wówczas razem do Witebska, z miasta na spotkanie książęcego orszaku wyruszyły procesye obu wyznań, z katedry ruskie duchowieństwo, z klasztoru dominikańskiego katolicy. Hieronim natychmiast wmięszał się pomiędzy Rusinów, oddawał cześć ich relikwiom, głośno się odzywał, że „ich wiara jest prawdziwa,“ a nawet, jak późniéj w Konstancyi twierdzono, nakłaniał Witolda, żeby porzuciwszy katolicyzm, do wschodniego kościoła przystąpił. Karcił go za to biskup wileński, ale druch Husa nie lękał się i w obec niego bronić wyższości wschodniego kościoła (1). Wiedział wprawdzie Witold, że Hieronima spalono na soborze, ale tém bardziéj musiała mu się teraz błąkać w wyobraźni postać męczennika Husytyzmu a obrońcy wschodniego kościoła. W ostatnich czasach komunia pod obiema postaciami, ta charakterystyczna cecha wschodniego rytuału, stała się głównym artykułem wiary, sztandarem i hasłem Husytów, a bardziéj jeszcze łudzącym punktem stycznym pomiędzy Husytyzmem i wschodnią cerkwią było prawo obywatelstwa języka narodowego w liturgii. Czuł to Witold, że wschodnie wyznanie Rusi litewskiéj było tak silną zaporą w urzeczywistnieniu jego planów, w zespoleniu ruskiego pierwiastku z katolicką Polską i zachodnią cywilizacyą, a tu właśnie Husytyzm czeski, który w wyższym stopniu niż Polska był reprezentantem Za-

---

(1) Mausi: Conciliorum amplissima collectio XXVII. 857.

chodu, pod względem religijnym tak niespodziewanie zbliżał się do wschodniego kościoła.

Z tém wszystkiém zawiodłoby to nas na manowce, gdybyśmy sądzili, że Witold zamalgamowaniem Husytyzmu z kościołem wschodnim zamierzał zadławić polski katolicyzm i dla wymarzonego swego państwa zbudować odrębny, narodowy fundament religijny. Byłaby to mglista, niepolityczna fantazya, któréj nie godzi się podsuwać Witoldowi, skoro żadne wyraźne wskazówki nas do tego nie upoważniają. Przeciwnie, unia kościelna była zawsze jeszcze dla zamysłów Witolda jedyną kotwicą zbawienia, tylko że teraz, w nowéj ich fazie, musiała prócz kościoła wschodniego i Husytyzm objąć.

Na pozór było to utrudnieniem i tak już ciężkiego zadania a los Husa i Husytyzmu na soborze konstancyjskim i krucyaty przeciw Czechom smutny horoskop stawiały planom unii kościelnéj, skoro jéj sprawa miała wejść w jakikolwiek związek ze sprawą husycką.

Witold przewidywał jednak, że zacięta walka Husytyzmu z katolicyzmem zakończyć się musi kompromisem; mógł łudzić się co do znaczenia tego kompromisu, co do czasu, który jeszcze walka zabierze, ale przyszłość dowiodła, że w rzeczy saméj się nie omylił. Nikt zaś tak nie nadawał się na pośredników w téj sprawie jak Witold i Jagiełło. Zasługi w nawróceniu Litwy i Żmudzi dodawały naleganiom ich powagi w obec kościoła i Kuryi papieskiéj a niebezpieczeństwo, że w razie sporu sami staną po stronie Husytyzmu i katolicką zdawna Polskę wraz z nowemi nabytkami na wschodzie rzucą w jego objęcia, mogło wywierać groźny nacisk, któryby nieugiętość kościoła pokonał. Husytyzm zresztą wyzywając świat katolicki do walki przypominał mu nieustannie źródło, z którego wyszedł, nawoływal do dokonania reformy kościelnéj, do rychłego zwołania nowego soboru, z którym dla unii kościelnéj nowe otwierały się widoki.

Sobór konstancyjski bowiem zawiódł nadzieje Witolda; podążyli nań wprawdzie biskupi ruscy z ziem litewskich z metropolitą Grzegorzem Zemblakiem na czele, ale wrócili z niesmakiem, a rychłe zamknięcie soboru po wyborze Marcina V odwlokło całą sprawę. Wszelkie nadzieje pokładano w przyszłym soborze, nawet Niemcy się odzywali, że gdyby papież nie był przerwał dzieła reformy, „byliby biskupi ruscy taką drogę znaleźli, żeby się z kościołem pojednać“ (1). Tymczasem poselstwo dworu bizantyńskiego gorliwie krzątało się w Rzymie i w Polsce w sprawie unii kościelnéj; umarł

---

(1) Caro Gesch. Pol. III. 442, Hefele Conciliengeschichte VII. 342.

uż był wprawdzie lub dogorywał metropolita Zemblak, niestrudzony apostoł unii na konstancyjskim soborze, ale gorliwi zwolennicy unii nie tracili nadziei, że „Bóg miłosierny ześle im w jego miejsce kogo innego, tak jak Abrahamowi zesłał w potrzebie jagnię na stos ofiarny“ (1). Słowem, sprawa unii wcale nie poszła w zapomnienie, a załatwienie jéj pomyślne wraz z pojednaniem Husytów z kościołem zajaśniały w nowéj fazie pomysłów Witolda jako dwie gwiazdy przewodnie, które go do upragnionego celu miały doprowadzić. Nie dziw więc, że z zapałem pochwycił Witold myśl unii z Czechami, że nie szczędził Hinkowi słów zachęty w czasie pierwszego poselstwa i wszelkich gotów był użyć środków, byle w téj sprawie na swoim postawić. Wiedział, że prałaci polscy wraz z przeważną częścią magnatów stawią opór projektom czeskim, ale i to mu tajném być nie mogło, że w społeczności szlacheckiéj nie brak było sympatyi dla Husytyzmu a grunt dla wrogich kościołowi dążności dobrze był przygotowany. Partya Witolda mogła w téj sprawie liczyć na poparcie tych wszystkich, do których Husytyzm miał drogę utorowaną; wszystkie okoliczności pomyślnie się składały, tylko energii trzeba było i zręczności, któréj synowi Kiejstuta rzadko zabrakło.

Pierwszém jednak zadaniem Witolda było Jagiełłę dla sprawy czeskiéj pozyskać. Jagiełło dość miał rozumu, żeby uznawać olbrzymią wyższość Witolda a wrodzona poczciwość i serdeczne braterskie uczucia strzegły go od tego, żeby z poczucia głębokiéj niższości nie wyrodziła się zazdrość. Wspomnienie smutnych zajść dawnych czas już był zupełnie załagodził, lojalne postępowanie Witolda, który w sobie samym i w swém państwie tyle miał warunków do wyniesienia się po nad brata, ścieśniało ten węzeł serdecznych uczuć braterskich, przyciągający Jagiełłę ku staremu druhowi. Jagiełło zresztą, z natury słaby i pozbawiony ducha inicyatywy, potrzebował komuś ulegać i przywykł do tego w Polsce a wyzwoliwszy się czasami na parę miesięcy z pod ciężkiéj opieki polskich panów wyjazdem do Litwy, tém chętniéj poddawał się tam wpływowi brata, którego serdecznie kochał. Z samym Jagiełłą zatém nie trudna była dla Witolda sprawa. Do Husytyzmu czuł wreszcie sam Jagiełło niejaki pociąg, myśl o czeskiéj koronie i o Husytach musiała wzbudzać w nim nieraz przelotną zachciankę wyzwolenia się z jarzma opieki panów duchownych. Ale mimo to wszystko Jagiełło nie mógł przyjąć ofiarowanéj korony, zgodne uchwały dwóch zjazdów przeszłorocznych krępowały mu ręce; pójść wbrew tym uchwałom i zde-

(1) Caro, Liber cancellariae I. Nr. 72.

ptać w kwestyi tak zasadniczéj rolę panów polskich znaczyło tyle, co całą sprawę na szwank narazić: sam Witold nie mógł Jagiełły do tego namawiać. Pozostawał więc jeden tylko środek, który nadto ambicyi Witolda schlebiał i, składając całą sprawę w jego wyłącznie ręce, dawał mu jéj w pokierowaniu zupełną swobodę działania. Witold zatém sam postanawia przyjąć czeską koronę, pewny, że go Jagiełło poprze w trudném zadaniu, które na swe barki wkładał. Inna to bowiem rzecz jawnym zamachem stanu rzucić panom polskim rękawicę a inna zupełnie, zręczném wyzyskaniem środków, któremi Witold mógł wpływać na stosunki polskie, związać politykę polską z swojéj polityki celem; była to zresztą przeważnie rzecz polityki zewnętrznéj, u jéj zaś steru stał w Polsce jeszcze zawsze Jastrzębiec.

W téj więc myśli pokierowano rokowaniami z poselstwem czeskiém na worońskim zamku. Jagiełło dał unii odmowną odpowiedź, ale wskazał Witolda a Witold przyjął koronę (1). Był to zapewne skutek dawnych układów z Hinkiem, który już na listopadowych obradach w Pradze musiał sobie na ten wypadek jakieś instrukcye wyrobić; inaczéj nie mogliby posłowie na własną odpowiedzialność przedsięwziąć kroku tak stanowczego. Według Długosza miał Witold zastrzedz się wyraźnie, że tylko pod tym warunkiem przyjmuje koronę, jeśli Czesi na łono katolickiego kościoła powrócą. Długosz i z Witolda pragnie zmyć hańbę jawnego sprzyjania herezyi, ale właśnie dla tego wymaga ta wiadomość ostrożnéj krytyki. Nam się wydaje, że Witold tak ostrych żądań nie mógł wprost stawiać; nie wątpić jednak, że w pierwszéj zaraz chwili objawił im gorące życzenie, żeby się z kościołem pojednali i ofiarował się im na pośrednika, czego umiarkowana partya nigdy w zasadzie nie odrzucała (2). Sprawa „unii“ husyckiéj wymagała jednak dłuższych przygotowań, trzeba było wprzód porozumieć się z Husytami i z papieżem; na razie przedewszystkiém należało o tém pomyśléć, w jaki sposób objąć ofiarowane królestwa czeskiego rządy. Sam Witold nie mógł do Czech pośpieszyć, tém mniéj osiedlić się tam stale, nie było więc innego środka, jak wysłać Czechom namiestnika, któryby w jego imieniu rządy sprawował. Na to stanowisko wybrał Witold jednego z licznéj rzeszy książąt rodu Gedymina, Jagiełłowego synowca Zy-

---

(1) Dług. Hist. Pol. IV. 271.

(2) W odezwie magistrów praskich do Witolda z 12 Listopada 1421 (Caro, Liber Cancell. II 104) spotykamy jakby odpowiedź na jego często niezwłocznie powtarzane projekta „unii“: ex quibus universalis ecclesie unio et salus poterit evenire.

gmunta Korybutowica. Namiestnicze rządy Zygmunta miały ścieśnić węzły pomiędzy narodem czeskim a Gedymina dynastyą, a kto wié zresztą, czy Witold nie miał w tém ukrytéj myśli, żeby w braku męskich potomków swoich i Jagiełły tą twardą szkołą politycznego życia utorować Korybutowi (1) drogę do wyższych zadań i świetniejszéj roli dziejowéj. Pierwszą więc rzeczą było w ślad za czeskiém poselstwem wysłać do Pragi posła z podziękowaniem za koronę i z propozycyą co do namiestniczych rządów Zygmunta. Zadanie to dostało się Wyszkowi Raczyńskiemu, Polakowi z dworu Witoldowego, w udziele.

Łatwo pojąć z jaką niecierpliwością oczekiwali Prażanie wyniku rokowań worańskich. Nie mogąc doczekać się powrotu poselstwa, starali się przynajmniéj jakichś wiadomości zasiągnąć, posłali zatém wysłańca do Krakowa, do jakiegoś pana możnego, którego jak stąd widać ścisły węzeł sympatyi łączył z Husytami (2). Odpowiedziano im, że posłowie czescy bawią jeszcze ciągle na Litwie, że ich tam król i Witold dobrze przyjmują i w tych dniach dadzą im stanowczą odpowiedź. Tém większa radość zapanowała zatém w Pradze po przybyciu poselstwa i Wyszka Raczyńskiego. Na propozycyą Witolda względem namiestniczych rządów Korybutowica zgodzono się bez wszelkich zastrzeżeń. W podniosłym, pełnym namaszczenia liście do nowego króla oddają Czesi w głębokich wyrazach hołd monarchicznéj idei: „Król pokoju," mówią, „niezbadanymi swymi wyrokami rozdzielając pomiędzy nienagannie rządzących ster téj machiny świata, porucza im rządy nad wszystkimi ludami ustanawia monarchę jako namiestnika swego majestatu a gorliwego zarządcę swego państwa." Przystając na rządy namiestnicze, wymownemi wyrazy błagają Witolda, żeby sam swém przybyciem ich uszczęśliwił; aby zaś nowe królestwo jego godnie do tego przygotować, przyobiecują ład i porządek w niém przywrócić, obstają jednak niewzruszenie przy czterech artykułach praskich, jako swém wyznaniu wiary i tego porządku podstawie (3). Niebawem zaś po wysła-

---

(1) Tém imieniem ojca nazywają Zygmunta Korybutowica najczęściéj źródła współczesne dla odróżnienia od Zygmunta Luxemburskiego.

(2) Ob. Palacky, Urk. Beiträge aus Gesch. der Hussitennkriege I. Nr. 94. Prochaska l. c. VII. 268 pisze o korespondencyi „Krakowian" z Prażanami w tym względzie. List ogłoszony przez Palackiego nie jest jednak prawdopodobnie pismem „mieszczan krakowskich," zawiéra bowiem wiadomości, które właśnie świeżo przywiózł był z Litwy podskarbi koronny, a więc pochodzi zapewne od jakiejś osoby ze sfer możnowładczych. W odpowiedzi na tę wiadomość tytułują wreszcie Prażanie swego korespondenta krakowskiego: nobilis *fautor* confidentissime.

(3) Caro, Liber cancellariae II, 96.

niu tego listu, jak w roku poprzednim po uchwałach listopadowych, odbył się w Czerwcu 1421 r. sejm czasławski w celu zaprowadzenia ładu i porządku w husyckim kościele. Nad tém zadaniem pracował w Lipcu w praskiém Carolinum wielki synód starszyzny duchownéj z obydwu obozów husyckich a jeśli w jego obradach tém jaskrawiéj uwydatniły się sprzeczne dążności Utrakwistów i Taborytów, to kto wié, czy najumiarkowańsi nie myśleli o tém, żeby skonsolidowaniem husyckiego kościoła i pogromem skrajnych kierunków w myśl pragnień Witolda przygować podstawę do unii (1).

Tak odbył się ów idealny akt wstąpienia Witolda na tron czeski. Wiadomość o związkach jego z Husytami szybko po całym świecie gruchnęła a zwłaszcza Zygmunta i Niemców przejęła strachem panicznym. Mimo klęsk dotychczas doznanych mógł się Zygmunt oddawać nadziejom, że Czesi, choćby jak bohaterskim, lecz odsobnionym oporem nie zdołają mu długo zaprzeczać praw do dziedzicznéj korony, jeśli ręka papiéża, pomoc krucyaty i zawiść świata niemieckiego ku słowiańskiéj w Czechach reakcyi nadal wspierać go będzie; skoro jednak Witold wraz z Polską podjął się obrony czeskiego narodu, rzecz zaczynała być groźną. Niemcy, choć nieraz już przez Czechów na głowę pobici, uważali pogrom téj kacerskiéj garstki slowiańskiéj, która im się z rąk wyrywała, za kwestyą czasu, lecz odkąd unia się zawiązywała między Czechami a tą słowiańską potęgą, która światowi niemieckiemu pod Grunwaldem groźne wyrzekła *memento*, sprawa czeska zupełnie inne dla Niemiec przybiérać zaczęła rozmiary. Toż Czechy, to niezbędne ogniwo w systemie niemieckiego państwa, elektorstwo świętego rzymskiego imperium miało zerwać węzeł polityczny z Niemcami i stanąć przeciw nim przednią strażą groźnéj słowiańskiéj potęgi, która jednėm ramieniem dosięgłaby samego serca Niemiec. W przerażeniu piszą elektorowie niemieccy do Jagiełły a nie ośmielając się wobec samych pogłosek wyrzucać mu wprost związki z Husytami, w wymownych tylko słowach kréślą niebezpieczeństwo, jakie „wierze chrześcijańskiéj" grożą od kacerskiego Czechów narodu i wzywają go do wspólnéj krucyaty (2). Zygmunt, mniéj oględny a pomny dawnych z niektórymi panami polskimi stosunków, odzywa się wprost do nich ze skargą na konszachty ich króla z kacerzami, prosi, by go starali

---

(1) Prochaska l. c. VII. 278.

(2) Caro, Liber cancellariae II. N. 53. Niebawem potém jednak napisali elektorowie inny bardziéj stanowczy list do Jagiełły, ob. tamże.

się opamiętać i, ze względu na honor narodu, odwieść od związków tak zgubnych (1).

Jagiełło myślał teraz o tém, żeby z swéj strony w zewnętrznéj polityce poprzéć usiłowania Witolda i nowe jego stanowisko. Nie dziw, że w tym względzie był z nim w zgodzie Jastrzębiec, zawsze gotów do obrony interesów Witolda. Kanclerz lgnął również w zasadzie do projektu unii politycznéj z Czechami a skoro pojednanie ich z kościołem było jednym z głównych punktów Witoldowego programu, nie wzdragało się przeciw niemu sumienie biskupa. Tylko ze swego stanowiska jako biskup kładł Jastrzębiec na ten punkt tym większy nacisk, skoro zaś myśl wszelkiego kompromisu jest z natury swéj dość elastyczną, wyobrażał go sobie może cokolwiek inaczéj, niż Witold, jako prosty powrót Husytów na łono kościoła. Widać to z ówczesnych listów Jagiełły do Czechów, które zapewne wyszły z pod pióra samego kanclerza (2). „Nie trwajcie," są słowa jednego z tych listów, „przy objaśnieniach i dowodach pisma świętego utworu waszych mistrzów, lecz powróćcie do nauk św. soboru konstancyjskiego. Tam bowiem wśród starszyzny całego świata chrześciańskiego, tak świeckiéj jak i duchownéj, sprawa ta takiemu uległa rozstrząśnieniu, iż nie godzi się już dziś powątpiewać o prawdzie." W téj myśli wysłał Jagiełło z tém pismem w poselstwie do Czechów Siestrzeńca, żeby według danéj instrukcyi w tym kierunku działał. Nie tu jednak była droga do tych usług, które Jagiełło w sprawie czeskiéj miał oddać Witoldowi. Czesi stali pod bronią, przygotowywano się do nowéj na nich krucyaty, należało więc energicznie rozwinąć akcyą dyplomatyczną, żeby wymierzony na nich oręż zagłady powściągnąć. Nadto, czy Witold, czy Jagiełło, czeską koronę przyjmował, zawsze to wiodło do unii Czech z państwem polsko-litewskiém. Każdy krok, którýby w téj tak ważnéj dla narodu sprawie przedsięwzięto, musiał ulegać kontroli panów świeckich i duchownych; wkrótce zaś miał się odbyć zjazd panów, chodziło więc o to, żeby uzyskać na nim przychylniejsze dla Czechów niż na dwóch poprzednich zjazdach uchwały.

Już sama obecność Witolda na zjeździe, który na dzień Wniebowzięcia N. Panny zwołano do Lublina, mogła w tym względzie korzystny wpływ wywrzéć na zgromadzonych. Łatwiéj było zorganizować w takim razie jego partyą, wlać w nią ducha, wciągnąć do niéj w imię sympatyi husyckich nowe żywioły. Nie tajną to zresztą

(1) Tamże Nr. 108.
(2) Caro, Liber cancellariae. II N. 56, 57.

było rzeczą, że sympatye te w ciągu całorocznych rokowań z Czechami żywo rozbudziły się w narodzie. W miesiąc niespełna po zjeździe lubelskim, kiedy książę Raciborski pojmał posłów czeskich dążących do Polski, ogólne oburzenie odezwało się w całéj Polsce i na Litwie a brać szlachecka głośno się odgrażała: „czy król zechce czy nie zechce, my ich wyrwiemy z niewoli; cóż to, owe książątko myśli rozerwać unią już zawiązaną z braćmi naszymi Czechami“ (1). Słowem, z góry można było przewidzieć, że uchwały zjazdu lubelskiego inaczéj wypadną, niż w przeszłym roku w Łęczycy i w Niepłomicach.

Odpowiedziano tu posłom czeskim, że król Zygmunt, prawowity dziedzic królestwa czeskiego, dość ma dwóch królestw, węgierskiego i niemieckiego, można go będzie zatém skłonić, żeby z czeskiego ustąpił. Jagiełło i Witold będą się o to starali, a wtedy Czesi będą mieli zupełną swobodę w rozporządzeniu koroną swego królestwa, Witold zaś czy Jagiełło chętnie ją z rąk ich przyjmie. Nadto obydwaj władcy Polski i Litwy dokładać będą wszelkich starań, żeby ich z kościołem pojednać (2). Trudno sądzić, żeby zjazd lubelski istotnie oddawał się tak naiwnym złudzeniom co do gotowości Zygmunta do ustąpienia korony. Jasną jednak było rzeczą, że czego się nie czyni w skutek rokoszu własnych poddanych, do tego może zmusić niechętnego stanowczy nacisk takiéj potęgi, jaką była Polska i Litwa. Bądź co bądź, akcyą dyplomatyczną w sprawie czeskiéj należało rozpocząć negocyacyami z Zygmuntem i w tym celu uchwalono wyprawić doń poselstwo z tą delikatną misyą dyplomatyczną. W wyborze posłów objawił się jednak widocznie wpływ przeszłorocznych zajść na zjeździe łęczyckim. Kanclerz, którego polityka w obec Zygmunta doznała tak ciężkich zarzutów, nie wydawał się odpowiednim kandydatem do odprawienia tego poselstwa. Powierzono je Janowi Tarnowskiemu, wojewodzie krakowskiemu, któremu przed dwoma laty oddana była kontrola nad kanclerzem, i obok niego Zbigniewowi Oleśnickiemu. Zbigniew, protonotaryusz kancelaryi królewskiéj, miał w téj właśnie misyi odbyć dopiéro chrzest w zawodzie dyplomatycznym, w poprzednim już roku jednak śmiałém wystąpieniem w obec Zygmunta po wyroku wrocławskim zwrócił na siebie ogólną uwagę.

Zanim jednak podążymy za tymi posłami na dwór Luxemburczyka, musimy zająć się jedném jeszcze pytaniem, bez rozwiązania

(1) Grünhagen, Geschichtsquellen der Hussitenkriege N. 20.
(2) Długosz Hist. Pol. IV. 274.

którego cała akcya dyplomatyczna posłów lubelskiego zjazdu nie byłaby zrozumiałą. Nie potrąciliśmy bowiem jeszcze o to pytanie, jakich środków zaradczych jął się kościół polski w obec niebezpieczeństwa, którém mu te urzędowe, tak bliskie stosunki Polski z Husytyzmem groziły. Stwierdziliśmy już poprzednio, że w społeczności szlacheckiéj grunt do przyjęcia posiewu nauk husyckich zdawna dobrze był przygotowany, jeszcze podczas soboru konstancyjskiego głośno było o tém w Europie, że w całéj Polsce nie brak tajnych zwolenników nauki praskiego magistra, a w obec rozpoczętych rokowań o unią w tak wybitny sposób objawiły się manifestacye ogólnych sympatyj husyckich. Powtórzyć nam zatém raz jeszcze, że trzeba było wytężonéj czujności duchowieństwa, aby w obec tego wszystkiego widmo Husytyzmu od Polski zażegnać.

Jakoż nie można przywódcom duchowieństwa czynić zarzutu, jakoby zasypiali sprawy. Episkopat polski a przynajmniéj jedna część jego, głębiéj pojmując zadanie chwili obecnéj, pracowała od dawna nad tém, żeby wyplenić robaka toczącego stosunki kościelne, usunąć źródło, z którego wyszedł Husytyzm, z którego zarazem przez opozycyą przeciw nadużyciom kościoła wyrodziły się w Polsce owe sympatye husyckie. Dość tu przypomniéć gorliwy udział polskich biskupów w pracach przygotowawczych do wielkiego dzieła reformy kościelnéj na soborze konstancyjskim. Andrzéj Laskarys, biskup poznański, ów gorący zelota ówczesnego koncyliaryzmu przechylał się nawet ku radykalnemu kierunkowi w obozie reformatorskim, z jego to ust usłyszała reprezentacya chrześciańskiego świata owę słynną uchwałę, stawiającą stanowczo zasadę wyższości soboru nad papiéżem. Bardziéj konserwatywnym dążnościom hołdował sędziwy prymas. Mikołaj Trąba nie tylko do prac soboru gorliwie rękę przykładał, ale i dawniéj już miał myśl w tym kierunku wytężoną, żeby zarazem w skromniejszym zakresie partykularnego ustawodawstwa kościelnego, o ile to było możliwém, usunąć braki i nadużycia, podkopujące organizm polskiego kościoła. W tym celu wyrobił sobie jeszcze u Jana XXIII przyzwalającą bulę a po obaleniu tego papiéża postarał się o jéj potwierdzenie u Marcina V. Dawne bowiem statuta i uchwały synodów polskich dziś już nie wystarczały, niejedna rzecz przeżyła się i poszła w zapomnienie a ustawy, które wyszły z zastosowania, obudzały lekceważenie innych ustanowień kościelnych; nie wiedziano dobrze, co zakazane a co dozwolone, karność kościelna się rozprzęgła. Praca nad tym przedmiotem posunęła się w r. 1420 tak daleko, że w czasie przybycia pierwszych poselstw czeskich mógł episkopat polski na synodach w Wieluniu i Kaliszu do uchwalenia słynnych statutów Trąby przystąpić. Kościół

polski nie abdykuje w nich ze zdobytego długą walką stanowiska politycznego, w sprawach nawet tak drażliwych, jak sprawa dziesięcin, ściśle i niezłomnie formułuje swoje, tak wstrętne szlachcie żądania; ale zarazem gorliwie stara się wyplenić te nadużycia, które szlachtę w przepaść rozpaczy wtrącały, karnością kościelną powściągnąć zepsucie duchowieństwa, które religią podawało w poniewierkę i lekceważenia stanu duchownego było przyczyną. Osobny rozdział obmyśla wszakże środki zaradcze przeciw herezyi husyckiéj. Uchwała synodu wprowadza rozległy system denuncyacyi, całe duchowieństwo ma gorliwie śledzić zwolenników husyckiéj nauki i podawać ich władzy kościelnéj, w tym samym kierunku mają działać wizytatorowie biskupi, reszta zadania spada na sądy duchowne. Ścisła kontrola ma być rozciągnięta nad szkołami duchownemi, żeby z nich wypchnąć tych, którzy się już zarazili nauką husycką i wszelkie zetknięcie się szkół z powiewem Husytyzmu usunąć. Co najważniejsza wreszcie, należy dbać o to, żeby zwolenników Husytyzmu nie tylko denuncyowano, ale pojmanych dostawiano sądom duchownym, do tego zaś potrzeba było pomocy „ramienia świeckiéj władzy,“ to przedewszystkiém mieli biskupi wpływem swym u króla wyjednać (1).

Takie uchwały jednak nie mogły wystarczyć. O ten ostatni punkt rozbijały się wszelkie usiłowania. Jeśli rząd prowadził z Czechami rokowania o unią, choćby z myślą przewodnią pojednania ich z kościołem, nie mógł ze względów politycznych występować ostro przeciw Husytom w Polsce a przygotowująca się „unia polityczna“ z Czechami ułatwiła z nimi stosunki i posuwała zalew powodzi husyckiéj, rozszerzającéj się wśród społeczeństwa polskiego. Interes kościoła polskiego wymagał, żeby zerwać stanowczo z Czechami, murem chińskim się od nich oddzielić a w miejsce programu unii czeskiéj postawić nowy program, rokujący korzyści polityczne, któreby, wprost do serca narodu trafiając, zdołały go skupić około tego nowego sztandaru. Na to jednak nie stać było ówczesnych, najznakomitszych nawet polskich biskupów. Prymas był na to za stary i nie miał w tym względzie dość ducha inicyatywy; biskup poznański, zatopiony w idęach koncyliaryzmu (2); nie był politycznym człowiekiem

(1) Statuta Mikołaja Trąby z r. 1420 nowo wydane wraz z bulami Jana XXIII i Marcina w IV tomie Starodawnych prawa polskiego pomników, str. 173—258, a zwłaszcza 240—242.

(2) Wiem dobrze, że ten wyraz nie jest w polskim języku utarty. Skoro jednak łacińskie jego pochodzenie wyrobiło mu prawo obywatelstwa w obcych językach a tru-

Jastrzębiec jako kanclerz popierał wprost myśl unii z Czechami. Kościół polski wydał jednak w téj stanowczéj dla siebie chwili takiego człowieka a był nim ów młody poseł lubelskiego zjazdu na dwór Zygmunta, Zbigniew Oleśnicki.

Zbigniew pochodził z rodu, który nie liczył się jeszcze wówczas do przedniejszéj arystokracyi, ale już szczycił się kilkoma dygnitarzami. Sam ojciec Zbigniewa czynny brał udział w życiu publicznóm a mając w kilka lat po wstąpieniu Jagiełły na tron oddaną sobie obronę Wilna i Litwy przeciw Krzyżakom i sprzymierzonym z nimi wówczas Witoldem, niepospolite oddał królowi i państwu usługi. Zbigniew już pod Grunwaldem zdobył sobie wdzięczność Jagiełły a stąd i dla zasług ojca łaska królewska nie opuszczała go od lat młodzieńczych. Oddany stanowi duchownemu wszedł do kancelaryi królewskiéj, dobił się w niéj pod kierunkiem Jastrzębca stanowiska protonotaryusza i przebył formalną szkołę dyplomatyczną, mając w referacie najważniejszy wydział kancelaryi, sprawy krzyżackie (1). Względy króla i kanclerza, biskupa dyecezyi, opłacały mu się sowicie i wyniosły go w młodym wieku na godność proboszcza kollęgiaty św. Floryana, która zwykle stanowiła szczebel do wysokich w kościele polskim dostojeństw. Słowem, w normalnym biegu rzeczy otwierała mu się świetna karyera, on zaś rwał się do niéj z młodzieńczą namiętnością, niepohamowana ambicya parła go naprzód a iskra geniuszu, którą czuł w sobie, podawała mu środki do wydobycia się na wierzch nagłym, gwałtownym porywem. Już na pierwszą wieść o wyroku wrocławskim, kiedy Jagiełło i Witold pogrążeni byli w rozpaczy a Jastrzębiec bawił daleko na owém nieszczęsném poselstwie w Wrocławiu, Zbigniew skorzystał z chwili, ofiarował się na posła do Zygmunta i śmiałém, porywczém rzuceniem rękawicy ogólną na siebie zwrócił uwagę (2).

Gorąca wiara, żarliwa dbałość o dobro kościoła i równie gorąca miłość ojczyzny, to były główne składniki téj potężnéj indywidualności. W całéj roli jego dziejowéj czuć to dobrze, że Zbigniew dojrzewał w epoce tryumfów idei reformy kościelnéj i koncyliaryzmu na soborze konstancyjskim. On nie brał w nim udziału, za młody

---

dno wynaléść inny wyraz na oznaczenie systemu dążności wielkich soborów XV wieku, nie waham się go używać.

(1) Maurer: Urzędnicy kancelaryjni Władysława Jagiełły 36.

(2) Długosz Hist. Pol. IV. 246 n.

jeszcze do tego, pracował wówczas w kancelaryi królewskiéj, ale potężna inteligencya Zbigniewa przesiąkła na wskroś temi ideami, nie rzucając się w objęcia skrajnego kierunku. Nic śmieszniejszego, jak mienić Zbigniewa papistą, co tendencyjne pióra już nieraz usiłowały. Wszak to on późniéj, będąc u szczytu potęgi, wraz z akademią krakowską, któréj był kanclerzem, stanął silnie przy bazylejskim soborze; kiedy zaś sobór stanowczo zerwał z papiéżem, głęboka rozwaga i zmysł polityczny nie dozwoliły mu pójść na oślep za skrajną dążnością koncyliaryzmu, lecz za jego to głównie stało się sprawą, że Polska przez czas tak długi zachowywała neutralność pomiędzy soborem a papiéżem, z objawami widocznéj dla soboru sympatyi. Cechuje go ta właściwa gorącym zwolennikom reformy kościelnéj, podniosła żarliwość o dobro mającego się zreformować kościoła, ta żelazna, nieugięta stałość w rzeczach wiary i dogmatu. Jak Gerson lub d'Ailly nie dopuszcza Zbigniew najmniejszéj wątpliwości o dogmatach kościelnych, jak oni zawziętą pała nienawiścią ku wszelkiemu w rzeczach wiary buntowi, ku herezyi a przedewszystkiém ku husyckiéj nauce. Mąż tych przekonań co Zbigniew z zasady nie zna kompromisu, gdyż wszelki kompromis podkopuje fundament wiary, osłabia powagę kościoła. Zbigniew widzi to dobrze, że pod skrzydłami pojednawczych usiłowań zaraza herezyi tém szersze dla zalewu Polski wyżłabia sobie koryto. Jedna więc tylko myśl mu przyświeca, stanowisko ściśle odporne względem kacerskich Czechów. Wszelka korzyść polityczna na bok tu ustępuje, gdzie nad wiarą samą i w najświętszych rzeczach wiary tak groźne nad narodem zawisło niebezpieczeństwo.

Tak myślał ksiądz. Polityk jednak musiał nowe korzyści polityczne wyszukać, któremiby Polskę można odwieść od unii czeskiéj, patryota pragnął wyzyskać zawiłą sytucyą dla dobra narodu i państwa. Widział zaś Zbigniew, jaki strach paniczny ogarnął Zygmunta na wieść o unii Polski z Czechami, czytał zapewne wylękłe listy jego do panów polskich a pojmował to dobrze, że ostatni Luxemburczyk wszystko raczéj poświęci, niźli dziedziczną rodu Luxemburskiego koronę. Z tego trzeba było korzystać w najżywotniejszéj dla Polski sprawie krzyżackiéj. Ze wspomnień kancelaryjnych odgrzebał Zbigniew ów tajny układ z r. 1412, w którym Zygmunt dla obałamucenia Jagiełły zobowiązał się do wspólnéj akcyi wojennéj wymierzonéj na zagładę Zakonu: obaj mieli po dokonaniu dzieła rozebrać między siebie pruskie kraje, dawne zaś polskie ziemie miały do korony powrócić. Teraz należało przypomnieć Zygmuntowi ten układ i spróbować, czy pod naciskiem polsko-czeskiéj unii nie będzie musiał do tego projektu powrócić. Znane matactwa Luxembur-

czyka wymagały jednak pewniejszych rękojmi niż gołe słowa lub martwe pergaminy, i o nich więc Zbigniew pomyślał. Oto ze wszystkich krajów czeskiéj korony w pewném jedynie posiadaniu miał Zygmunt Szląsk, niezłomnie katolicyzmowi wierny, tę starą Piastów dzielnicę, również za Kazimierza czasów wraz z Pomorzem stanowczo od Polski oderwaną, o któréj zwrot już z Wacławem toczyły się rokowania. Niech więc odda Polsce Szląsk w zastaw, dopóki rozbiór państwa krzyżackiego do skutku nie przyjdzie; jeśli jak to tylekroć zrobił, skrewi w sprawie krzyżackiéj, to Szląsk przynajmniéj przy Polsce zostanie.

Taki plan katolickiéj a utylitarnéj polityki usnuł Zbigniew. Nie czas było jednak wystąpić z nim na lubelskim zjeździe, gdzie go partya Witoldowa w kolebce mogła pogrzebać; taki plan mając, należało już z gotowym wystąpić rezultatem, żeby wbrew przeciwnym prądom porwać wszystkich za sobą. Oleśnicki, jako poseł polski, udaje się z nim wprost do Zygmunta, zjednawszy snać wprzód dla téj myśli wspólnika poselstwa.

Posłowie polscy zastają Zygmunta na Węgrzech, w Tyrnawie. Żeby się nie sprzeniewierzyć zupełnie właściwéj instrukcyi poselskiéj, oznajmiają mu najpiérw, że Jagiełło zamierza pracować nad pojednaniem Czechów z kościołem. Skoro zaś, jak można było przewidzieć, wszelkie mięszanie się Jagiełły w sprawy czeskie nie mogło się Zygmuntowi podobać, wyłuszczają dopiéro plan Oleśnickiego. Zygmunt nie mógł go również przyjąć. Jako król niemiecki, potrzebujący pomocy Niemców do walki z Czechami, nie mógł podpisać wyroku śmierci na Zakon Niemiecki. Ale zarówno niezbędną koniecznością było teraz dla niego pojednać się z Jagiełłą i Witoldem, choćby jaką ofiarą okupić sojusz z nimi, odwrócić ich od unii czeskiej. Nasuwa mu się zatém myśl tak ulubionéj wówczas polityki matrymonialnéj. Ofiaruje owdowiałemu Jagielle rękę swéj jedynéj córki, dziedziczki nie Szląska tylko, ale wszystkich trzech swych koron; z właściwym sobie cynizmem zapewnia posłów, że już dzieci mieć nie będzie i pozwala im nawet zapytać się o to swéj małżonki. Gdyby jednak małżeństwo zgrzybiałego Jagiełły z dziecięciem Luxemburskiém nie wydało się odpowiednim projektem, to jeśli posłom polskim o Szląsk chodziło, miał płodny w pomysły Zygmunt inny plan w zanadrzu. Ofiarował Jagielle młodą wdowę po swym bracie Wacławie a w posagu Szląsk jéj przeznaczał; frymarka krajami była u Luxemburczyka pospolitą rzeczą (1). Oleśnicki więc dopiął celu, miał już cenną ko-

---

(1) Długosz, Hist. Pol. IV 275—278, por. Windecka kron., Mencken, SS. rer. Germ. I. 1146. Prochaska słusznie broni wiarogodności opowiadania Długoszowego (l. c.

rzyść polityczną w zamian za unią z Czechami i z tą zdobyczą pospieszył do Polski, na świętomarciński zjazd w Niepołomicach. Tutaj projekt pozyskania szląskiéj krainy olśnił wszystkich i odniósł stanowcze zwycięstwo, Witolda nie było, partya jego nie mogła wywrzéć dość silnego nacisku i zapadła uchwała, żeby w myśl programu Oleśnickiego wysłać do Zygmunta w poselstwie Zawiszę Czarnego dla ukończenia rokowań, w dziewosłęby do królowéj Offki (1). Zbigniew odetchnął swobodniéj i mógł ten dzień nazwać szczęśliwym.

Tymczasem zaszedł fakt, który w rozpoczętych rokowaniach z Zygmuntem obudził pewien ton fałszywy, wcale niepożądany dla twórców nowéj polityki. 4 Września uchwalono w Pradze wysłać nowe poselstwo do Polski; czas naglił, lada chwila miała spaść na Czechy nowa krucyata, nie dziw więc, że po decyzyi Witolda i odpowiedzi lubelskiéj pragnęli Czesi sprawę unii przyspieszyć. Jakoż niezwłocznie wyruszyło poselstwo z Pragi w towarzystwie kilku Polaków, domowników Witolda; licząc na osłonę jego powagi bez obawy przejeżdżało przez ziemie szląskich książąt, lecz oto niespodzianie w pobliżu granic polskich, w Raciborzu, zdążyło do kresu swéj podróży Jan Raciborski, jak wszyscy szląscy książęta gorliwy katolik i sprzymierzeniec Zygmunta, pojmał posłów czeskich i osadził w więzieniu. Piorunem gruchnęła o tém wieść w Polsce i wszędzie, jak już wyżéj wspomnieliśmy, niesłychane obudziło wzburzenie; nie należy bowiem zapominać, że to się stało właśnie pod świeżém wrażeniem lubelskiego zjazdu, przed powrotem posłów polskich z Węgier. Jak gromy posypały się na wylękłego księcia Raciborskiego ostre noty dyplomatyczne króla, Witolda i niecierpliwego Korybutowicza, za naruszenie przyjaznych stosunków sąsiedzkich, za zgwałcenie nie-

---

VIII. 15) przeciw podejrzeniom Dra Caro (Gesch. Polens III 525), tak że w tym względzie nie mam tu nic dodać. Nie rozwija jednak Prochaska zupełnie programu Oleśnickiego i lekceważy sobie całą jego akcyą dyplomatyczną. Czy to lekceważenie jest uzasadnione, pozostawiam to osądzeniu czytelników, stanowczo jednak zastrzedz się muszę przeciw takiemu traktowaniu textu Długosza, z jakiém się w tém miejscu w pracy Prochaski spotykamy. „Posłowie,“ pisze P., „wracają z szumnym projektem do Polski, zapewne jak powiada z przekąsem Długosz, większe ze swego poselstwa wystawiając skutki, aniżeli się spodziewali, aniżeli rzeczywiście uzyskali.“ W uwadze zaś dodaje: „Słowa te Długosza są bardzo ważne, o ile, że są zarzutem przeciw Zbigniewowi Oleśnickiemu wymierzonym, który powstał wraz z Tarnowskim.“ Słowa te brzmią zaś rzeczywiście: „Qui (nuntii) Poloniam revertuntur, crassius gratiusque Regi suo Poloniae, quam speraverant, quamque espetierant relaturi,“ — co znaczy po polsku, „Posłowie wracają do Polski, przynosząc królowi o ważniejszéj i milszéj rzeczy wiadomość, niźli się spodziewali, niż nawet sami żądali.“

(1) Dług. Hist. Pol. IV. 279.

tykalności poselstwa. Grożono otwarcie wojną, jeśli książę jeńców nie wypuści (1).

Pojmanie posłów czeskich było dla projektów Oleśnickiego o tyle pomyślnym wypadkiem, że w chwili tak stanowczéj przerwało ostateczne układy o unią czeską i bez wątpienia ułatwiło mu przez to sprawę po powrocie z Węgier. Łatwo jednak pojąć, że wieść o tém zdarzeniu silnie zelektryzowała Zygmunta. Umysł, do matactw politycznych tak skory, ocknął się teraz i zaczął się zastanawiać czy cała akcya dyplomatyczna Zbigniewa nie jest tylko zręcznėm zastawieniem sideł. Dotychczas dochodziły go tylko pogłoski o unii polsko-czeskiéj, teraz miał w ręku niewątpliwe dowody, a papiéry, przejęte u posłów, pouczały go dokładnie, dokąd właściwie ta sprawa zaszła; znając zresztą ton czeskich odezw do Witolda, możemy sądzić, że Zygmunt wyczytać z nich mógł więcéj, niż gdyby znał dokładnie właściwy stan rzeczy. Z oburzeniem pisze o tém do jakiegoś księcia niemieckiego, który już wiedział o układach z Oleśnickim: „Możesz teraz widzieć, jaka u nich wiara, jaka gorliwość katolicka i uczucie dla kościoła, możesz osądzić, czy są obrońcami heretyków czy téż nic nie zawinili“ (2). Równocześnie wysyła list do W. Mistrza ze stanowczém poleceniem, żeby Krzyżacy bez zwłoki wpadli do Polski, jeśli Witold i Jagiełło z pomocą Czechom pospieszą(3). I to bowiem pewna, że jeśli ów strach paniczny z powodu przygotowującéj się unii Polski i Czechów zmusił Zygmunta do takich ofiar w układach z Zbigniewem, to namacalne dowody, które miał teraz w ręku, jeszcze bardziej musiały go przerazić. Nie zrywa zatém Zygmunt rokowań z Jagiełłą, tylko do większéj pobudzony ostrożności, nie spieszy się z niemi. List, który do niego w sprawie księcia Raciborskiego napisał, odznacza się tonem tak łagodnym i pojednawczym, że nie znać w nim śladu goryczy (4). Dla ukończenia rokowań przygotowuje Zygmunt nawet zjazd z Jagiełłą w Wrocławiu, w stolicy tego kraju, którego oddaniem miał sojusz z Polską okupić (5).

Zjazd ten jednak nie przyszedł do skutku, skończyło się tylko na poselstwie Zawiszy Czarnego. Wybór Zawiszy na posła w tak ważnéj sprawie wcale nie był szczęśliwy. Poruczono mu to zadanie, gdyż

(1) Korespondencya w sprawie raciborskiéj ob. w Palackiego Urkündl. Beiträge I. Nr. 136, 138, 142 i w Grünhagena Geschichtsquellen des Hussitenkriege Nr. 20.

(2) Prochaska l. c. VIII. 147.

(3) Palacky, Urk. Beitr. I. Nr. 146.

(4) Prochaska l. c. VIII 148.

(5) Palacky, Urk. Beitr. I. Nr. 159.

znano dobrze jego ścisłe z Zygmuntem stosunki. Ten rycerz znakomity, który tyle wawrzynów zdobył sobie w orszaku Zygmunta, któremu honor rycerski nie pozwalał walczyć za ukochanego wojowniczego monarchę, jeśli były waśnie pomiędzy Luxemburczykiem a własnym jego królem, teraz z radością pospieszył do niego, by go z Jagiełłą połączyć węzłem ścisłego sojuszu. Ale animusz rycerski nie bratał się dobrze z zadaniem dyplomatyczném. Zawisza zastał Zygmunta prawie na wyjeździe do Czech, na walną wojenną wyprawę. Niestosowna to była do rokowań dyplomatycznych pora, tém bardziéj, że i w Zawiszy żywo na widok przygotowań wojennych serce rycerskie zabiło. Zygmunt nie rad był teraz do niczego się zobowiązywać, spodziewał się, że oręż rozstrzygnie sprawę czeską korzystnie dla niego, odłożył zatém dalsze rokowania do powrotu z czeskiéj wyprawy. Zawisza na tém poprzestał, lecz niedość tego, jako rycerz nienaganny nie mógł ukochanego monarchy w potrzebie opuścić i bez wahania razem z nim na wojnę pospieszył. Po ciężkich klęskach Zygmunt szybko z Czech się cofnął, Zawiszy jednak honor rycerski kazał zostać na straconém stanowisku, dostał się zatém do niewoli czeskiéj i nie mógł nawet przysłać do Polski wiadomości o swém poselstwie (3).

Oleśnickiemu gorzko przyszło teraz żałować, że mógł tylko snuć projekta, wywalczać dla nich zwycięstwo, ale nie jego było rzeczą, ich wykonaniem kierować; ster polityki w innéj, niechętnéj jego pomysłom znajdował się ręce, od pewnego czasu nawet, mianowany proboszczem u św. Floryana, usunął się Zbigniew z kancelaryi królewskiéj. Można zaś było przewidzieć, że Witold sprawy nie zaśpi i wszystkich sprężyn użyje, byle wyzyskać tę odwłokę w wykonaniu Zbigniewowych pomysłów. Tém gorzéj dla Oleśnickiego, że zbliżała się zima, którą król jak zwykle w rodzinnéj ziemi, w gościnie u Witolda miał przepędzić.

Wśród zimy, w Styczniu przyszły wieści o wojnie czeskiéj, o nowéj strasznéj klęsce Zygmunta pod Niemieckim Brodem. Można było wprawdzie tém więcéj spodziewać się teraz, że Zygmunt, zgnębiony i pokonany, bardziéj niż w jesieni będzie pragnął sojuszu z Polską i chętniéj jeszcze niż wówczas wszelkie ofiary poniesie, byle Polskę odwieść od unii czeskiéj. Ale też trzeba było tę chwilę wyzyskać, szybko podjąć na nowo rozpoczęte rokowania, a tu król bawił u Witolda. Łatwo teraz było Witoldowi odwodzić Jagiełłę od układów z Luxemburczykiem, któremu nowy pogrom wszelkie widoki odzy-

(1) Dlug., Hist. Pol. IV. 280.

skania Czech odebrał; łatwo skłaniać do unii ze zwycięskim bratnim narodem. Żeby jednak zamachem jednym zmienić całą podstawę tych matrymonialnych projektów, które miały Jagiełłę związać z Zygmuntem, podaje Witold inny projekt małżeństwa. Ofiaruje mu rękę młodéj księżniczki ruskiéj Zofii, krewnéj obydwu Gedyminowiczów. Już w jesieni powstał był ten projekt a Jagiełło wysłał wówczas na Litwę Zbigniewa niedługo po powrocie z Węgier, żeby tę piękność książęcą obejrzał i zdał mu o niéj sprawę. Można sobie wyobrazić, w jakich ją barwach Oleśnicki przedstawił, widząc w tym projekcie zgubę całego planu swojego. Jagiełło jednak przybywszy na Litwę sam Zońkę obaczył, niezwykła uroda młodéj dziewczyny połechtała zmysłową naturę starego króla; co innego to było, niż suchotnica Elżbieta niedawno zmarła. Pomysł Witolda się udał, król pojął Zońkę w małżeństwo (1). Witold tryumfował; widząc, jak jego plany w Polsce paraliżowano a znając zmysłową starego Jagiełły naturę, cieszył się teraz, że nie tylko swego zwolennika u steru polityki mieć będzie, ale obok niego wierną ajentkę w sypialni królewskiéj. Na tém się zawiódł, ale mógł tryumfować, że kraina szląska, posag królowéj Offki, nie będzie mu już planów krzyżować, że zdruzgotał ów pomost, który miał Jagiełłę od unii czeskiéj odwieść do Zygmunta. Napróżno wysilał się Zbigniew, żeby króla od małżeństwa z Zońką powstrzymać, Witold go pokonał.

V.

Zabiegi Witolda w sprawie unii Husytyzmu z kościołem — w Pradze — u papiéża. — Niepowodzenie. — Korybut w Czechach. — Wojna z Zakonem w lecie 1422 r. — Upadek Korybuta. — Klęska polityki Witolda. — Zygmunt i krzyżacy — projekt rozbioru Polski — Sprawa przymierza Polski z Zygmuntem. — Układy w Lubiczu. — Kongres w Kezmarku. — Reakcya katolicka.— Projekt wyprawy czeskiéj. — Edykt wieluński. — Upadek Jastrzębca. Oleśnicki biskupem krakowskim, Szafraniec kanclerzem. — Zakończenie.

Zwycięzca miał drogę wolną od przeszkód, teraz mógł śmiało zdążać do celu. Dwóch przedewszystkiém zadań musiał jąć się Witold. Najpiérw należało dotychczasowe rokowania o unią stwierdzić raz faktem i wysłać Korybutowicza do Czech na rządy namiestnicze, następnie wypadało przystąpić do tego trudnego dzieła, które nowe Ge-

(1) Dlug., Hist. Pol. IV. 278. 283.

dyminowiczów królestwo, z rodziny państw chrześcijańskich wypchnięte, napowrót do jéj grona wprowadzić miało, rozpocząć pracę nad unią Husytyzmu z kościołem. Spełnienie pierwszego, politycznego zadania musiało jednak na razie pójść w odwłokę w skutek chwilowego zwycięstwa programu Oleśnickiego; kiedy Polska nagłym a przelotnym zwrotem gotowała się do sojuszu z Zygmuntem przeciw Husytom, nie mógł Witold bratanka z posiłkami polskiemi do Czech wyprawiać. Tém gorliwiéj zajął się za to drugiém zadaniem. Tu należało rzecz rozpocząć od rokowań ze stroną niższą, z Husytami, a zbadawszy najpiérw pojednawcze ich usiłowania, przesłać kuryi papieskiéj gotowy rezultat, jako podstawę do dalszych z nią układów, jako warunki, pod któremi Husytyzm pragnie powrócić na łono kościoła. Z dziękczynnego zaś listu Czechów za przyjęcie korony wiedział Witold dobrze, że Husyci przy czterech artykułach praskich niezachwianie zamierzają obstawać; w sprawie tych artykułów zatém porozumiéć się z nimi, o ile możności ich znaczenie złagodzić, to było pierwszym tych usiłowań celem. W téj myśli posłał jeszcze w jesieni husyckim magistrom projekt zjazdu z katolickimi doktorami. Umiarkowani prascy magistrowie, w zasadzie myśli pojednawczéj wcale nie przeciwni, do dysput teologicznych zawsze skorzy, z ochotą ten projekt przyjęli, prosząc tylko Witolda o wyznaczenie miejsca zjazdu w Czechach, na Litwie lub w Polsce, o należyte listy bezpieczeństwa. W myśl pragnień Witolda wyrażają nawet wprost w swéj odpowiedzi gorącą nadzieję, że zjazd ten „doprowadzi do pożądanéj unii z powszechnym kościołem.“ Ale z odpowiedzi téj, mimo tych wszystkich frazesów, mógł każdy, kto znał stanowisko kościoła w téj sprawie, dla całego dzieła unii kościelnéj smutny wywróżyć horoskop. Magistrowie jasno zaznaczają swoje stanowisko, odrzucają wprost tradycyą kościelną a zdają się z góry tylko na ten wyrok, jaki na nich wyda text ewangelii. „Jeśli wykażemy,“ piszą w swéj odpowiedzi, „że nasze artykuły oparte są na ewangelii Pana Naszego Jezusa Chrystusa i że je pierwotny kościół apostolski zachowywał, to Wasza Wysokość użyczy nam w ich ścisłém zachowywaniu swéj opieki i przystąpi sam do nich, przyjmując je za swoje. Jeśli zaś nasi i Boga (?) przeciwnicy jawnie nam dowiodą czego się wcale nie spodziewamy, że w ewangelii, w któréj jedynie prawda zbawienia się zawiera, jest cośkolwiek przeciwnego tym czterem artykułom, to my gotowi jesteśmy ustąpić i skłonić się przed prawdą ewangeliczną.“(1). Było to więc to samo stanowisko, z którego wyszło źródło później-

(1) Caro, Liber cancellariae II. Nr. 54.

szego protestantyzmu, inne są zasady, na których opiéra się nauka katolickiego kościoła a wszelki kompromis na téj drodze zawsze jest niemożliwy. Nie wiadomo, jakie były dalsze losy tego projektu, może sami doktorowie katoliccy, którzy mieli na ten zjazd się udać, po takiéj odpowiedzi nie chcieli się podjąć tego zadania.

Witold jednak nie tracił nadziei. Podczas pobytu Jagiełły na Litwie, przybył doń legat papieski, Antoni Zeno, przeznaczony na pośrednika w sporze z Zakonem; Witold objawił mu swą myśl unii husyckiéj a pozyskawszy go dla niéj, bez zwłoki udał się z nią wprost do papiéża. Żywemi barwami kreśli Marcinowi V bezskuteczność wszystkich usiłowań, których celem było siłą oręża i przemocą przywrócić kościołowi posłuszeństwo narodu czeskiego; tyle krwi z obu stron daremnie się przelewa a tryumfy, które Husyci w téj walce nieustannie odnoszą, utwierdzają ich tylko w zatwardziałości i dodają im w oporze otuchy. Stwierdziwszy zatém nieodzowną potrzebę chwycenia się innych, pojednawczych kroków, zawiadamia papiéża, że uległ naleganiom Czechów, przyjął ich pod swoję opiekę i przyrzekł im podjąć się pośrednictwa w pogodzeniu Husytów z kościołem. Dopóki więc poselstwu czeskiemu nie będzie daném zbliżyć się do stóp stronu stolicy apostolskiéj, prosi Witold przedewszystkiém usilnie, żeby papiéż wstrzymał nową na Husytów krucyatę, któraby rozpoczęte dzieło pokoju w samym zawiązku mogła zniweczyć. Z tą prośbą, popartą listami legata papieskiego, wysłał Witold do Rzymu swego powiernika, Polaka, Marcina, kanonika gnieźnieńskiego, który według obszerniejszéj instrukcyi miał na dworze papieskim rozpocząć rokowania o unią husycką, a dla większego nacisku nie tylko od Witolda, lecz i od Jagiełły otrzymał w tym względzie upoważnienie (1). Listy te rozminęły się z wcześniejszém pismem papieskiém, w którém Marcin V wprost wzywał Witolda do wspomagania Zygmunta przeciw Husytom (2). Otrzymawszy to pismo, mógł się Witold jeszcze spodziewać że jego poselstwo a mianowicie informacye legata zdołają papiéża zwrócić na inną drogę, niebawem jednak przekonał się, że go te rachuby omyliły.

---

(1) List Witolda do Marcina V. z 5 Maja 1422, Palacky: Urkündl. Beiträge I. Nr. 172. Co do Jagiełły ob. list papiéża do niego, tamże str. 206.

(2) List Marcina V. do Witolda z (18 Lutego lub 1 Marca) 1422, Caro, Lib. canc. II. Nr. 114. Jeśli zamiast „pridie“ czytać „pridem,“ w treści listu nie byłoby przeciw dacie jego żadnych zarzutów. „XXII. Kal. Mart.“ może być pomyłką za „XII. K. M.,“ lub też ta cyfra rzymska jest marginesowém rozwiązaniem daty „pontificatus anno quinto,“ które się do textu w niewłaściwe miejsce dostało.

Marcin V był nieugięty. Jeszcze jako kardynał Odo Colonna liczył się do najzawziętszych wrogów Husytyzmu i Wiklefizmu a wstąpiwszy na tron papieski, nie tylko nie ostygł w tych uczuciach, lecz ze względów polityki kościelnéj tém gorliwiéj musiał je manifestować. Wiadomo, jak groźne niebezpieczeństwa zawisły były nad powagą stolicy apostolskiéj przed kilku laty na konstancyjskim soborze; papiestwo, zdeptane w czasach wielkiéj schizmy zachodniéj, odarte z dawnego znaczenia w Pizie, poszło w poniewierkę za smutnych dni Jana XXIII, w obec jego upokorzeń i żebraczych błagań o łaskę soboru. Pod wrażeniem tych wypadków otwarcie wyrzekł był sobór zasadę swéj wyższości nad papiéżem, a reforma kościoła rozpoczęta w tych warunkach byłaby musiała wypaść w myśl skrajnych reformistów, przekształcając zupełnie podwaliny średniowiecznego systemu organizacyi kościelnéj. Udało się wprawdzie Marcinowi odwrócić to niebezpieczeństwo odwleczeniem reformy i szybkiém zamknięciem soboru, niebawem jednak miał nowy sobór się zebrać a głosy reformistów nie ucichły. Jeśli zaś najgorliwsi zwolennicy reformy byli w rzeczach wiary i dogmatu niezachwiani, to papiéż jakiémkolwiek ustępstwem w obec Husytyzmu byłby im sam podał miecz przeciw sobie; nic nie było łatwiejszą rzeczą wówczas, jak podać papiéża w podejrzenie herezyi. W zasadzie więc był papiéż przeciwny wszelkiéj myśli kompromisu, tém bardziéj zaś w téj chwili, kiedy z inicyatywy jego legata przygotowywano w Niemczech nową, wielką krucyatę husycką. Przerażały go wprawdzie zwycięstwa Husytów w dwóch latach ostatnich, ale mimo to oddawał się nadziei, że zjednoczone usiłowania Zygmunta i całych Niemiec muszą zgnieść naród czeski, a odosobniony jego opór długo potrwać nie może. Inna byłaby to jednak rzecz zupełnie, gdyby ta wielka słowiańska potęga, któréj Witold przywodził z Jagiełłą, stanęła po stronie pobratymczego narodu i Husytyzm mógł w takim razie przybrać rozmiary wielkiéj reformacyi słowiańskiéj, któréj świat katolicki nie tak łatwo byłby podołał; Marcin V przypominał sobie niezawodnie dobrze z aktu oskarżenia przeciw Hieronimowi z Pragi te artykuły, z których sobór dowiedział się o owych stosunkach pomiędzy Husytyzmem a wschodnim kościołem. Wszelkie więc zbliżenie się Gedyminowiczów do Husytyzmu przejmowało papiéża, nie mniéj jak Zygmunta i Niemców, strachem panicznym. Skoro go doszły o tych stosunkach pierwsze głuche wieści, pomyślał Marcin o tém, żeby nieprzychylném stanowiskiem, jakie dotychczas w obec Jagiełły i Witolda w sprawie krzyżackiéj zajmował, nie odstręczać ich nadal od siebie i wysłał natychmiast do Polski legata, zaopatrzywszy go w inne zupełnie, niźli dawnych swych posłów, instrukcye. Teraz wysłuchawszy Witoldowego poselstwa, nie

mógł się już łudzić ani chwili: widmo unii czesko-polskiéj stanęło przed nim w całéj grozie swéj postaci, do najostrzejszych więc trzeba było sięgnąć zaklęć, by je rozwiać w przestworze.

Surowe gromy spadają bez zwłoki na Witolda, stanowczo upomina go papież, by zerwał z Husytami. To ich właśnie w zapamiętałym uporze utwierdza, pisze doń w odpowiedzi, że liczą na twoję pomoc; jeśli ty ich opuścisz, będą musieli się ugiąć. Łudzą cię tylko obietnicami powrotu na łono kościoła, by pomoc twoję wyzyskać. Wiedz zresztą, że dla ciebie, jako dla monarchy katolickiego, jedyną wskazówką winien być głos papiéża (1). I w polityczną jednak strunę uderza list papieski. „Jeśli zagarniesz wreszcie czeskie królestwo, czyż to zniosą doktorowie cesarstwa i inni książęta niemieccy, chociażby nawet Zygmunt na to przyzwolił; czyż warte jest tego to królestwo, żeby dla niego heretyków wspomagać, po cudzą własność sięgać i tak wielką część chrześcijańskiego świata nową wojną zaburzyć... Cóż ci wreszcie ztąd przyjdzie, choć cały świat zagarniesz a duszę zgubisz.“ Kończy papież stanowczém zapewnieniem, że jeśli Witold od tych zgubnych pomysłów nie ustąpi, z całą surowością spadnie nań ramię klątwy kościelnéj.

Równocześnie odezwał się także Marcin V do Jagiełły i episkopatu polskiego, namawiając ich, żeby Witolda od związku z Husytami powstrzymali (2). Do Jagiełły pisze nierównie łagodniéj, chociaż i z jego upoważnienia poseł Witoldów mówił, choć dowiedział się od niego, że w Polsce z zezwoleniem króla werbują się już posiłki dla Husytów, wié bowiem, że nie Jagiełło jest duszą tych planów. Z wielu względów ciekawy jest list do prymasa polskiego i jego sufraganów. Nie potrzeba bowiem było zaprawdę na to długiego traktatu napojonego erudycyą kościelną, żeby nakłonić biskupów do powstrzymywania Witolda od herezyi. Taki jest cel urzędowy tego pisma; papież wié jednak, że w toku jest unia Polski i Litwy z Czechami, obawia się, że biskupi, uwiedzeni myślą kompromisu, nie będą jéj się należycie opierać; informacye Antoniego Zenona mogły go o tém pouczyć. Dowodzi im zatém stanowczo, że wszelka myśl kompromisu jest grzechem, „gdyż nie ma zgody między Chrystusem a Belialem, między światłem wiary a ciemnością herezyi.

Słowem, w pojednawczych swych usiłowaniach doznał Witold stanowczéj porażki. Dokądkolwiek się udał, do Husytów, czy do

(1) Taka jest treść długiego ustępu listu papieskiego z 21 Maja 1522, Caro, Lib cancell. II. Nr. 109

(2) Palacky, Urkundl. Beiträge I. Nr. 184, 187.

papieża, wszędzie spotkał się z zasadami, które mu dowiodły, że piękny gmach unii husyckiéj w téj chwili jeszcze był zbudowanym na lodzie. Jeszcze sprawa husycka nie doszła do dojrzałości, do przesilenia. Tymczasem „kość już była rzucona," Korybut był już w Czechach.

Zanim jeszcze poseł Witoldów zdążył na dwór papieski, wyruszył Korybut do Czech z Krakowa z korpusem około 5.000 ludzi liczącym. W ciągu postu, od czasu zwycięstwa Witolda nad programem Oleśnickiego, odbywał się w Polsce jawny werbunek posiłków dla Czechów (1). Siła zbrojna, którą w ten sposób zebrano, jest najwyraźniejszym objawem rozległości i mocy sympatyi narodu dla sprawy husyckiéj. Nie było znać wśród szlachty polskiéj tego żywego entuzyazmu dla sprawy pobratymczego narodu w imię uczuć słowiańskich, skoro zaledwie półtrzecia tysiąca jezdnych stanęło pod znakami Korybuta. Zasady Husytyzmu miały wprawdzie wśród znacznéj części społeczności szlacheckiéj grunt dobrze przygotowany, życzono sobie zatém unii z braćmi Czechami, którzy z duchowieństwem, z dobrami kościelnemi tak ostro się obeszli, ale niezadowolenie ze stosunków kościelnych nie starczyło na to, żeby szlachta gromadnie rzucać miała dom i rodzinę i za Husytów bez nacisku konieczności krew przelewać. Nie omylimy się, jeśli do téj rzeszy wojska Korybutowego wliczymy najzagorzalszych zwolenników husyckiéj nauki, tę „szumowinę społeczności szlacheckiéj" w oczach katolicyzmu, któréj się Polska w ten sposób z kraju pozbyła; szczególnie podobno na Rusi Czerwonéj wydał ten werbunek obfite plony (2); niejednego zapewne zapędziła pod sztandar Korybutów awanturnicza żądza przygód i korzyści wojennych, ogół szlachty powstrzymał się jednak od udziału w tém przedsięwzięciu.

Korybut, przybywszy do Czech, trudne miał do spełnienia zadanie. Rozdwojenie pomiędzy Prażanami a Taborytami coraz groźniejsze przybierało rozmiary, niedługo przed jego przybyciem w saméj Pradze wydźwignął się był Jan z Żeliwa, skrajny przywódca partyi ludowéj, do najwyższego znaczenia i największym tylko wysiłkiem umiarkowanego stronnictwa zdołał miecz katowski strącić go z tego stanowiska. Tém większe panowało roznamiętnienie, groźni Taboryci, którzy nikogo nie chcieli mieć królem, z równą zawiścią spoglądali na Korybuta, jak gdyby sam Zygmunt znów wkraczał do kra-

---

(1) Prochaska l. c. VIII. 58. Według jego kombinacyi składało się wojsko Korybuta z 2.500 jezdnych i może tyluż pieszych.

(2) Palacky, Urkündl. Beiträge N. 273.

ju. Energią i zręcznèm postępowaniem zdołał jednak Korybut pozyskać sobie starego Żyżkę a z nim znaczną część jego stronnictwa, dokonał tém rozdwojenia w obozie Taborytów i miał przeciw sobie tylko partyą najskrajniejszą. Ale żeby to sprawić, żeby do Pragi sobie wstęp utorować, musiał zaprzysiądz uroczyście cztery artykuły praskie; jeśli zaś namiestnik „króla postulata,“ gdyż tak nazywano Witolda, tylko w ten sposób zdołał utrzymać się na stanowisku, że jawnym został Husytą, to dla pomysłu unii husyckiéj tém gorsze były widoki. Wkrótce udało się Korybutowi przywrócić ład w Pradze i w jéj okolicy, anarchia ustawała, coraz więcéj przyzwyczajano się uważać go za reprezentanta legalnéj władzy i uginać się przed nią (1). Żeby jednak utrzymać się u steru władzy, z takim trudem zdobytéj, żeby go nie wypuścić z rąk podczas krucyaty, któréj nowa nawała miała na Czechy uderzyć, na to nie wystarczał skromny korpus kilkotysięczny; Korybut potrzebował koniecznie szybkiego a skutecznego poparcia z Polski.

Kiedy więc powodzenie polityki Witolda wymagało wytężenia wszystkich sił w tym kierunku, coraz trudniéj mu było cokolwiek uczynić w tym względzie. Nie tylko myśl unii kościelnéj z Husytami, która była jednym z kamieni węgielnych jego programu, ulatywała w sferę mrzonek nie do urzeczywistnienia; łatwo pojąć, że gromy papieskie z pogróżkami krucyaty, w tych sferach, w których ręku znajdował się rząd w Polsce, silne musiały wywrzéć wrażenie. Jagiełło chwalił się teraz w swych listach do papiéża szumnym projektem przytłumienia herezyi w ziemiach królestwa polskiego. „Surowo nakazałem mym urzędnikom,“ odzywa się Jagiełło, „żeby na całym obszarze państwa bacznie śledzili tę obrzydłą zarazę duszy, a kogokolwiek znajdą, ktoby jéj uległ, mają go bez różnicy płci, bez względu na godność i znaczenie w okowach odesłać do arcybiskupa i jego urzędników; tak więc po użyciu tych środków wielu już arcybiskup w więzieniach osadził, jak na to słusznie zasłużyli (2).“ Jeśli w tych przechwałkach, spowodowanych naganą papieską, może być wiele przesady, to w każdym razie mamy w nich ciekawą ilustracyą ówczesnego usposobienia kancelaryi królewskiéj. Łatwo nam pojąć, że biskup Jastrzębiec, odczytawszy ostatnie listy papie-

---

(1) Prochaska l. c. VIII 59—69, Denis, Huss et la guerre des Hussites 315 n.

(2) Caro, Liber cancellariae I. Nr. 72. W liście tym prosi Jagiełło papiéża o upoważnienie arcybiskupa gnieźnieńskiego do rozgrzeszania heretyków, powracających na łono kościoła. Bulla papieska, zawierająca to upoważnienie, ma datę 8 Września 1422 (Theiner, Monum. Polon. II. Nr. 31), list ten jest zatém wcześniejszy. Jagiełło nie wysłał go podczas wojny, a zatém zapewne niebawem po otrzymaniu listu Marcina V z 21 Maja·

skie, nie miał już odwagi popierać czeską politykę Witolda. Może jednak ztąd nawet nie przyszło do groźniejszego starcia pomiędzy Witoldem a rządem polskim, gdyż nieubłagana konieczność zwróciła wówczas politykę polską w inną stronę, nie dozwalając nawet myślćć w téj chwili o pomocy dla Czechów i Korybuta. Zaledwie bowiem zdołano się otrząsnąć z wrażenia groźnych listów papieskich, już zawisła była nad Polską nowa wojna z Zakonem.

Był to odwet świata niemieckiego za czeską politykę Polski. Jeszcze w jesieni przeszłego roku pisał Zygmunt do W. Mistrza, żeby bez zwłoki uderzył na Polskę, jeśliby Witold i Jagiełło na prawdę Husytom zamierzali pomagać. Teraz, odkąd Korybut już do Czech się wyprawił, tém bardziéj nalegał Luxemburczyk na Krzyżaków. Wyprawę Korybuta uważał tylko za przednią straż wielkiéj armii, która niebawem do Czech podąży a w bujnéj wyobraźni widział już na polach czeskich nowy Grunwald oręża polskiego. Widział Zygmunt, że Zakon nie był do wojny przygotowany, więc łudził go obietnicami silnego poparcia z Niemiec i wszelkiemi siłami popychał do walki; mniejsza o klęskę Zakonu, jeśli wojna zajmie wszystkie siły zbrojne Polski i nie dozwoli jéj pomagać Husytom w czasie nowéj krucyaty czeskiéj, po któréj się tyle spodziewano. Gdy więc na wiosnę 1422 r. legat papieski zbierał zeznania świadków, jako materyał do nowego w sprawie krzyżackiéj wyroku a równocześnie toczyły się rokowania między pełnomocnikami Polski i Zakonu, W. Mistrz odrzucał w myśl wskazówek Zygmunta wszelkie żądania polskie i wyzywał Jagiełłę do wojny. W pierwszych dniach Lipca stanęły wojska polskie u granic krzyżackich, i Witold, cokolwiek w tym czasie myślał o sprawie czeskiéj, musiał się z niemi połączyć, gdyż tu szło o Żmudź, o ten żywotny interes Litwy, którego w stanowczéj chwili nie mógł opuścić. Przez kilka tygodni przewlokła się wojna, Zakon, zanadto słaby, by mógł w otwartém polu zmierzyć się z wojskami polskiemi, stawiał tylko opór w twierdzach obronnych a otrzymując od Zygmunta nieustannie obietnice rychłéj pomocy, jak mógł najdłużéj przeciągał walkę. Leniwo wlokła się ta walka, gdyż Witold i teraz nie mógł dopuścić zagłady Zakonu; jeśli kiedy, to po ostatnich doświadczeniach go potrzebował, żeby przezeń mieć Polskę w swéj mocy. O Żmudź mu tylko chodziło i ten cel łatwo osiągnął; kiedy już bowiem pod koniec Września zabrakło Krzyżakom siły do dalszego oporu a wojskom polskim, słotami jesiennemi znękanym, śpieszno było do domu, zawarto pokój nad jeziorem mielnieńskiém, w którym Zakon zrzekł się pretensyi do Żmudzi, Polsce zaś odstąpił Nieszawę z przyległym okręgiem.

Wojna skończyła się zatém zwycięstwem, jakkolwiek korzyści

pokoju mielnieńskiego nie były w odpowiednim stosunku ani do sił polskich, ani do pomyślnego położenia ówczesnego. Z tém wszystkiém nie pora było teraz, po ukończeniu wojny krzyżackiéj, myśléć o pomocy dla Korybuta. Z jednéj wyprawy ruszać na drugą, to zawiele było dla polskiéj szlachty, skarb państwa był wyniszczony a nadto długo jeszcze pod popiołem pozornego pokoju tlało zarzewie, z którego pierwszy wiatr dla Zakonu pomyślny mógł rozniecić nową, nierównie groźniejszą wojnę. Krzyżacy ciągle spodziewali się przyrzeczonéj pomocy z Niemiec i od Zygmunta i tylko w tym celu, zniewoleni koniecznością, zawarli pokój, by go stargać i na Polskę uderzyć, skoro tylko pomoc przybędzie (1). W Listopadzie nawet jeszcze przybyły do Prus skromne spóźnione posiłki kilku książąt niemieckich i długo, długo jeszcze nie ustępowała duszna atmosfera wojenna, krępując Witoldowi ręce.

Gdyby zresztą nawet i tego nie było, chociażby i w Polsce nie był się dokonał zwrot na niekorzyść Witoldowéj polityki, sprawy czeskie taką tymczasem przybrały postać, że niebawem nie było tam komu pomagać. Kiedy ukończyła się wojna z Zakonem, Korybut kończył już również w Czechach swą rolę, jako namiestnik „króla postulata". Nie mając z Polski poparcia, nie mógł się długo na tém trudném stanowisku utrzymać. Po tak świetnych początkach, potrzebował do utrwalenia powagi namiestniczych rządów koniecznie jakichś wawrzynów i tryumfów wojennych, któreby go w oczach narodu podniosły, a do tego nie miał sił dostatecznych; szalę zwycięstwa w wojnach husyckich zawsze przechylała silnie zorganizowana armia Taborytów, która mu była stanowczo niechętna, z czasem nawet sam Żyżka zaczął się od niego ze swém stronnictwem odwracać. Porwał się Korybut do oblegania Karolowego Tynu, téj poważnéj świętości czeskiego narodu, dotychczas przez katolików bronionéj, któréj zdobycie mogłoby mu było istotnie dodać znaczenia i powagi. Ale bezskuteczne oblężenie téj niezdobytéj twierdzy, w którém ówczesna sztuka oblężnicza do ostatecznych doszła wysiłków, przewlekając się w nieskończoność, tém bardziéj uszczuplało rozgłos Witoldowego namiestnika. Czesi, nie widząc żadnych namacalnych korzyści z rządów Korybuta, zaczęli się doń zniechęcać, nawet w saméj Pradze partya ludowa brała górę w nieobecności namiestnika a Nowe Miasto praskie jawnie oddało się Taborytom. Korybut musiał pośpieszyć do stolicy, wyparł Taborytów, surowo ukarał zdradę, ale topór katowski, pod którym padły głowy przywódców buntów, zagłębił

(1) Caro, Gesch. Polens III. 537—547.

jeszcze tę przepaść, która go od Taborytów dzieliła i w saméj Pradze rozdrażnił umysły. Skoro potém zawarto rozejm z Karolowym Tynem, powaga Korybuta tém bardziéj upadła a czém większe było niedołęstwo ówczesnéj trzeciéj krucyaty, która tę jedyną korzyść odniosła, w tém jaskrawszém świetle ukazywała się niemoc Korybuta. Hegemonia Husytyzmu usuwała się zupełnie z rąk Utrakwistów praskich, przywódca umiarkowanych Taborytów Żyżka zaczynał być panem sytuacyi a w obec tego Korybut po smutnym zawodzie 23 Grudnia 1422 r. opuścił Pragę (1).

Na każdym zatém punkcie polityka czeska Witolda doznała sromotnéj klęski. Smutny koniec roli Korybuta przekonać go musiał ostatecznie, że pożegnać się należy z marzeniami o unii, skoro sami Czesi opuścili jego namiestnika, skoro ster rewolucyi czeskiéj dostał się w nieprzyjazne mu ręce. Po tak ciężkiéj porażce jakże urość musiał w oczach narodu ten człowiek, który polityce polskiéj inny wytykał kierunek. Skoro na św. Marcina 1422 r. znów zebrali się panowie polscy na zjeździe w Niepołomicach, gorzko im przyszło żałować, że przed rokiem nie wyzyskano programem Oleśnickiego tych korzyści, które się wówczas same nastręczały. Teraz już było zapóźno, sprawa unii czesko-polskiéj sama w sobie upadła, nie pora więc było wywierać nią nacisk na Zygmunta. Niesmak ogólny wszystkich musiał ogarnąć, jedynym skutkiem czesko-polskiéj polityki to tylko było, że w całym świecie okazywano Jagiełłę i Witolda za jawnych przyjaciół herezyi, na Polskę całą rzucano oszczerstwa a pod osłoną starań o unią rzeczywiście Husytyzmowi otwarła się droga do kraju. Wątpliwe były jeszcze bardzo korzyści traktatu mielnieńskiego, owoc ciężkiéj i kosztownéj wojny, gdyż Krzyżacy odmawiali ratyfikacyi traktatu i coraz głośniéj było o ich przygotowaniach do wojny, o posiłkach z Niemiec dążących. Ciężka atmosfera zawisła nad Polską.

Żwawo istotnie krzątali się Krzyżacy, nie o pokoju myśląc, lecz o krwawym odwecie. Kiedy pod wodzą kilku książąt niemieckich przybyły do Prus spóźnione posiłki, sądził Zakon, że to dopiéro przednia straż przyobiecanéj pomocy i téj saméj zimy jeszcze pragnął wojnę odnowić. Chodziło tylko o to, żeby sobie dalszą pomoc z Niemiec zapewnić i zrealizować szumne obietnice Zygmunta. Około niego więc krzątał się Marszałek Zakonu a Luxemburczyk nie wiedział, jak wywinąć się wobec tych nalegań. Podżegał on

(1) Denis, Huss et la guerre des Hussites 317—320. Prohaska l. c. VIII. 102—113.

Zakon przeciw Polsce, kiedy mu o to chodziło „żeby ją od wspomagania Czechów odwrócić; po pokoju mielnieńskim może go jeszcze przez czas jakiś przygniatała ta obawa, ale czém więcéj spostrzegał, że widmo unii polsko-czeskiéj samo się rozwiało w powietrzu, tém bardziéj nie na rękę mu było, bez potrzeby, dla dobra Krzyżaków wdawać się w wojnę z Jagiełłą i Witoldem. Najpierw więc łudził Zakon przez czas jakiś rokowaniami, które poselstwo jego miało toczyć z posłami polskimi o obalenie traktatu mielnieńskiego. Skoro jednak te układy nie odniosły skutku, a Marszałek nieustannie nalegał, żeby natychmiast wojnę rozpocząć, postanowił Zygmunt olśnić Zakon wielkim fajerwerkiem politycznym, któryby go na razie przynajmniéj zaspokoił. Poleca zatém rozbroić się Zakonowi, rozpuścić do domu posiłki niemieckie a w nagrodę za to wyciąga z zanadrza szumny projekt ni mniéj, ni więcéj, tylko—rozbioru Polski; nie tylko Żmudź i Nieszawę Zakon odzyska, ale skoro ten projekt się urzeczywistni, zagarnie ziemię dobrzyńską, łęczycką i kujawską a zdusi przy tém wroga, który mu już tylekroć nóż do gardła przyłożył. Na zjeździe presburskim, w którym obok Zygmunta i Marszałka Zakonu wzięli udział biskup wrocławski Konrad i Przemko Opawski, jako pełnomocnicy wszystkich inszych książąt szląskich oprócz nich Albert Austryacki, Ludwik Bawarski i liczni węgierscy panowie, ułożono ten projekt w Grudniu 1422 r. Zakon miał zabrać kraje państwu swemu przyległe, Węgrzy odzyskaliby Ruś Czerwoną, dawne królestwo Galicyi i Lodomeryi, Szlązaków także myślano czémś zaspokoić a co jeszcze z Polski zostanie, to uczestnicy koalicyi po dokonaniu dzieła między siebie zgodnie rozbiorą (1). Mógł taki plan powstać w bujnéj fantazyi Zygmunta, kiedy mu unia czesko-polska groziła, kiedy po rokowaniach z Oleśnickim sądził, że go Polska w pole wywiodła; wtedy wszystkich gotów był użyć środków, by zdławić tę groźną potęgę i wydrzéć jéj z rąk Luxemburgów dziedzictwo. Ale teraz ten plan tak śmiały na to mu tylko się przydał, żeby uśpić jęki Krzyżaków. I któż z téj całéj koalicyi był tak groźnym dla Polski? czy Zygmunt, który z Czechami nie mógł sobie dać rady, czy ten Zakon, który jéj się oprzeć nie mógł, czy Węgry od Turków zagrożone, czy ci szląscy książęta, którzy z Husytami mieli

---

(1) Sokołowski: Projekt rozbioru Polski w wieku XV w I tomie Rozpraw i Sprawozdań wydziału filozoficzno historycznego Akademii Umiejętności str. 97 u. (według aktów z Grünhagena; Geschichtsquellen der Hussitenkriege). Nie mogę się jednak zgodzić z Sokolowskim i z Prochaską, który za nim idzie w pojmowaniu doniosłości tego projektu.

dość do czynienia a jak sprawa raciborska dowiodła, drżeli przed Polską, czy wreszcie ci książęta niemieccy, których niedołęstwo w sprawie husyckiéj w tak jaskrawém objawiło się świetle. Wszyscy najżywotniejszemi swemi sprawami zanadto byli skrępowani, żeby w tak awanturnicze wdawać się plany a z całéj koalicyi, odkąd sprawa unii polsko-czeskiéj upadła, tylko jeden Zakon miał w pokonaniu Polski prawdziwy interes. Jeśli wiadomość o tym projekcie doszła do Polski, to mogła ją w każdym razie pobudzić do baczności, potwierdzając dawne wieści o wrogich zamysłach Zakonu. Ale nowy fajerwerk polityczny, puszczony z Polski w postaci wiadomości o sojuszu jéj z Turkami i Tatarami, wystarczył zupełnie, żeby widmo téj wielkiéj koalicyi rozpłynęło się niepowrotnie. W Malborgu bowiem poznano się szybko na wartości projektu Zygmunta a Marszałek, bawiący w Wrocławiu, otrzymał w odpowiedzi na szumną o nim relacyą, ścisłe wskazówki, że nie o rozbiorze Polski, ale o znośnym pokoju dla Zakonu myśleć należy, gdyż Witold i Jagiełło z pomocą Turków i Tatarów i Krzyżakom i wszystkim ich sprzemierzeńcom łatwo daliby radę (1).

Zamydlając Krzyżakom oczy szumnemi projektami, myślał Zygmunt na prawdę o odnowieniu dawnego sojuszu z Polską, gdyż mu to w téj chwili wskazywał interes polityczny. W polityce czeskiéj Witolda i Jagiełły widział bowiem przedewszystkiém zemstę za wyrok wrocławski. Teraz nadarzała mu się sposobność naprawić krzywdę wyrządzoną Polsce tym wyrokiem i uzyskać nowe z nią przymierze, nie narażając się bynajmniéj Niemcom. Przed dwoma laty nie mógł w Wrocławiu sądem rozjemczym, korzystnym dla Polski, odstręczać od siebie Niemców, których w obec walki z Czechami potrzebował; teraz kiedy Polska wywalczyła sobie orężem korzyści traktatu mielnieńskiego, dość było na nie przyzwolić, żeby sobie jéj przyjaźń okupić. Czém groźniejsze zaś krążyły wieści o zbrojeniu się Zakonu i o pomocy, któréj się Krzyżacy od Zygmunta spodziewali, tém łatwiéj było Luxemburczykowi odstąpieniem sprawy Zakonu uzyskać przymierze z Polską.

Na tém zaś przymierzu zależało mu teraz więcéj, niż kiedykolwiek. Coraz bardziéj bowiem się przekonywał, że w Polsce jedno tylko stronnictwo pchało rząd do unii z Czechami; skoro teraz sprawa unii sama przez się upadła, mógł przewidywać, że stronnictwo przeciwne weźmie górę, przyjdzie czas reakcyi przeciw Husytyzmowi a w takim razie, kto wie, czy mu się nie uda wyjednać posiłków

(1) Grünhagen; Geschichtsquellen der Hussitenkriege str. 47.

polskich przeciw Czechom. Bądź co bądź, zawsze jeszcze myśl unii czeskiéj mogła się odrodzić w pomyślniejszych warunkach, tém bardziéj więc należało Zygmuntowi połączyć się przymierzem z Polską i pod osłoną tego przymierza zbliżyć się do tego, który był duszą planów unii z Czechami, do Witolda. Zygmunt go znał dobrze z dawnych stosunków i pragnął teraz związać się z nim ściśle, żeby mu w przyszłości nie szkodził. Do tego zaś wszystkiego pierwszym krokiem musiało być odnowienie przymierza.

I węgierscy panowie życzyli sobie tego przymierza. Nie wiadomo, do jakich środków siągnął Luxemburczyk, żeby w komedyi, którą odegrano w Presburgu ku chwilowéj wierze Zakonu i na koszt jego, użyć jako dekoracyi przyzwolenia panów węgierskich na projekt rozbioru Polski. Może niektórzy z nich byli wtajemniczeni w plany Zygmunta, inni dali się może na chwilę połechtać projektem odzyskania królestwa Galicyi. W każdym razie niedługo potém wręcz oświadczali panowie węgierscy, że nie mają zgoła ochoty przelewać krew w interesie Krzyżaków (1). Im zależało na przyjaznych stosunkach z sąsiednią Polską; w całéj Europie głośno było o powadze, jakiéj zażywała Polska wówczas u Hordy tatarskiéj a przez nią i u samego Sułtana, z czasów konstancyjskiego soboru pamiętano dobrze interwencyą Jagiełły, która od Węgier najazd turecki odwróciła. W obec niebezpieczeństwa, które Węgrom nieustannie od Turków groziło, źle było bez potrzeby zrywać z tą potęgą. Czém więcéj zatém zamącały się stosunki między Polską a królem węgierskim, tém bardziéj pragnęli Węgrzy odnowienia dawnego sojuszu.

W Polsce zaś naturalnym wynikiem upadku polityki czeskiéj była również myśl powrotu do przymierza z Zygmuntem. Łatwo było podjąć ją Jastrzębcowi, skoro cały niemal swój zawód kanclerski utrzymywaniem tego przymierza wypełnił a ci, którzy ten sojusz już w roku poprzednim zawiązać pragnęli, tém goręcéj dążyli do niego teraz, widząc w nim najpewniejszą rękojmię katolickiéj reakcyi. Skoro więc na zebranie niepołomieckie (11 Listopada 1422 r.) przybyły propozycye zjazdu z panami węgierskimi dla wstępnych w tym względzie rokowań, wszyscy przyjęli je bez wahania. W skład poselstwa weszły teraz obydwa stronnictwa, obok Jastrzębca, Zbigniewa z Brzezia i Jana Tuliszkorskiego stary kasztelan krakowski Krystyn z Ostrowa, znani nam Jan Tarnowski i Mikołaj Michałowski

(1) Grünhagen; Geschichtsquellen der Hussitenkriege 37.

i Zbigniew Oleśnicki (1), przyłączył się doń i ów rycerz nieustraszony, który w ostatnich czasach tyle wycierpiał dla sprawy Zygmunta, Zawisza Czarny. Dla dodania zaś większéj powagi poselstwu, wyznaczono mu przywódcę sędziwego prymasa, który na usilne tylko nalegania, chory i bliski śmierci, podjął się téj uciążliwéj podróży (2). Król wyjeżdżając wprost z Niepołomic na Litwę zaopatrzył je w najrozleglejsze pełnomocnictwo, w którém tyle tylko zastrzeżono, żeby posłowie nie zobowiązywali króla w obec Zygmunta do osobistéj pomocy zbrojnéj (3).

W końcu Listopada i na początku Grudnia toczyły się rokowania w Lubiczu pod Kezmarkiem. Niekorzystnie musiała wpłynąć na ich przebieg rychła śmierć Mikołaja Trąby, przywódcy polskiego poselstwa. Tymczasem Zygmunt odwołał potajemnie rozległe pełnomocnictwo, w które był również swoich posłów zaopatrzył (4). Nie mógł zaprawdę uczynić inaczéj, łudził bowiem wówczas Krzyżaków, że temi rokowaniami uzyska obalenie mielnieńskiego traktatu. W téj chwili nie mógł się jeszcze zdemaskować, jeszcze bowiem posiłki niemieckie stały w Prusiech załogą, a Zakon, żeby ich długo nie żywić, domagał się bezzwłocznego rozpoczęcia wojny. Wprzód należało je do domu rozpuścić a całą sprawę przewlec o kilka miesięcy. Tymczasem mogli posłowie Zygmunta wybadać panów polskich pod względem właściwego stanu polityki czeskiéj i utorować drogę przymierzu. Jakoż w skutek instrukcyi jego nie ułożono tu jeszcze wcale formalnego traktatu, odwlekając to do zjazdu obydwóch królów, który miał się odbyć za trzy miesiące, w ciągu Marca następnego roku. W pierwszych zatém tygodniach r. 1423 bawi Zygmunt Krzyżaków projektem rozbioru Polski, tymczasem zaś między jego dworem a litewską siedzibą Jagiełły krążą listy w celu ostatecznego ułożenia się o miejsce i czas zjazdu. W końcu Marca 1423 przyszedł ten zjazd do skutku w Szczęsnowicach a w Kezmarku wydali sobie obaj królowie wzajemnie dokumenta, zawierające odnowienie przymierza lubowelskiego (5). Zygmunt nie poruszył nawet kwestyi krzyżackiéj i zmusił tém Zakon do ratyfikacyi traktatu mielnieńskiego, Jagiełło w zamian za to przyrzekł odwołać uroczyście z Czech Korybuta, który po opuszczeniu Pragi tułał się jeszcze przez czas ja-

(1) Caro, Liber cancellariae II. 124.

(2) Długosz, Hist. Pol. IV. 308.

(3) Caro, Liber cancellariae II. 197.

(4) Tamże 196.

(5) Długosz, Hist. Pol. IV. 312, Dogiel, Cod. dipl. Pol. I. 52, Raczyński Cod. dipl. Lithuan. 300.

kiś po dworach przyjaznych panów; prócz tego zamanifestował Jagiełło otwarcie zerwanie z Czechami, przyrzekając Zygmuntowi dostarczyć zbrojnéj pomocy przeciw Husytom (1). Traktat ten zawarto również w imieniu Witolda. Łatwo pojąć, że Zygmunt pragnął przy téj sposobności zobaczyć się z Witoldem, żeby go dla siebie pozyskać, lub przynajmniéj na przyszłość ścislejszym stosunkom utorować drogę; panowie polscy po wstępnych rokowaniach z poselstem węgierskiém gorąco nalegali, żeby Witold od zjazdu się nie ociągał. Ale czy ciężki zawód w sprawie czeskiéj rzeczywiście powalił Witolda na łoże boleści, czy po doznanéj klęsce tą wymówką chciał się usunąć od udziału w tryumfie swych przeciwników, dość, że Kiejstutowic pozostał na Litwie, ale uginając się przed koniecznością, nie powstrzymywał Jagiełły od podróży do Kezmarku.

Niesłychana radość zapanowała na wiadomość o tym traktacie w Rzymie. Ustąpiło już niebezpieczeństwo unii Polski z Czechami i wielkiéj reformacyi słowiańskiéj (2), Marcin V widział już Husytyzm w gruzach leżący. „Nie miałem piękniejszego dnia w ciągu pontyfikatu mego nad ten," pisze papież do Witolda, „w którym doszła mię wiadomość o waszym sojuszu z królem Zygmuntem. W nim są bowiem dane podwaliny niewątpliwego zwycięstwa, którém heretyków na miazgę zetrzemy, tém bardziéj, że — jak słyszę — ty lub król polski z wielką siłą zbrojną w téj świętéj wojnie udział weźmiecie" (3).

Naturalném następstwem tego traktatu był w Polsce zwrot stanowczy ku reakcyi katolickiéj. Pierwszym krokiem ku temu było ostateczne zerwanie z Czechami; sam Witold zamanifestował je otwartém pismem do Czechów, w którém wyrzeka się wszelkiéj z nimi wspólności, Jagiełło w liście do elektorów cesarstwa wiadomością o zbrojeniu się przeciw Husytom zbijał dosadnie krążące o nim wiadomości, jakoby z nimi był w związku (4). Z różnych jednakże względów nie przyszło do czynnego udziału Polski w krucyatach husyckich. Wśród tego stronnictwa, które od samego początku przeciwne było wszelkim związkom z Czechami, nie brak było zapewne takich, którzy chętnie byliby przyłożyli rękę do wytępienia herezyi w samém jéj gnieździe, radziby byli widzieli sztandary polskie obok sztandarów Zygmunta i krzyżowników niemieckich. W każdym razie jednak była to sprawa obca Polsce, pod względem politycznym po-

(1) Caro, Liber cancellariae I. XVII.

(2) Jeszcze pod koniec r. 1422 wzywał Marcin V kategorycznie Jagiełłę, żeby Korybuta z Czech odwołał. Caro, Liber cancell. II. Nr. 115.

(3) Tamże Nr. 130.

(4) Palacky, Urkündl. Beiträge II. Nr. 262, 264.

konanie Husytyzmu było tylko celem Zygmunta i Niemców; nie dziw więc, że i ci panowie, którzy nigdy nie byli za brataniem się z Czechami, nie chcieli również popychać narodu do awanturniczéj wojny w obcym interesie. Nie tak łatwo było przywieść w Polsce do skutku wyprawę na Czechów, skoro Husytyzm wśród szlachty szeroko się był rozgałęził i żywe w niéj obudził sympatye. Inna to bowiem rzecz, nie brać tych sympatyj za wskazówkę w polityce, a inna zmusić zwolenników Husytyzmu do walki z Husytami. Przekonał się o tém Jagiełło, kiedy w myśl zobowiązań przyjętych w Kezmarku, pomyślał naprawdę o wyprawieniu posiłków dla Zygmunta; projekt ten musiał już nawet przybrać dość określoną postać, skoro dzień św. Jakóba (25 Lipca) wyznaczono na termin, Hradecz zaś lub Jaromierz na miejsce zebrania się wojska, które miało do Czech wyruszyć. Wiadomo jednak, że ziemianie Rusi Czerwonéj nie chcieli słyszéć nawet o powołaniu na tę wojnę, i naprόżno Jagiełło, bawiąc wówczas w Trębowli, zaklinał ich na swój honor królewski, którego jako wierni poddani strzedz powinni, a który mu nakazywał dotrzymać danego słowa (1). Toż samo musiało się w innych ziemiach polskich powtórzyć, gdyż projekt wyprawy czeskiéj spełzł na niczém (2). Sprawa ta poszła na razie w odwłokę, jeszcze i w roku następnym dopominał się Zygmunt o przyrzeczone posiłki, snując plan wspólnéj krucyaty (3); i tym razem werbunek przeciw Czechom bardzo nieobfite wydał plony (4). Najgorliwsi nawet zwolennicy reakcyi katolickiéj mogli się łatwo przekonać, że niebezpiecznie było gwałtem kierować polityką polską przeciw Czechom, że to mogło rozbudzić nawet w Polsce reakcyą na rzecz Husytyzmu. Lepiéj w polityce zewnętrznéj zachować neutralność, nie dopuszczać żadnego zetknięcia się z Czechami, a w wnętrzu państwa jąć się gorliwie stłumiania herezyi.

W tym kierunku w istocie krzątano się żwawo. Najpierw prałaci, zebrani na synodzie łęczyckim, radzili nad obostrzeniem środków zaradczych przeciw herezyi, które już przed trzema laty na synodzie kaliskim obmyślano. Wówczas, jak wiadomo, wszelkie uchwały rozbiły się o brak pomocy „ramienia świeckiego," teraz łatwiéj było ją sobie wyjednać. W obec sympatyj husyckich jednak, rozszerzonych w narodzie, niedość było, żeby król wydał surowe dekre-

---

(1) Pałacky, Urkündl. Beiträge I. Nr. 273.
(2) Ob. list Oleśnickiego do papieża. Caro. Lib. cancell. I. Nr. 49.
(3) Caro, Liber cancellariae I. Nr. 17
(4) Helcel: Starodawne prawa polskiego pomniki. II. Nr. 1976.

ta, nie dość, żeby i panowie do nich się przychylili; żeby dekretom, które zamyślano wydać przeciw Husytyzmowi, wyrobić powszechne zastosowanie i ogólną wziętość, należało taką drogę obmyśleć, iżby ogół szlachty wciągnąć do tego ustawodawczego zadania. Legalnéj zaś reprezentacyi narodu wówczas jeszcze Polska nie miała, z każdą niemal ziemią zatém trzeba było z osobna traktować. Rozpoczął król od narad z Wielkopolanami, następnie zawezwał panów i szlachtę krakowską, sandomierską i z Rusi Czerwonéj na wielki zjazd do Korczyna, na którym zgodzono się co do głównych punktów edyktu przeciw Husytom. Żeby jednak w tym względzie znieść się jeszcze z Wielkopolanami i ogólne porozumienie przywieść do skutku, postanowiono na św. Marcin odprawić nowy zjazd w Wiślicy, a w nim obok dygnitarzy królestwa miała wziąć udział reprezentacya szlachty, z któréjby zasiadało po dwóch wysłańców każdego rodu, każdego klejnotu szlacheckiego (1). Nie wiadomo, czy przyszedł do skutku ten zjazd, pod względem kiełkującego parlamentaryzmu tak ciekawy, dość, że na początku następnego roku wydał król ów słynny, tak sumiennie przygotowany edykt wieluński (2). Starostowie, rajcy miejscy i inni urzędnicy otrzymali w nim surowy nakaz, śledzić i chwytać heretyków, wszyscy, którzy z Czech powracali, mieli się poddać ścisłemu dochodzeniu inkwizytorów, czy nie są zarażeni herezyą husycką. Ktokolwiek z obywateli królestwa jeszcze w Czechach bawił, miał powrócić w oznaczonym terminie (do dnia Wniebowstąpienia); inaczéj dobra jego ulegały konfiskacie a on na siebie i na potomstwo swoje ściągał wyrok infamii. Zakazano również surowo wszelkich stosunków handlowych z Czechami, zwłaszcza zaś handlu ołowiem, bronią i żywnością; Polska miała się murem chińskim oddzielić od heretyckich sąsiadów a w wnętrzu swojém stanowczemi środkami wytępić herezyą. Jeśli Husytyzm, który w owym czasie, jak sam Jagiełło przyznawał, tak szeroko był w Polsce rozgałęziony (3), nie wzrasta późniéj i nie rozszerza się daléj, lecz objawia się tylko w jednostkach, choć w nich przez długi jeszcze czas się odzywa, było to dziełem wieluńskiego edyktu i wspieranéj nim czujnéj baczności wyższego duchowieństwa. Tymczasem i w rządzie samym zaszły ważne zmiany, które dawały rękojmię, że nie zajdzie nowy

(1) List Jagiełły do Witolda, Caro, Lib. cancell. I. Nr. 8

(2) Volumina Legum I. 85, Caro, Liber cancell. I. Nr. 9.

(3) W przytoczonym powyżéj liście Jagiełły (Caro, Lib. canc. I. Nr. 8) znajduje się następujący ustęp: „super dandis modo et ordine, quibus valeamus huic morbo pestifero heresis, qui proh dolor serpit in regno nostro, obviare.

zwrot w polityce, któryby zdołał zwichnąć to odporne względem Czech stanowisko.

Niepowodzenia polityki czeskiéj, klęska dyplomatyczna Witolda, zachwiały zupełnie podmulone już dawniéj stanowisko Jastrzębca, tém bardziéj, że kanclerz w ostatnich czasach, nie mogąc iść za Witoldem a nie chcąc stanąć przeciw niemu, miał ręce zupełnie skrępowane. Tém bardziéj rósł w oczach narodu Zbigniew Oleśnicki; porażka dyplomatyczna, którą Zbigniew poniósł po poselstwie do Zygmunta, podniosła go po klęsce polityki Witoldowéj jeszcze może wyżéj, niż gdyby był wówczas zwyciężył; kto wie, jakie losy byłyby jeszcze jego program spotkały a tak żal tylko wszystkich ogarniał, że go w właściwéj porze nie urzeczywistniono. Jasną było rzeczą, że przy najbliższéj sposobności będzie się musiał Jastrzębiec z urzędu kanclerskiego usunąć a w takim razie Zbigniewowi otwierały się do niego widoki. Sposobność taka nastręczyła się rychło ze śmiercią prymasa na zjeździe w Lubiczu, w Grudniu 1422 r. Król bawił wówczas na Litwie, była więc słuszna obawa, żeby w rozporządzeniu prymasowstwem i innemi godnościami, które teraz mogły zawakować, nie uległ wpływowi Witolda. Przy niezastygłém prawie jeszcze ciele prymasa piszą zatém do Witolda panowie polscy na poselstwie w Lubiczu zgromadzeni (1), przypominając mu, że król zobowiązał się nie rozporządzać dostojeństwami państwa bez ich rady i zezwolenia, a jeszcze w roku poprzednim za wstawieniem się Witolda to zobowiązanie powtórzył; proszą usilnie, żeby król się wstrzymał z jakiémkolwiek postanowieniem w tym względzie aż do powrotu z Litwy, polecają wreszcie opiece Witolda przy sposobności otwierających się wakansów Zbigniewa Oleśnickiego i Stanisława Ciołka, dawnego urzędnika kancelaryi królewskiéj, którego przed kilkoma laty za pamflet na królowę Elżbietę usunięto z dworu. W lot powstają rozmaite kombinacye z powodu obsadzenia różnych dostojeństw, a w każdéj z nich Zbigniew odgrywa pierwszorzędną rolę. Myślano bowiem podobno i o tém, żeby go wynieść od razu na godność prymasa, z pominięciem zwykłych pośrednich dostojeństw (2); z Litwy nadeszła pogłoska, że Jastrzębiec ma zostać prymasem, biskupstwo krakowskie obejmie podkanclerzy Szafraniec, Zbigniew otrzyma pieczęć kanclerską a Ciołek posunie się na podkanclerzego (3). Tego

(1) Caro, Liber cancellariae II. Nr. 124.

(2) Długosz, Hist. Pol. IV. 310.

(3) Caro, Liber cancellariae II. Nr. 125. Wiadomość, że kombinacyą tę ułożyli Witold i Jagiełło jest tylko pogłoską, która doszła do królowéj Zofii.

jednak nie mógł dopuścić Witold; kto tak stanowczo jasnym swoim programem starł się przed rokiem z jego przewodnią myślą polityczną, kto podczas układów mielnieńskich tak ostro mu się sprzeciwiał, ten nie mógł stanąć u steru polityki polskiéj. Zawzięcie musiały się ścierać różne projekta, skończyło się wreszcie na tém, że Jastrzębiec otrzymał prymasowstwo jako *panis bene merentium*, urząd kanclerski musiał oddać Szafrańcowi a na stolicy biskupiéj w Krakowie zasiadł Oleśnicki. Wszelkiemi siłami opierał się Jastrzębiec temu wywyższeniu, nie chcąc wypuścić z ręki pieczęci kanclerskiéj, ale musiał uledz woli królewskiéj (1).

Chociaż więc Zbigniew nie został kanclerzem, była to nowa klęska dla Witolda. Trudno sobie zdać jasno sprawę ze stanowiska Szafrańca, nie odgrywa on wybitnéj roli politycznéj, może nominacya jego miała przeważnie znaczenie awansu urzędniczego w kancelaryi królewskiéj z widokami na jakie biskupstwo przy danéj sposobności; jeżli jednak zważymy, że to był brat rodzony Piotra Szafrańca, który na zjeździe łęczyckim rej wodził między oskarżycielami Jastrzębca, rzuci to w każdym razie niejakie światło na jego stanowisko polityczne. Wiemy zaś, czém było biskupstwo krakowskie i bez kanclerskiéj pieczęci; korzystając z niego zręcznie, zwłaszcza w obec Szafrańca na urzędzie kanclerskim, zajmie Zbigniew niebawem pierwsze stanowisko w radzie koronnéj, pociągnie za sobą całą szlachtę małopolską, oprze się na niéj i wydźwignie się z czasem do dyktatury. Jeszcze nie od razu to się stanie, jeszcze nieraz przyjdzie mu uledz w drobniejszych sprawach, ale z czasem ten cel osiągnie. A nie tylko w sprawie czeskiéj, nie tylko w sporze o młyn lubicki, o który się nad Mielnem sprzeczano, będzie Zbigniew przeciwnikiem Witolda: na całéj niemal linii bojowéj swego programu politycznego i wszędzie spotka się Witold ze Zbigniewem. Jakoż w jednym i to ważnym względzie dał się niebawem uczuć brak Jastrzębca: zerwała się solidarność Witolda z rządem polskim, Witold zgniewany tém i zniechęcony, że plany jego w Polsce paraliżowano, szuka pod koniec życia po za nią i przeciw niéj sprzymierzeńców, a Zygmunt Luxemburczyk umié z tego skorzystać.

Zdążyliśmy do kresu. W ciągu pierwszych lat sprawy husyckiéj, w których Polska najżywszy brała w niéj udział, spotkaliśmy dwa przeciwne programy, które ostro ścierają się z sobą, wydzierają sobie z rąk zwycięstwo, aż wreszcie jeden z nich sam w gruzy upada,

(1) Długosz, Hist. Pol. IV. 311.

ustępując z konieczności drugiemu miejsca. Świetny program Witoldów łatwo sobie serce zdobywa, chroni pobratymczych Czechów od oręża zagłady, dąży do zbratania się słowiańskich narodów, do skupienia sił słowiańskich przeciw wrogim żywiołom. Żałować nam, że ta świetna, dodatnia myśl Witoldowego programu była w XV. wieku tylko piękną mrzonką a ścisła logika dziejów dozwala po ich przestworze przesuwać się marzeniom politycznym, ale nie daje im oblec się w ciało rzeczywistości. Uczucia gorącéj sympatyi dla pobratymczego narodu nie mogły w Polsce obudzić się tak silnie, żeby przebić drogę programowi Witolda przez wszystkie olbrzymie trudności i zapory. Pierwszą nieprzełamaną zaporą była sprawa unii kościelnéj, na któréj gruncie Witold podwaliny swego programu opierał; skoro pojednawcze jego usiłowania u jednéj i u drugiéj strony napotkały opór nieugięty, skoro ten grunt się usunął, musiał cały program runąć w przepaść nicości. Gdyby zaś Witold poszedł był inną drogą, która mu się sama nasuwała, gdyby był rzucił otwarcie katolicyzmowi rękawicę i pragnął wyzyskać tylko te punkta styczne, które zdawały się łączyć Husytyzm z cerkwią wschodnią, nie byłby również osiągnął celu. Nie mówić już o oporze, któryby mu w takim razie Polska stawiła, ale te wszystkie analogie między rewolucyjnym Husytyzmem a konserwatywną cerkwią wschodnią, tak łudzące w odległości stu mil, które Ruś od Czech dzieliły, byłyby się rozprysły jak bańki mydlane, przy istotném zbliżeniu; biskupi ruscy, którzy z niesmakiem wrócili z Konstancyi, nie byliby również zdołali się zgodzić z Prokopem Gołym, a dogmata staréj cerkwi wschodniéj nie mogłyby się zespolić z reformacyjnym pierwiastkiem Husytyzmu. Piękna mrzonka Witolda przyniosła Polsce tylko tę szkodę, jaka spaść musi na każde państwo z niedojrzałego porywu ku niedościgłym celom, wyrwała jéj z rąk te korzyści, które pod grozą ciężkiéj dla Zygmunta sytuacyi można było osiągnąć.

Utylitarny program Oleśnickiego byłby może zdołał odzyskać dla Polski ten Szląsk, na pół wprawdzie zniemczały, w którym jednak przytłumiony żywioł słowiański pod opieką polskich rządów mógł się odrodzić; skoro zaś korzystna dla téj myśli chwila minęła, zapewnił przynajmniéj Polsce bez nowéj wojny bezpieczne posiadanie zdobyczy mielnieńskiego traktatu. Jeśli zaś do głębszéj jego przewodniéj myśli sięgniemy, to kto na gruncie katolickim stoi, musi przyklasnąć bezwzględnie programowi Oleśnickiego i uczcić w nim zbawcę narodu. Skoro zresztą unia polityczna z pobratymczym narodem niemożliwą była wówczas rzeczą, to każdy musi przyznać, że Zbigniew, chroniąc Polskę od Husytyzmu, olbrzy-

mią sobie zdobył zasługę. Anarchia, która trawiła Czechy a tkwiła w rewolucyjnym, socyalnym pierwiastku Husytyzmu, przeszczepiona na grunt polski, byłaby smutne wydać musiała owoce, kiedy młodzieńczéj Polsce trzeba było budować się i przeobrażać w państwo nowożytne. Z jakiegokolwiekby kto więc patrzał stanowiska na religijną stronę Husytyzmu, niechaj czołem uderzy przed Oleśnickim.

KRZYŻ NAD OTCHŁANIĄ,

STUDYUM KOBIECE

przez

Deotymę.

(Ciąg dalszy).

LIST XXXIX.

Aniela do wuja Teresy.

Poznań—10 Lutego.

Szanowny Panie dobrodzieju!

Gorące zajęcie się losem naszéj drogiéj Teresy kładzie mi pióro do ręki i każe mi śpieszyć z udzieleniem objaśnień, które mogą wkrótce być szanownemu panu przydatne.

Profesor Stanisław * * *, obecnie u państwa goszczący, pisał do nas, nie mogąc się odchwalić waszego domu, łaskawości gospodarza i powabów jego siostrzenicy.

Terenia tak wielkie sprawiła na nim wrażenie, że ma zamiar prosić o jéj rękę.

Ponieważ wiem ile w podobnych razach pożądanemi są dokładne wiadomości, mam sobie za obowiązek panu donieść, że profesor Stanisław chlubnie znany jest naszéj prowincyi, a zwłaszcza mojéj rodzinie, i nie przypominam sobie, abym jeden przeciwny mu głos kiedy słyszała. Przemawiają za nim: zacność charakteru, gruntowność nauki, niezmierna słodycz w pożyciu, nakoniec i szlachetność uczucia, bo rajono mu kilka razy panny bogate, a on jak widzimy przenosi nad wszystkie sierotę bez grosza posagu; widać, że się po-

znał na bogactwach jéj duszy. Sam posiada ładny majątek, a naukowy zawód pomnaża także jego bieżące dochody.

Serdecznie pragnę, aby Teresa dała się namówić, aby zrozumiała całą wartość tego prawdziwego *losu*, a pragnę tém bardziéj, że zmiana w jéj położeniu wydaje mi się konieczną. Dla osoby z umysłem tak chciwym, z wyobraźnią nienasyconą, pobyt w mieście martwém, życie samotne, po większéj części książkowe, mogą stać się niebezpiecznemi, doprowadzić do melancholii, lub nazbyt bujnych marzeń.

Jest też w mojém życzeniu i cząstka samolubstwa: pan profesor przywiózłby żonkę do nas, mieszkałybyśmy w jedném mieście. Możeby i wujaszek zjechał do państwa młodych? Ten ostatni wzgląd ma wielką u mnie wagę, bo dawno pragnę poznać opiekuna mojéj Tereni i powtórzyć mu choć raz nie na papiérze, ale żywym głosem, wyrazy uszanowania, z jakiém pozostaje

Aniela.

LIST XL.

Wuj Teresy do Anieli.

Sandomierz—17 februarii.

Łaskawa pani Dobrodziéjko!

Nóżki całuję za prawdziwy dowód życzliwości. Zdanie pani Dobrodziéjki o panu Stanisławie ucieszyło mnie wielce. Teraz już nie wiem jakiby można zrobić mu zarzut? Uczciwy, przystojny, głowa nie od kształtu; i to nie ostatnia zaleta, że ma porządny majątek, chociaż i moja Tesia nie będzie tak bez grosza jak ludzie myślą. Niech sobie myślą do czasu, to kamień probierczy na affekta.

Temi dniami dał mi poznać wyraźnie w jakim celu u nas bywa. Ja mu odpowiedziałem, że cała rzecz podobać się pannie. Ale tu właśnie sęk! Zafrasował się profesor, i mnie strach bierze czy nie będziemy mieli z Tesią długiéj biedy?

Jeżeli moje okulary dobrze pokazują, zdaje mi się, że panience już ktoś inny wpadł w oczko. Bogiem a prawdą, i mnie ten *ktoś* dogadzałby więcéj niż wszyscy na świecie, cóż kiedy jest to człowiek extraordynaryjny, za co doprawdy mam rodzaj ansy do niego, bo chciałbym szczerze połączyć go z moją familią, a nie śmiem dziewczęcia ryzykować.

Ona też może już i nie pamięta. Kto z pannami dojdzie do ładu? Kilka razy chciałem ją wziąć na konfesatę, filut dziewczyna

zawsze się wywinęła. Najlepsze podobno jest lekarstwo, którego teraz używam: kompletne milczenie. Ba! Niech przez kilka miesięcy panna o kim nie słyszy i nie gada, to w końcu znudzi się i zapomni. Lampy nie dolewaj, a sama zgaśnie.

Będę więc z całych sił popiérał pana Stanisława. Gdybym był panienką, przyjąłbym go dzisiaj, w téj chwili, choćby dla tego samego, aby przy pani Dobrodziéjce resztę życia spędzić i codzień rączki jéj całować—

jako wierny i powolny
sługa.

LIST XLI.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—25 *Lutego.*

O Katylino! Co ty za spiski znowu knujesz na mnie z wujaszkiem? Wiem, że odebrał list od ciebie, wiem że ci odpisywał. Troszkę się domyślam..... i na wszelki wypadek ostrzegam: już ze mną teraz nie tak łatwa sprawa jak dawniéj bywało.

Pan profesor odjechał onegdaj do Galicyi, gdzie go powołują interesa babki. Ma powrócić na wiosnę, podobno w Kwietniu. Wuj niezmiernie się cieszy na ten powrót, robi różne plany. Ja także robię swoje, ale po cichutku, a tymczasem z kąta w kąt chodzę, nie wiedząc gdzie myśl zatrzymać.

Ach Anielko, coś ty mi narobiła szkody, twojém zrzędzeniem za moje biedne książki! Nie przekonałaś mię, ale mi popsułaś przyjemność; teraz ile razy wezmę którą do ręki, zdaje mi się, że stoisz za mojém ramieniem, grozisz paluszkiem i mówisz jak to niegdyś na pensyi: „Ej Tereniu, ej!"

A wtedy, już po całym uroku. Czytam, ale głosik póty mi dokucza, aż w końcu i zamknę książkę, a jak zamknięta, jeszcze gorzéj, bo myślę, myślę i nic wymyślić nie mogę.

Chcesz gwałtem wiedziéć jakich lubię autorów? Lista ich długa. Ograniczę się na wymienieniu głównych, najulubieńszych: to Ryszardson, Rousseau, pani de Staël, pani Sand, ach ta ostatnia nadewszystko!

Wy nazywacie to wszystko *lekką* literaturą? Moja droga, tam więcéj potęgi i głębokości niż w stu filozofiach.

Próbowałam sławnego Walter-Skotta, ale mię znudził. Jakiż chłodny! Kiedy dwaj żołnierze gawędzą w karczmie, gotów ci dzie-

sięć stronek ich gadaniną zapisać, ale niech przyjdzie do czułej rozmowy albo listu, słowem, do chwili, która całą rzecz rozstrzyga, wtedy wygodnie umywa sobie ręce i mówi: „Ten ustęp daruję czytelnikom, którzy go łatwo własną myślą zastąpią.“ To mi znawca serc ludzkich!

Balzaka jeszcze ani tknęłam; sama pani Aurelia mi go nie radzi. Jak widzisz i ja robię wybór.

W każdym razie, proszę cię, nie potępiaj moich kochanych autorów dopóki ich nie poznasz. Ale kiedyż to nastąpi? Chyba pierwéj babunią zostaniesz.

Twojéj matki nie ma co i pytać o zdanie, naprzód można wiedzieć jéj odpowiedź; kiedy tobie nie pozwala takich czytań, za cóżby miała mnie pochwalić?

Kładę pióro, bo mi jakoś nie idzie pisanie. Zdrowie znowu zaczyna wypowiadać posłuszeństwo, a wesołość już dawno je wypowiedziała. Ściskam cię stokrotnie.

LIST XLII.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—7 Marca.

Nieszczęście w nasz dom weszło. Wuj miał znowu atak apopleksyi. Wczoraj rano czekałam na niego z kawą, nie przychodził. Zaniepokojona, zaglądam do jego pokoju, leży na podłodze przy klęczniku. Pomoc była szybka. Jeszcze żyje, ale cóż to za życie! Teraz doktorzy radzą, może go uratują. Módl się za nas mój aniele.

LIST XLIII.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—10 Marca.

Wszystko skończone. Wczoraj wieczór zasnął w Bogu..... O! Jeśli do kogo, to do niego te wyrazy dobrze się stosują! Przez kilka dni łudziliśmy się jeszcze najfałszywszemi nadziejami. Paraliż, z początku zupełny, zdawał się chwilami zmniejszać. Była nawet godzina, wczoraj rano, w któréj mowa troszkę wróciła, tyle przynajmniéj, że

mógł się najprzykładniéj przygotować do wielkiego przejścia. Jak tylko ksiądz wyszedł, zaraz przytomność zaczęła go opuszczać, jeszcze jednak poznał mnie i pobłogosławił,—potém kilka razy powtarzał coś bardzo niewyraźnie, ja zrozumiałam te słowa:

„Idę Bonusiu, idę!“

Czyżby go duch przyjaciela wołał do lepszych światów? Pociesza mnie ta myśl. To były ostatnie wyrazy, które z ust jego wyszły.

Jestem odurzona. Człowiek niby wszystko przewiduje, na wszystko się uzbraja, a nieszczęście zawsze zastanie go nieprzygotowanym.

Dopiéro teraz widzę jak mocno wuja kochałam, jak mi będzie trudno bez niego na świecie!

Z tobą jedną mogę podzielić się tą boleścią,—na twojém sercu ją składam.

LIST XLIV.

Aniela do Teresy.

Poznań—15 Marca.

Droga i biedna moja Tereniu! Grom, który w ciebie uderzył, i mnie zastał nieprzygotowaną. I ja uwierzyć nie mogę..... Mój Boże! Tak pragnęłam poznać tego zacnego, nieoszacowanego wujaszka! Pewna byłam, że kiedyś przyjmować go będę. Jeszcze niedawno, w liście obiecywał mi przyjazd..... Na nic w tém życiu rachować nie można.

Jego ostatnie chwile do łez mię wzruszyły, zwłaszcza te słowa.... to śpieszenie się do przyjaciela. Co za wierność, nie tylko do grobu, ale i za grobem!

Teraz, najdroższa moja, trzeba ci się zastanowić, jak masz daléj życie sobie urządzić? Czy nie byłoby najstosowniéj, a razem najmiléj, ażebyś do nas się przeniosła? Wprawdzie za kilka tygodni wyjeżdżam do wód z mamą, która bardzo jest chora, ale i ty mogłabyś jechać z nami, a potém zamieszkalibyśmy razem, bo wątpię, abyś chciała wracać do Sandomierza, z którym cię nic już nie wiąże.

A może kto inny przywiezie cię do Poznania?.... Wiem ja kogoś co tylko marzy o tém, aby cię tu uczynić panią swego domu i serca.

Oczekuję na twoję odpowiedź. Przyjmij łzy współubolewania i uścisk prawdziwéj przyjaźni.

LIST XLV.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—27 Marca.

Wystaw sobie moje zdziwienie. Ani przypuszczasz Anielko jaka zmiana zaszła..... Otworzono testament i pokazało się, że wuj zapisał mi cały majątek.

A jest on daleko znaczniejszy niż sądziłam. Patrząc na jego życie, do najwyższego stopnia oszczędne, myśleliśmy wszyscy, że ledwo mu na codzienne potrzeby wystarcza. Tymczasem, jak widać, tą to właśnie oszczędnością doszedł do prawdziwych dostatków; zostało więcéj niż dwakroć sto tysięcy złotych. Dla mnie co stu złotych nigdy w ręku nie miałam, to bogactwo.

Aż mi przykro pomyśléć.... on sobie wszystkiego odmawiał, a ja będę używała owoców jego pracy. Ach, czemuż nie mogę już nawet ucałować ręki, co mię tak obdarza?

Dwóm siostrzeńcom zostawił tylko bardzo małe sumki, bo, jak pisze, zraniony był głęboko ich postępowaniem. Stawia mię to w trudném położeniu; szlachetność kazałaby może podzielić się z nimi, i taką była pierwsza myśl moja; ale wuj to przewidział i wyraźnie zastrzegł w testamencie, abym się nie ważyła iść wbrew jego ostatniéj woli.

Twoje najpoczciwsze zaprosiny rozczuliły mię i w pierwszéj chwili skusiły; już chciałam porwać za śliczną torbę i wędrować do ciebie. Zastanowienie wstrzymało ten zapęd; gdybyś żyła zupełnie sama, anibym się wahała zamieszkać przy tobie; wiem, żebyśmy zawsze się zgodziły. Ale masz dom liczny, rodziców, męża. Pytanie, czy oni wszyscy byliby mi równie radzi jak moja Aniela? Nie żebym wątpiła o ich gościnności, alež i ja powinnam wejść w ich położenie; wtargnięcie nowéj osoby do gniazda rodzinnego jest rzeczą wielkiéj wagi, nieobliczonych nieraz następstw.

I ja tu zresztą mam jeszcze ręce związane. Wuj zostawił liczne interesa w biegu, trzeba je podokończać. Jest wiele sum porozrzucanych po ludziach, trzeba je pościągać. To wszystko potrwa z kilka miesięcy, podczas których będą ciągle potrzebne moje podpisy, a co gorzéj, nieraz i moje zdanie. Jeszcze się nic na tych rzeczach nie znam, udaję przecie, że rozumiem, aby mię zbyt nie oszukiwano.

I tak, przynajmniéj do lata muszę jeszcze siedziéć w téj nieznośnéj mieścinie. Użyję tego czasu na głębokie rozmyślenie się nad moim losem, bo chwila obecna jest bardzo poważną,—to chwila przełomu,—wyboru,—może ostatecznego......

Jakikolwiek obrót weźmie moja przyszłość, droga Anielko, nigdy nie zapomnę gotowości, z jaką mi otworzyłaś objęcia i progi w godzinie, w któréj zdawało się, że zostanę bez dachu.

Przyjmij z najtkliwszym uściskiem wyraz podwojonéj przyjaźni.

LIST XLVI.

Aniela do Teresy.

Poznań—3 Kwietnia.

Kochana i potężna moja bogaczko!

Aż podskoczyłam z radości na wieść zawartą w twoim liście. Niech Bóg nagrodzi zacnemu wujowi! Pewna byłam, że nie zapomni o tobie, ale nie spodziewałam się, aby ci zapisał wszystko. Najlepszy to dowód jak umiałaś zasłużyć się jego sercu.

Teraz już przecie mogę być spokojniejsza o twoję przyszłość. Jakkolwiek się urządzisz, masz byt zabezpieczony, a to rzecz wielkiego znaczenia, zwłaszcza dla kobiéty.

Nie próżno ludzie od wieków powtarzają: Fortuna kołem się toczy. Przed laty dwoma, kiedy wychodziłam za mąż, nasze losy wydawały się tak nierówne! Dziś, jaki przewrót! Wprawdzie twoim dostatkom jeszcze daleko do naszych, jednak *stosunkowo* można powiedziéć, że masz więcéj niż najbogatsze mężatki, bo możesz rozrządzać i majątkiem i dochodami i o nikogo w świecie się nie troskać.

Co do pomysłu zamieszkania razem, nie śmiem nalegać, w obawie czyby ci było z nami tak dobrze jakbym tego pragnęła? Wprawdzie wszyscy z miłą chęcią przyjęli mój zamiar, ale trudno odgadnąć, jakimby się w praktyce okazał? Tylko za siebie można ręczyć. W każdym domu są kłopoty, są odrębne pojęcia i zwyczaje, do których nie wiem czyby ci było wygodnie się nakłaniać, zwłaszcza teraz, kiedy możesz urządzić się według własnych upodobań.

A zatém ani odpraszam, ani naglę. Bardzo to roztropnie, że chcesz wolnym czasem rzecz rozważyć. Ta nawet rozwaga nie pomału mię zadziwiła. Z wielkiém twojém przeproszeniem, tak jestem

nieprzyzwyczajona do rozsądku i namysłu u ciebie, że doprawdy, na ten raz podejrzywam cię o jakieś inne plany?

Miło mi z tobą gawędzić, jednak trzeba skończyć. Moja matka słaba, moja mała krzyczy; przyjemność musi ustąpić obowiązkom. Niech ci Bóg we wszystkiém szczęści!

LIST XLVII.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—19 Kwietnia.

Kochana Anielko! Razem z tym listem zostanie ci doręczone puzderko z medalionem. Chciéj przyjąć tę pamiątkę odemnie. Znalazłam ją w kantorku wuja, pomiędzy kilku kosztownościami po wujence. Robota wydaje mi się ciekawa, a szafiry na wierzchu umieszczone, dobrze będą od twoich oczów odbijały. Po drugiéj stronie, gdzie się niegdyś mieściła pewnie miniatura, znajdziesz moję fotografią.

Chciałam ci dopiéro na imieniny przesłać ten upominek, ale muszę korzystać z trafiającéj się sposobności; pan profesor bawił tu dni kilka, a teraz, wracając do Poznania, podjął się zawieźć mój list i wiązanie.

Pomimo że przesyłka idzie przez tak miłego ci posła, drżę, zaczynając to pisanie..... muszę ci bowiem donieść wypadek za który wiem jak mię wyłajesz. Wolę jednak, aby ta wiadomość doszła cię z moich ust, niżeli z obcych.

Pan profesor oświadczył się,—a ja odmówiłam.

Prawda, przyznaję mu wysokie zalety, mam dla niego szczery szacunek, wielką nawet życzliwość, nic a nic zarzucić mu nie można, cóż kiedy pomylił się w dacie! Gdyby się zgłosił rok temu, kto wié czyby go nie przyjęto? Może byłabym jak ty, poszła za mąż z rozsądku.

I byłabym źle zrobiła. Nigdy nie trzeba postępować wbrew swemu przekonaniu, a mnie takie pół szczęścia, takie ćwierć szczęścia nie może wystarczyć.

I tobie nie wystarcza! Chociaż się nie skarżysz, chociaż wszystko pokrywasz milczeniem lub uśmiechem, ja pod tym uśmiechem dostrzegam rzewność rezygnacyi, w milczeniu czuję pustki i głód niezaspokojonéj duszy. Mówisz ciągle o samych obowiązkach, a nigdy o szczęściu. Jakże masz mówić o niém, kiedy go nie skosztowałaś,

chociażby na próbkę? Nie będziesz nawet miała błogich wspomnień na osłodę przyszłych goryczy.

Zastraszona twoim przykładem, ja chcę więcéj żądać od losów. Jeśli odepchną moje wymaganie, wolę wyrzec się wszelkich żądań. Moja dewiza, jak wiesz, wszystko albo nic.

Spotkanie nasze było bardzo smutne. Jeszcze tak niedawno żegnaliśmy się wesoło we troje! Przykro mi pomyśléć, że wujaszek byłby pewnie za nim głosował, a ja nie mogłam się do jego życzeń zastosować. Ale czyż podobna wiązać całą przyszłość takiemi względami?

Odpowiedziałam panu profesorowi, że już nie mogę mojém sercem rozrządzać.

O ile mi się zdaje, najdelikatniejsza to odpowiedź. Odmówionemu w niczém nie uwłacza.

Przyjął ją ze szlachetnością, ze słodyczą, któremi zdobył sobie na zawsze moje poważanie. Rozstaliśmy się w największéj przyjaźni.

Miałaś słuszność, twierdząc, że to człowiek rzadkiéj dobroci.

Nie bądź sroższą od niego, moja Anielo, i zachowaj mi dawne serce.

LIST XLVIII.

Aniela do Teresy.

Toeplitz—4 Maja.

Twój poseł przybył do Poznania w sam przeddzień naszego wyjazdu. Siedział u nas cały wieczór, tak że już nie zostawił mi ani chwilki na pisanie. Za to ledwieśmy tu stanęły, jeszcze się nie rozpakowałam, już porywam pióro; pilno mi podziękować za twój książęcy upominek. Używanie nowéj fortuny rozpoczęłaś od obdarzenia przyjaźni, serdeczny prognostyk! Medalion jest wielkiéj piękności i wartości; ma dla mnie cenę podwójną, nawet potrójną: jako antyk, jako klejnot i jako pamiątka od ciebie, podniesiona jeszcze twoją fotografią, która jest nie zła, chociaż ledwo cię na niéj poznałam. Czy słońce, zwykle dla portretów damskich niegrzeczne, zfałszowało twoję metrykę? Czy téż istotnie przez dwa lata dojrzałaś tak nagle? Wiem tylko, że muszę powtórzyć za panem Stanisławem:

To już nie pensyonareczka, nie dziewczątko, ale kobiéta pewna swojéj potęgi, a przytém i mądra.... ba! aż do podstępu!

Czy ty myślisz, że ja nie rozumiem fortelu zamkniętego w medalionie? Chciałaś mię filutko przekupić w twojéj sprawie z panem profesorem i troszkę dopięłaś celu; rzeczywiście po takim darze jakoś niewypada odpłacać się awanturą, to téż ci jéj nie zrobię, tém bardziéj, że jak sprawiedliwie zauważyłaś, kiedy sam obrażony się nie gniewa, nikt już nie ma prawa do gniewu.

Ach, żebyś wiedziała z jakiém on uwielbieniem, z jakiém uszanowaniem zawsze wyraża się o tobie, pomimo że boleść tak rzewnie mu z oczu patrzy!

Żal mi niezmiernie tego związku. Uśmiechał mi się z tylu względów! I tak w samę porę przypadł, jakby przez Opatrzność zesłany! Szkoda..... Ale cóż robić? Jeżeli kiedy, to w takim wypadku, wolna wola powinna być świętą.

Nie frasuj téż sobie głowy przypuszczeniami o wujaszku; ręczę, że byłby ostatecznie przystał na twoje zdanie, bo tam, gdzie chodzi o los całego życia, rozsądny człowiek bywa nieśmiały do rady. Jeszcze *odradzać* prędzéj można, nieraz nawet trzeba. Ale *doradzać*, bardzo niebezpiecznie. A nuż przyszłość omyli? Zwłaszcza kiedy się tyczy osoby co tyle od przeznaczenia wymaga!

Oj! Bardzo ja się lękam, aby te wymagania do ciężkich rozczarowań cię nie przywiodły. Wmawiasz mi ciągle, że nie jestem szczęśliwa. Ach, moja kochana, gdzież są ci szczęśliwi?

Zapewne, wielu wygląda pogodnie i promieniejąco; ale wierz mi, z promieni tych nie bierz miary ich szczęśliwości, tylko miarę ich odwagi.

Kto sobie za cel życia postawił obowiązek, ten w dodatku może dostanie i odrobinę szczęścia, tém cenniejszą, że się jéj nie spodziewał. Lecz kto sobie za cel postawi szczęście, o! ten się krwawo oszuka; cząstka go nie zadowoli, a *całego* na tym świecie nigdy nie dostanie.

— Czemu nie dostanie? Zapytasz. Ach, przecie lada prostaczek ci odpowie, że jesteśmy przysłani tu nie dla używania szczęścia, ale dopiéro dla zarobienia na nie.

A choćby ludzie nie mówili, życie nam to mówi, gwałtem kładzie w uszy,—dzieje zaświadczają, dzieje wszystkich i każdego z osobna.

Zstępując „z hymnu do prostéj powieści“, i tu naprzykład w Toeplitz, proszę—no spróbować teoryi samych rozkoszy? W kalendarzu Maj, a w powietrzu zimno szkaradne. Samotność zupełna, Polaka w téj porze roku nie dostanie tu na lekarstwo. Mama bardzo

cierpi, ani się ruszyć nie może, trzeba ją wozić na krześle o kółkach. Z niańką bieda. Moja Ludka nie dobrze znosi podróż,—a musiałam ją wziąć, nikomu na świecie nie śmiałabym dzieciny powierzyć. Pomocy męzkiéj nie mamy żadnéj; mój ojciec musiał koniecznie jechać na wieś z powodu zamierzonéj sprzedaży, August dla licznych zajęć został, słowem, dużo kłopotów, - ale by mogło być gorzéj; ja więc powiem, że i tak dobrze; zawsze dobrze kiedy człowiek robi co powinien.

Dałby tylko Bóg, aby szczęśliwie odbyć tę kuracyą, i co prędzéj znaléźć się w domu. O ile obliczam, koło dziesiątego Czerwca będziemy w Poznaniu.

Adres nasz ten sam co w przeszłym roku. Żegnaj, o sroga białogłowo, co nie chciałaś być profesorową!

LIST XLIX.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—25 Maja.

I ja téż wracam z podróży. Krótka była i niedaleka, jednak mię orzeźwiła wrażeniami.

O! Bo mnie trzeba wrażeń. Ja nie umiem jak ty Anielko siedziéć na jednem miejscu, bawić się w mojéj klatce. Ty choć musisz wyjechać, wracasz co tchu do domu. Ja od dzieciństwa dumałam o wyprawach ogromnych, niebezpiecznych, gdzieś na koniec świata. Przeszłoroczna podróż jeszcze rozwinęła we mnie tę dążność do ruchu, do zmiany, do czegoś nieznanego. Rozmiłowałam się w górach, jakbym się w nich rodziła. Przez całą zimę myślałam, że umrę z tęsknoty za górami. Teraz na wiosnę, ogarnęło mię jakieś chorobliwe pragnienie czystszego powietrza, otwartego świata. Co tu robić? W Tatry jechać za wcześnie. Przypomniała mi się góra Świętokrzyzka. Aż wstyd mieć ją tak blisko, a jeszcze jéj nie znać.

Wczoraj wróciłam z téj góry. Zapewne, daleko jéj do Karpat, ale i ona ma swoje piękności, nawet swoję potęgę. Szłam po drodze uświęconéj pielgrzymiemi stopami naszych królów. Byłam w obłokach..... to wrażenie tyle mi przypomniało! Ale nigdzie moc wspomnień silniéj mię nie ogarnęła jak na wieży kościelnéj. Mam doskonałe oczy, wzięłam téż z sobą lornetkę o szkłach bardzo mocnych, i wystaw sobie Anielko, dojrzałam Karpaty! Wprawdzie tylko jakby cieniuchny rysunek, jakby ząbkowaną koroneczkę przy-

szytą na skraju ziemi i nieba, ale zawsze to były Karpaty, też same Karpaty!

Byłabym do wieczora stała na téj wieży. Wiatr nam strasznie dokuczał, i towarzysze wycieczki gwałtem ściągnęli mię na dół. Szkoda, że tak mało użyłam czarownego obrazu, jednak i to mnie już wzmocniło.

Z wiosną wraca mi otucha. Nawet na Sandomierz spoglądam innemi oczami. Teraz kiedy wiem, że opuszczę go niedługo i pewnie na zawsze, widok jego mię rozrzewnia. Choć życie mi się tu czcze zdawało, tyle w każdym zakątku wspomnień pozostawiam!

A przytém, trzeba téż powiedziéć, że Sandomierz ostatniemi czasy na prawdę się w stosunkach ze mną odmienił. Tacy teraz wszyscy uprzejmi, nieledwie nadskakujący! Wyraźnie ta sukcesya podniosła mię do wyższéj rangi towarzyskiéj. Aż mię to bawi. Gdybym chciała, mogłabym niepoślednią rolę grać w mieście. Ale powiem jak pani Aurelja: Nie warto.

Ona także teraz inaczéj ze mną mówi. Porzuciła ton protektorski, który mię nieraz dawniéj do krwi ukłuł.

Nikt jednak tyle mi nie dogadza, tyle się nie raduje z mego wyniesienia, ile poczciwa Regina; już ta pewno nie z pochlebstwa, ani z rachuby, ale ze szczerego przywiązania. Dzień i noc nie może się nacieszyć, że jéj biédna sierotka wyszła na panią co się zowie. Nazywa mię swoją: *złotą dziedziczką*, chce w domu zaprowadzać porządki, które na zbytek zakrawają. Gadamy po całych godzinach o drogim wujaszku, a zawsze dobre kobiécisko przy końcu się spłacze.

Interesa moje poszły prędzéj niż się spodziewałam. Wiele sum zostało odebranych, za kilka tygodni już może odetchnę. To wielkie szczęście, że jestem pełnoletnia, przynajmniéj nie było kłopotów z opieką.

Przy nadchodzącym dniu Świętéj Anieli chciałabym ci przesłać gorące życzenia. Ale widząc jak filozoficznie obchodzisz się bez szczęścia, nie wiem doprawdy czego ci mam życzyć? Chyba tego, abyś została zawsze jaką jesteś, bo z tém dobrze i Bogu, i ludziom, i tobie.

LIST L.

Aniela do Teresy.

Toeplitz—7 Czerwca.

Kochana Tereniu, jutro ztąd wyjeżdżamy, ale niestety jeszcze nie do Poznania. Powinnabym owo *niestety* cofnąć, bo mojéj matce daleko lepiéj; doktorzy dla dokończenia szczęśliwie poprowadzonéj kuracyi, nakazali koniecznie wody Franzesbadzkie; przejazd nie trudny, Franzesbad ztąd o kilka godzin, droga przy lepszém zdrowiu weseléj nam pójdzie,—cóż kiedy to wszystko przedłuża podróż o wiele tygodni! Jak wyliczam, dopiéro w końcu Lipca znajdziemy się w domu.

Do tego czasu i ty zapewne wybrniesz z finansowych kłopotów. Napisz mi jakie masz zamiary na resztę lata?

Doskonale sobie wynalazłaś przejażdżkę do Ś-go Krzyża; i na zdrowie i na humor widocznie ci posłużyła. Jednak to gwałtowne rozmiłowanie się w górach trochę mię niepokoi. Powiem ci głosem uroczystym jak cyganka co wróży:

Ej panienko, biegaj po dolinach, po kwiecistych dolinach, ale strzeż się gór, bo nie tylko na Łyséj górze są czary!

Bojąc się, abym cię moją gadaniną w końcu nie rozgniewała, wolę zamilknąć, tém bardziéj, że mam jeszcze dużo pakowania na jutrzejszy wyjazd. Od Ludwini przesyłam ci nadpowietrzny pocałunek, bo ona już umié rączkami obejmować za szyję. Powiadam ci, cud świata.

LIST LI.

Teresa do Anieli.

Zakopane—20 Czerwca.

Widzę twoje zdziwienie, kochana Anielo, kiedy odbierzesz list z Zakopanego. Może nawet więcéj niż zdziwienie..... Może mi weźmiesz za złe, że cię nie uprzedziłam o przedsięwzięciu, które ci się wyda niespodzianém? Otóż wiédz moja najdroższa, że miałam ci się ze wszystkiém opowiedziéć *ustnie*, miałam w połowie Czerwca

zjechać do Poznania; już byłam zapakowana, zupełnie wybrana, kiedy twój list, oznajmiający że jedziecie jeszcze do Franzesbadu, pomieszał mi szyki.

Teraz muszę ci się wytłómaczyć z całego przebiegu zdarzeń co mię tu sprowadziły, a na to trzeba sięgnąć aż do przeszłorocznych wspomnień.

W moim Pamiętniku z Karpat napisałam samę prawdę, ale nie *całą* prawdę. Brakowało tam jednego szczegółu..... Naszéj ostatniéj rozmowy pod owém drzewem, w dolinie pożegnania.

On, jak już wspomniałam, był nadzwyczaj smutny. Przyszła chwila w któréj nic wyraźnego nie mówiąc, zrozumieliśmy naszę wspólną boleść. Podniósł na mnie oczy błagalne i zapytał:

Czyżby to miało być rozstanie na zawsze? Czyżbyśmy mieli już nigdy się nie spotkać?

Odpowiedziałam, że kiedyś może jeszcze wrócę w Karpaty, że niezawodnie wrócę.

„Ale kiedy? Ale kiedy?....“ Zawołał z gwałtownością, która mnie samę przeraziła. Mówił, że łatwo obiecywać, ale byłoby okrucieństwem go łudzić, bo on będzie liczył dni i godziny. Mówił, że gotów czekać całe lata, ale musi wiedziéć czy się na pewno doczeka, bo ta nadzieja będzie dla niego jedyną gwiazdą na pustyni życia, jedyną pociechą co go jeszcze na ziemi przytrzyma. Prosił, nalegał, nieledwie rozkazywał, ażebym naznaczyła dzień i miejsce, w którem by mógł na mnie oczekiwać.

Zapewne, przy dłuższém zastanowieniu, przy swobodnym umyśle, byłabym dała jakąś odpowiedź ogólną; powinność nakazywala może odwołać się do wuja. Ale czyż ja mogłam wtedy myśl zebrać, ważyć co wypada, co się powinno czynić? Byłam w podniesieniu, w upojeniu duszy, które mię dosłownie odurzało, a gryzący żal rozstania do reszty odbierał mi przytomność.

Jest że co straszniejszego, jak patrzéć na boleść istoty ukochanéj? A jeżeliż się wié jeszcze, że jedném słowem ją można pocieszyć, ach wtedy, któżby tego słowa nie wymówił?

A przytém, on taką niepojętą władzę wywiera na wszystkich, na których patrzy, do których przemawia! Ja przynajmniéj, kiedy jestem pod jego wzrokiem, kiedy słyszę ten głos od razu przekonywający, przestaję niejako należéć do saméj siebie: nie mam woli, nie mam zdania. Gdyby mi w południe powiedział, że słońce nie świeci, zdaje mi się, żebym uwierzyła.

Pod taką przemocą jego myśli, odpowiedziałam wówczas:

— A więc, od dziś za rok, w téj saméj dolinie się spotkamy.

Właśnie wuj na mnie wołał. Wstałam, on chwycił mię jeszcze za rękę, pytając z dziwném pomieszaniem radości i goryczy:

— Obiecałaś pani, ale czy dotrzymasz?

Do żywego tknięta jego powątpiewaniem, odpowiedziałam:

— Chyba że umrę..... Inaczéj, dotrzymam.

Gdybyś była Anielko wtedy widziała jego spojrzenie! Pełne takiéj wdzięczności, takiego rozczulenia, jak gdybym rzeczywiście zapewniła mu jakieś szczęście. A jednak, mówiąc prawdę, cóż obiecałam? Nową przejażdżkę w Karpaty, powtórne zwiedzenie téj doliny, nic więcéj.

W pierwszéj chwili zdawało mi się, że bardzo łatwo spełnić obietnicę. Byłabym rzeczy sto razy trudniejsze przyrzekła bez wahania, dopóki czar jego obecności mię otaczał.

Ale kiedy wuj zabrał mię na wózek, kiedy cudowna postać znikła, otworzyły mi się oczy na niebaczność danego słowa. A kiedy jeszcze wujaszek odezwał się ze zdaniem niepochlebném dla pana Adama, struchlałam..... zobaczyłam nagle ile trudności może mi przeszkodzić, trudności prostych, prozaicznych, ale tém niemożebniejszych do przeparcia.

Gdyby naprzykład wujaszek w żaden sposób nie chciał się zgodzić na drugą wycieczkę do Karpat? Wyznać mu w jakie się zapędziłam przyrzeczenia? O! na to nie miałam odwagi, zwłaszcza widząc go tak źle usposobionym.

Z początku, ogarnęło mię rozpaczliwe zwątpienie. Pytałam czy nie przyjdzie odebrać sobie życia, ażeby nie złamać świętości danego słowa?

Powoli jednak otucha wracała. Postanowiłam sobie pana Adama nie chwalić, nigdy nawet o nim nie wspominać, przekonana, że tym sposobem wuj sam ochłonie z uprzedzenia, bo taka już natura ludzka, kiedy przeciwnik nam nie przeczy, dobrowolnie ustępujemy.

Systemat mój zdawał się wybornie działać. Wujaszek już sam zaczynał rozmowę o nim, już jak to mówią, *prześladował* mię nim żartobliwie, mnie się z piersi serce wyrywało, sto razy miałam ochotę paść mu do nóg i wszystko opowiedziéć, ale bałam się popsuć przyszłość przedwczesném wyznaniem. Milczałam, chciałam go wytrzymać tak długo, ażby sam niejako przeciw mnie wziął stronę pana Adama, a na wiosnę miałam go nagle napaść wszelką bronią, szczerości, prośb, łez, i wymódz na nim wyjazd.

Ale cóż się ze mną dziać zaczęło, kiedy na jesień spostrzegłam zmianę w jego zdrowiu? Tyle przewidywałam przeszkód, a nie przewidziałam największéj, i ta właśnie stanęła przedemną w całéj grozie prostéj rzeczywistości!

Jakże wymagać podróżowania po stromych górach od starca, który ledwie mógł się przez pokój przewlec? A choćby przystał na wysłanie mię z kim innym, jakże tu opuszczać tak chorego?

Nie dziw się Anielko, jeżeli w moich listach były często przejścia niewytłómaczone i nielogiczne; przez całą zimę przebywałam niewypowiedziane męki; polepszenia i pogorszenia w zdrowiu wuja miotały mną jak fale tonącym. Taki zbieg wypadków zdawał mi się ironią losu; dla czego wuj właśnie *w tym roku* zachorzał, a nie w innym? Te niepokoje zakłócały mi nawet sumienie. Wyrzucałam sobie, że cierpię nie tyle z przywiązania do wujaszka, ile z obawy o moję przyszłość.

Niestety! Niedługo te obawy innym ustąpiły! Przeznaczenie aż nadto usunęło wszelkie przeszkody....... Dziś jestem panią mojéj woli, i to nagłe wyswobodzenie jest mi jeszcze boleśniejszém .... jakby druga ironia losu. Już nie mam kogo słuchać, nie mam kogo się pytać, chyba ciebie Anielo.

Dziwi cię pewnie, dla czego już w Pamiętniku nie wspomniałam o téj ostatniéj rozmowie?

Dla czego? Po prostu, ze wstydu.

— Mówiłam sobie: Jeżeli Anielka dobrze przyjmie Pamiętnik, opowiem i resztę.

Ale przyjęłaś go inaczéj niżeli sądziłam. Już to, co w nim stało, nazywałaś szaleństwem.... jakżebyś dopiéro nazwała, to czego nie śmiałam napisać?

Zaczęłam tak jak z wujem, odkładać wyznanie. Potém zaszła katastrofa domowa, potém rzecz mi się zdawała przedawniona, coraz trudniejsza do opisu.

Gdybyś zapytała jakie mam od wiosny zamiary, mogłabym odpowiedziéć z ręką na sercu, że niczego nie byłam pewna; nie wiedziałam, czy pojadę w góry, czy do ciebie, czy do klasztoru? Tysiąc myśli biło się we mnie. Liczyłam na dobre natchnienie ostatniéj chwili.

To téż jak tylko interesa się rozwikłały, a ty mi doniosłaś, że w początku Czerwca wracacie, postanowiłam nic nie przedsiębrać przed zobaczeniem się z tobą. Zdawało mi się, że będzie daleko łatwiéj, moję Anielkę objaśnić i przekonać żywym głosem, niż wszystko wypisywać z nieskończonemi komentarzami. I już byłam wybrana! Już radowałam się myślą, że sprawię ci niespodziankę, że spadnę wam jak z obłoków, kiedy na mnie spada twój list z owym nieszczęsnym Franzesbadem! Ta wiadomość obala całą budowę moich planów. Jakże tu czekać twego powrotu aż do końca Lipca, kiedyby tymczasem już minął ów termin, bo dałam słowo *dwunastego Lipca!*

Dwunasty Lipca! Ta data, prawie od roku, ognistemi zgłoskami stoi ciągle przedemną.....

Teraz, już tylko trzy tygodnie od tego dnia mię dzieli.......

Po odebraniu twego listu, nie chciało mi się już kufrów napowrót otwierać, nie chciało mi się daléj walczyć z feralnością; zamiast pojechać do Poznania, przyjechałam tu.

Mam z sobą Reginę, która mię nie odstępuje. Nie bardzo ona pokaźna ani wykształcona, ale wierna, uczciwa, i ze swoją kancistą figurą dość wygląda na hiszpańską *duegnę*. Jest z nami i stary Szczepan do posługi.

Z nikim się tu nie poznałam, nikogo nie widuję. Chodzę z Reginą po Zakopanem i jego okolicach; wszędzie łzami skrapiam wspomnienia najdroższego wujaszka, spoglądam na głębsze Tatry, płaczę za przeszłością, boję się przyszłości.

A teraz powiedz mi najdroższa moja, czy dobrze zrobiłam, że tu przyjechałam? Czy mogłam zrobić inaczéj?

Jeżeli on rachuje dni i godziny, jeżeli czeka i tęskni, możnaż było tak okropnie oszukać człowieka, co stojąc na ostatnim, ostatecznym krańcu zwątpienia, we mnie jeszcze położył zaufanie? Człowieka, co jak sam powiedział, tą tylko nadzieją żyć będzie?

Choćby się miało skończyć na tém jednem spotkaniu, na kilku tylko słowach życzliwości, czyż samo miłosierdzie nie nakazuje mi przybyć z pociechą do nieszczęśliwego, od wszystkich opuszczonego?

Ale.... gdybym się téż myliła? Gdybym w umówiony dzień miała go tam nie zastać? Bo i to niekiedy na myśl mi przychodzi..... Może zapomniał?.... Może się rozmyślił? Słyszałam, że mężczyźni mają krótką pamięć serca..... że lubią łudzić i żartować..... Może już w inne kraje powędrował, i owego dnia uśmiechnie się z naiwności dziewczęcia, co go po górach gdzieś szuka?

Ale, nie! Kiedy sobie przypomnę jego wzrok, zwłaszcza ostatnie spojrzenie, kiedy rozbieram jego zdania, jego pogląd na życie i uczucia, nie mogę przypuścić, aby to wszystko miało być czczą igraszką, krwawym żartem z cudzéj spokojności.

Czasem napada mię inny postrach, prawdziwe tchórzostwo.... nie rozumiem jak będę miała odwagę wyjść naprzeciw niego? Wolałabym, aby on przybył tu prosto. Miałaś podobno słuszność, kiedy mi dowodziłaś, że rola kobiéty powinna być zawsze bierną.

Cóż poradzić? Na zmienienie umowy zapóźno. Jakżeż się porozumiéć, kiedy tylko w naznaczonym dniu i miejscu mam nadzieję go spotkać?

Zresztą, jest jeszcze inny powód co poniekąd mój krok usprawiedliwia:

W biórku wuja znalazłam starą, wyblakłą miniaturkę pana Bonawentury, owiniętą w papiér, na którym wujaszek napisał, niedawno jak sądzę, bo atrament czarniusieńki jeszcze:

Na pamiątkę dla syna.

Ten podpis dał mi wiele do myślenia; więc wuj miał zamiar widziéć się jeszcze kiedyś z panem Adamem? Lub przynajmniéj pisać do niego?

A może..... przewidywał?....

— Nastudyowałam się dużo téj miniatury; pragnęłam w niéj odnaléźć inny portret. Na nieszczęście, bardzo mało do siebie podobni. Jest jakiś zarys wspólny, niby pieczęć familijna i tu i tam odbita, ale typy zupełnie odmienne; w obliczu ojca przemaga dobroduszność i dzielność, poczciwy wiarus, — podczas kiedy syn, to bohatér i mędrzec; ale mędrzec zbolały, — myśl na jego czole wygląda jak cierń.

Dziesięć razy, sto razy, miałam ochotę odwiedzić już wcześniéj tę dolinę; zawsze oparłam się pokusie. Chcę wziąć na próbę moję stałość, dowieść saméj sobie, że umiem być cierpliwą. Nie wybiorę się tam aż w ów dzień, — a wtedy — gdybym nikogo nie znalazła? Nie wiem cobym zrobiła..... wiem tylko, że byłoby czego zwątpić o miłości, o szczęściu, o wszystkiém.

Wybacz Anielko, nie o wszystkiém. O twojém dobrém sercu nigdy wątpić mi nie będzie wolno.

LIST LII.

Aniela do Teresy.

Franzesbad—2 Lipca.

Wyglądasz mi kochana Tereniu jak dziecko, które pyta się czy może zjeść łakotkę, w chwili, kiedy już połowę jéj połknęło. Radzisz się o podróż w Karpaty, listem datowanym z Karpat.

Choćbym ci powiedziała: Nie idź daléj! Dobrze wiem, że mię nie usłuchasz.

Ale ci tego nie powiem. Kiedyś dała słowo, musisz i powinnaś dotrzymać.

Nie masz nawet potrzeby szukać wymówek w jakichś miniaturach, albo intencyach wuja, sama obietnica wystarcza. Lepiéj może było jéj nie dawać; raz dana, obowiązuje. Teraz o to już tylko chodzi, aby ją wypełnić roztropnie, jak najroztropniéj, z tą *miarą*, któ-

rą zwykłaś gardzić, a która przecież w tych okolicznościach sama jedna może cię bezpiecznie przeprowadzić.

Bo nie można utaić, że się zapędziłaś w niezmierne trudności..... Kiedy jeszcze sobie przypomnę twój pociąg do niebezpieczeństw, zaczynam drżéć jakbym cię widziała przechodzącą nad ową otchłanią, którą tak strasznie opisałaś.

Nie wątpię, że i przy tobie będzie stał krzyż wszelkiéj świętości, słup niewzruszonych zasad. Tych trzymając się, przejdziesz śmiało, może nawet pójdziesz wyżej niż byłaś kiedykolwiek, bo próba, chwalebnie przebyta, podnosi.

Nieodżałowana szkoda, że twój Pamiętnik nie zawierał od razu *całéj* prawdy. Moja odpowiedź byłaby także może inaczéj wypadła. Dopiéro ostatni list wyjaśnił mi całą rzeczywistość. Twoje przywiązanie jest głębsze i mocniejsze niżeli przypuszczałam.

Uczucie słabe, powierzchowne, byłoby samo z siebie upadło przez ten rok i w tych warunkach w jakich go przeżyłaś. Twoje owszem wzrosło, dziś jest to już siła z którą trzeba się rachować, zamiast bawić się w jéj przeczenie.

Po tym przestraszającym liście, w pierwszéj chwili chciałam wszystko rzucić i do ciebie polecieć. Ale myśl była niewykonalną. Ażeby odjeżdżać chorą matkę, małe dziecko, trzebaż się przynajmniéj wytłómaczyć? Byłabym koniecznie musiała wszystko opowiedzieć, a na to nie miałam od ciebie pozwolenia.

Zaklinam cię tylko, moja droga, cokolwiek i jakkolwiek postanowisz, donieś mi choćby jednéın słówkiem. Do téj chwili będę tylko na wpół żyła.

Uspokajam się myślą, że Bóg czuwa nad sierotami więcéj podobno niżeli nad innemi, że ci zeszle światło rozsądku, bez którego i najlepsze serce może doprowadzić do nieszczęścia.

Dobrze rozumiem co pomyślisz jeżeli nie zastaniesz nikogo. Ale nie widzę jasno co zrobisz, jeżeli zastaniesz?

Nie chcę przesądzać przyszłości. Niech cię Bóg prowadzi!

LIST LIII.

Teresa do Anieli.

W szałasie na halach—13 Lipca.

Czekał na mnie! Znalazłam go, wczoraj..... Co za spotkanie! Anielo, warto nie rok, ale sto lat czekać na taką chwilę.

I dziś go znowu nie widzę, i może już nigdy nie zobaczę. — Aż do pojutrza wszelkie życie we mnie zawieszone.— Dobrze powiadasz, stoję nad otchłanią, między otchłanią a niebem; dopiéro trzeciego dnia się dowiem co mię czeka: śmierć, czy zmartwychwstanie?

Wczoraj (wielki dzień!) raniutko wybrałam się na wózku z Reginą, niby dla obejrzenia miejsc, które z wujem zwiedzałam. Szczepan siadł przy woźnicy. Jechaliśmy ze trzy godziny, po téj saméj drodze..... po któréj dzień w dzień przed rokiem unosiłam tyle żalu, tyle postrachu przyszłości. Zdawało mi się, że to było wczoraj.

U wejścia doliny kazałam stanąć i puściłam się z samą już tylko Reginą, która dobrodusznie ciągle mię namawiała do powrotu, bo istotnie zataczałam się, w głowie mi się kołowało, szłam jak wpisowy kiedy ma los wyciągać.

Nakoniec, spostrzegam owo drzewo, — a pod niém siedzi..... on!

Wydał wielki krzyk, powstał i rzucił się ku mnie. Ja także podbiegłam; podaliśmy sobie ręce z uniesieniem, zamieniliśmy kilka słów, prostych, ze dna duszy wyrwanych; nie potrafiłabym ich powtórzyć, ale wiem, że w tych kilku słowach zrozumieliśmy się na resztę życia.

Ja pierwsza oprzytomniałam. Przyszła mi na myśl Regina. Stała o jakie dwadzieścia kroków za mną, zdumiona tém ognistém przywitaniem, zdumiona tém więcéj, że wieśniaczy strój nieznajomego czynił tę scenę jeszcze niezrozumialszą. Dałam jéj na prędce jakieś objaśnienie, na którém w milczeniu poprzestała; cofnęła się i siadła między skałami, podczas kiedy myśmy siedli pod drzewem, niegdyś pożegnania, dzisiaj powitania.

On długo jeszcze był zmięszany. Mówił rzeczy zachwycające bezładnością.

Nagle uderzył się w czoło, pytając:

— „A wuj! Gdzie wuj?“

Na żałobną wiadomość nic nie odrzekł. Opowiadałam cały przebieg nieszczęścia. Dobyłam z kieszeni miniaturę, wręczyłam w imieniu wuja, wziął ją, oglądał, rzucał tu i owdzie słowo, ale widziałam, że ani mojéj mowy, ani swojéj własnéj dobrze nie rozumié. Zdawał się zajęty jakąś wyłączną myślą, któréj nie chciał, czy nie śmiał wyznać.

Nakoniec zerwał się i zapytał, czy ja pojmuję dla czego moje przybycie tak go uszczęśliwia?

Pytanie zadziwiło mię i troszkę.... zabolało. Zdaje mi się, pomyślałam, że radość z takiego powrotu nie potrzebuje tłómaczenia?

Ale kiedy stanąwszy przedemną, w gorących słowach opowiedział nieznany mi jeszcze ustęp swego życia, przestałam się dziwić, zrozumiałam, że moje przybycie było dla niego nie tylko powrotem drogiéj osoby, ale znakiem z nieba.

Opowiedział mi ostatnią noc księdza Walentego i jego słowa prorocze.

Kiedy pleban rozciągnięty na łożu śmiertelném przestał już nawet jęczéć i wszedł w ciche konanie, on stojąc przy nim i łamiąc ręce, wpadł w rozpacz tak wielką, jakiéj nie znał nigdy, nawet przy zgonie *tamtéj*, bo po tylu nieszczęściach znalazł pociechę i tę miał znowu utracić. Truchlał na widok życia co go czeka; znów na całym świecie sam jeden, bez broni przeciw samemu sobie! Znał już w przeszłości stan taki i uląkł go się na przyszłość. Przyszła mu z rozpaczy myśl dziwna..... odważył się na prośbę zuchwałą, może bezbożną.....

„Ojcze Walenty!“ Zawołał. „Ja bez ciebie życia nie zniosę. Obiecaj mi..... niedługo się przekonasz czy można z tamtego świata wracać? Jeżeli można, obiecaj mi uroczyście, że mi się choć raz pokażesz i powiesz czy mi tam przebaczono?“

Konający otworzył oczy i odpowiedział:

— „Nie synu, tego ci obiecać nie mogę. Choćbym wiedział to, o co pytasz, jeszczebym nie mógł..... Dawać taką obietnicę, jest to kusić i jakby wiązać Boga.“

Nastało długie milczenie, po którém chory znowu się odezwał:

— „Ale pociesz się synu. Umierający widzą więcéj niżeli żywi. Ja widzę..... i powiem ci. Jeżeli znajdzie się jeszcze kobieta, która, znając twoję przeszłość, potrafi cię pokochać, to będzie dla ciebie znak z nieba, że tam ci przebaczono.“

Anielo! Anielo! Więc to ja byłam tą kobietą, którą prorok widział! Ja bezwiednie miałam sobie poruczoną misyą z nieba! Czyż może być większa chluba, zaszczyt bardziéj nadludzki?

Teraz musisz przyznać, że dobre, prawdziwie opatrzne było natchnienie, co mię tu wiodło i niejako gwałtem popychało. Wyobraź sobie coby zaszło gdybym nie wróciła na dzień umówiony? Byłby zwątpił nie tylko o mnie, ale o miłosierdziu boskiém! Byłby spadł na ostatni szczebel rozpaczy, kto wié? może byłby zerwał z życiem?

Od śmierci księdza Walentego, ciągle czekał na obiecaną pocieszycielkę, żył tylko tą nadzieją.

Powiada, że od pierwszéj chwili jak mię poznał, głos wewnętrzny szeptał mu: „To ona będzie.“

Widział, że moje serce ku niemu się zwraca, ale im więcéj radował się tém odkryciem, im więcéj we własném sercu dostrzegał

uczucia, tem głębiéj truchlał nad groźnym obowiązkiem opowiadania mi swojéj przeszłości. Drżał czy wyznanie to nie zniszczy od razu mojego współczucia? (O Boże jakże mało znał mię!) Mówi, że byłby wolał wyspowiadać się przed całym światem niżeli przedemną; a jednak musiał, to był nieodzowny warunek obietnicy zawartéj w przepowiedni.

Odkładał z dnia na dzień, do ostatniéj godziny, aż przed samém rozstaniem wziął się na odwagę, wyznał wszystko, nic nie utaił, może nawet przesadził w oskarżeniu własném, ażeby sumienie mu nie zarzuciło, że chciał oszukać niebo i podstępem wykraść znak łaski.

Anielo, tyś dziwiła się jego szczerości, jak nazywałaś *niepotrzebnéj*. I ja, dziś to wyznaję, choć o tém nie pisałam, dziwiłam się także. Nieraz przychodziło mi na myśl: Po co on to wszystko mówił? Po co próżno gubił się w opinii wuja?

Ach, dzisiaj wiemy, że ten, jak zwałaś cynizm, był największém bohatérstwem jego życia.

A teraz Anielo zazdrość mi, ale zarazem i żałuj mnie..... Słuchając jego wyznań, sądziłam, że już jestem na szczycie tryumfu i szczęścia..... Nie wiedziałam, jaka za chwilę spotka mię niespodziana boleść.

Skończywszy, wpatrzył się we mnie z rodzajem jakiegoś dziwnego jeszcze niedowierzania i zapytał:

— „Więc jestem kochany? Czy to prawda? Czy to być może?“

Po wszystkiém, cośmy sobie powiedzieli przy powitaniu, byłabym uważała za małostkę targować się o wyrazy. Odpowiedziałam, że prawdziwe uczucie dowodzi się całém życiem, że ja życie całe poświęcę, aby go ukoić, pocieszyć i, jeśli zdołam, uszczęśliwić.

Myślałam, że usłyszę słowo dziękczynne lub radosne. Ale on spojrzał tylko z niezmiernem zdziwieniem, wołając:

— „Jakto? Miałabyś pani odwagę skuć swoję przyszłość z moją? Z pomiędzy tylu godniejszych, wybrać za małżonka człowieka skalanego, pokutnika, co do śmierci nie zdejmie włosiennicy z duszy, człowieka odartego z majątku, znaczenia, z przyjaźni ludzkiéj, dobrowolnego bannitę społeczeństwa?

Odpowiedziałam, że taka przyszłość wydaje mi się najpiękniejszém ze wszystkich przeznaczeń, i znów — czekałam na słowo serdeczne.

Tymczasem on milczał. Wyraźnie bił się z myślami. W końcu zawołał, nie patrząc na mnie, jakby rozmawiał z samym sobą.

— „Nie, to być nie może..... Już jednę zgubiłem, jeszczeż i drugą mam unieszczęśliwić? Syn marnotrawny, dopiéro co otrzymałem przebaczenie i już mam sięgać po wszystkie prawa dziecka, co nigdy

nie grzeszyło? Może wina jest już darowana, ale któż mi powie czy odpokutowana? Tyle razy obiecywałem sobie, że do śmierci będę pokutował!“

Wtedy ujął moje ręce i mówił:

— „Aniele litości, nie kuś mnie! Twoja ofiara jest wielka, święta, ale im większa, tém się mniéj godzi ją przyjmować. Byłbym najprzewrotniejszym z ludzi, gdybym korzystał z chwili uniesienia w któréj chcesz młodość, uczucie i całą istność poświęcić sprawie, co ci się nie opłaci. O, ty nie wiesz na co się piszesz! Ty nie wiesz jeszcze jakim ja jestem. Ja się boję samego siebie. Wchodzić w nowe stosunki ze światem? W nowe obowiązki? A jeśli znowu zły duch mię opęta? Drugi raz żałować, drugi raz pokutować, tegobym już nie potrafił. Powtarzam ci: są ofiary, na które nie wolno przystać.“

Byłam spiorunowana. Spodziewałam się wszystkich przeszkód, oprócz téj, oprócz odmowy z jego własnych ust! Położenie moje było okropne: jakżeż się narzucać z uczuciem, które odpychał? Wprawdzie postępowanie jego wypływało ze szlachetnych pobudek, ale tém trudniéj było z niém walczyć. Już nie mówię o upokorzeniu; w obec istoty ukochanéj nic nie upokarza, jednak sama godność, sama skromność, nie pozwalały nalegać.

Przerażona, siedziałam, próżno szukając wyrazów coby myśl moję godziwie oddały. On widać sądził, że kto milczy przyzwala, bo powtórnie przystąpił mówiąc:

— „Przeleciałaś przez moje życie jak anioł dobréj wieści, obiecałaś mi niebo w inném życiu, to dosyć. Tu, jeszcze nie zasłużyłem na niebo. Dosyć już uczyniłaś dla mnie. Opuść mię, zapomnij mię, wróć pomiędzy ludzi, poszukaj lepszego losu; ja do śmierci będę cię błogosławił.“

Na ten raz, oburzenie rozwiązało mi usta. Wstałam obruszona, mówiąc, że nikt nie ma prawa nakazać mi abym *zapomniała*, że to nie jest w niczyjéj, ani w mojéj własnéj mocy, że dobrze wiem co czynię, i to nie z *chwilowego uniesienia*, ale po długim, całorocznym namyśle. Słowa mi płynęły z mocą i z obfitością, którym sama się teraz dziwię.

I on zdawał się zdziwiony, a nawet zmieszany; może nie przewidywał tak silnego oporu. Wysłuchawszy mię, powiedział:

— „Chcesz mię przymusić do szczęścia? Drżyj biedne dziecko, o! bo jeżeli jeszcze odważę się na miłość, to na taką jakiéj może nie potrafisz sprostać. Będę chciał być kochanym bez miary, bez granic, wyłącznie, ślepo, do zapomnienia, do zatracenia duszy, tak jak mię nigdy nie kochano, tak jak ja kocham, kiedy kocham.“

Może podejrzywał rozciągłość mego przywiązania i chciał wypróbować czy nie zlęknę się takiego programu przyszłości?

Jakże się mylił! Mnie ogarnęła radość wielkiego odkrycia: a toż był mój własny program!

Uśmiechnęłam się, odpowiadając że, mojém zdaniem, prawdziwe uczucie powinno być właśnie takiém a nie innem, z tą tylko różnicą, że prowadzi nie do zatracenia, ale do podniesienia duszy.

Zamyślił się głęboko. Potém, z tą wrażliwością, która nim wiecznie miota, przeszedł nagle w spokój tchnący najsłodszém rozrzewnieniem. Myśli jego i słowa gdzieindziéj się zwróciły. Przez kilka godzin rozmawiał ze mną o wuju, o naszych dawnych spotkaniach, o wszystkiém co przecierpiał i przemarzył przez ten rok rozdziału.

Widząc go takim cichym, rozczulonym, byłam pewna, że już porzucił myśl rozstania. Jakżem się łudziła! To był spokój człowieka co ostateczne zrobił postanowienie. Używał téj rozmowy jak niegdyś skazani na śmierć używali ostatniéj biesiady, którą im podawano w przeddzień wykonania wyroku.

Kiedy słońce zaczęło spuszczać się za góry, wstał i przemówił uroczyście:

— „Powiadają, że przeszłe dobrodziejstwa zobowiązują do przyszłych. O pani! Kiedy mogłaś przez rok nie zapomniéć o mnie, chciéj mi darować jeszcze kilka dni cierpliwości, trzy dni.... O trzy dni proszę, nie więcéj, ale i nie mniéj.... Wrócę do mojéj pustelni. Muszę jeszcze sam na sam z sumieniem się rozprawić. Nie byłem przygotowany...... nie śmiałem przypuszczać, abyś pani chciała mój biedny los podzielić..... wprawdzie to marzenie często mi przez myśl przechodziło, ale je odsuwałem jako proste marzenie. Teraz, chciałbym samego siebie wziąć na próbę, chciałbym przez modlitwę zapytać się nieba, czy nie rozgniewam umarłych, szukając szczęścia jeszcze pomiędzy żywymi? Jeżeli uczuję się godnym ciebie, wrócę do téj doliny. Ale jeżeli po trzech dniach nie wrócę, nie czekaj dłużéj na mnie. Już nie ujrzysz mię więcéj i nikt mię nie ujrzy.“

Chciałam odpowiedziéć, nie było czasu; zacisnął ręce na oczach i odszedł a raczéj uciekł, nawet się nie obejrzał.

Zostałam, — skamieniała, — znów sama..... ręce mi opadły, — cała przyszłość jeszcze raz na kartę stawiona.

Rok czekałam, — i znowu czekać? Wprawdzie trzy dni tylko, ale te trzy dni wydają mi się dłuższe niż cały ów rok.

Nie miałam już odwagi wracać do Zakopanego. Już téż i zmrok zapadał, trudno było kilka godzin jechać po złych drogach. Szałas, wiszący nad doliną na spadzistéj łące, zwrócił moje oczy. Posłałam z zapytaniem czyby mi go nie odnajęto? Pasterze ustąpili mi chętnie szałasu, nakłonieni szczodrém wynagrodzeniem; wynieśli się i teraz

obozują na innéj hali, wyżéj położonéj. Ja się tu wniosłam z Reginą i Szczepanem.

Chciałabym te trzy dni tu przebyć. Wprawdzie szałas bardzo pierwotny; wiatr po nim krąży; w okienkach nie ma szyb, tylko coś nakształt okiennic. Ale cóż w téj chwili świat zewnętrzny dla mnie znaczy? Kiedy człowiek umiera z niepokoju, wszystko mu jedno czy umiera w jaskini, czy w pałacu. Tu przynajmniéj o wiele jestem bliżéj...... Prędzéj się dowiem....

Widać ztąd całą dolinę. Widzę ścieżkę, którą będzie wracał,—jeżeli wróci.

. . . .

Żeby to można przespać te trzy dni i nie obudzić się aż w chwili wyroku! A tu ani myśléć o zmrużeniu oka. Jak na przekorę, nigdy może w życiu nie byłam tak mocno rozbudzona.

. . . .

Pierwsze godziny po jego odejściu przewlokły się jeszcze nieźle. Odsyłanie wózka, przenoszenie się do nowéj siedziby, zajęło trochę czasu. Potém, trzeba mi było myśléć o wytłómaczeniu się przed Reginą. Drażnił mię jéj wzrok badawczy. Pomimo uszanowania jakie ma dla mnie, zwłaszcza od czasu jak zostałam dziedziczką, nie mogła sobie widocznie dać rady: moje spotkanie i długa rozmowa z nieznajomym, nagłe zamieszkanie pod szałasem, wprawiły ją w osłupienie. Pytać się nie śmiała, ale patrzyła na mnie z rodzajem litości i obawy, jakby na osobę, któréj się pomieszały zmysły.

Powiedziałam jéj, że ów mniemany góral jest to syn przyjaciela najlepszego jakiego wuj miał na świecie, wielki pan, człowiek znakomity, który z powodu chwilowych nieszczęść i prześladowań musi ukrywać się pod chłopskim ubiorem, a do którego wuj mi zostawił pośmiertne zlecenie.

Tych kilka słów zupełnie jéj wystarczyło; szczególniéj nazwa *wielki pan*, jak przewidywałam, podziałała na nią magicznie.

Dopóki Regina i Szczepan kręcili się wkoło mnie, udawałam spokojną, trzymałam się sztucznie. Ale kiedy pomęczeni poszli w głąb' szałasu i na sianie legli snem drewnianym, kamiennym, ogarnął mię prawdziwy przestrach jak ja przebędę tę noc nieskończoną? W dzień jeszcze łatwiej utłumić niepokój, tysiąc przedmiotów rozrywa uwagę, ale noc! Noc ze swoim smutkiem, ze swojemi widziadłami, noc dla tych co cierpią jest najpowolniejszą z tortur.

Postanowiłam czémś koniecznie się zająć. Na szczęście przypomniałam sobie, że mam w torbie przybory piśmienne. Cudowne miałaś przeczucie kiedy ją tak troskliwie we wszystko zaopatrzyłaś.

Ach, ta twoja torba..... przy haftowaniu ani ci na myśl nie przyszło w jakich okolicznościach mi się przyda.

Pisać do ciebie! To jedyne zajęcie, które może jeszcze myśl moję ogłuszyć i sercu niejaką ulgę przynieść.

Znalazłam też i parę świec w pakunku. Jest w szałasie kilka desek zbitych nakształt stołu. Na tym to stole piszę przy świécy, którą zatknęłam we flakon od wody kolońskiéj.

Błogosławiona praca! Przy niéj cały wieczór zszedł mi prędzéj niż się spodziewałam. Ale teraz już mi jakoś i pisać trudno; z początku pióro leciało gorączkowo, ćwiartka za ćwiartką się sypała. Teraz oczy mgłą zachodzą. Ta świeca chwieje się niemiłosiernie. Okienniczka zamknięta, a jednak przez szpary wiatr dmie jak z komina. Wstałam i szalem zasłoniłam okno. Może będzie lepiéj.

. . . .

Co on tam porabia w swojéj strasznéj pustelni? Pewno także nie śpi. Może chodzi nad wodospadem? Może siedzi pod krzyżem i myśli, modli się? Co wymodli?... Co postanowi?....

. . . .

Nakręciłam zegarek. Muszę codzień dobrze o tém pamiętać. Gdyby stanął, nie mogłabym w téj pustyni wiedziéć która godzina, a to dla mnie taka ważna wiadomość!

Teraz, pierwsza po północy. Już więc minął pierwszy dzień téj okropnéj trójki. Jeszcze dwa dni, czterdzieści ośm godzin, jak wyliczyłam sto siedmdziesiąt dwa kwadransy, minut już i nie śmiem rachować, wypadłyby tysiące.

. . . .

Zaczynam czuć wielkie znużenie; zimno tu jak w piwnicy. Łoskot potoku dochodzi mię z doliny. Może ten potok płynie do tamtego wodospadu? Jest coś nadzwyczaj smutnego w głosach wody, zwłaszcza kiedy wiatr szumi po lasach.

. . . .

Jak ci ludzie mogą spać tak smaczno? Szczęśliwi! Co ja téż mówię? Możnaż to nazywać szczęściem? Dobrze jedzą, dobrze śpią, bo nic do serca nie biorą. Ale téż im serce nigdy mocno nie uderzy. Winszuję, ale nie zazdroszczę. Tylko ci, co umieją bardzo cierpiéć, potrafią bardzo się radować.

Gdyby moje marzenia miały się spełnić, ach jeszcze nie byłyby za drogo kupione!

. . . .

Ostatecznie, ta świéca nie może dłużéj służyć. Topi się i zalewa całą flaszkę. Chcąc nie chcąc trzeba ją zgasić; drugiéj nie mogę zapalać, bo jeszcze jedna taka noc mię czeka. Spróbuję się położyć, już też niedługo może i dniéć zacznie?

Rano—14 Lipca.

Resztę nocy przesiedziałam w okienku. O zaśnięciu ani było myśléć.

Noc w górach wygląda groźnie. Od śpiczastych skał ciągną się cienie długie i nadzwyczaj ostro odkrojone, które wikłają krajobraz w sposób często niezrozumiały dla oka. Przedemną, wysoko, palił się ogień przy którym pasterze śpiewali. Śpiewy ich przeciągłe i żałosne. Ognisko dziwacznie oświecało góry, często gasło; wtedy pewnie dorzucali chrustu, bo płomień znów nagle buchał i czerwoną łunę roztaczał.

Przy takim niewesołym obrazie nachodziły mię czarne myśli. Jedna myśl zwłaszcza, okropna..... odpycham ją jak mogę.

. . . .

Ranek mię trochę orzeźwił. Ze słońcem wróciły i myśli pogodniejsze.

. . . .

Dzień przepyszny. Ani jednéj chmurki na niebie, jakby na urągowisko, kiedy w mojéj duszy tłoczą się same chmury.

. . . .

Po co ja ci to wszystko piszę? Dobrze wiem, że ztąd kartek tych nie wyszlę. Aby je oddać na pocztę, trzeba wyjechać przynajmniéj do Zakopanego, a wtedy już los mój będzie rozstrzygnięty. Aż strach pomyśléć, że nim ten list zamknę, już mój los będzie rozstrzygnięty.

. . . .

I nie módz ani przyśpieszyć, ani wpłynąć najmniejszém słówkiem na wyrok!

Co mogłam zrobić, już zrobiłam. Więcéj może nawet niżeli się godziło.... Teraz, nic już nie pozostaje, tylko czekać.

O, bierność, co to za nieznośna rola! Chwilami zdaje mi się, że powinnam była urodzić się mężczyzną.

A jednak, nie. Jest że kobiéta coby więcéj odemnie czuła się kobiétą?

. . . .

Tak, ten Dziennik, a raczéj Godzinnik, nie na wiele ci się przyda, nim go będziesz czytała, już wszystkie warunki się zmienią. Jednak mimowolnie wracam ciągle do niego. Przyciąga mię jakby termometr, na którym co chwila oznaczam stopnie mojéj męki.

Nie mam tu żywéj duszy coby mnie rozumiała; kiedy piszę, zdaje mi się, że z tobą rozmawiam, że mnie słyszysz. Ach, czemuż nie możesz odpowiadać?

. . . .

Czy téż on o mnie myśli? W każdym razie nie wié, że jestem tak blisko. Może przypuszcza, że wróciłam do Zakopanego? Nawet się nie spytał co ja z sobą przez te trzy dni zrobię?

Czy on sądzi, że to tak łatwo czekać na słowo od którego całe życie zależy? Zostawił mię w udręczeniu gorszém od wszelkich innych, w *niepewności*, i nawet nie zdawał się domyślać ile mnie to obchodzi, ile muszę cierpiéć.

We wszystkich wahaniach, mówił tylko o *swojém* szczęściu, o mojém...... nic.

. . . .

Niesprawiedliwie go potępiam. Właśnie myślał o mojém. Przecież głównym powodem tych wahań była obawa, że nie potrafi mię uszczęśliwić?

Już to zupełnie zbyteczna obawa. Mógłby sobie dać pokój z tak troskliwém przewidywaniem. Zdaje mi się, że kiedy chodzi o wybór szczęścia, każdy dla samego siebie jest najlepszym sędzią.

. . . .

Wiesz Anielo co mi chwilami przez głowę przechodzi? Że on mię nie kocha i nigdy nie kochał.

To jest owa myśl okropna, która mię w nocy napadła. Rano, trochę się z niéj wytrzeźwiłam. Teraz wraca znowu, czepia się wszystkich wspomnień, nabiera coraz więcéj mocy.

Wprawdzie, przy spotkaniu, rzucił kilka słów, które zdawały się pochodzić z gorącego uczucia. Ale, któż wié? Może pochodziły jedynie z wdzięczności? Może mój powrót go ucieszył nie jako dowód *mojéj* stałości, ale jako znak, że *tamta* mu przebacza?

Więc chciał *być kochanym*, aby ten znak otrzymać, ale wywzajemnić się nie chce, z postrachu, aby mu nowe uczucie nie zostało poczytane za niewierność.

Wszak mówił sam, że musi poradzić się nieba, czy szukaniem

szczęścia nie obrazi umarłych? Zawsze ona! Myśli tylko o niéj, troska się tylko o nią, o to co ona powié nawet po za grobem!

. . . .

Niech i tak będzie. Cokolwiek postanowi, uznam bez szemrania za dobre. Niech się nie lęka skarg, ani wyrzutów. Czyż nie dosyć rozkoszy spełniać jego wolę? Gorzka to rozkosz, ale potężna. Wszak zawsze pragnęłam zaprzéć się i poświęcić? Czyjeś szczęście mojém własném okupić? Oto chwila spełnienia tych obietnic.

. . . .

Choćby wszystko miało się skończyć rozłączeniem, i tak jeszcze będzie godną zazdrości rola, jaką Bóg pozwolił mi odegrać w jego życiu. Stałam się niejako posłanką nieba, skołatanemu burzą przyniosłam nadzieję, na której odtąd oprze się jak na kotwicy. Rozpoczną się dla niego dni spokoju. Nie będzie mógł mię wspomnićć bez błogosławieństwa. Sam to mówił.

A ja? Gdyby nie wrócił, moje postanowienie powzięte nieodwołalnie: wstąpię do Siòstr Miłosierdzia.

. . . .

Nie z rozpaczy, ale z uszanowania dla niego i dla saméj siebie. Po takiém owdowieniu duszy, nie godzi się już myśléć o żadnéj ludzkiéj przyszłości.

Mogę powtórzyć razem z Pustelnicą z wieży:

. . . . „O nic już nie proszę.....
Bo gdzie ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie,
I kochał męża wielkiego na ziemi?“

. . . .

Druga po południu.

Byłam w dolinie. Obeszłam wszystkie skały i nadbrzeża. Pierwszy raz obejrzałam je dokładnie.

Dawniéj sobie mówiłam: Jeżeli będę kiedy bogata, zaraz kupię obraz co tę dolinę przedstawia. Teraz, jestem bogata, a wątpię abym go kupiła..... To zależy..... Nie wiem jeszcze co będzie mi przypominał? Może to miejsce ma być dla mnie fatalném?

Czyżby to tak miało się dziać ze wszystkiemi życzeniami, że kiedy nakoniec można je spełnić, okoliczności się zmieniają i ochotę do spełnienia odejmują?

Siedziałam długo pod drzewem. Im więcéj rozbieram niektóre ustępy naszéj ostatniéj rozmowy, tém trudniéj mi uwierzyć w jego obojętność. Wyobraź sobie Anielo, on tu już od miesiąca przychodził codzień, cały dzień tu spędzał, sam nie wiedział po co? Czasem, powiada, miał szaloną nadzieję, że i ja może tu wcześniéj zajrzę? A ja tymczasem, najniepotrzebniéj mocowałam się z pokusą, schłam w Zakopanem! Dowód, że stoicyzm nie zawsze na dobre wychodzi. Miesiąc dla szczęścia stracony. A jeżeli nie dla szczęścia, to przynajmniéj dla spokojności. Gdybym była wcześniéj tu przyszła, jużbym dodziś dnia wiedziała na co jestem skazana.

I ja mogłam przypuszczać, że go tu nie zastanę? Posądzać go o żart lekceważący, kiedy jemu chodziło o zbawienie? Gdyby wiedział, że mu tak uwłaczałam!

Ale i on mię posądzał. Mówił onegdaj, że po naszém przeszłoroczném rozstaniu, z początku wierzył zupełnie w moję obietnicę, wierzył przez kilka tygodni. Potém zaczął wątpić, wyobrażać sobie: ile to przeszkód, zależnych lub niezależnych od mojéj woli, może mi stanąć na drodze. On także liczył dni i godziny, także czekał ze drżeniem.

. . . .

Tak, ale na co czekał? Czy na mnie, czy na sygnał od innéj?

. . . .

Coraz trudniéj mi pisać. Myśl staje nakształt zegaru, w którym cała sprężyna wyszła. Silnéjby trzeba ręki, aby ją napowrót nakręcić.

. . . .

Muszę też i papiér oszczędzać. Już mi tylko jedna ćwiartka została, ostatnia z kilkuset niegdyś przez ciebie przysłanych. I to jaka została? Ta, którą na samo dno włożyłam, ta z bożkiem i napisem:

„Qui que tu sois, voici ton maître – ect.“

Prawda, już dziś nie myślę przeczyć autorowi, ani się oburzać.

. . . .

Południe minęło. Drugi dzień się przepołowił. Jeszcze półtora dnia......

. . . .

Gdyby nie o *niego* chodziło, byłby to wstyd prawdziwy, tak zdać się na cudzą łaskę i niełaskę.

. . . .

Wrócił! Nawet nie mógł doczekać drugiego zachodu słońca! Poznałam za szałasem głos jego dopytujący się o mnie. Wleciał jak huragan, nie zważając na obecność służby, upadł u moich kolan i wyznał, że już bezemnie żyć nie może. Próbował, przekonał się, że nie może.

Teraz już się nigdy nie rozłączymy, nigdy!

(Dokoń. nast.)

DROBNA SZLACHTA

W KRÓLESTWIE.

STUDYUM SPOŁECZNE.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI.

(Ciąg dalszy).

II.

Rozległość i układ fortun; skutkiem rozszachowania gruntów niekorzystne dla gospodarstwa warunki; paśniki, szkodnictwo, potrzeba separacyi. Gospodarstwo kobiéce: fabrykacya płótna, chów drobiu, stanowisko niewlasty w procesie dorobku.

Wszystkie pola, na jakie się dzieli kilkunasto-włókowy obszar, będący własnością w jednéj osadzie zamieszkałych szlachciców, wedle pionowego lub poziomego układu gruntu, od położenia względem budowli, od przeszłości swojéj, przeznaczenia i innych warunków, rozmaitemi są ochrzczone nazwami. Pole po za stodołami nosi nazwę zagumia; z krótkich złożone zagonów zowie się pólkiem; przestrzeń trójkątna — klinem; na wschodzie względem innych leżąca — nazareniem (na zaraniu); ostro pomiędzy lasy lub wody wchodząca — cuplem; od pieców, jakie do wypalania wapna budują, otrzymuje nazwę pieczyska; od dobywanéj gliny lub piasku — glinek, piasków i t. p. Po za wsią, najczęściéj pod lasem, na piasczystym obszarze kopią głębokie, do przechowywania przez zimę kartofli służące doły, i ztąd miejscowość wędołami się zowie. Jeżeli pole specyalną nie zostało ochrzczone nazwą, szlachcic wynajduje pewien

zbliżony do niego szczegół i mówi: około gródzi, wędołów, klina, nowin; u brodu, rowu; przy olszynie, róży, leszczynie, choinie. Lasy wedle położenia i gatunku drzew również na różne rozbijają się nazwy, jak: cembrzucha, grond; a w borach oryentuje się szlachta według tak zwanych dzieni t. j. olbrzymich a starych sosen, w wydrążeniach których gnieżdżą się pszczoły. Dość wspomnieć, że przy pierwszéj, drugiéj lub innéj dzieni pasą się owce, a kilkoletnie dziecko objad w dwojakach owczarzowi zaniesie i zawsze, olikaniem (wykrzykiwaniem) sobie pomagając, do niego trafi.

Posiadłości szlachciców, w jednéj zamieszkałych osadzie, najróżnorodniejszych bywają rozmiarów, bo, poczynając od pięciu, dochodzą do czterdziestu, sześćdziesięciu, a nawet ośmdziesięciu i więcéj morgów ziemi. Siedzący na kilku włókach mieli przed laty poddanych i pankami się zwali, lecz takich było nie wielu.

Posiadłość każda, zwana fortuną, ciągłemu ulegała i ulega rozbiciu na kęsy; prawo bowiem nie stawiało i nie stawia tamy podzielności własności szlacheckiéj, a klejnotni wyrostkowie, wstręt mając do rzemiosła i służby, schedę ojcowską chętnie rozdzielają pomiędzy siebie na części, albo jeszcze za życia rodziców otrzymują udziały. Skutkiem tego, jeżeli część rodzeństwa na inném polu utrzymania nie znajdzie lub gdy się nie zgodzi na spłatę, fortuny drobnieją ciągle; przy wyjątkowych tylko okolicznościach: przez skup lub wygaśnięcie członków rodziny, do dawnych wracają granic.

Lecz, niż nieustanna modyfikacya w rozmiarach, bardziéj jest charakterystyczna sama natura układu szlacheckiéj fortuny. Szlachcic nigdy nie posiada ziemi w jednym kawale, ma ją w dziesięciu, dwudziestu lub więcéj, a podobne rozbicie wytworzyło się skutkiem oryginalnéj bardzo metody podziału.

Dobrogost od księcia mazowieckiego za posługę rycerską otrzymał kawał gruntu, na którym stanęła wioska Rupino. Ponieważ jéj grunta rozmaitéj były dobroci, przeto Dobrogost z Rupina, nie chcąc skrzywdzić żadnego z trzech synów, umiérając, każdemu z odpowiednią liczbą poddanych z każdego gatunku ziemi wydzielił po cząstce. Gatunków gleby było kilka, każda przeto z trzech sched nowopowstałych z kilku się składała kawałów. Piotr, Niewdrzyd i Daćbog, synowie Dobrogosta, w podobnyż postąpili sposób, przekazując majętność potomstwu, a system taki doprowadził w końcu do tego, że Birnat, pra-pra-wnuk Niewdrzyda, miał już dwóch tylko poddanych, a schedę w kilkunastu miejscach, z kilkudziesięciu złożoną zagonów.

Przez wiele wieków praktykował się podobny podział i praktykuje się dzisiaj, tylko szlacheccy włościanie, obecnie pomiędzy po-

siadłościami dawnych swych panów własne mają zagony, a w czworakach — izdebkę.

Wydzieleni synowie z żonami i dziećmi często mieszkają wspólnie; zebrane plony pomieszczają w jednéj stodole, do wspólnéj obory wpędzają bydło.

Składa się przeto fortuna szlachecka z rozrzuconych na kilkunastowłókowym obszarze licznych, wąskich a długich pasów, od zagonów sąsiada oddzielonych miedzami. Szersze kawały zowią się składami; mniéj szerokie — płusami. Jak glebę na zagony, podobnie i łąkę znajdziesz pociętą na pasy wąziutkie, pomiędzy któremi kamień, krzew lub bruzda jest znakiem granicznym. Ze względu na szczupłość i oryginalny układ szlacheckich fortun, jest wiele prawdy w powtarzanéj złośliwie krotochwili, jako dziedzictwo szaraczka pies nakrywa swym brzuchem, że piérwszy zamach kosą zapewnia większą szerokość łąki. Rzetelną jest i na tę krotochwilę odpowiedź, że fortuna jego choć nie szeroka, lecz jest głęboka i długa.

Rozbicie każdéj fortuny na strzępy, podczas jesieni, na wiosnę i w lecie, oryginalną polom nadaję cechę, a pod względem ekonomicznym wielce szkodliwe wywołuje następstwa.

Szlachta prowadzi uprawę trójpolową: część jedna idzie pod oziminę, druga — jarzynę, trzecia w części pod kartofle, w części na ugór, który łącznie z $1/3$ niezapuszczonéj łąki stanowi paśnik. Ponieważ pole ozimne niejednocześnie szlachta obsiewać zwykła, a w jarzynném każdy posiadacz pod inne swój zagon przeznacza zboże, przeto, z wyjątkiem zimy, we wszystkich porach roku fortuny posiadają wygląd pstrokaty dziwnie. W jesieni, śród obszaru zagonów, dobrze już pokrytych zielenią, tu i owdzie ujrzysz czarny sznur ziemi; a zagon taki, na którym jeszcze ozimina nie wzeszła, wygląda niby wąż, pełzający po trawie. Rozmaitość wiosną i latem uwydatnia się silniéj, bo na polach ozimnych obok pasów jasnego żyta snują się wstęgi ciemniejszéj pszenicy, a pośród jarzyny gra najróżnorodniejszych kolorów zabawia oko. Tu rzepak lub jęczmień, bogato ozłocony kwieciem łopuchy; obok na czerwonéj nodze blado-różowo zakwita gryka; daléj len wiotki warkocze główki w niezapominajki przystraja; za nim z ostremi liśćmi szorstko rosnący owies, znów jęczmień, len, gryka, rzepak i owies; różnowzory bukiet, przeplatany kwieciem kąkolu, chabru i maku, całe ogarnia pole.

Różnowzorość pól drobno-szlacheckich nie wynagradza przecież tych strat ekonomicznych i tych niewygód, źródło których spoczywa w rozdrobnieniu każdéj fortuny. Pomijając stratę czasu, jakiego potrzebuje robotnik na przejście z jednego zagonu na w znacznéj odległości leżący drugi, zaznaczyć wypada, że przy podobnych warun-

kach racyonalna uprawa jest niemożliwą, o podniesieniu kultury ziemi niepodobna jest myśléć. Bo oprócz najgłówniejszéj pod tym względem zapory, rozszachowania gruntów, dodać należy, że natura stosunków sąsiedzkich i brak solidarności pomiędzy szlachtą wszelką inicyatywę niszczy w zarodku; że szlachcic, pod naciskiem towarzyszących gospodarstwu jego warunków wyzuty z samodzielności, ulegać musi woli sąsiadów i staréj, na wielkie straty narażającéj rutynie. Kilka przykładów, zebranych z życia, niech to objaśni i poprze.

Dla osuszenia miejsc nawodnionych zachodzi potrzeba przekopania rowu lub przez całą szerokość pola zrobienia przegonów. Schodzą się w tym celu i sejmikują panowie bracia, lecz sejmikują dopóty, aż czas stosowny dla dokonania roboty przeminie, a inna sprawa o poprzednio podjętéj każe zapomniéć. Większość bowiem w podniesionym przez kogoś projekcie zwykła upatrywać jakąś ku wyeksploatowaniu siebie pomyślną intrygę, nie dowierza przeto i oponuje; jeżeli zaś z projektu oczywista wygląda korzyść, to każdy znowu, nie chcąc niezbędnych ponosić kosztów, na innych się oglądając i licząc, radby coś z tego dla siebie uszczknąć, ale bez przyłożenia swéj ręki. Gdy więc nikt przegonów i rowów nie może kopać wyłącznie na swoich, śród kilkunasto-włókowéj przestrzeni rozszerzonych zagonach, a nie jest znów w stanie z własnéj kieszeni i pracy czynić ofiary dla innych, przeto w nasiąkłych wodą nizinach szlachecki posiew wymięka; na nisko położonych łąkach woda w sąsiednim wezbrana strumieniu przydatną do cięcia trawę zalewa lub ściętą, na pokosach czy w kopach będącą, unosi i gnoi. Szlachta ku ocaleniu paszy, niezbędnéj dla utrzymania inwentarza przez zimę, wszelkich używa wysiłków i, przez niezaradność poprzednią, marnuje siłę roboczą częstokroć daremnie. Przykro jest wspomniéć, jak we wzmiankowanych wyżéj Grabienicach rów graniczny pod Czarnocinem na wiosnę wzbiera i na sąsiednie wylewa łąki. Szlachcice, po pas z kosami tam brodząc i skoszoną trawę na wodzie łowiąc, z mozołem srogim wynoszą ją na miejsca górzyste. A przecież dla oszczędzenia pracy i zdrowia, dośćby było wspólnemi siłami rów graniczny rozszerzyć i z łąk sąsiednich przeprowadzić do niego wpusty.

Za dalszą illustracyą stosunków gospodarsko-sąsiedzkich niech następujące posłużą dane.

Z mozołem wielkim zebrane z zagonów kamienie składam na tak zwaną kamionkę i oczyszczone pole namierzwiam. Mój sąsiad, rad coś podobnego uczynić; lecz dla oszczędzenia pracy i kosztów, ze swojéj schedy stacza kamienie do bruzdy, przez co tamuje ściek

wody, lub z niesłychanym cynizmem na moje, świeżo uprzątnięte rzuca je pole.

Piotr i Antoni posiadają część schedy w miejscu niskiém, napojoném wilgocią i gdy na wyżéj położonych płuzach sąsiadów żyto dobrze dojrzeje, u nich, jako zielone, nie jest jeszcze do zbioru zdatne. Choć przedwcześnie, żąć je jednak z innymi muszą, w przeciwnym razie, osamotnione ulegnie zniszczeniu przez inwentarz, napędzony na rżysko, będące tuż obok.

I nierzadko się zdarza, jako szlachcic sprzątnąć musi zboże zielone, lub nie chcąc tego uczynić a nie mogąc go od szkody osłonić, łzawém okiem pogląda na marniejący pod kopytami bydląt lub dziobami żarłocznych gęsi rezultat swoich wysiłków.

Gdy szlachta rusza z kosami dla zbioru łąk swoich, Bartłomiéj ma bardzo pilną robotę, którąby za dni parę mógł skończyć z wielką dla swego gospodarstwa korzyścią. Z uszczerbkiem przecież porzuca takową w téj chwili i podąża z innymi, niech się bowiem opóźni, a brat sąsiad obetnie mu najpiękniejszéj trawy parę pokosów.

Skutkiem fatalnego układu fortun, posiadacze są najzupełniéj od siebie zależni, w sferze inowacyi wszyscy od opozycyi choćby jednego, a w sferze rutyny mniejszość zależy od woli wszystkich. Zależność pierwsza samodzielności wszelkiéj i inicyatywie nie pozwala zestąpić w sferę praktyki z krainy pobożnych westchnień; druga zmusza światlejszą mniejszość do praktycznego ulegania więzom odwiecznéj, lecz sympatyą większości mającéj rutyny. Najlepsze zamiary wszystkich rozbić się muszą o opór jednego, najpiękniejszy pomysł mniejszości ukorzyć się musi przed powagą zardzewiałego większości widzenia. Gdy ogół postanowi kopanie rowu, a pan Bartłomiej postawi *veto*, wszyscy przed oponentem muszą ustąpić; niech Bartłomiej z większością rozpocznie żniwa, reszta, choćby na jéj polach zboże było jeszcze zielone, śladem przodowników podążyć musi, w przeciwnym razie na niechybną narazi się stratę. Tam, gdzie solidarność działania jest potrzebną koniecznie, nie ma jéj; gdzie znów wypada osobnikowi jak największą pozostawić swobodę, narzuca się, śród okoliczności najmniéj przyjaznych. Znaczna część czynności gospodarczych szlachcica jest najmniéj od niego zależną, więcéj niż warunki meteorologiczne swobodę działalności jego krępuje sąsiedztwo. Niewolnikiem jego jest każdy osobnik, który obowiązany jest wiedzieć: co sąsiedzi robią, jak robią i, rad nierad, musi za nimi wtórzyć przebrzmiałą piosnkę. Jest szlachcic-gospodarz martwą sprężyną, poruszenia któréj zawisły od ruchu całéj machiny; konstrukcya zaś ostatniéj, jako w zasadzie błędna, do najfatalniejszych prowadzi wyników: do bezmyślności w działaniu i do zastoju.

Nie sili się też szaraczek na wprowadzanie do gospodarstwa nowości, liczy na samę naturę i własną pracę. Lubo wysiłki ostatniéj są wielkie, rezultat ich przecież w znacznéj części marnieje w powodzi przeszkód; bez umiejętnego przymusu rolnika, wyzyskiwana ciągle przyroda służb swoich odmawia. Ziemia staje się coraz mniéj produkcyjną, a szlachcic, nie będąc w stanie ogarnąć całéj sumy nieprzyjaznych dla swego gospodarstwa warunków, skarży się na nieurodzaj, który pragnie zażegnać strzelistym ku niebu pacierzem.

Trudno zresztą od szlachty wymagać stosowania ulepszeń rolniczych, wprowadzania w życie zdobytych przez naukę odkryć, gdy się nie nadaje do tego ani szczupłość jéj fortun, ani natura układu takowych; nie można się dziwić, że zagonowiec prowadzi gospodarstwo wedle metody odwiecznéj, praktykowanéj jeszcze za błogiéj pamięci króla Gwoździka.

Nie zaprowadza orki płaskiéj, bo takowa z powodów, wyłuszczonych powyżéj, nie jest możliwą; nie bawi się w drenowanie, dla ścieku bowiem wystarczyć powinny bruzdy; nie nęci go i irrygacya, gdy ma środek i tańszy i mniéj wymagający zachodu: o deszcz modlitwę do Boga. Mając naturalne, nie potrzebuje używać nawozów sztucznych; nie sieje koniczyny, lucerny i różnych traw pastewnych, bo skoro on, szlachcic, obyć się może bez marcepana, kartoflami tylko, kapustą, grochem i kaszą się karmiąc, to czemuż bydlę na sieczce i sianie nie ma poprzestać? Nie wprowadza nowych gatunków zboża, bo mu chléb ze starego smakuje; nie nabywa młockarni, gdyż na chude sąsieki wystarczą cepy; nie używa żniwiarki, bo nie ma na nią pieniędzy, a zresztą na nicby mu się ona nie mogła przydać.

Szlachcic wié tylko: kiedy pora jest orać, kiedy nadchodzi czas kośby i żniwa; cały jego rolniczy aparat składa się: na schedzie większéj z pary wołów i tyluż koni, na mniejszéj—tylko z ostatnich; daléj z płużyć drewnianych na kółkach i wąskich, łatwo wywrotnych wozów na osiach dębowych, smarowanych smołą żywiczną. Od lat kilku, szczególniéj gdzie grunta są cięższe, wchodzą w użycie pługi żelazne i wozy szerokie na osiach żelaznych, z ostatniemi przecież trudno jest się oswoić wązkim, do dawnych wózków przywykłym drożynom.

Do plag gospodarskich, oprócz wyłuszczonych poprzednio, zaliczyć należy na wielką skalę praktykowane śród szlachty szkodnictwo.

Po dnia całego mozołach, żeby zmęczone konie pożywnym pokarmem wzmocnić, szlachcice wysyłają je, jak mówią, na nocnik

w łąki lub do lasu, jeżeli w nim bujnie porasta trawa. Jedzie sam szlachcic, a gdy syn jego, czy téż parobek, to im udziela instrukcyą, według któréj paśnik nocny w srodze niegodziwy odbywa się sposób. Żeby wypocząć a zarazem i konie nakarmić dobrze, wjeżdżają na suchą łąkę, pod sąsiedzki stóg siana, albo téż w zboże, a sami do snu smacznego się kładą. Operacya ta jest tak pospolitą u szlachty, że brat bratu, syn ojcu, ojciec synowi zajeżdża nocą, za żadną czynu takiego nie poczytując zakałę. Przed świtem dopiéro, gdy konie dobrze wyłożą boki, pasterz, oczy przetarłszy, z cudzego zmyka i pasie na swojém lub wspólném.

Postępki takie odbywają się często w sposób wysoce komiczny.

Dwaj sąsiedzi, żeby im było raźniéj, wybierają się na nocnik razem. Przyjechawszy do lasu, konie spętali i legli; lecz gdy Antoni, śród chrapania głośnego w objęciach Morfeusza się tuli, Bartłomiej cichaczem konie swoje w zboże śpiącego sąsiada wprowadza; poczém wraca i w głębokim śnie się pogrąża. Antoni przebudziwszy się późniéj, a nic o czynie Bartłomieja nie wiedząc, takiegoż samego wyrządza mu figla. Dziwią się potém sąsiedzi, jako ich zboże uległo zniszczeniu; molestując, radziby wiedziéć, kto im szkodę taką wyrządził.

Nie zawsze przecież operacya podobna przechodzi gładko. Troskliwy o mienie swoje gospodarz w noc późną majętność obchodzi lub, w miejscu zagrożoném ukryty, na szkodnika czatuje pilnie. W pomyślnym wypadku, konie zabrawszy, do obory je wiedzie; zniszczone zboże pod rozpatrzenie biegłych oddaje i wedle taksy wynagrodzenie otrzymuje za wyrządzoną mu szkodę. Na gorącym złapany uczynku, dla odbicia sumy, wypłaconéj na zasadzie wyroku biegłych, radby konie nieprzyjaciela również uchwycić w zbożu lub łące; gwoli zemście w biały dzień z jakiegobądź zabiéra je miejsca, z powodu czego do krwawych przychodzi bójek.

Dla zapobieżenia wzajemnemu sobie szkodzeniu, w niektórych wioskach szlachta na koszt wspólny utrzymuje męża, zwanego polowym. Obowiązany on jest nocą i we dnie nad nietykalnością pól i paśników czuwać; aresztować schwytane w miejscach wytkniętych lub zbożach: konie, bydło i ptastwo i trzymać takowe w oborze dopóty, aż ich właściciel wedle oznaczonéj taksy szkody nie zwróci. Mąż taki, za trudy swoje oprócz mieszkania i pensyi rocznéj pobierając od każdéj aresztowanéj sztuki wyłącznie na jego pożytek idącą karę, z wielką pilnością na wszystko zwrócone ma oko i, na własny bacząc interes, nie szczędzi nikogo. Instytucya polowego w zasadzie pomysłem jest dobrym, jeżeli nie zupełnie, to w znacznym przy-

najmniéj stopniu ogranicza szkodnictwo rozmyślne, w obec jednak krewkości szlacheckiéj rzadko gdzie utrzymać się może. Właściciel zaaresztowanéj w pszenicy krowy na polowego napada i garbuje mu skórę; inny pędzonego do obory rumaka w drodze odbija i sypie klątwami; ten znów z pachołkami drzwi gwałtownie otwiera i gęsi z więzienia uwalnia. Częstokroć z rozbitą czaszką i sińcami na ciele polowy, złorzecząc butnéj rzeszy szlacheckiéj, porzuca korzystną, lecz niebezpieczną posadę.

Skutkiem szczupłości fortun i rozrzucenia każdéj na dość znacznéj przestrzeni, paśniki muszą być wspólne. Składają się one, jakeśmy rzekli wyżéj, z obracanego w znacznéj części pod kartofle ugoru, z $1/3$ niezapuszczonéj łąki i z lasów, gdzie takowe szlachta posiada. Liczba inwentarza stosunkuje się według rozległości fortuny: każdy z posiadaczy utrzymuje go tyle, ile jest w stanie wyżywić przez zimę.

Do bydła pasterz jest wspólny, utrzymywany kosztem wsi całéj. Kolejno u każdego szlachcica, według liczby sztuk posiadanych przez tegoż, otrzymuje stół i ku pomocy pachołka. Pasterz ku postrachowi krów i byczaków uzbraja się w brząkacz, kij z metalowemi kółkami; gdzie paśniki są w lasach, rozmiłowanym we włóczędze bydlętom zawieszają na szyi drewniane dzwony klekoty; zbytnikom, do rozboju pochopnym, rogi piłują. Do owiec pasterz również jest wspólny: nierogacizna zaś jest pasiona koleją (od któréj się tylko uwalnia sołtys), zwykle przez płci obojéj dzieci szlacheckie; pod opieką tychże chodzą oddzielnemi stadami konie, indyki i gęsi. Dzieci, w guziki grając, z kijków pałace wznosząc, grzebiąc w piasku i wywracając koziołki, nierogaciznie, indykom i gęsiom pozwalają, niebaczne, wejść w szkodę, z czego smutne wynikają następstwa. Ileż indyków i gęsi legnie pod ciosem kija, gdy je właściciel zdybie w ustawionym na rżysku mędlu; ileż prosiąt, zdybanych w zbożu, od pocisku kamienia kuleje: a ilu maciorom pies ogon oberwie lub ucho rozszarpie na strzępy! Młodziutki pasterz, czy to pasterka, patrząc na trupy lub rany powierzonych swéj pieczy stworzeń, od płaczu się zanosząc, molestuje: o rety, o rety!

I ze wspólności paśników, lubo z nich każdy ma prawo korzystać dla takiéj liczby inwentarza, jaką jest w stanie wyżywić przez zimę, wynikają różne zatargi.

Zdarza się, iż w osadzie szlacheckiéj mieszka posiadacz, obszernością fortuny swojéj przerastający innych. Mając trzy, cztery lub więcéj włók ziemi, jest w stanie zebrać na zimę zapas słomy i siana nie tylko dla koni i bydła, lecz wystarczający i na utrzymanie setki lub więcéj owiec. Reszta szlachty, dla szczupłości sched swoich mo-

gąc wyżywić zaledwie woły, krów kilka i parę koni, niechętném pogląda okiem, gdy sąsiad bogatszy stado swoje wypędzi w lecie na paśnik wspólny. Owszem, do pogróżek z tego powodu przychodzi, bójek i kosztownych procesów.

W pewnéj wiosce, najzamożniejszy posiadacz chował sto owiec, gdy współwłaściciele nie mieli ich wcale. Niechęć ku temu okazali najprzód półgłośno, w jawnych późniéj pogróżkach; następnie, zebrani, zaaresztowali na polu będące stado i oświadczyli, jako właściciel sprzedać je musi, albowiem ono, z uszczerbkiem bydląt paśniki niszcząc, ogół o krzywdę srogą przyprawia. Właściciel przekładał, jako dla inwentarza, który jest w stanie wychować przez zimę, ma prawo ze wspólnych korzystać paśników, sąsiedzi jednak, przy swojém żądaniu stojąc uparcie, zaaresztowane owce trzymali w błotnistéj oborze, głodem je morząc i uwolnili je dopiéro po upływie dni kilku. Lecz właściciel nie chciał już wtenczas owiec tych przyjąć, za ich wyniszczenie i uszkodzenie wełny wynagrodzenia zażądał. Więc szlachta wypędziła stado do lasów na pastwę żarłocznych wilków, po kilku tygodniach z chorób i od dzikiego zwierza zmarniało do szczętu. Stąd proces podwójny: o prawo do paśników i o owce przez długie lata z wielką dla szlachty stratą się toczył, a nawet dotychczas jeszcze, choć to już dwadzieścia przeszło lat temu, skończonym nie został.

Szlachcic osobiście w każdéj robocie, jak zwyczajny parobek, przyjmuje udział. Wynosi mierzwę, bije cepami, pasie bydło, pracuje kosą i sierpem, sieje i orze, pokrzykując na woły: se! ać! a na konie: oł! lub ocip! wio! dziks! k'sobie! przyczém, oprócz wielu innych, używa przekleństw: bodaj cię wciurności! zarwunatam! a dla wyrażenia żalu, przestrachu lub podziwienia woła: o la Boga! o rety! Z niemniéj znacznym wysiłkiem, o czém powiemy niżéj, pracuje żona i wszystkie szlacheckiéj rodziny członki. Jeżeli przy małém gospodarstwie rodzina przedstawia siłę roboczą za dużą, synowie i córki idą na służbę do sąsiada lub dworu; w lecie szukają zarobku przy sierpie i grabiach. U zagonowców żaden członek rodziny nie ma wytchnienia, wszyscy, rodziców widząc na czele, w nieustannym są ruchu.

Lecz chociaż zagonowiec z zamiłowaniem i wielkim mozołem uprawia glębę, to jednak dla rozproszenia fortun, niemożliwości zaprowadzenia gospodarczych ulepszeń, dla praktykowanego na znaczną skalę szkodnictwa, jego dochody z ziemi redukować się muszą do minimum. „Fortun sześć, ale nie ma co jeść"—o przeciętnym szaraku można powiedzieć.

Nawet przed rokiem 1864 byli szlachcice równie ubodzy, w niektórych nawet miejscach ubożsi od chłopów, a ratunku nie mieli znikąd. Posiadając dla fortun swoich oddzielne hipoteki, otwierali sobie w razie potrzeby niewielki kredyt; lecz i to miało miejsce tylko dopóty, dopóki rozbita na części scheda nie otrzymała kilku właścicieli, hipotekę mających wspólną. Że zaś podobna podzielność fortun i wspólność hipoteczna była powszednią, dla szaraka przeto kredyt się zawarł. Wprowadzony do nas w pierwszéj ćwierci bieżącego stulecia systemat kredytowy również żadnéj śród drobnéj szlachty poprawy nie zdziałał. Instytucya ta wyjęła z pod uczestnictwa w pożyczce grunta, stu złotych ofiary nie wnoszące do skarbu, pominęła więc drobne, a nawet średnie majątki; właścicielom ich najmniejszéj nie przyniosła korzyści.

W obec takich warunków, ubóstwo szlachty było nieuniknioném; nie można się dziwić, że równie lub uboższą nawet się stala od chłopów. Ludzie z przed roku 1864 jéj nędzę poczytują za następstwo szczupłości fortun i gdy o uwłaszczeniu włościan rozprawiają niektórzy, „budzą się w wielu obawy o przyszłą pomyślność małych własności w tak wielkiéj liczbie wytworzyć się u nas mogących.“ „Obawy te,“ ciągnie ówczesny pisarz, „są poniekąd uzasadnione, a poparte przykładem licznych osad drobnéj szlachty w augustowskiém, podlaskiém i płockiém rozsadowionéj, które przy nadzwyczajném rozdrobnieniu własności pozostawiają wiele do życzenia“ (1).

Obawy te były niesłuszne i najmniéj dowodnie „przykładem licznych osad drobnéj szlachty“ poparte; zagonowca bowiem doprowadziły do nędzy nie mała własność, ani nawet szczupłość jego fortuny, lecz te warunki, śród których szlachcic bezowocnie musiał pracować: przeciwne gospodarczemu postępowi szachownice gruntów, cały szereg niedogodności sąsiedzkich, utrudnienie kredytu i brak oświaty.

Warunki te nie zmieniły się do dzisiaj. Działają z takąż samą mocą jak dawniéj i, jeżeli przed rokiem 1864 ekonomicznie stawiały szlachtę z chłopem na równi, to obecnie zepchnęły ją niżéj.

Dziś szlachcic, szczególniéj na mniejszéj siedzący schedzie, śród mniéj przyjaznych pracuje warunków od chłopa a ostatni, jeżeli został właścicielem jednolitego kawała ziemi, samodzielnym u siebie jest panem; lubo również posiada sąsiadów, jednakże w stosunkach

---

(1) Rocznik gosp. krajowego z r. 1862. T. I, str. 261.

gospodarskich nie jest tak bardzo od nich zależnym; same w sobie będące pola nie są narażone na wcięcia i szkody; może zaprowadzać ulepszenia, o których szlachcicowi przy dotychczasowych warunkach myśléć nie wolno.

Jedynym na zło środkiem zaradczym jest sprowadzenie rozproszonych cząstek każdéj fortuny do jednolitéj całości; z pozostawieniem wspólności paśników, odseperowania współwłaścicieli w każdéj osadzie. Znikłyby wtenczas niedogodności, sytuacyi dzisiejszéj właściwe; strona ekonomiczna drobnéj szlachty, a nawet jéj stan moralny znacznieby się mógł polepszyć.

Na przeprowadzenie jednak separacyi z inicyatywy saméj szlachty liczyć nie można. Potrzebę jéj pojmuje powszechnie, zbyt przywykła przecież do odwiecznéj rutyny za mało jest solidarną i podejrzliwą za bardzo, by podobnéj reformy była w stanie dokonać sama.

Próby, przedsiębrane w niektórych osadach, spełzły na niczém; gdzie niegdzie tylko uległy podziałowi bory i lasy, bo dla wspólnego z nich użytkowania wytępienie im groziło zupełne. W Grabienicach np., jak do dziś dnia istniejące znaki dowodzą, znaczny obszar przed ośmdziesięciu laty pokryty był wspaniałemi, do budowli zdatnemi sosnami. Nierządni szlachcice, nie tylko sami dla zdobycia smolnéj gałęzi okazałe ścinali drzewa, które na pastwę próchna pozostawiali na miejscu; nie tylko w pobliskich miastach za marną sprzedawali je cenę, ale nawet mieszkańcom wiosek sąsiednich nie bronili zabiérać gałęzi i kloców do ogrzewania mieszkań lub palenia gorzałki i piwa.

Pomiędzy lasami, na miejscach wyższych, zwanych: cembrzucha i grond ocalało kilkaset chojarów i te jednak w r. 1839 przez chciwość dziedziców zostały wycięte. Przyszło do tego, że nie tylko do budowli, lecz na płoty, a nawet na opał sprowadzać musiała szlachta materyał z lasów sąsiednich.

W r. 1846 nastąpiła umowa, żeby małe chojniaki i olszyny od dalszego wycinania osłonić; gdy jednak drzewo nieco podrosło, szlachta się znowu rzuciła ku jego wycięciu. Rozumniejsi a baczniejsi na przyszłość, w r. 1856 wnieśli na sejmiku projekt podziału lasów i borów; dla uporu i podejrzliwości trzech mężów upadł i, dopiéro w r. 1859 wznowiony, przyszedł do skutku. Podzielono lasy i bory pomiędzy dziesięciu współwłaścicieli w stosunku rozległości ich fortun. Od tego czasu każdy na budowle, płoty i opał ze swego wyłącznie udziału obowiązany jest czerpać; grzybobranie tylko i paśnik w tych lasach jest wspólny.

O separacyą gruntu jest trudniéj. Ten kawałek położony jest niżéj lub bliżéj, ten wyżéj i daléj; ten glebę posiada taką, ów inną;

ten bardziéj jest narażony na szkodę, ów się znajduje w położeniu bardziéj bezpieczném; wszystkie te okoliczności, w połączeniu z obawą, aby podział nie wypadł ze szwankiem, separacyą utrudniają niezmiernie. Przed kilku laty do jednéj z wiosek szlacheckich zwieziono już jeometrę (omętrę), który w trzech polach każdemu współwłaścicielowi według ciągniętych losów część odpowiednią wymierzył; i robota poszła na marne, albowiem sam inicyator, że mu kawałek przypadł piasczysty, od podziału odstąpił pierwszy, koszta pomiaru poniósłszy za karę. Sądzę, że tylko separacya przymusowa, z inicyatywy rządowéj podjęta, udać się może.

Pomimo tylu niefortunnych warunków, szlachta przecież z niektórych okolic, z kilkudziesięciu według odwiecznego systemu, lecz pracowicie uprawianych mórg ziemi, do znacznéj często zamożności przychodzi; w czasach ostatnich okazało się w jéj ręku kapitalików mnóstwo, które, że do papiérów procentowych zaufania nabrać nie może, obraca na kupno ziemi, większy dającéj dochód, niż martwa gotówka. Przed kilku np. laty na Podlasiu nabyła na własność parę większych majątków, jak: Bystrzycę, Gołąbki. Stoki, Suleje i inne. Zamożniejszym przykrzą się nieznośne z półwłaścicielami stosunki; pozbywszy się fortun, biorą większe dzierżawy lub osiadają na kilkowłókowych folwarkach. Do takiéj zamożności, prócz oszczędności, o któréj rzeknie się niżéj i pracowitéj uprawy, przyczyniają się wielce: handel wołami i końmi, przemysł domowy i gospodarstwo kobiéce.

Szlachcic stara się jak najmniéj kupować, sprzedawać najwięcéj. Czyni wkłady na żelazo, brykę, sieczkarkę, wozy, płużyce i drobne statki, których sam wyrobić nie może; kupuje dla siebie buty, czapkę, strój odświętny, który mu na długie lata wystarcza, kożuch na zimę; dla dzieci odświętne ubranie, dla żony: parasolkę i kapelusz, buciki, salopę z futrzanym kołnierzem, wstążki, mufkę i perkaliki na suknię; zresztą wszystkie inne potrzeby zaspakajać się stara produktami własnego gospodarskiego przemysłu.

Ku pożywieniu służy mu własnego pieczywa chléb czarny, na żarnach umielona mąka na kluski; ma mleko, kartofle, groch i kapustę, oprócz soli, octu i mało używanych towarów kolonialnych, wszystko posiada w domu. Przed laty, na wielkie święta zwykł pijać piwo, które sam z jęczmienia lub jałowcowych jagód wyrabiał, od czasu jednak podciągnięcia fabrykacyi tego trunku po wsiach pod opłatę akcyzy, albo, narażając się na karę piéniężną, wyrabia je potajemnie, albo go zaniechał zupełnie.

Na bieliznę nie potrzebuje wydać szeląga, albowiem tkane na własnym warsztacie płótno nie tylko zaspakaja wszelkie potrzeby,

ale nawet znaczny przynosi dochód. Cały zaś proces, od wypełcia lnu, aż do spieniężenia płótna na jarmarku lub targu, przesuwa się przez pracowitą rękę niewiasty.

Ona ze służącemi i najemnicami dostały len wyrywa z ziemi; kijonkami go młóci; następnie w kanale lub rowie moczy; najprzód przez rozpościeranie na łące, ostatecznie w umyślnie przygotowanych do tego dołach przez ogrzewanie wysusza; dla oddzielenia paździor łamie go i trze na tak zwanych tarlicach; otrzymane zaś włókna czesze i do dalszéj fabrykacyi sposobnemi je czyni.

Podczas całéj zimy izba szlachecka jest istną przędzalnią. Gospodyni, córki, służące i najemnice otaczają komin, na którym płonie łuczywo; pieśni nucąc lub rozsłuchanéj dziatwie opowiadając potworne klechdy, śród wesołéj gawędy a warkotu kółek, przez cały wieczór szarą nić snują. Kilkoletnie dzieci ze szpulek nawijają przędzę pasmami na motek; z kilkunastu połączonych ze sobą motków powstają przędziona, które, wymoczone w rozczynie z popiołu, znowu nawijają na szpule. Z tych idzie już przędza na snowalnię, która razem ze stojącemi przy ścianie krosnami całą prawie zajmuje izbę. Wark setki szpul, szybki obrót snowalni około przymocowanéj do belki sufitu osi; rozgłośne krzyki pracownic i dzieci, ilekroć przesuwana ze szpuli na snowalnię nitka zerwie się lub splącze, wszystko to nadaje izbie szlacheckiéj charakter iście fabryczny.

Porządna gospodyni wszystkie statki: kółka, szpulki, motaki, wijaki, szpule, snowalnię, krosna, płochy, cewki i t. p. posiadać musi, sama do krosen zasiada lub córkę swoję przy nich sadowi i rozmaitéj cienkości płótno, swojskiém zwane, pracowicie wyrabia. W lecie je bielą lub oddają do farby, poczém do miasteczka wywożą i znaczne za ten produkt otrzymują pieniądze.

Równie skrzętną jest zabiegliwość szlachcianki około chowania drobiu.

Na uciułane przez zimę jaja, w urządzonych w izbie mieszkalnéj kojcach, nasadza indyki, gęsi, kaczki i kury i na wiosnę otrzymuje stada różnego rodzaju piskląt. Nim to wszystko podrośnie, kłopot sprawia niemały. Gospodyni od ust swych dziatek odejmie jajo, by niém nakarmić kurczęta; oszczędza nabiału, by twarogiem napaść dziubiaki. Ileż trwogi i smutku, gdy jastrząb lub wrona uniesie źle przez dziatwę strzeżone pisklę: gdy mściwy sąsiad, zdybawszy w szkodzie dziubie lub gęsie stado, kilka sztuk z niego rozbije. Znaczny procent przed dojrzeniem z chorób epidemicznych i różnych przypadłości marnieje; otrzymane za dochowaną resztę pieniądze nie wynagradzają w złym roku długiego pasma mozolnie podejmowanych zabiegów.

W jesieni gęsiarze obchodzą wioski za kupnem; gosposia z dziećmi tęsknie żegna wypielęgnowane troskliwie stadko, gdy ono pod biczem nowonabywcy opuszcza wiejskie podwórze, by legnąć późniéj w kuchni żydowskiéj lub w restauracyach tuczyć miejskich smakoszów.

Pod opieką niewiasty pozostaje również nierogacizna i przychowek bydlęcy. Wyrobione z lnianego siemienia a w mleku rozczynione tak zwane kołaczki są powszechnie używanym pokarmem dla cieląt, z których wyrastają mlekodajne krowy i woły pożyteczne do pługa; z licznéj zazwyczaj trzody prosiąt część idzie na sprzedaż, sztuk parę do dalszego się utrzymuje przychowku, jedno zaś, na ospie i kartoflach się tuczy, a nosi miano karmnika. W połowie wielkiego postu, wprowadzonego do izby gospodarz, uzbrojony w nóż wązki a długi, uderza w serce; za nogi tylne nad ustawionym na podłodze szerokim korytem zawiesza trupa u belki i brzuch mu rozpłatawszy wyciąga z niego wnętrzności. Wypróżnionego rozkładają w korycie, polewają ukropem, wyrywają z niego szczecinę, którą starannie wiążą w maleńkie pęczki; skrobią i dzielą na dwie części, z których każda zowie się połciem. Aż do świąt samych gospodyni robi kiełbasy, kiszki, szynki wędzi w dymniku, a połcie, rozpięte na wąskich deszczułkach, na hakach zawiesza w alkierzu.

Szlachcianka z wszelkiego drobiazgu umié wykrzesać korzyść. Ze szmat różnych wyplata derki; dla wypchania poduszek i pierzyn, aż do zakazu przez Towarzystwo opieki nad zwierzętami, podskubywała gęsi; każe dzieciom zbierać na paśniku uronione pióra i puchy; kilkanaście groszy corocznie otrzymuje za świńską szczecinę; wywozi do miasteczka miód, ogrodowizny wszelkie, kury, jaja, masło, gomułki i séry.

Pracowitość jéj obudza podziw. Gotuje śniadanie, obiad i wieczerzę; idzie z sierpem do żniwa, z grabiami do siana; każdego wieczora policzy ptastwo, pomaca kokosze, nakarmi nierogaciznę, wydoi krowy, wykłóci się z opieszałą służącą; pierze bieliznę; szyje dla męża, dzieci, a nawet dla służby koszule i letnie paletoty, a oprócz tego znajdzie czas do odwiedzenia sąsiadki i niejednę chwilę na plotki. Czuwa nad dziećmi i próżnować im nie da. Od cztérech lub pięciu lat wieku w lesie pasą indyki, gęsi, nierogaciznę nawet, cielęta i konie; zimą drą pierze, skrobią kartofle lub nawijają nici na motki.

Rzec można, że u drobnéj szlachty na kobiécie spoczywa cały ciężar dorobku. Opieszałego męża słowem lub czynnie nawet

zachęci do pracy; mając kasę w swém ręku, skąpo mu udziela grosza na tytuń i wódkę; oszczędnością a zabiegliwością własną na czarne lata i wyposażenie córek z mozołem wielkim gromadzi fundusz.

Jeżeli szlachta przy tylu niekorzystnych dla jéj gospodarstwa warunkach ma się stosunkowo dość dobrze, najpoważniejszy udział w dorobku przyznać musimy kobiécie. Szlachcic, niedbałą mający żonę, z mikroskopijnéj fortuny na folwark nie wyjdzie i tysiącem złotych nawet nie wyposaży swéj córki.

O WYCHOWANIU MŁODZIEŻY.

Wychowanie młodzieży jest sprawą tak ważną dla każdego społeczeństwa, że najznakomitsi mężowie nie wahali się zajmować uwagi spółczesnych sobie ludzi tym przedmiotem. Rozumiano doskonale, że młodzież dnia dzisiejszego jutro, pojutrze, czy za rok, opuści ławy szkolne i wejdzie w szereg obywateli kraju, zajmie rozmaite stanowiska i utworzy społeczeństwo tyle umiejące i tyle warte, ile ona się nauczy i ile będzie warta.

Lecz nie tylko ludzie ukształceni i wyżsi, równie i prostacy czują, choć może jasno nie pojmują, jak dla ich dzieci potrzebna jest edukacya. A jeżeli przeciwko temu twierdzeniu możnaby przytoczyć objawiającą się tu i owdzie niechęć do szkoły, pochodzi to nie tyle z braku rozumienia potrzeby edukacyi lub obojętności, ile raczéj z biedy i braku środków materyalnych w rodzinach ubogich tak miejskich jak i wiejskich, które zmuszone są bardzo wcześnie zaprzągać dzieci swoje do pracy przy warsztacie lub na roli. Sądzimy zatém, że wobec takiego stanu rzeczy i takiego usposobienia rozmaitych warstw społeczeństwa względem edukacyi, byłoby zbyteczném dowodzenie jéj potrzeby i ważności: prawd oczywistych nie potrzeba dowodzić. Zachęcać jednak do dbałości o rozwój i ulepszenia edukacyi; pokazywać, że nie jesteśmy jeszcze u zenitu tak w wychowaniu publiczném jak i domowém; nasuwać, coby z naszéj strony czynić należało, by sprawa edukacyi dzieci przynajmniéj w szerszych kołach czytających rozumianą była: to nie powinno być zbyteczném.

Ale wychowanie młodzieży jest sprawą tak różnostronną i wielostronną; nasuwa piszącemu tyle punktów do rozważania; że zaledwie obszerne dzieła na ich dostateczne zgłębienie wystarczają. Jasném więc jest, że w piśmie peryodycznem nie możemy rozpocząć wykładu pedagogiki w całéj obszerności, co zresztą byłoby niepotrzebném, gdyż szukający w tym przedmiocie informacyi, znajdą ją częścią w książkach swojskich, częścią w cudzoziemskich. Prawideł ogólnych, stosujących się do wychowania młodzieży we wszystkich miejscach i po wszystkie czasy, spotykamy dosyć w literaturze peryodycznéj i dziennikarskiéj: tych więc nie będziemy powtarzali. Ponieważ zaś, jak wspomniano, pedagogia jest sprawą bardzo wielostronną i zawiłą, więc postanowiliśmy na ten raz pomówić nieco o wychowaniu średniém, czyli środkującém między edukacyą wyższą ogólną i specyalną, a niższą, czyli elementarną. Wszakże i przy takiém ograniczeniu przedmiotu dotkniemy tylko edukacyi męzkiéj, nie dla tego, żeby edukacya dziewcząt nie zasługiwała na rozważanie; lecz dla tego, że wiadomości nasze w tym kierunku są szczupłe, a edukacya męzka, bądź co bądź, nadaje ton całemu społeczeństwu i z niéj o niém sądzą postronni.

Trzy są główne strony, na które w wychowaniu młodzieży trzeba zwracać uwagę: fizyczna, umysłowa i moralna, czyli obyczajowa. Bez względu na wiek młodzieży i na zakłady naukowe w jakich się kształci, o zaspokojeniu stron tych pamiętać należy. Jakoż na niektóre z punktów wchodzących do tych trzech względów chcemy zwrócić uwagę czytelnika; a lubo mamy mówić przeważnie o wychowaniu średniém, gdy jednak wszystkie stopnie wychowania mają wiele okoliczności spólnych; zatém i postrzeżenia nasze mogą być z pewnemi ograniczeniami stosowane do wszelkiego rodzaju wychowania.

Zakładów naukowych średnich rządowych liczono w Królestwie na początku r. 1877 gimnazyów i progimnazyów męzkich 26 (18 i 8) a w nich uczniów 7.778; żeńskich gimnazyów i progimnazów 17 (10 i 7) a w nich uczennic 2.722. Dodawszy do tego trzy szkoły realne z 893 uczniami, było zakładów średnich 46, a uczących się 11.393 osób. Ile jest podobnych szkół średnich prywatnych, nie wiemy na pewno; ale przypuściwszy, że jest ich o połowę mniéj niż rządowych, i że w nich uczy się tylko trzecia część téj liczby młodzieży, jaką wykazują szkoły rządowe, łatwo zrozumiéć: jak ważném jest wychowanie średnie, choćby tylko ze względu na ilość uczącéj się młodzieży. Byłoby téj młodzieży niezawodnie więcéj, gdyby szkoły były liczniejsze i opłata niższa, jak tego dowodem jest liczba zgłaszających się

kandydatów podczas egzaminów powakacyjnych. Słusznie więc pisma peryodyczne zachęcały ludzi możniejszych, magistraty miast i wreszcie samych rodziców, żeby się starali o zakładanie szkół prywatnych, lub otwieranie oddziałów równoległych przy szkołach rządowych. Gdyby zdołano poczynić ułatwienia, o jakich mowa, okazałoby się może, iż procent uczących się w stosunku do całéj ludności Królestwa, nie byłby niższy od takiegoż procentu w innych krajach. Zanim jednak zmiany w tym kierunku nastąpią, dobrze jest rozważyć stan obecny naszéj edukacyi w zakładach średnich.

A najprzód co do strony fizycznéj. Logiczny porządek wykładu rzeczy nakazuje zastanowić się najpiérw nad fizycznêm wychowaniem dzieci. Uczeń, zanim zostanie uczniem, mogącym przyjmować edukacyą umysłową i obyczajową, jest istotą organiczną, zwierzątkiem, które dopiéro z czasem ma zostać całkowitym człowiekiem. Zatém ojciec, matka, czy jakikolwiek pedagog powinni się znać na téj istocie, która ma być przedmiotem ich doświadczeń. Byłoby więc bardzo pożądaném, ażeby ci wychowawcy rozumieli cokolwiek anatomią i fizyologią ciała ludzkiego i przepisy higieny. Znając się na tém, wiedzieliby jakiéj ilości pracy od dziecka można wymagać, jakie powinny być jego: pożywienie, ubranie, mieszkanie, zabawy itp. Tymczasem ojciec lub matka, dlatego tylko, że im Bóg dał być ojcem i matką, lub pedagog, ktorego często brak innéj pracy do pedagogii popchnął, sądzą, że mogą dobrze wychowywać dzieci nie mając najmniejszego, albo co gorsza, fałszywe wyobrażenia o fizycznéj konstytucyi człowieka. Babcie, ciocie, niańki i kumoszki mają swoję medycynę i higienę, swoje gusła i zabobony, które stanowią cały zasób ich wiedzy o człowieku. A ponieważ one to przez pierwszych lat 10 lub więcéj chowają dzieci; więc lepsza znajomość machiny ciała ludzkiego byłaby im bardzo pożyteczną, choćby ta znajomość nie była tak głęboką, o jakiéj myślał pewien pedagog w Warszawie, który, zamiast pedagogiki akuszeryą podobno wykładał.

Nie zamierzamy tu po szczególe zastanawiać się nad tym przedmiotem; możemy tylko zalecić go uwadze pedagogów i rodziców, a po dalsze objaśnienia odesłać ich do nowszych dzieł pedagogicznych oraz przypomnieć wyborny traktat Jędrzeja Śniadeckiego: „O fizycznêm wychowaniu dzieci."

Pomijając wszakże tyczące się tego przedmiotu szczegóły, nie możemy zaniechać rzucenia kilku myśli o przeciążaniu dzieci pracą umysłową i o ćwiczeniach fizycznych.

Już w katechizmie uczono nas, że człowiek składa się z ciała i duszy, że na ciało jeżeli nie równa co na duszę, jednak znaczna część uwagi powinna być zwrócona, zwłaszcza gdy chodzi o wychowanie dzieci. Mechaniczne pojmowanie owego związku duszy z ciałem sprawiało przecież, że w traktowaniu młodzieży popełniano nieraz grube błędy. Gdy zaś lepiéj poznano ścisły związek obojga i zrozumiano, że jedno z drugiém organicznie jest związane, że jedno na drugie rzeczywiście oddziaływa; zaczęto i w wychowaniu innych przestrzegać prawideł, chcąc ażeby była *Mens sana in corpore sano*. Więc dzięki gruntowniejszemu poznaniu się z fizyologią człowieka i zrozumieniu, że mózg jest naczelnym organem myślenia, przestano sobie wyobrażać, jakoby się w głowie ludzkiéj wszystko zmieścić mogło. Dziś rozumieją to świadomi ekonomii ciała ludzkiego, że jak żołądek dziecka nie odrazu wszelki pokarm przyjąć i strawić może; tak również chcąc mózg utrzymać zdrowym, należy mu oszczędzać pracy umysłowéj nadmiernéj, przewyższającéj bądź jego rozwój organiczny, bądź możność przyjęcia i strawienia podawanego pokarmu umysłowego. O tém wiedzą ci wszyscy, co się starali ile tyle rozumiéć czynności organizmu ludzkiego.

Inaczéj przecież sądzi wielu ojców i matek. Są oni tak naiwni, iż mniemają, że zdolności ich dzieci są bez granic: że byle je uczono dobrze i dużo, wszystkiego się mogą nauczyć. Dla tego oprócz godzin szkolnych, obciążają je nauką muzyki, rysunków, obcych języków, tak, że dziecko miałoby co robić, gdyby dzień liczył podwójną liczbę godzin. Nie przychodzi im na myśl, że siły organizmu wyczerpują się zarówno, a może więcéj pracą umysłową niż fizyczną, i że w umyśle ludzkim tylko pewna, ograniczona suma wiadomości mieścić się może. Suma ta różni się odpowiednio do natury i konstytucyi samego organizmu, wieku, zdrowia; ale zawsze nie jest bez granic. Zapominają, że umysł po nasyceniu go, że tak powiemy, pewną ilością pokarmu umysłowego, więcéj w danéj chwili przyjąć nie może, a to, co w niego wmuszą, zrzuci. Takie wmuszanie jest pogwałceniem ekonomii umysłowéj, kończące się zanikaniem zdolności, zniechęceniem moralném i osłabieniem organizmu cielesnego.

Tymczasem moda nie pozwoli na przestrzeganie téj higieny mózgowéj; dziecko musi mówić po francusku, niemiecku, angielsku, włosku; musi rysować, grać, śpiewać, tańczyć i to w określonym przeciągu czasu, gdyż bez tego edukacya nic nie warta. Więc też wyrastają maryonetki paplające kilkoma językami, które szkół publicznych nie skończyły, albo miernie skończyły; mnożą się istoty papinkowate, niezdolne do żadnéj twardszéj pracy umysłowéj,

cherlające od dzieciństwa, nie mogące wytrzymać naszego klimatu składające kruche kości na obcej ziemi.

Oszczędzanie całego układu nerwowego, a szczególniéj mózgu, powinno być przestrzegane szczególniéj przy układaniu planu edukacyi tak publicznéj, jak i domowéj. Rzecz to dla każdego zrozumiała, że nadmierna praca organu myślenia, musi się odbić na układzie mięśniowym i ogólném wycieńczeniu organizmu, a następnie, co już będzie tylko wynikiem poprzedniego, na stępieniu władz, czyli zdolności umysłowych.

Na przeciążenie dzieci nauką skarżą się teraz pedagogowie w rozmaitych krajach i ukazują na moralne, umysłowe i fizyczne następstwa tego systematu wychowania. Nic to jednak nie pomaga. Wymagania coraz się zwiększają, suma wiadomości ludzkich z każdym rokiem wzrasta, a podołanie choćby początkom tych wiadomości, wymaga dużego zasobu sił fizycznych od dziecka. Nie godzi się więc przeciążać je wiadomościami mało użytecznemi lub wcale nieużytecznemi, opychać kupą słów wtenczas, gdy głowa jego na objęcie rzeczy prawie nie wystarcza. Zdawałoby się, że ci, co tak na ilość nauki nalegają, nie chcieliby uczniowi niczego zostawić do uczenia się po skończeniu szkoły; pragnęliby, żeby jak Minerwa z głowy Jowisza wyskoczył wszystko odrazu umiejącym. Jest to błąd, pochodzący z zapomnienia o naturze zdolności umysłowych i o ich granicy.

Pierwszém więc, czego rozsądna pedagogika domagać się powinna, jest zmniejszenie ilości godzin przeznaczonych na pracę umysłową, co dałoby się osiągnąć przez zmniejszenie liczby przedmiotów wykładanych, odłożenie wiadomości mniej na razie potrzebnych na później, usunięcie mniéj użytecznych do osobistéj z czasem pracy. Powtóre, w interesie nadrastającego pokolenia trzeba wołać o równoważenie pracy umysłowéj z fizyczną, czyli z ćwiczeniami fizycznemi.

Jest to prawdziwa przyjemność widziéć młodzież rosłą, dobrze rozwiniętą, zdrową, rumianą, gdyż to pozwala przewidywać, że w tych ciałach jędrnych, leżą warunki do jędrnego rozwoju umysłu. Łokietków z wielkiemi umysłami do wyjątków zalicza historya, a już *zdechlaczków*, jak ich Francuzi nazywają, żadna szkoła, żaden mistrz nie urobi na mężów zdolnych do twardych warunków życia. Na takim gruncie nic się nie rodzi, nawet silniejsze namiętności nie wschodzą.

Skarżą się ludzie na karłowate pokolenie nasze i podobno słusznie. Jakoż, dość popatrzéć na chłopców w szkole, na rekrutów pędzonych przez ulice Warszawy, na lud zebrany w kościele, na jarmark lub jakiekolwiek liczniejsze zgromadzenie naszego społe-

czeństwa, żeby zaraz przyszły na myśl bajki o karłach. W uboższych klasach narodu, nędza i ciężka praca przy skąpym i lichym pokarmie, nie pozwalają na wzrost pięknych kształtów ludzkich. Po miastach znów, osobliwie dużych, życie gorączkowe, nerwowe, brak powietrza, praca w zamkniętych mieszkaniach, wcześnie rozpuszczone namiętności; także nie pozwalają bujać organizmowi. A jednak piękna rasa ludzka, to nie tylko najpiękniejsza ozdoba ziemi, ale to oraz jéj bogactwo największe, bo rasa taka dzielniéj pracuje, pożyteczniéj się uczy, skuteczniéj bije i dochodzi do panowania nad innymi. Dbać więc o fizyczne zdrowie ciała dziecinnego, jest obowiązkiem wychowawców na równi z dbałością o ich rozwój umysłowy i moralny.

Można dość zasadnie przypuszczać, iż te objawy anty-społeczne, jakie wstrząsały ostatniemi czasy społeczeństwami nawet ucywilizowanemi, i które nazwano epidemią moralną, miały swe źródło, oprócz innych przyczyn, w tém wyniszczeniu cielesnego organizmu, spowodowaném częścią przedwczesném użyciem życia, częścią nadmierną pracą umysłową i wysileniem układu nerwowego, któremu nie stawiała przeciwwagi silna konstytucya muskularna.

To karłowacenie rasy ludzkiéj nie mogło ujść baczności ludzi rozważnych, w których ręku spoczywało prawodawstwo szkolne. Już dawno zaprowadzono w rozmaitych krajach ćwiczenia gimnastyczne lub zatrudnienia fizyczne dla młodzieży szkolnéj, tak, by praca umysłowa szła na przemiany z fizyczną, i żeby system nerwowy odzyskiwał siły wtenczas, gdy mięsny pracuje. I u nas ustawa szkolna zaprowadziła od kilku lat gimnastykę w zakładach naukowych. Przeznaczono prócz tego do każdéj szkoły lekarza, zaczęto przynajmniéj zastanawiać się nad ilością miejsca potrzebnego w salach szkolnych, nad ławkami i ich wadliwą konstrukcyą, nad oświetleniem i powietrzem; słowem, widzimy, że przynajmniéj w zasadzie uznano ważność fizycznego wychowania młodzieży.

Za naszych czasów nie znaliśmy w szkołach gimnastyki. Była dwa razy w tydzień rekracya: we środę i sobotę, w godzinach popołudniowych. Chłopak, w godzinach wolnych od lekcyi latem grał w piłkę, często z nauczycielami; kąpał się, odbywał gromadą wycieczki do blizkiego gaju, śpiewał, skakał i gimnastyki uczonéj nawet z imienia nie znał. Zimą była ślizgawka. Co to za rozkosz piłka i ślizgawka! Gdzie wy dni radosne? *Eheu, fugaces labuntur anni!*

I dziś zapewne w małych miasteczkach żaki szkolne grają w piłkę i ślizgają się o ile czas pozwoli, tylko że czasu mało, bo i rekracyi nie ma i lekcyi tyle, że chcąc im zadość uczynić, musi chło-

pak w domu drugie tyle czasu siedzićć co w szkole, żeby na jutro być przygotowanym. Pewnie prześcigniemy Newtonów! Więc w małych miasteczkach może tam jeszcze chłopcy grają w piłkę i po parę wiorst jeżdżą na łyżwach. Ale w Warszawie? Na grę w piłkę nie ma miejsca. Ledwie gdzie malcy zaczną się bawić, zjawia się właściciel domu, stróż ogrodu publicznego lub żołnierz stójkowy i gwarną rzeszę rozpędza. Naokoło okna, kląby kwiatów, przechodnie, gdzież tu użyć *palanta!* Ślizgawka na Wiśle niebezpieczna, na Saskim placu lód rychło topnieje, w Saskim ogrodzie szczupluchno, a do tego trzeba zapłacić. Mamże ci jeszcze na ślizgawkę dawać piéniądze, woła niejeden ojciec lub matka, któréj brak do objadu kilkunastu groszy. Dobrze więc, że zaprowadzono po szkołach gimnastykę. Zobaczmy jak ona wygląda.

Ci, co u nas budowali gmachy szkolne, o gimnastyce nie myśleli, nawet podwórza dość obszernego nie zostawili. Zdawałoby się, że o higienie tyleż wiedzieli co Hottentoci. Tymczasem nowa ustawa kazała zaprowadzić do szkół gimnastykę. Jeżeli pogoda, wychodzi klasa lub dwie na podwórze i jak kury w kojcu maszerują, wyciągają ręce, nogi, przysiadają, wstają i, po półgodzinném kołysaniu się, wracają do zajęć. Jeżeli słota na dworze, gimnastyka odbywa się na kurytarzu, lub w wolnéj sali, gdzie kurz zatyka oddech. Ani miejsca, ani przyrządów, ani czasu, boć półgodzinna pauza południowa, nie może dla tylu klas wystarczyć. Więc raz, dwa na tydzień po pół godziny odbywa gimnastykę każda klasa. Czy to może mieć jakikolwiek wpływ na zdrowie dzieci? Pokazuje się więc, że dobre zamiary prawodawstwa szkolnego nie dają się urzeczywistnić dla braku czasu i odpowiednio budowanych gmachów szkolnych.

Ma téż każda szkoła swojego lekarza. Zagląda on do niéj parę razy na tydzień, czasami zapisze receptę dla uczniów, których chorymi zastanie; ale ponieważ chorzy zwykle do szkoły nie chodzą i leczą się w domu u znanych rodzicom lub opiekunom lekarzy; więc i recept wiele nie potrzeba zapisywać. Zapewne, gdyby go wezwano do domu, przyszedłby jak każdy inny; czy jednak za tę wizytę należałoby mu zapłacić, nie jest nam wiadomo. Tymczasem gimnastyk i lekarz płatni są z etatu szkoły, wprawdzie pensye ich nie są wysokie, ale zawsze na całe imperyum uczyni to znaczną sumę.

Gdy więc gimnastyka dla przytoczonych powodów nie wiele się może przyczyniać do fizycznego rozwoju dzieci, powinniby rodzice myśléć o zajmowaniu ich w godzinach wolnych od lekcyi, pracą w warsztatach, naturalnie takich, gdzie się nie wymaga długiego siedzenia. Byłaby z tego korzyść dwojaka: wzmocnienie sił fizycznych i obznajmienie się z pewném rzemiosłem. Podobno było gdzieś

w starożytności prawo, żeby każdy obywatel umiał jakiekolwiek rzemiosło chlebodajne. Być może, iż to rzemiosło nie byłoby uczniowi w przyszłości potrzebne jako środek zarobkowania; zawsze jednak obeznałby się z twardą pracą na kawałek chleba i znalazł rozrywkę szlachetniejszą, niż w teatrzyku ogródkowym. Jakoż wiadomo nam, że niektórzy rodzice, powodowani temi względami, zaczęli byli posyłać dzieci do warsztatu w godzinach wolnych od lekcyi. I tu przecież pokazały się trudności nie do zwalczenia. Nasze warsztaty nie są, jak wiadomo, przybytkami ani wielkiéj pracowitości, ani dobrego obyczaju. Dzieci lepiéj wychowane wchodziły do koła młodzieży ciemnéj, po większéj części zepsutéj, rozpuszczonéj, szydzącéj z *paniczyka*, tak że w końcu prób tych trzeba było zaprzestać. Na zaprowadzenie znów warsztatu w domu rodzicielskim najczęściéj brak miejsca, lub gospodarz nie pozwoli, by mu podłogi i mury wstrząsano. Słowem, cała ta sprawa fizycznego wychowania dzieci pozostaje do rozwiązania.

Powtóre, co do strony umysłowéj. Ustawa szkolna dotychczas obowiązująca dzieli zakłady średnie na gimnazya klasyczne i szkoły realne. W gimnazyach klasycznych przeważają wykłady języków klasycznych, w szkołach realnych matematyki i języków nowożytnych. Nadto, przedmioty dzielą się na ważniejsze i mniej ważne; do pierwszych zaliczają się języki starożytne, rosyjski i matematyka, do drugich reszta. Język polski wykłada się tylko dla chcących go słuchać, co znaczy, że nie jest obowiązkowym przedmiotem.

Przed niedawnemi czasy toczyła się żwawa dyskusya w dziennikach Cesarstwa, a częścią i w naszych o to, czy lepsze jest wychowanie klasyczne, czy realne. Dziś ta polemika z musu, czy téż dobréj woli przycichła. Ludzie przychodzą do tego przekonania, że ta edukacya jest najlepsza, która podaje wiadomości pożyteczne gruntowne i tanio kosztuje. Wszelka edukacya, oparta na poznaniu słów, choćby ich setki tysięcy spamiętano, nie zastąpi edukacyi, która uczy poznawać świat, rozumiéć rzeczy na nim będące i obracać je na pożytek ludzki. Wygłoszenie takiego axyomatu, lubo on zdaje się być sam przez się oczywistym, wymagałoby rozwinięcia; mianowicie, jak pojmować edukacyą, zasadzającą się na poznaniu słów, a jak na poznaniu rzeczy. Zamiast długiéj argumentacyi, weźmy przykład. Mamy, dajmy na to, przed sobą dwóch młodzieńców po skończonéj edukacyi zakładu średniego. Jeden z nich wié, że polski wyraz *drzewo* tłómaczy się po grecku przez wyraz *dendron*, po łacinie *arbor*, po francuzku *l'arbre*, po angielsku *tree*, po niemiecku *baum*. Drugi nie umié go żadnym obcym językiem nazwać, ale zna jego gatunek i rodzaj, wytrzymałość i siłę ogrzewalną, użyteczność i geograficzną ojczyznę. Który

z tych dwóch młodzieńców więcéj i pożyteczniéj się uczył? Odpowiedź zdaje się nietrudna. Ależ i piérwszy może nietylko umiéć nazywać drzewo rozmaitemi wyrazami, lecz także znać jego botaniczną klasyfikacyą i użyteczność. Tak, może i nie może. Może, to jest może się nauczyć, gdy go uczyć będą; ale nie może w ten sposób wielu rzeczy poznać, bo na to mózg jego nie wystarczy. Przypuśćmy bowiem, że tylko tysiąc roślin zechcemy nazwać pięcioma językami, a obok tego spamiętać ich klasyfikacyą, użytki i t. p. szczegóły: a zobaczymy do jakich cyfr musi dojść suma tych wiadomości. Tymczasem człowiek potrzebuje znać nie tylko rośliny, ale i wiele innych rzeczy. Jeżeli więc uczy się je tylko nazywać a nie zna ich własności i użytku, mówimy, że wiedza jego jest *słowna*; w przeciwnym razie, nazywamy ją *rzeczową*. Z tego już czytelnik może sam wyciągnąć odpowiedź na pytanie, o jaką wiedzę starać się należy.

Jeżeli się cofniemy w swoję przeszłość i przyjrzymy historyi naszéj edukacyi, okaże się, że była ona od wieków przeważnie słowną, i téj okoliczności, oprócz innych, możnaby przypisać brak oryginalnych umysłów, zdolności wynalazczych, usposobienie ledwie do kopiowania cudzych myśli, wyrobienie form językowych a ubóstwo treści, niejaki rozkwit wymowy i poezyi, a stosunkowo słaby rozwój nauki ścisłéj i poważnéj. Temu wychowaniu, opartemu na uczoności słownéj, trzeba także przypisać brak ludzi uzdolnionych do pracy, jak nazywają, fachowéj, gdzie rym i średniówka, prozodya i skandówka nie wiele znaczą. Za tém poszła konieczność posługiwania się obcymi, którzy każą sobie dobrze płacić wtenczas, gdy swoi skarżą się na brak chleba.

Nie należymy wcale do przeciwników wychowania klasycznego; pewna cząstka ludzi, przeznaczonych na pedagogów, uczonych, literatów, potrzebuje swój zawód oprzéć na klasycznéj podstawie. Dla tego życzyć sobie należy nie wyrugowania nauk klasycznych, lecz zrównoważenia ich szerszym wykładem nauk ścisłych i przyrodzonych. Jak w wielu innych rzeczach, tak i w edukacyi trzeba obliczać, co ona kosztuje, a co przynosi. Na dzieła filologiczne, na filologów choćby nie europejskiéj sławy, napróżno się oglądamy.

W edukacyi realnéj poświęca się stosunkowo dużo czasu na matematykę teoretyczną, zwłaszcza na rysunki, bardzo niewiele na nauki przyrodzone, trochę na języki nowożytne, a starożytne są zupełnie z niéj usunione. Niedawno jeszcze był w szkołach realnych język łaciński wykładany; dzisiaj go nie ma, a przydałby się, bo zpośród realistów prędzéj niż zpośród filologów mogą uczniowie iść na medycynę, nauki przyrodzone, gdzie w wielu razach jest on

koniecznie potrzebny. Prócz tego nie tamowałoby się uczniom szkół realnych możności wejścia do uniwersytetu, co także dla wielu z nich byłoby pożądaném.

Co jednak w obu systematach tak klasycznym jak i realnym zostało pominięte, a co byłoby bardzo użyteczne, to nauka prawa i ekonomii politycznéj. W wyższych klasach gimnazyum i szkół realnych, przydałoby się bardzo choćby po parę godzin na tydzień obu przedmiotów. Że wiadomości z obu tych działów są nadzwyczaj każdemu obywatelowi potrzebne, tego nie dowodzimy, uważając rzecz za jasną. Przecież nieznajomością praw obowiązujących nikt się tłómaczyć nie może, a jeżeli ich nie zna, szkodę samemu sobie musi przypisać. Tak również elementarne wiadomości z ekonomii politycznéj, szczepione wcześnie w umysły młodzieży, mogłyby ją chronić od utopii socyalistycznych i sposobić na lepszych gospodarzy, ojców rodziny, członków gminy i obywateli państwa.

Mógłby ktoś powiedzieć, że przedmioty te są wykładane w uniwersytetach, a powtóre, zkąd wziąć godzin na ich wykład? Otóż, co do pierwszego, wiadomo, że nie wszystka młodzież, lecz zaledwie mały jéj procent przechodzi z zakładów średnich do uniwersytetu lub szkół specyalnych; co do drugiego, prawda, że godzin tygodnia powiększyć nie może żadna ustawa ludzka: gdyby jednak zmniejszono liczbę przedmiotów i usunięto mniéj ważne, okroiłoby się może parę godzin na uczenie rzeczy zamiast słów.

Zastanawiając się nad przedmiotami wchodzącemi w zakrés wychowania średniego, możnaby powiedziéć, że jest ich za wiele, chociaż nie ma tych, których znajomość bardzoby się człowiekowi przydała. Następnie i to widoczne dla znającego stan rzeczy, że zakrés wskazany programatami każdego przedmiotu jest za obszerny, zkąd wynika, że nauczyciel nie może wydążyć na wykład i powtórzenie w oznaczonym terminie, zwłaszcza, że powinien przesłuchiwać uczniów co lekcya. A tak przechodzimy z kolei do ilości godzin przeznaczonych na wykład i naukę.

Już poprzednio zwrócono uwagę na przeciążanie uczniów ilością pracy; ale tam była mowa o skutkach ztąd wynikających dla ich zdrowia. Tu z innéj strony jeszcze ten sam przedmiot należy obejrzéć.

Uczniowie znajdują się w szkole średnio 5—6 godzin dziennie. Ażeby się na te 4 lekcye przygotować, muszą w domu mniéj więcéj drugie tyle godzin pracować, szczególniéj, gdy się zbiegną lekcye trudniejsze. Jeżeli prócz tego biorą lekcye języków lub rysunku, muzyki, w domu, wówczas na pracę umysłową trzeba poświęcić 10—12 godzin dziennie. Pytamy się teraz: czy młody organizm,

zwłaszcza wątlejszy, może bez szkody dla zdrowia pracować umysłowo choćby tylko 10 godzin dziennie? A jednak chcąc zadość uczynić programatowi i otrzymać promocyą do następnéj klasy, powinien tyle godzin pracować. Co ztąd wynika? Pilniejsi i zdolniejsi ledwie ledwie przebrną; leniwsi i mniéj zdolni, przesiedziawszy w klasie dwa lata, opuszczają szkołę zniechęceni, zleniwiali do szczętu, do niczego niezdatni. Takich zdolniejszych można liczyć 10 na stu, i taki też procent kończy szkoły ze stopniami dobremi. Przy nich prześliźnie się jeszcze 2 lub 3 słabszych, ledwie dostatecznych. Jakoż, po wprowadzeniu nowéj ustawy szkolnéj kończyło 3, 5, lub 7 uczniów gimnazya; dziś ich kończy nieco więcéj, ale zawsze mało. Jeżeli zaczynali szkołę we 40 i wszyscy dociągnęli do 8 klasy, a na końcu studyów otrzymuje świadectwa dojrzałości średnio 10, to w istocie procent nie wielki. Naturalnie przypuszczenie to jest o tyle nieścisłe, że zapewne nie było jeszcze przykładu, żeby wszyscy, zaczynający klasę pierwszą, doszli razem do 7-éj czy też 8-éj. Ale gdybyśmy wzięli tylko ogół uczniów, dajmy na to 400, i w stosunku do téj cyfry uważali procent kończących, to i tak nie bardzo korzystnie wygląda.

Jedną z przyczyn tego faktu, zdaje nam się być, zapominanie znanéj maxymy pedagogicznéj: *multum non multa.*

Rozważając rutynę teraźniejszéj pedagogii, przychodzi mimowoli na myśl pytanie, czy też kiedy dożyjemy takich czasów, żeby w szkole nie tylko zadawano lekcye i słuchano, lecz żeby ich oraz nauczono; żeby dzieci nie potrzebowały w domu zakładać drugiéj szkoły ku utrapieniu rodziców. Byłby to szczyt pedagogicznéj sztuki. Nim jednak te błogie czasy nastąpią, zobaczmy dlaczego teraz jest taki system niepodobny do przeprowadzenia. Oto najprzód programata, wskazujące zakrés mających się wykładać przedmiotów, są za obszerne, wymagania ich nadmierne. Nauczyciel musi się stosować do programatu i wyłożyć w ciągu roku tyle, ile ustawa nakazuje. Chociaż więc w klasie jest tylko 40 uczniów (w wyższych prawie nigdy téj cyfry nie ma), jednakże nie mogą oni być *często* przesłuchiwani dla braku czasu. Tym sposobem każdy z owych 40 uczniów wydaje lekcyą ledwie parę razy na miesiąc, zwłaszcza jeżeli przedmiot wymaga więcéj czasu na jéj wydanie, jak np. matematyka. Uczniowie zatém mogą obrachować, kiedy który z nich będzie do lekcyi wezwany i wogóle rzadko się mylą w tym obrachunku. Już zaś, jak wiadomo, częste przesłuchiwanie lekcyi, jest pierwszą zasadą pedagogiczną, ażeby uczeń nie wiedział dnia i godziny, a témsamém ciągle i systematycznie odrabiał na każdy dzień zadane lekcye i powoli przyswajał sobie części wykładanego przedmiotu.

Pociąga to za sobą inne jeszcze następstwa. Ustawa zaleca, żeby w pisaniu uczniom stopni brano za podstawę cyfry średnie tak z kwartału jak i z całego roku przy jego zakończeniu. Jeżeli zatém uczeń rzadko był pytany, dajmy na to, dwa lub trzy razy na kwartał (szkolny), wówczas średnia cyfra wyciągnięta z niewielkiéj liczby przypadków, jest bardzo daleka od słusznego ocenienia jego pilności i postępów w nauce. Gdyby był pytany często i niespodziewanie, średnia cyfra byłaby jako tako znośnym środkiem do oceniania pilności i uzdolnienia. Dodajmy, że zły stopień otrzymany w pierwszym kwartale wpływa na ostateczny stopień pod koniec roku, tak że jeżeli uczeń w pierwszym kwartale otrzymał 2, a w następnych trzy razy po 3, więc gdy się poprawił, jednak w końcu roku szkolnego wypadnie mu nie całe 3 i, pomimo poprawy, promocyi nie dostanie. Brak do całości $1/2$ lub $3/4$ zatamuje mu przejście do klasy wyższéj, będzie siedział drugi rok w téj saméj i często już i owéj brakującéj $1/2$ nie doścignie.

Mierzyć za pomocą ułamków zdolności i usposobienie naukowe niezmiernie trudno; trzebaby też zostawić nauczycielowi pewną swobodę w ocenianiu pilności i naukowych postępów ucznia, skoro mu powierzono wykład przedmiotu. On zdaje się być najodpowiedniejszym do tego sędzią. Ustawa szkolna prawdopodobnie chciała ochronić uczniów od arbitralności nauczyciela, od faworyzowania niezasłużonych: tymczasem uczniowie gorzéj na tém wychodzą.

Ponieważ szkoła dotychczas nie jest w możności przygotowywania uczniów w klasie do lekcyi zadanych na dzień następny, muszą oni zatém przygotowywać się w domu. Ale im młodszy uczeń, tém więcéj potrzebuje w domu pomocy; ztąd wynika nieodzowna konieczność trzymania dla niego korepetytora. On to właściwie chłopca uczy, bo w szkole mają czas ledwie na wysłuchanie lekcyi i to rzadko. Chociaż młodzież uniwersytecka, uczniowie klas wyższych, a nawet wielu postronnych w korepetycyi szukają chleba; jednakże o dobrych korepetytorów, zwłaszcza dla uboższych rodziców, nie łatwo. Korepetytor powinien ze swym pupillem pracować dziennie 2 do 3 godzin i, jeżeli sam coś umié, pracę swoję odpowiednio ceni i każe sobie zapłacić miesięcznie 15—20 rubli. Licząc miesięcy szkolnych w roku tylko 9, korepetycya będzie kosztowała około 180 rubli, wtenczas gdy opłata szkolna kosztuje rocznie tylko 30 rubli. A gdzie teraz ubranie, książki, stół i inne wydatki? Ile taka edukacya kosztuje przez lat 8 lub 12, jeżeli chłopak leniwszy? Co za te koszta zyskano, w jakim one zostają stosunku z rezultatem naukowym? Niech to sobie rodzice obliczą.

Zaczęliśmy mówić o korepetytorach, a skończyliśmy na kosztach; nie jest to przecież tak dalekie jedno od drugiego: bez znacznych wydatków, nie można mieć dobrego korepetytora, a bez niego znów uczeń nie dostanie promocyi. W obec takiéj alternatywy każdy z rozsądnych ojców woli zapłacić, byle go stać było, korepetytorowi, niż zostawiać syna w téj saméj klasie na rok drugi, po upływie którego może także jeszcze nie dostać promocyi. Na korepetytorze polega obecnie postęp ucznia, osobliwie w niższych klasach; kosztuje on dosyć, ale zawsze mniéj niż utrzymanie całoroczne ucznia.

Przyjrzyjmy się jeszcze egzaminom. Uczeń, wstępując do szkoły, składa egzamin dla okazania, do jakiéj klasy jest przygotowany; potém składa egzamin roczny, daléj z 4 klas, potém z 6-u i nareszcie z całego biegu nauk egzamin dojrzałości. Prócz tego w ciągu roku od czasu do czasu otrzymuje temata do ćwiczeń lub przykłady do rozwiązania na piśmie, co także jest egzaminem. Szkoła tedy jest przeważnie zakładem egzaminatorskim. Skoro więc tyle jest egzaminów, jeszcze o nich słowo.

Egzamina uznane są powszechnie jako środek pedagogiczny nieodzowny tak dla dobra uczniów jak i dla kontroli nauczyciela. Są one dobre i skuteczne, gdy są rzadkie; ale obojętnie bywają przyjmowane, gdy się często powtarzają. I dobrego może być czasami za wiele: *Ne quid nimis*.

Według ustawy szkolnéj, egzamina są ustne i piśmienne: te ostatnie decydują o umysłowéj dojrzałości ucznia. Nic nad tę zasadę sprawiedliwszego. Uczeń, który ze słuchanego przedmiotu potrafi zdać sprawę na piśmie bez pomocy książki, dowodzi témsamém, że sobie pewien przedmiot przyswoił i wcielił go niejako w swój organizm umysłowy. Egzamin zatém piśmienny jest niewątpliwą próbą postępów ucznia w naukach. Egzamina piśmienne klas niższych w gimnazyach są stosunkowo dość łatwe: winien uczeń przetłómaczyć z greckiego lub łaciny na rosyjskie i odwrotnie kilka zdań, ustęp jakiś z prozaika lub poety, z któremi już ile tyle się obeznał na lekcyach. W szkołach realnych zamiast greckiego i łaciny jest niemiecki i francuzki, nadto przykłady z matematyki. Na takie piśmienne odpowiedzi uczeń nawet średnich zdolności, jeżeli pracował, może i powinien zadawalniająco odpisać. Ale najważniejszą sprawą dla młodzieńca kończącego zakład średni, jest egzamin dojrzałości, podczas którego decydują również odpowiedzi piśmienne. W tym celu p. Kurator rozsyła do dyrektorów gimnazyalnych opieczętowane temata. W terminie oznaczonym kandydaci zbierają się w gmachu szkolnym, otrzymują arkusz papiéru ostemplowany pieczęcią szkolną, dowiadują się o temacie i zasiadają do pisania odpowiedzi. Podczas

tego przygotowania, rozsadzają ich w klasie tak, żeby jeden z drugim nie mógł się skomunikować i pomocy sobie udzielić. Jeden z nauczycieli lub dyrektor czuwa ciągle nad piszącymi i, w miarę jak który swoję pracę ukończy, odbiéra ją od niego i tak postępuje aż do ostatniego. Uczniowi nie wolno jest mieć z sobą żadnéj pomocy, nawet słownika. Jeżeli nadzorujący spostrzeże, iż uczeń posiłkuje się książką, odbiéra mu ją, poczém nie dozwalają mu daléj już składać egzaminu, traci prawo do otrzymania patentu. Kilka wypadków przekonało, że prawo to jest surowo przestrzegane.

Zebrane odpowiedzi ocenia najprzód starszyzna szkolna wraz z nauczycielem przedmiotu, z którego się egzamin odbywał, pisze uczniowi stopień odpowiednio do jego wypracowania, poczém ćwiczenia te odsyłają do zarządu Kuratora. Tu nowa komisya kontroluje ocenę nauczycieli, poczém roboty owe przesyłają do ministeryum oświecenia.

Jak z tego widać, manipulacya przy egzaminach ostatecznych jest wielce skomplikowana, a tajemniczość osłaniająca temata oraz rozmaita kontrola nad wypracowaniami mają na celu zapewnienie téj próbie jak największéj ścisłości. Ci, którzy ją przejdą zwycięzko, uznani są za dojrzałych.

Co do egzaminów w ogóle, a zwłaszcza tych ostatnich, tyle możnaby powiedzieć: Z doświadczenia, każdemu kto się uczył, wiadomo, że egzamina otoczone takiemi ostrożnościami, mające decydować o losie ucznia, musiałyby nawet na ludzi dojrzałych sprawić wrażenie zakłócające spokój umysłowy konieczny do zebrania myśli, przypomnienia sobie dat chronologicznych, prawideł matematycznych i wogóle na możność zebrania materyału potrzebnego do ćwiczenia. Tym bardziéj chwila taka oddziaływa na młodzieńców, krewkich już dla więku swojego. Więc się mieszają, tracą przytomność umysłu: obawa, wstyd, żal straconych lat, niełaska ojcowska i inne uczucia cisną się naraz mimowoli. Wiadomości, zwykle luźnie trzymające się głowy jako pośpiesznie przed egzaminami zgromadzone, w chwili egzaminu spływają w chaotyczną masę, z któréj nie wiadomo co wybrać a co odrzucić, co może być do odpowiedzi piśmiennéj przydatne, a co mogłoby być opuszczone. Kilka godzin podobnéj pracy, przy niepewności rezultatu, są za twardą próbą na młode umysły. Czyż można sumiennie z odpowiedzi pisanych w takich warunkach, sądzić o dojrzałości ucznia? Jeżeli on w ciągu całéj bytności przez lat kilka w szkole ciągle okazywał pilność i postępy dostateczne; zdawałoby się, że rada pedagogiczna, złożona z nauczycieli wykładających i znających ucznia, powinnaby być

władną do wydania mu świadectwa dojrzałości, bez względu na pisane odpowiedzi jego podczas egzaminu.

Egzamina takie są niezawodnie jedną z przyczyn tak szczupłego procentu kończących gimnazya i szkoły realne. Czy one bardzo wpłyną na podniesienie umysłowego poziomu tych dojrzałych, trudno z góry wyrokować. Od przyszłości trzeba czekać kryteryum. Jeżeli w skutek tego systematu średnia skala oświecenia okaże się wyższą; jeżeli powstaną umysły oryginalne; jeżeli się wzmoże produkcya literacka w kierunku poważnym; jeżeli pokolenie teraz wykształcone mniéj będzie potrzebowało oglądać się na Zachód i jego zdobycze umysłowe kopiować: będzie to dość dobre kryteryum tego systematu edukacyjnego. Naturalnie, w tym ogólnym rezultacie udział na szkoły średnie przypadłby tylko w pewnéj części, albowiem uniwersytety i szkoły specyalne miałyby także swoję *pro rata*. Zostawiając więc przyszłości wydanie w téj sprawie werdyktu, chcemy jeszcze pomówić nieco o udziale rodziców w wychowaniu umysłowéj strony ich dzieci.

Wiele rodziców mniema, że gdy wpis szkolny opłacili, książki, reisbrety, reisceigi pokupowali, korepetytora ugodzili; mogą się już nie troszczyć o edukacyą swoich synów i córek. Jest to błąd bardzo zgubny. Nawet przy najlepszym systemacie edukacyi, dom rodzicielski powinien szkole pomagać w sprawie oświecenia. Rodzice, którzy rozumieją, czém jest edukacya, powinni zaglądać do szkoły, pytać przełożonych i nauczycieli o sprawowanie i postępy w nauce swoich dzieci, kontrolować domowe zatrudnienia, przeglądać książki i kajeta, ażeby wiedzieli, czego się dzieci uczą i jak się uczą. Jeżeli się zagląda do obory i kurnika, toż godzi się zajrzéć do umysłowego gospodarstwa dziatek, ażeby wiedziéć, jak ono idzie. Ale któżby grał w karty, bawił się w teatrze, gdyby ojcowie i matki więcéj przestawali z dziećmi? Przecież im opłacili szkołę, zgodzili korepetytora, mająż się jeszcze trudzić ich nauką?

Zaprowadzono w ostatnich czasach bardzo pożyteczną nowość w gospodarstwie uczniów: są to dzienniki, w których winni zapisywać wszystko, co jest zadawane na lekcyą i gdzie nauczyciel-gospodarz klasy notuje stopnie otrzymane w ciągu tygodnia, oraz robi uwagi dla wiadomości rodziców. Ci powinni znów co tydzień podpisać dziennik, że widzieli i czytali stopnie i uwagi. I podpisują je w istocie. Ale jak się to dzieje? Oto czasami rodzice lub opiekunowie kładą swój podpis z góry na cały kwartał. Nawet tak małego trudu wielu nie chce sobie zadawać, aż dopiéro gdy przyjdzie czas promocyi, gdy chłopca na drugi rok w klasie zostawią lub ze szkoły wypędzą, słychać narzekania.

Nie godziłoby się też rodzicom zapominać o swoim języku, którego należy w domu poduczać, albowiem parę godzin przeznaczonych nań w szkole, to za mało; na więcéj zaś nie ma tam czasu. Jeżeli są metrowie do francuskiego, jeżeli stać na naukę brząkania; toż powinno się znaléźć trochę czasu i na to, żeby dzieci po polsku czytały, pisały i mówiły poprawnie.

Mieliby tedy rodzice obok szkoły nie mało do roboty, gdyby rozumieli interes swój i dzieci, gdyby przynajmniéj ci, co się znają na wykładanych przedmiotach, wglądali w naukę i kontrolowali postępy w niéj czynione. Takie są niektóre desiderata pod względem umysłowego wykształcenia młodzieży. Zobaczymy jeszcze coby można powiedziéć o moralnéj stronie wychowania.

Po trzecie, co do strony moralnéj czyli obyczajowéj. Jak w poprzednim ustępie, gdzie była mowa o umysłowéj stronie wychowania, dotknęliśmy tylko niektórych punktów z tego działu; tak i w niniejszym ograniczymy się do tego, co ma bliższy związek z potrzebami naszéj pedagogii.

Nie masz, jak wiadomo, w teraźniejszym systemacie edukacyjnym osobnych lekcyi etyki czyli nauki obyczajowéj. O ile doświadczenie uczy, abstrakcyjna moralność, oderwane prawidła etyczne, głoszone dzieciom równie jak i starszym ludziom, najmniéj podobno skutku wywierają. Dlatego nie sądzimy, żeby osobne godziny etyki były potrzebne w szkołach. Przy każdej szkole znajduje się jeden lub więcéj duchownych, którzy wykładają naukę religii swojego wyznania; oni więc najwłaściwiéj mogą teoretyczną etykę łączyć z zasadami religijnemi. I w istocie, tak się dzieje. Rozbiór przykazań bożych, nauka o grzechach i cnotach, mogą tak być prowadzone, że wszystkie ważniejsze pytania etyczne przy nich i w nich się zmieszczą. Zależy tu wiele od doświadczenia i zdolności samego nauczyciela, od poparcia, jakiego doznaje ze strony kolegów nauczycieli. Nadto, zasady obyczajowe głoszone pod sankcyą religii mogą mieć dla młodych umysłów więcéj powagi i świętości, niż rozumowanie abstrakcyjne, suche, zawiłe, a przeto mimo uszu puszczane. Chociaż więc niektórzy nowatorowie chcieliby odłączyć etykę od nauki religii i zaprowadzić „moralność niezależną,“ ani chrześciańską ani muzułmańską, a szkołę uczynić bezwyznaniową: jesteśmy przekonani, że związek etyki z religią ma słuszne za sobą i poważne względy.

Ale parę godzin katechizmu na tydzień, bytność w kościele na nabożeństwie, to zaledwie maleńka cząstka tego wpływu, jaki oddziaływa na moralne urobienie charakteru w dzieciach. Pod tym względem może dom czyli rodzina więcéj, a prawie wszystko zdziałać. Rozważmy więc niektóre ze środków, jakie szkoła i dom mogą stosować

w celu etycznego wychowania dzieci. Środki te nazywają dodatniemi i ujemnemi. Do pierwszych należą: dobry przykład, rozwijanie cnót męskich, jak honor, i gospodarskich, jak oszczędność, lub towarzyskich, jak prawdomówność; do drugich, kara z rozmaitemi jéj stopniami i sposoby zapobiegające złemu.

W szkole, dobry przykład działa głównie ze strony kolegów, nauczyciele bowiem choćby z obawy utraty miejsca, muszą się mieć na baczności.

Ustawa szkolna dozwala uczniowi zostawać w téj saméj klasie najwyżéj dwa lata. Dzieci wchodzące do szkoły mają zwykle po lat 10. Jeżeli uczeń albo dozoru nad sobą nie ma, albo z natury jest tępy i po dwa lata w każdéj klasie przebywa, a drugi znów co rok wyżéj się posuwa; zdarza się, iż w téj saméj klasie jeden będzie miał lat 14, drugi 18. Kiedy piérwszy jest jeszcze dzieckiem pod wielu względami, drugi już próbował rozmaitych przyjemności życia: fajeczki a częściéj papiérosa, truneczku, bilardu, ogródka, teatrzyku i t. d. Zleniwiał, wyrósł i żartuje sobie z prostoduszności znacznie młodszego kolegi. Ten oczywiście chce mu dorównać, bo pamiętajmy, że jest to honor pewnego rodzaju, a przykład nawet na starszych potężnie wpływa. Dopieroż na młodszych! Przecież już starożytni wiedzieli o tém, mówiąc, że człowiek jest zwierzem najbardziéj naśladowczym, *Zoon mimekotaton.*

Jak téj niedogodności wynikającéj z nierównego wieku zaradzić, nie wiemy; dość, że ona istnieje. Niejeden ojciec dziwi się, zkąd jego Staś, który w domu nic gorszącego nie widział ani słyszał, ni ztąd ni zowąd dobrał klucz do ojcowskiego biurka i ztamtąd wyciągnął cygara a czasem kupony od listów zastawnych. Poszukawszy między kolegami Stasia, znalazłby może tego mentora, który Telemaka nauczył papiérosy palić, w bilard grać, wódeczkę smalić, za aktorkami w dorożkach się ścigać i *klakę* im urządzać.

Szkoła z tytułu swojego przeznaczenia ma obowiązek pracować nie tylko nad postępem w naukach, lecz i nad moralném wychowaniem powierzonéj sobie młodzieży. W cenzurach kwartalnych każdy nauczyciel zapisuje uczniowi stopień nie tylko z nauki, lecz i ze sprawowania. Jest to wprawdzie pożyteczne, ale sprawowanie się ucznia w szkole nie może być miarą jego moralnéj wartości. Przez kilka godzin w szkole potrafi on być moralnym, a to, co idzie na karb niemoralności, są to drobne przewinienia: rozmowa podczas lekcyi, śmiechy, małe figle nie będące w gruncie występkami. Zdarza się czasami grubszy występek, jak kradzież książek, opuszczanie godzin z lenistwa, i to bywa karane wydaleniem ze szkoły. Wogóle jednak szkoła mniéj niż dom ma wpływu na moralne wyrobienie dzieci.

Władza szkolna za szkołą, osobliwie w dużych miastach, nie ma możności czuwania nad postępowaniem uczniów.

Za to wpływ domu rodzicielskiego, najbliższego otoczenia, na obyczaje młodzieży jest prawie bezwarunkowy. Wpływ ten jednak powinien się wywierać nie za pomocą oderwanych morałów i ustawicznego zrzędzenia, lecz głównie i przedewszystkiém za pomocą wszechmocnego przykładu; *Verba movent*, *exempla trahunt*. Jeżeli rodzice czy starsi w ogóle, niesumiennie wychodzą ze służbą, rzemieślnikami, korepetytorem; napróżno będą dzieciom zachwalali sprawiedliwość. Jeżeli matkę stać na suknię balową za 200 rubli, a nie stać na uiszczenie kilkunastu rubli krawcowi, na książkę lub atlas dla syna; jeżeli ojciec przegra w karty, przepije u *Stempka* piéniądze przeznaczone na zapłacenie komornego; napróżno zachwalać będą dzieciom oszczędność i sumienność w dotrzymywaniu zobowiązań. Jabłko pada niedaleko od jabłoni. W takiéj rodzinie synowie i córki nie będą lepsi od ojców i matek. Ile jest cnót towarzyskich, gospodarskich, obywatelskich, do wszystkich najlepszą zachętą są przykłady starszych. Nie książeczki z moralnémi powiastkami kupowane na gwiazdkę szczepią moralność w rodzinie; rzadko, a może nigdy z nich nie nauczono się praktykowania życia obyczajowego.

Słusznie poniekąd nazywają dom rodzinny świątynią. Nic, co wstyd obraża: ani mowy, ani książki, ani obrazy bezwstydne nie powinny być cierpiane wobec dzieci. Bujna ich wyobraźnia sama z siebie jest pochopna do zboczeń; podniety więc budzące namiętność zdala winny być trzymane. Nawet półsłówka i niedomówienia starczą dla bystrzejszych dzieci.

Wszakże, lubo dobry przykład jest najskuteczniejszym sprawcą życia cnotliwego w młodzieży, nie godzi się pomijać i tych środków, jakie doświadczenie podaje w celu wyrobienia w dzieciach pewnych cnót, bądź przez instytucye, bądź przez prostowanie pojęć o honorze. O tém obojgu jeszcze słów parę.

Z pomiędzy cnót gospodarskich należy przed innemi wpajać w dzieci oszczędność, co przy naszéj lekkomyślności, rozrzutności i nieoglądaniu się na złe jutro, wielkiego jest znaczenia. Trzeba dziecko dotykalnie przekonać, że odmawiając sobie chwilowéj przyjemności albo ją tylko zmniejszając, gotuje sobie w późniejszym czasie przyjemność większą i niezależność od kaprysu ludzkiego i przypadków losowych. Żeby zaś i pod tym względem proste zachwalanie oszczędności nie pozostało bez skutku; należałoby po szkołach zaprowadzić *kasy* przyjmujące najmniejsze, choćby dwugroszowe wkłady. Już prasa dopominała się o to urządzenie; głosy jéj jednak pozostały bez rezultatu. Trzeba wołać usilniéj. Kłopot to

dla szkoły nie tak wielki. Codzień jeden z nauczycieli mógłby po skończonych lekcyach poświęcić kwadrans godziny na przyjmowanie drobnych oszczędności uczniowskich. Grosze te mogłyby zostawać u dyrektora w depozycie, i na żądanie ucznia, za poświadczeniem rodziców, mógłby je sobie odebrać. Z tych drobnych oszczędności możnaby czasami opłacić wpis pilnego a ubogiego kolegi, naturalnie za zgodą uczestników. Podnosiłoby to dzieci moralnie, uczyło solidarności w potrzebie, rozwijało myśl o jutrze i chęć stawienia czoła złéj przyszłości.

Należy też w dzieciach budzić wcześnie poczucie honoru, które może ich ustrzedz od wielu występków. Wprzód jednak trzeba wyłożyć, co rozumiéć przez honor. Trzeba wpajać w młode pokolenie to przekonanie, że honor nie może być obrażony nierozważném słówkiem kolegi, ale że go plami próżniactwo, kłamstwo, nierzetelne wychodzenie z ludźmi. Trzeba szczepić szlachetną dumę, która w szczęściu nie bodzie innych, a w nieszczęściu nie pełza, lecz stara się wybrnąć z niedoli i stać o własnych siłach.

Przejdźmy do środków, któreśmy nazwali ujemnemi, i rozważmy dwa z nich: zapobieganie złemu i karę cielesną.

Zapobiegać złemu, jest to gotować drogę cnocie. Nie należy więc puszczać dzieci szkolnych do zwiedzania teatru i teatrzyków, ogródków, kawiarni, *górek* bilardowych i tym podobnych przybytków uciechy. Teatr, gdyby w nim zawsze grano sztuki podnoszące szlachetne strony ludzkiéj natury, mógłby stanowić wyjątek i to dla starszéj młodzieży. Ale oprócz wspomnionych miejsc bardzo niebezpiecznych dla obyczajów młodzieży, są jeszcze jak w Warszawie, inne, z pozoru godziwe, a jednak bardzo demoralizujące młodzież szkolną. Mamy na myśli budy antykwarskie połączone z czytelniami, wypożyczające książek do domu. Władza szkolna nie ma prawa nakazania zamknięcia tych przybytków mądrości: zostają one na prawach przysługujących handlującym. Mniemane te księgarnie skupują od młodzieży książki już niby niepotrzebne za bajecznie nizkie ceny. Złe ztąd płynące jest dwojakiego rodzaju. Najprzód stanowią one zachętę do kradzieży książek, która nie zdarzałaby się wcale, lub rzadko, gdyby kradzionych nie było gdzie sprzedać. Pieniądze, otrzymane za takie książki, idą na papiérosy i ciastka. Powtóre, trzymając książki do czytania i pożyczając ich uczniom za opłatą, pobudzają malców do innych występków, a głównie do kradzieży pieniędzy rodzicom, lub służącym. Książki wzięte z téj czytelni są to najczęściéj bezecne romanse, które już przeczytali lokaje i pokojówki, poczém przeszły do antykwaryusza i będą stanowiły najroskoszniejszą lekturę żaków szkolnych. Wtenczas gdy nauczyciel zrywa piersi na dowodzeniu

twierdzenia z matematyki, lub objaśnia użycie aorystu w greckiéj konstrukcyi, uczeń pod ławką roskoszuje się scenami *Izabelli* lubi wszelkiego gatunku *Tajemnic*. Pisma warszawskie już zwracały uwagę na te czytelnie i ostrzegały kogo należy: żyją one przecież dotychczas i, nie siejąc i nie orząc, żywią całe rodziny próżniackie. W tym stanie rzeczy, należy rodzicom czuwać nad książkami dzieci i nad antykwaryuszami, bo, jak powiedziano, władza szkolna nie ma prawa zamknąć tych bud szkodliwych, a złe ztamtąd płynie szerokiém korytem.

Nareszcie jednym ze środków mających działać na rozwinięcie obyczajowéj strony w młodzieży są nagrody i kary: o jednych i drugich kilka jeszcze uwag.

Nagrody, jakiemi szkoła rozporządza, są bardzo skąpe. Za pilność w naukach i dobre sprawowanie się, uczeń otrzymuje w klasie publicznie pochwałę, sadzają go na pierwszém miejscu ławy szkolnéj, zapisują na tablicy wywieszonéj w klasie, dają w końcu roku szkolnego książkę, a medal srebrny lub złoty po skończonych celująco naukach. Nagrody więc są nieliczne, otrzymują je zwykle najzdolniejsi i najpilniejsi, mający największą sumę z dodanych stopni rocznych i egzaminowych. Takich wybranych bywa w klasie dwóch, trzech, rzadko więcéj: jest więc utrzymana zasada, żeby nagród nie spospolitować zbytecznym ich szafunkiem, a nadto wpoić w młodzież to przekonanie, że nauka i dobre obyczaje są jéj obowiązkiem, za który nikomu się nie płaci. Wiadomo, że w innych krajach, jak np. w Anglii, otrzymują lepsi uczniowie i nagrody piénięžne. Nie zdaje nam się, żeby te ostatnie były lepsze lub gorsze od innego rodzaju nagród.

Nagroda w domu leży zupełnie w ręku rodziców lub starszych, nie krępują ich żadne przepisy, mogą zatém próbować rozmaitych sposobów nagradzania, począwszy od uśmiechu i pogłaskania a skończywszy na piénięžnych datkach. Wskazówek pod tym względem nie trzeba wielu; dość tu będzie przypomniéć zasadę bezstronności czyli sprawiedliwości. Zdarza się nieraz, że w domu, gdzie jest więcéj dzieci niż jedno, ojciec kocha bardziéj jedno, matka drugie i, przy wymierzaniu tak nagrody jak i kary, stają się niesprawiedliwymi dla własnych dzieci. Jest to ciężki błąd, który jak trucizna działa powoli i z czasem zgotuje nienawiść do jednego z dwojga rodziców. Dom rodzinny jest małém państwem, a państwa bez sprawiedliwości nie mogą się długo trzymać. Kaprys, sympatye i antypatye nie powinny być motorami, gdy chodzi o wyrobienie moralnego charakteru małoletnich obywateli.

Tyle co do nagród; zobaczmy jeszcze co o karach dałoby się powiedziéć.

Były czasy, w których pieniek i monitor boćkowski służyły za jeden z kapitalnych środków na „muchy w nosie“, lenistwo i inne grzechy młodości. Powtarzano z namaszczeniem maxymę: gdy słowa nie skutkują, razy pomogą: *Si verba non prosunt, verbera proderunt.* Uczono na pamięć znanego wierszyka: „Różczką Duch Ś-y dziateczki bić radzi,“ lub mniéj znanéj ody Naruszewicza do bizuna: „O z wieków cudotwórczy, synu byczéj skóry!“ Słowem, rózga była i do ostatnich czasów tak w domu jak w szkole walnym środkiem pedagogicznym. Teraz poszła ona do zbiorów archeologicznych, mówi się o niéj jak o barbarzyńskiéj torturze. Staliśmy się nagle humanitarnymi.

W karach, równie jak w nagrodach mogą być nieprzeliczone stopnie. My tu rozważymy tylko ich najwyższy stopień, karę cielesną.

Gdyby mały obywatel był odrazu człowiekiem; gdyby młodzi i starzy chcieli z dobréj woli wykonywać prawa i przepisy: kara oczywiście byłaby niepotrzebna. Ponieważ jednak do zostania człowiekiem, jakiego teraźniejsze społeczeństwo cywilizowane potrzebuje, długoletnie tresowanie jest wymagane, a natura ludzka w młodszych latach bardziéj do zwierzęcéj niż ludzkiéj się zbliża: ztąd mimo ubolewania filantropów, bez kary nie mogą się obejść ani dom i szkoła, ani warsztat i fabryka, ani społeczeństwo i państwo.

Ustawa szkolna dziś obowiązująca usunęła ze szkoły karę cielesną, ale zostawiła inne. I tak, uczeń niepoprawny może być postawiony w kąt, posadzony w osobnéj ławie na kilka godzin lub parę tygodni, pójść do aresztu na godzinę lub więcéj, otrzymać naganę publicznie od nauczyciela gospodarza klasy lub dyrektora, nareszcie być zupełnie wydalonym ze szkoły. Jakie skutki ten system karania, znany i dawniéj, przyniesie, nie można z góry przewidzieć. W innych krajach wolno jest użyć w szkole kary cielesnéj względem uczniów klas niższych (w Anglii).

Prawodawca, uchylając karę cielesną ze szkoły, był widocznie powodowany względami humanitarnemi i uważał karę taką za ubliżenie naturze ludzkiéj. Czujemy pewien wstręt na widok kary cielesnéj, wymierzanéj dojrzewającemu młodzieńcowi, lub człowiekowi starszemu, choćby wina ich była oczywistą i wielką. Czy to sprawiła wyższa cywilizacya, czy sentymentalizm i przekonanie o bezskuteczności takiéj kary na indywidua starsze i w złém zestarzałe: dość, że jéj coraz mniéj używają względem winowajców starszych.

Czy i z dziećmi tak samo postępować należy? Im, mówią, rózga nie ubliży, godności ludzkiéj z nich nie zetrze, bo się ta jeszcze nie wyrobiła, a doświadczenie uczy, że strach i ból fizyczny czasami pomagają na rozmaite choroby moralne młodzieży. Dla tego obrońcy

starych zwyczajów rzecz o karze zamykają sentencyą, że lepiéj dziecko ukarać rózgą, niż potém szubienicą. Mają te argumenta trochę słuszności, a przekonanie żaków szkolnych, że ich karać nie wolno, działa na dezorganizacyą ładu szkolnego.

Stosowanie jednak tego środka powinno być bardzo ostrożne i rzadkie, raz dlatego, by dzieci nie widziały w nim zemsty i nienawiści swojéj nie kierowały ku karzącym; powtóre, żeby i na tę *ultimam rationem* nie stały się obojętne. Ani bowiem kara cielesna jest środkiem niezawodnie wiodącym do trwałéj poprawy, ani jednakowo działa na wszystkie organizmy. Jeżeli kara cielesna, zastosowana raz lub dwa, nie skutkuje, uczeń powinien być wydalony.

Niektórzy z nowszych pedagogów, przeciwni karaniu dzieci, radzą zostawić je skutkom własnego postępowania. Mówią, że nikt cudzém doświadczeniem nie stał się mędrszym. Niech się dziecko raz sparzy, a drugi raz nie wetknie palca w ogień. Po co je dwa razy karać? Jest w tém nieco prawdy, gdy chodzi o starszych, ale w stosunku do dzieci, rada niepraktyczna.

To, co powiedziano o karności szkolnéj, da się zastosować i w domowéj. Błogosławiony dom, który się bez niéj obejść może; a jeżeli nie może, niech kara, zwłaszcza cielesna, będzie rzadka, ostrożna i niekoniecznie połączona z całowaniem rózgi. Twarda, nieustępująca wola starszego, systematycznie przez pewien okrés lat przeprowadzana, a z drugiéj strony prawdziwa, rozsądna miłość dla młodzieży, mogą sprowadzić do minimum potrzebę kary.

Pedagogia jest sztuką praktyczną, opartą na stosowaniu w danym razie rozmaitych nabytków nauk teoretycznych i doświadczenia: ma więc jak wszystko swoje granice. Nie potrzeba, jak mniemamy, nikogo przekonywać, że nie jesteśmy wszechmocni. Najlepszy garncarz nie zrobi porcelanowéj wazy z lichéj gliny. Pedagog téż nie zrobi doskonałym ucznia, który już z urodzenia pewne kalectwo fizyczne lub predyspozycyą ze sobą na świat przyniósł. Nie wiemy téż na pewno, ile jest prawdy w teoryi odziedziczania pewnych dobrych i złych skłonności po rodzicach. Dłuższa praktyka i obserwacya mogą z tego powodu zmienić niejednę maxymę pedagogiczną, uchodzącą dotychczas za pewnik. Dwóch ostateczności trzeba unikać: mniemania, że pedagogia wszystko z dzieci zrobić może; oraz drugiego, że na nic nieprzydatna. Rzecz pewna, iż dla wykształcenia i umoralnienia dzieci *coś* zrobić możemy, i że koszt na tę sprawę łożony jest najlepiéj użytym kapitałem tak dla nich samych, jak i dla przyszłości. *R. A.*

ZE SFERY PLASTYKI.

Wojciech hr. Dzieduszycki: 1) Ateny, str. 304; — 2) Studya estetyczne, str. 272. (Lwów, 1878).

Dziedzina sztuki plastycznéj niezbyt od dawna wabić zaczęła ku sobie żądne wrażeń a zwłaszcza żądne nauki gruntownéj umysły rodaków naszych. Najwięksi wieszczowie nasi nie okazują głębokiego przejęcia się arcydziełami starożytnéj architektury lub rzeźby, nie zachwycają się malowidłami z czasów Odrodzenia, nie wprowadzają do swych poetycznych utworów kultu sztuki; a ogół ukształcony, idąc za ich przewodnictwem, oczywiście mniéj jeszcze wrażliwości na piękno plastyczne okazywał. Wprawdzie była chwila w rozwoju naszéj umysłowości, chwila niezbyt odległa, w której rozprawiano o sztuce, upatrywanie w artystach ideału człowieka, entuzyazmowanie się dla dzieł artyzmu przedstawiało się jako niezbędny warunek dobrego wychowania; a protegowanie sztuki „bardzo wielką, bodaj czy nie najgłówniejszą oznaką dobrego obywatelstwa.“ Ale choćbyśmy się nie zgodzili na zbyt silne oznaczenie tego usposobienia, jakie mu dał Julian Klaczko, nazywając je *delirium artisticum*; to w każdym razie trudno się z nim nie zgodzić, że wśród ówczesnych literatów piszących o sztuce, nadzwyczaj mało było takich, co się na niéj znali naprawdę, a wśród rozentuzyazmowanéj publiczności nie wiele znajdowało się osobistości prawdziwym, a nie pozornym tylko przejętych zapałem. Ówczesne zdania literatów były objawem feljetonowego dyletantyzmu, który przypisuje sobie możność doskonałego sądu zarówno o mamucie, jak o Fidyaszu, zarówno o handlu towarami kolonialnemi, jak o dyalektach lub stylach greckich. Poglądy szerokie a płytkie, ogólniki obejmujące sobą całą

ludzkość, ale niezdatne najzupełniéj do objaśnienia choćby jednego tylko posągu lub obrazu, choćby jednéj kolumny, komunały patetyczne o powołaniu artysty a brak wskazówek jasnych o tém, jak to powołanie w pojedyńczém dziele uwydatnić,— oto cechy przeciętnego „znawstwa“ sztuki za owych czasów.

Z tego tłumu dyletanckiego wychylały się naturalnie jednostki, obdarzone zarówno znajomością sztuki jak i rzetelném jéj zamiłowaniem. Dzieje naszych badań nad sztukami plastycznemi rozpoczynają się od dzieła, które wyszło wprawdzie z pod pióra dyletanta, ale dyletanta takiego, który przynajmniéj sam naocznie obejrzał celniejsze zabytki artyzmu starożytnego we Włoszech i który miał za przewodnika patryarchę nowożytnéj historyi sztuki. Mówię tu o „Sztuce u dawnych czyli Winkelmanie polskim (r. 1815; 3 tomy i dodatek) i o autorze tego traktatu Stanisławie hr. Potockim. Czy traktat ten wywarł silniejszy wpływ na bieg studyów estetycznych u nas, trudno twierdzić na pewno, zwłaszcza gdy się zważy, że dziś jeszcze, po latach 64, znajdują się u antykwaryuszów egzemplarze z nierozciętemi kartkami. I trudno było istotnie wymagać po czytelnikach, ażeby zainteresowali się tém, czego własnemi oczyma nie oglądali. Dla wyrobienia uczucia estetycznego potrzebne są galerye, muzea, wystawy, szkoły, ażeby od dzieciństwa już przyzwyczajało się oko do wpatrywania się w kształty, do oceniania proporcyi, do rozkoszowania się barwą. Tego wszystkiego nie było zupełnie, albo téż choć coś istniało, to wśród tak wadliwych warunków, że o prawdziwéj korzyści estetycznéj niepodobna było mówić. Trzeba było rozporządzać znacznym zasobem pieniężnym, ażeby módz zwiedzić najznakomitsze zbiory, ażeby pojechać do Paryża, do Włoch, że już o Grecyi nie wspomnę, chociaż tam właśnie najpiękniejsze znajdują się utwory. Tylko uposażeni od losu mogli się w tym kierunku wykształcić, jeżeli chcieli... jak np. Anastazy hr. Raczyński, który po francusku o sztuce Portugalii pisał (1846).

Inni pomimo najszczerszego zamiłowania sztuki musieli poprzestawać na cudzych relacyach i dopomagać sobie rycinami. Przypomnijmy sobie ile to lat upłynęło, zanim taki szczery miłośnik sztuki jak Józef Kremer mógł przejść od ogólników, wypowiedzianych w pierwszym tomie „Listów z Krakowa“ (1843) do tych szczegółowych opisów i zachwytów, jakie w „Podróży do Włoch“ (1859—64), najlepszém swém dziele, przedstawił polskim czytelnikom. A jednak i to dzieło, pomijając już wszelkie inne względy, tém wyższe od „Winkelmana polskiego,“ że opatrzone było w niezłe drzeworyty, uległo przecież podobnemu losowi, gdyż najmniéj bywa czytane...

Dodawszy do powyżéj wymienionych dzieł rozprawy Józefa Kremera, dotyczące sztuki greckiéj, rzymskiéj, bizantyńskiéj, gotyckiéj; tudzież nieszczęśliwe pod względem języka i zrozumienia treści przekłady studyów H. Taine'a; wreszcie podręcznik estetyczny Lemckego, będziemy mieli spis najważniejszych u nas utworów, z których teoretyczną znajomość ze sztuką zawiązać można. Jest to już wiele; ponieważ najprzód autorowie ci z różnych stanowisk patrzą na dzieła sztuki: Kremer z idealnego, Taine z realnego, a Lemcke z idealno-realnego; a powtóre ponieważ nie poprzestają na ogólnikach, ale starają się szczegółowemi wskazówkami ogólne poglądy swoje usprawiedliwić, jeżeli nie udowodnić.

Obecnie przybywają nam studya Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. Czy przynoszą one nam co nowego, czy wprowadzają do badań jakiś pierwiastek dotychczas w badaniach naszych niespożytkowany? Zanim charakterystyką tych studyów pytaniu temu zadość uczynię, na samym wstępie zaznaczyć muszę, że już okoliczności zewnętrzne zdają się potwierdzającą odpowiedź wymuszać. Hr. Dzieduszycki ma tę wyższość nad Potockim i Kremerem, że osobiście zwiedził miejscowość, która za naszych czasów z powodu nowych odkryć przyćmiła sławę Rzymu pod względem zabytków sztuki greckiéj. Miejscowością tą są Ateny, z któremi autor dzieła pod tym tytułem zapoznawszy się naprzód historycznie tak się duchowo zespolił, że im hołd osobistych odwiedzin z najwyższą rozkoszą złożył w r. 1874. Mógł więc autor własnemi oczyma podziwiać to, co dawniejsi nasi badacze podziwiali jedynie w książkach, rycinach lub tych szczupłych zabytkach sztuki greckiéj, jakie się we Włoszech lub w Luwrze znajdują. Bezpośrednie wrażenie jak wszędzie tak i w sztukach, a przedewszystkiém może w sztukach jest tém, czém zdjęcie zasłony choćby najlżejszéj, najpowiewniejszéj z pięknéj, świeżéj twarzy: co było przez mgłę tylko widziane, co domysłem odgadywać należało; to staje przed nami w całéj krasie, w całym uroku młodości i naturalności.

P. Dzieduszycki mówi o swych wrażeniach z zachwytem, ale bez deklamacyi, bez fałszywego patosu; a to usposabia nas dla niego jak najlepiéj; bo widzimy, że jasny, trzeźwy pogląd nie zamąca się tu uczuciami pobocznemi, ale znajduje swoję sankcyą w spokojném, chociaż bynajmniéj nie chłodném rozważaniu prawdziwego piękna.

Kto doznał znużenia czytając deklamacyjne ustępy, od których Kremer nie mógł się oswobodzić, ten wskazanéj dopiéro co zalety lekko cenić nie będzie; a kto nie pojmuje zachwytu bez wykrzykników, ten może porzuci swoje mniemanie, gdy prace p. Dz. przestudyuje.

Tak pochlebnie przedstawia się nam strona zewnętrzna badań p. Dz. Zobaczmy, jak jéj odpowiada wewnętrzna.

I.

Ogólnego poglądu na piękno w drukowanych dotychczas rozprawach p. Dz. nie sformułował jeszcze, zaznaczył tylko, że „w spokojnéj niegdyś dziedzinie piękna jak we wszystkich dziedzinach życia i nauki toczy się walka gwałtowna“ (II, 9) (1) i naszkicował zapatrywania się trzech obozów estetycznych: materyalistycznego, spirytualnego i ortodoksyjnego. Materyaliści twierdzą, że badania estetyczne okażą zupełną różnorodność poczucia piękna u różnych ludów; spirytualiści liberalni przeciwnie utrzymują, że uczucie piękna jest u wszystkich ludów zupełnie takie samo; „ściśli wreszcie kościelni chrześcianie“ głoszą, że uczucie to, piérwotnie jednakowe u wszystkich, podobnie jak uczucie moralne przez grzech pierworodny skażeniu uległo i że tylko przez chrześciaństwo do najwyższéj czystości wrócić może. Różnych tych twierdzeń nie krytykuje autor a nawet nie powiada, żeby one w zupełności wyczerpywały różnorodność najogólniejszych pojęć estetycznych; owszem sam nadmienia, że istnieje jeszcze doktryna estetyków *pozytywnych*, których odróżnia od materyalistycznych. Odróżnienie jednak to jest raczéj pozorne niż rzeczywiste, ostateczną bowiem hipotezą pozytywistów we względzie estetycznym ma być, według p. Dz—go, to, że „poczucie piękna da się zredukować do jakiéjś czysto fizyologicznéj czynności nerwów i to uczucie będzie *stanowczo różném* u rozmaitych plemion ludzkich“ (II, 8). Pomijając niezbyt ścisłe zestawienie dwu różnych zdań, zauważymy tylko, że teorya w ten sposób sformułowana w niczémby się nie różniła od teoryi materyalistów. P. Dz. potępia wnioski pozytywistów, ostateczne rezultaty ich badań, powiadając, że są one w sprzeczności z ich metodą; ale samę metodę badania przyswaja sobie i nią się ciągle posługuje. Zdaje mi się, że zbyt pośpiesznie autor wziął teoryą jednego lub dwu pozytywistów za charakter ogólny tego kierunku filozofii i zanadto zaakcentował podnoszone w walce z idealistami fakta różnorodnych pojęć o pięknie u różnych ludów, nie bacząc na to, że ciż sami estetycy pozytywni uznają również podobieństwa jak w ogóle w ustroju umysłowym człowieka, tak w szczególności w jego estetycznych upodobaniach. Ponie-

---

(1) Chcąc uniknąć rozwlekłości w cytatach, „Ateny“ oznaczać będę cyfrą I, „Studya estetyczne“— cyfrą II.

waż jednak sprawę tę odłożył, jak się zdaje, do innéj rozprawy, i my zatém nad nią się zastanawiać nie będziemy, kreśląc natomiast szkic metody pozytywnéj, któréj p. Dz. hołduje, chociaż na teoryą pozytywną się nie zgadza.

Jest to metoda używana z powodzeniem w naukach fizycznych. Najzwięźléj i najdosadniéj wyłożył ją *Taine* już to w przedmowie do „Essais de critique et d'histoire," już téż w „Philosophie de l'art." Zamyka się ona cała w téj uwadze, że jak przedmioty fizyczne tak i przedmioty moralne są *zależne* i *zawarunkowane*. Rzeczy podobne znajdują się zawsze w towarzystwie podobnych; po jednakowym skutku wnioskuje się o jednakowéj przyczynie. Po jednym objawie można odgadnąć cały szereg zjawisk. Dzięki temu spostrzeżeniu zadanie estetyka podobnie jak zadanie przyrodnika znacznie się ułatwia. Estetykowi chodzi o to, co jest pięknem w różnych przedmiotach zwanych pięknemi, wśród jakich warunków piękno to powstaje i jak na duszę działa. Chcąc zadaniu temu podołać, musiałby wszystkie dzieła piękna znać, zanalizować je, opisać; ale na mocy owego spostrzeżenia staje się to zbytecznèm, tak jak zbytecznèm jest dla fizyka np. zwiedzanie z termometrem w ręku wszystkich ulic miasta, ażeby oznaczyć średnią temperaturę tego miasta. Estetyk opisze pewną ilość wybitnie pięknych rzeczy a będzie znał wszystkie im podobne.

Rozumié się, że w metodzie téj istnieją trudności, których przyrodnik nie napotyka. Uczucie piękna zależy bardziéj niż *poznanie* rzeczy od jednego z dwu składowych pierwiastków wrażenia t. j. od usposobienia tego, który wrażeń doznaje: ztąd różne narody mają różne pojęcia o pięknie; ztąd badacz może nazwać piękną rzecz, która jemu się tylko podoba, albo odwrotnie może zamilczéć o rzeczy pięknéj dla innych, a dla niego nijakiéj, albo nieprzyjemnéj. P. Dz. nie powiada, jak można uniknąć tych trudności, nie wspomina ani słowa o teoryi Taine'a, według któréj można do pewnego stopnia *przedmiotowo* (a nie podmiotowo) oceniać objawy piękna; widocznie mówić o tém będzie kiedyś późniéj; a tymczasem, trzymając się indukcyjnego sposobu badania, opisuje nam same utwory piękna.

A opisuje szczegółowo, dokładnie, niemal drobiazgowo. Kiedy mówi o świątyni greckiéj nie zaniedbuje podać jéj szerokości i długości; kiedy rozprawia o kolumnie, jéj wysokość i grubość przedewszystkiém go uderza. Zwolennik dawnéj deklamacyjnéj szkoły estetycznéj możeby się znudził, a co ważniejsza możeby się zgorszył takim opisem, w którym cyrkiel i łokieć w ocenie piękna tak ważną grają rolę. Oburzenie jednak swoje powinien pohamować, jeżeli nie chce zdradzić swojéj niekompetencyi w rzeczach estetyki. Archi-

tektura opiéra się na stosunkach matematycznych; więc wykazanie tych stosunków musi przedewszystkiém nas zajmować. „Rozmaite proporcye rozmaitych części świątyni dają się łatwo porównywać z sobą i przejrzéć. Wszystkie proporcye owe *bywają podzielne* przez jednę liczbę, którą jest w świątyni Tezeusza liczba *pięć;* a w Partenonie liczba *sześć;* a że kolumny doryckiéj wysokość przewyższa *sześćkrotnie* jéj dolne przecięcie; więc proporcya Partenonu jest o tyle doskonalszą, o ile jest odrazu podaną przez sam kształt najwybitniejszéj w świątyni rzeczy: kolumny“ (II, 23).

Gdyby jednak na takiém suchém obliczeniu stosunków matematycznych autor poprzestawał, mielibyśmy dokładny obraz szkieletu, ale nie żywego ciała w utworze sztuki. Ale p. Dz. własnemi oczyma patrzył i na ten las kolumn przecudnych i na ten lud z marmuru, co tak spokojnie spogląda na zabiegi mrowia ludzkiego; nie dosyć jednak na tém, że patrzał; on je pokochał silnie, on je ubóstwiał niemal; ztąd wrażenia jego odtwarzają się w słowach prostych wprawdzie, ale nie mniéj uroczych a niekiedy silnych. Za przykład wybieram opis grupy dwu posągów, które u nas są nadzwyczaj mało znane. O właściwém znaczeniu tych posągów są tylko domysły, tak, że sam autor opisu w „Atenach“ inaczéj (83) a w „Studyach estetycznych“ (51) znowu inaczéj je nazywa. Ale i bez nazwy posągi te przemawiają do nas językiem zrozumiałym, a widok ich obudza wysokie estetyczne zadowolenie. Wyobrażają one dwie nadziemskiéj piękności niewiasty w pełni wieku. Niewiasty te przyobleczone w długie fałdziste, starogreckie szaty mają włos nad czołem pośrodku przedzielony a u boków bogato karbowany i długie w tył spadające zasłony na głowie. Jedna z nich siedzi na tronie, druga przy niéj stoi, obie mają wyraz wyniosłego, olimpijskiego spokoju, z ustami jakby do mowy nawpółotwartemi i przenikliwym wzrokiem marmurowym; obie osłaniają widocznie twarz, bo siedząca prawicę a stojąca lewicę przy zasłonie jeszcze trzyma.

Tak się objektywnie przedstawia grupa. Posłuchajmy wrażeń p. Dz. „Jakkolwiek rzecz wielkiemi ciosami dłuta wykonana i jakkolwiek nie znać na tych posągach delikatnych żyłek drgających pod skórą; jednak proporcye wszystkie tak dziwnie zachowane, że zdaje się ciągle, iż te marmurowe postaci oddychają, że chodzić i mówić zaczną. Ten pozór życia i prawdy już nie tylko podziw dla sztuki mistrza budzi, lecz chwyta za uczucie i każe całą piersią wyraz posągów odczuwać. A gdy tak doskonały widzimy obraz życia, wprawia nas w tém silniéjszy podziw boska potęga kształtów... Widzimy moc i zdrowie, widzimy piękność niekrępowaną względami czasu

i śmiertelności. Kształty tak okazałe jak chyba u 40-to-letnich niewiast, a twarze tak niepokalane jak u dziewic co u progu życia stanęły. Urok lata z urokiem wiosny połączony. Tak mogą tylko nieśmiertelne istoty wyglądać... Możne ramiona, piersi potężne mówią o mocy. Czoło szerokie myśl przypomina. Usta rozwarte mówią jakąż potężniejszą niby mową. Nozdrza szerokie i wzdęte dychają jakby były bramami niezmiennego życia. Oczy ogromne pod twardemi brwiami patrzą w głąb duszy. Wszystko świadczy, że to żywe ale nie przemienne postaci. Harde i wieczne jak kolumny Partenonu, wieczne jak one, a do nas podobne, serca nasze nawskroś wzrokiem przeszywają. Patrząc na nie, czujemy strach, co nas ogarnia na widok w spokoju swym stokroć możniejszych istot; a strach ten i groza i tu najwyższą roskoszą estetyczną. Prócz tego cieszy się jeszcze nasz umysł ładem i harmonią linij spływających harmonijnie. Rozmaitość w prostotę wlana jest tém, że jedna z bogiń siedzi, a druga stoi. Hardość nadana tém, że jedna prawicę a druga lewicę, od łokcia począwszy, pionowo podniosła. Tym ruchem zdobyte nowe pionowe linie, a linie takie oko i myśl odrywają od ziemi. To podniesienie rąk uwydatnia zresztą i wyraz bogiń. One rękami temi zasłony w tył odsuwają. One chcą nas widocznie porazić całą potęgą piękności, która u groźnych bogiń śmierci zazwyczaj przed ludźmi ukrytą bywa. To, co wzmaga wrażenie architektonicznéj linii, wzmaga i wyraz hardéj i nadludzkiéj a niedostępnéj i pewnéj siebie potęgi, jawiącéj się nam jakby cudo z zaświata. To tworzy wyższą jedność i wyższą harmonią arcydzieła; a całość przybija nas do ziemi i wzrusza widokiem swoim najgłębsze wnętrze duszy naszéj. Jest to jakby objawienie. Artysta stworzył dzieło, na którego widok zapomina się zupełnie o jego sztuce.“ (II, 51—53).

Tu czytelnik może niemal każdą chwilę wrażenia odczuć, może rys za rysem śledzić i za pośrednictwém psychologicznego spółczucia odtworzyć w wyobraźni swojéj tę grupę we wszystkich niemal szczegółach, przejąć się tém arcydziełem i zachować je w pamięci. Nic tak nie uwydatnia różnic jak zestawienie dwu opisów, podług odmiennéj wykonanych metody. Weźmy np. opis młodego Fauna barberyńskiego, — jak go podał Stanisław hr. Potocki, nie dla tego, żeby był najlepszym w jego dziele, ale że jest bardzo krótki: „Sławny Faun śpiący w pałacu Barberinich nie jest *pomysłowym* (t. j. idealnym), lecz obrazem wiernym natury sobie saméj zostawionéj: prawda jest jego zaletą i wdziękiem i ona go w pierwszym rzędzie dzieł znakomitych umieszcza, uwaga, która się zarówno do *Rotatora* florenckiego, do *Gladyatora umierającego*, a nawet do grona (t. j. grupy)

znanego pod imieniem *Arria* i *Paetus* rozciąga, przy *właściwych* każdemu z tych sławnych posągów różnicach" (1).

W króciutkim tym opisie znać klasyfikatora, któremu idzie tylko o zasadnicze podziały, dla którego każda jednostka ma o tyle tylko znaczenie, o ile do sprawdzenia i udowodnienia klasyfikacyi się przykłada. Inaczéj u p. Dz—go, gdzie ta jednostka właśnie otrzymuje miejsce główne i zwraca na siebie najpilniejszą uwagę. Mówi on o tym Faunie: „Jestto nadzwyczaj miękko i pięknie wyrobione dzieło, które do komicznego poczucia przemawia. Satyr siadł napoły, a legł na poły na jakiémś łożu z murawy. Nogi zamaszyście zakrzyżowane tak, że jedna stopa na drugiém spoczywa kolanie, druga stopa wsparta o ziemię. Reszta ciała od pasa począwszy na wznak zwalona. Prawica podłożona pod głowę, lewica zwisła leniwie. Ciało dobrze zbudowane przedstawia piękność nagości, ale w mniejszym stopniu od ciała Poliktetowych bogów. Kości bardziéj z pod mięśni występują, a mięśnie pokręciły się tak misternie, że rytmiczność plastyczna w wielkiéj mierze stracona. Tak wyglądają ciała ludzi prowadzących życie pracowite a prostacze, tak często wygląda ciało naszego słowiańskiego chłopka. I twarz taką często u nas widać. Kędzierzawy, bogaty włos, niskie, muskularne czoło, nos krąglutki, pyzaty, może zadarty zlekka, uszy duże a nawet trochę ku górze zaostrzone, usta szerokie nawet przez sen uśmiechnięte, podbródek śpiczasty, reszta twarzy krągła a policzki pyzate. Cała ta postać duża i silna, zdrowa i niczém niesprośna, względnie nawet piękna, bo będąca ideałem jednego z niższych typów rasy białéj, spoczęła w fizycznéj sile, pozbawiona znamion wyższego ducha. Nie ma tu potłumienia ducha przez zmysły, nie ma zezwierzęcenia, bo i jedno i drugie byłoby brzydkie i przykre, jest tylko bezmyślne, pierwotne szczęście w używaniu snu niewinnego. Widz patrząc na owego bezgrzesznego i szczęśliwego śpiocha czuje się wyższym od niego, mimo siły jego i szczęścia i mimo własnéj nędzy i niemocy. A myśl téj wyższości podnosi i cieszy, wreszcie nastraja do uśmiechu zadowolenia. Takie uczucie wyższości nad obcém niezdarném szczęściem jest to uczucie komiki" (II, 61, 62).

Ażeby zrozumiéć wartość obu opisów i poznać wyższość drugiego, dość je z sobą zestawić. A takich opisów mamy w „Studyach" p. Dz—go wielką ilość, a wszystkie odznaczają się jeżeli nie pięknością, to wyrazistością przynajmniéj. Wyliczać je byłoby zbyteczną. Jako przykład *pięknego* opisu, można wskazać te stronice, na któ-

---

1) Sztuka u dawnych II, 171, 172.

rych przedstawia autor jedno z arcydzieł Michała Anioła tj. Mojżesza (Ił. 245—247).

II.

Podług metody powyżéj wskazanéj skreślił nam p. Dz. obraz sztuki *greckiéj*, *rzymskiéj* i *toskańskiéj*. Z pomiędzy nich najpełniéj i najżywiéj staje przed nami plastyka grecka, może dla tego, że autor widocznie najsilniejszą ma dla niéj sympatyą i z największém zamiłowaniem nią się zajmował; a może téż dla tego, że zanim nas do krainy kolumn i posągów wprowadził, dał nam poznać krainę życia rzeczywistego Greków, zarówno pod prywatnym jak i publicznym względem. Istotnie p. Dz. poświęcił spory tom p. n. „Ateny“ obrazowemu przedstawieniu ziemi i ludzi, podań i nauk, urządzeń politycznych i obyczajów, interesów i zabaw tego ludu, co się kupił wokoło akropolu Ateny i wydał pierwowzory piękna podziwiane przez wszystkich, co piękno widzą w ładzie, harmonii i spokoju.

Jest to owoc pracy sumiennéj, gruntownéj, wytrwałéj, zarówno do książek jak do zabytków dziś istniejących zwróconéj. Jest ona pierwsza oryginalna w tym kierunku u nas, zapełnia brak ważny w naszéj literaturze, która prócz przekładu przestarzałéj już dzisiaj „Podróży młodego Anacharsysa po Grecyi“ nic nie posiadała własnego, coby nam odtwarzało życie narodu najbardziéj artystycznie utalentowanego, któregośmy albo nie znali, albo téż podziwiali na ślepo. Książka to potrzebna i dla filologa i dla historyka i dla estetyka, jeżeli nie chce byle jakiemi, z encyklopedyi czerpanemi wiadomostkami pstrzyć swego umysłu. Mitologia, dzieje, poezya, sztuka, archeologia złożyły się tu na utworzenie dzieła, które w wysokim stopniu ukształcony ogół zainteresować powinno, gdyż nie jest ono ani składem zasuszonych filologicznych liści mądrości, ani zieloną równianką płytkości feljetonowéj; ale przedstawia nam z wiecznie świeżych i wiecznie pięknych pomników cywilizacyi helleńskiéj złożone muzeum, w podniosłém, estetyczném znaczeniu tego wyrazu.

Z powodu ram artykułu nie mogę rozbiorowi książki téj tyle poświęcić, na ileby ona treścią swoją i obrobieniem zasługiwała: uważając ją jedynie za przygotowanie do historyi sztuki greckiéj można powiedziéć, że zadanie to spełnia znakomicie, wprowadza bowiem czytelnika we wnętrze, że tak powiem ducha heleńskiego, i pokazuje mu jak z tego wnętrza mógł się wyłonić przecudny świat kolumn i posągów. Takiego przygotowania brak obrazowi sztuki rzymskiéj i toskańskiéj i brak ten czuje się na każdym niemal kroku.

Co do sztuki toskańskiéj to można jeszcze sobie zaradzić przez odczytanie „Filozofii sztuki we Włoszech“ H. Taine'a, która jest i w polskim przekładzie; ale co do Rzymu, to wskazówki podane niegdyś przez Kremera nie mogą wystarczyć. U nas zwłaszcza, gdy nie ma dziejów cesarstwa rzymskiego i gdzie średnie wieki nadzwyczaj słabo są obrobione, ten podkład historyczny jest nieodzowny, gdyż bez niego znaczna część spostrzeżeń nad sztuką ginie bez wrażenia. Prócz tego względu praktycznego i naukowy także skłania koniecznie do traktowania utworów sztuki w związku z ogółem cywilizacyi, gdyż w niéj wszystko się z sobą łączy ogniwami przyczyn i wszystko na siebie oddziaływa. Poprzestając atoli na tém, co nam dał autor, starajmy się zestawić wnioski, do jakich doszedł w badaniach swoich a które szczegółowym opisem i rozbiorem dzieł sztuki uzasadnić się starał. Ujrzymy w nich ciąg i systematyczność, która nam da szkic zapatrywania się autora na dzieje sztuki w tym zakresie, jaki do téj pory obrobił.

Rozpoczynamy oczywiście od Hellenów. Naród i sztuka grecka zostają najpiérw pod wpływem Assyryi i Egiptu. Poznanie ludów obcych rozwija umysł Hellenów i pobudza go w kierunku twórczości samodzielnéj. Z początku właściwa sztuka grecka ma czysto rozumowy charakter. Dorycka świątynia ujęta w ścisły matematyczny ład jasno tłómaczy się widzowi ze swojéj techniki; a posąg archaistyczny nosi na sobie cechę dwojakiéj, rozumowéj pracy: raz artyści łamią się z trudnościami technicznemi swego zadania, a drugi raz badają tajemnice ludzkiego i zwierzęcego ciała. Gdy marmur i spiż stały się posłusznemi dłutu i gdy anatomią ludzką zbadano, przystąpił Poliktet do dalszego zadania rozumowego i usiłował przedstawić samoistnie ideał człowieka. A cały ten ruch sztuki helleńskiéj samoistnéj odbył się wtedy, gdy i polityczne i filozoficzne życie Grecyi wśród zawieruchy wojen medyckich (perskich) świadomie w samoistny kształt się przyoblekało. Za dni Peryklesa nastaje pełny rozkwit ducha helleńskiego. Ideał człowieka zarówno cielesny, jak duchowy, patrzy z posągów Fidyaszowych; a abstrakcyjniejszy, ogólniejszy i niedostępniejszy jeszcze ideał przedstawia się nam w wydoskonalonéni już budownictwie doryckiém. Te wizerunki ideału zdają się żyć, zbliżają się do człowieka, zrastają się z jego duszą i budzą tak zwane estetyczne spółczucie. Ale wzniosłość tych tworów sprawia na nas uczucie *grozy*. Wkrótce potém surowy ład rzeczypospolitych greckich rozprzęga się, a uczucia namiętnéj helleńskiéj *indywidualności* biorą górę. I sztuka téż nie odstępując wprawdzie od typu idealnego, pragnie namiętności *ludzkie* w *bogach* odtworzyć; a tak kosztem duchowéj wzniosłości posągu zbliża bóstwo do gwałtownéj

natury ludzkiéj. I ztąd-to żywioł patetyczny tak wielką odgrywa rolę w utworach Praksytelesa, Skopasa i Alkamenesa. Obok tego występuje wdzięk drobny i swobody stylu *jońskiego* i rozwija się *komika*, pochlebiająca miłości własnéj jednostek. Miecz dynastyi macedońskiéj zabija wreszcie i wolność i wojny domowe Hellenów; sztuka na powszedniejsze zstępuje tory, stara się naśladować cnoty *ludzkich* bohatérów, a niekiedy wystawia na popis techniczne tylko i etnograficzne wiadomości. Niewola wreszcie rzymska sprawia to, że Hellada albo marzy o wielkiéj przeszłości, albo oddaje się bezmyślnéj zmysłowéj swywoli i rozpuście. W sztuce obok licznych *naśladowań* i *kopij* widzimy nowe typy, które albo fizyczną siłę ubóstwiają, albo rozdrażniają zmysły. Rzeźbiarstwo służy do podbudzenia, roskoszy fizycznych a budownictwo stawia przestronne, cieniste a okazałe świątynie *Korynckie*.

Pojęcie więc piękna u Greków przechodziło różne koleje; utwory sztuki wywoływały uczucia wdzięczne, tragiczne i komiczne, a wreszcie nawet „wychodzące po za obręb estetyki“ uczucia zmysłowe. We wszystkich atoli kolejach tych zawsze przestrzegali trzech warunków, które za konieczne uważali. Warunki te były: 1) techniczna doskonałość; 2) matematyczna jasność; 3) piękność *idealna*, większa lub mniejsza, a więc choćby *typowa*. Trzy te warunki składały się na wytworzenie zimnego rozumowego piękna. Ażeby to zimno oddalić Grecy starali się rozmaite uczucia podbudzić a więc: grozę, wdzięk, spółczucie, litość, podziw dla ludzkiéj cnoty i poczucie własnéj wyższości. Wszystkie uczucia te, podobnie jak i owo rozumowe piękno, wzmagały i potęgowały u widza poczucie własnéj wartości. To tedy nazywało się u Greków pięknem, co widza *rozumowo albo uczuciowo* podwyższało. To podwyższanie i potęgowanie odbywało się w dwojaki sposób: albo łączyło słabszém czy silniejszém współczuciem z innemi istotami i mnożyło byt jednostki udziałem w bycie innych jednostek; albo téż wzmagało jednostkę poznaniem, które również jest przenikaniem obcego bytu. *Idealne* piękno Greków dla tego może tak silnie ku sobie pociąga, że ideał jest sumą i treścią mnóstwa jednostek, że zatém przeniknięcie ideału wydaje się nam przeniknięciem wszystkich owych jednostek (II, 76—89).

Sztuka rzymska wniosła do dziedziny sztuki nowy żywioł estetyczny: *sklepienie* i natchnęła utwory swoje znaczeniem *symbolicznem*. O ideał wcale nie chodziło; w popiersiach np. czy w posągach dbano przedewszystkiém o odtworzenie podobizny mężów, co władali ojczyzną. Gdy wzniesiono gmach dla *użytku* narodu rzymskiego, usiłowano zrobić gmach ten tak *świetnym*, jak tego wymagało imię Romy. A nie było kosztowniejszéj ozdoby nad misterne dzieła dłuta;

zapełniono tedy ów gmach *posągami*, *popiersiami* i *płaskorzeźbami*. Przedmiot utworów dłuta był z góry oznaczony przez uczucie patryotyzmu. Starano się odtworzyć w marmurze, śpiżu, bazalcie i innych kosztowniejszych jeszcze materyałach postaci dziejowe i sceny obrzędowe Rzymu. Nie chodziło tu o wywołanie bezpośrednio miłego estetycznego wrażenia; chodziło tylko o *wzbudzenie wspomnień* za pośrednictwem budowli i rzeźby. Gdyby wierność rzymskich portretów miała swoje źródło w zamiłowaniu do realistycznego odtwarzania natury, widzielibyśmy niezawodnie ręce ułożone w sposób charakterystyczny i strój, któryby całym układem swoim mówił coś o usposobieniu modelu. Tymczasem tego właśnie nie ma; trzeba było wiernie odtworzyć fizyonomie cezarów, więc też twarze wykonane są z zupełnym realizmem; ale szaty i postawa są całkiem konwencyonalne i teatralne. To też utwory rzeźbiarzy rzymskich są tak do siebie podobne, że niepodobna rozróżnić w nich rozmaitości dłuta. Podobnie i malarstwo tylko w innym kierunku przedstawia uderzającą jednostajność; miało ono charakter *ornamentacyjny*. We wszystkich malowidłach indywidualność malarza znika po za nadzwyczaj wyrobioną szkołą, która przybiera niemal cechy rzemiosła: szaty wszędzie fałdują się jednakowo, poruszenia wszędzie jednakowe, jeden typ piękności, jedna „gołębia“ gama kolorów i nie widać nigdzie postaci oświetlonéj pełném słońcem, wszędzie kolory zeszły się w mniéj jaskrawe kontrasty jak się rzecz odbywała w cienistym pokoju, nawet wtedy gdy niebo pogodne jaśnieje u góry. Cienie niewyraźne rzucone wielkiemi śmiałemi masami; a barwy białéj tak samo jak czarnéj nie spotyka się. Obok barwy cielistéj widać wszędzie najwięcéj barw mieniących się w różnych odcieniach między zielenią traw a błękitem nieba; barwy te prawie zupełnie unikają jaskrawo-żółtych i czerwonych błysków, a natomiast wpadają często w miękki fiolet.

P. Dz. nie podziela ani potępiającego zdania estetyków filozoficznych, ani pochlebnych uniesień „znamion“ co do wartości sztuki rzymskiéj; wychodzi bowiem z zasady, że estetyka zważać musi przedewszystkiém na to, co się podoba i z tego dopiéro wnioskować o tém, co piękne; a że sztuka rzymska przez długie wieki pociągała i dziś jeszcze pociąga ku sobie, wnosi więc, że i ona ma właściwe sobie piękno. Nie przeczy, że sztuka grecka o wiele potężniejsze i jaśniejsze budzi wrażenie; a co ważniejsza, że wrażenie to jeżeli się powtarza, nie maleje, ale się wzmaga w swém natężeniu; mimo to z rozpatrzenia zabytków sztuki rzymskiéj wyciąga ten wniosek, że piękném jest nie tylko to, co wprost i każdemu miłe, że bywają piękności, które nie sprawiają bezpośrednio miłego wrażenia, nie dla wszystkich są zrozumiałe, ale które są nadewszystko drogie dla tych,

co je rozumieją. Rzymianie szukali w sztuce swojéj symbolu własnéj ojczyzny; dla tego nią się zachwycali i dla tego rozumiemy zachwyt znawców. Dzieła symboliczne mają podobieństwo do liter; dla tych co umieją czytać, zawierają poemat, dla innych są nieme. Sztuka rzymska stanowi przejście do średniowiecznéj (93—149).

Po Atenach i Rzymie berło sztuki wzięła Toskana a przedewszystkiém wspaniała jéj stolica Florencya. Symbolika, zwrócona tu ku światu nadziemskiemu, mistycznemu, przeniknęła na wskróś utwory artyzmu; ale symbolika ta była wyraźna i zrozumiała nawet dla niezbyt wtajemniczonego. Złote albo cieniste kopuły, misterne lotne kolumny wzbudzają jakiś nieokreślony pokój modlitewny; a obrazy i posągi ostatnich lat XV i pierwszéj połowy XVI wieku bez komentarza nawet mówią wspaniale o miłościwéj a cudownéj potędze. Ale z komentarzem można więcéj zrozumiéć i silniéj odczuć szczegóły tego piękna; komentarz zaś taki posiadali współcześni, gdyż znali treść pisma św. i katechizm. Potrzeba o tém zawsze pamiętać, jeżeli chcemy odkryć mnóstwo szczegółów ustroju dusz nieznanych, albo niewyraźnych w starożytności.

Pierwszym wiary żywiołem jest uczucie; sztuka téż toskańska zrazu do tego uczucia przemawiała. Ale owa uczuciowa wiara ukształtowała się w system dogmatów abstrakcyjnych a często niezrozumiałych; rozum domagał się w obec niéj praw swoich: pragnął całą dogmatykę objąć i sprowadzić ją do jakiéjś jedności. Usiłowania te odbiły się i w dziełach sztuki. Utwory sztuki toskańskiéj bywają księgami całemi, w których części systematu teologicznego są wyłożone; czynią one niejako widomemi prawdy niodostępne, ale przy tém i same wymagają zagłębienia się w nich. Utwory te przedstawiają pewną systematyczną konsekwencyą, którą się odkrywa powoli, ale odkrywszy ją, doznaje się radości jakby po odniesioném zwycięstwie. Forma, w któréj rozum ludzki trudniejsze robi odkrycia, zawsze poniekąd podobna do formy rachunku. Uwidomienie tedy rachunku stało się drugim celem sztuki toskańskiéj. Dążność ta była i w Grecyi, ale stała się wyraźniejszą w Toskanii. Wszystko co Hellenin przedstawiał w formie artystycznéj było zupełnie jasne dla rozumu; Florentczyk zaś miał w swym umyśle wiele rzeczy nieuchwytnych dla wyobraźni; przyszedł więc do tego twierdzenia, że oko duszy widzi takie przedmioty, których w myśli nawet uzmysłowić nie może. Lubiła więc sztuka toskańska przedstawiać postaci swoje gdzieś wdali, wśród warunków innego świata i kazała oku ciała patrzéć tak niby, jak to zwykło czynić oko duszy. Ztąd to się wzięły łuki gotyckie i widzenia najdoskonalszych artystów florenckich, które już nie sam matematyczny rozum zadawalniały, ale uduchowniały

człowieka, który sądził, że wyższa w nim tryumfuje potęga, że zmysły, co były zasłoną dla jego rozumu, zostały zwyciężone i że widzi tak jak widzą „duchy czyste,“ dla których najzawilsza abstrakcya jest widomą. Ta nadzwyczaj miła ułuda, nieznana światu klasycznemu, radowała duszę tak, jak groza tragiczna w Grecyi; najlepiéj ją może wywolywał Leonardo da Vinci.

W Toskanii rozwija się nadto skłonność do przedstawiania rozmaitości zjawisk. Dla Florentczyka istniał nie tylko tak obfity w szczegóły świat zmysłowy, ale jeszcze niemniéj obfity, cudowny świat nadzmysłowy. Oba te światy musiały się jakoś zlać w całość, i to wywołało zuchwałe systemata „nie sylogizmami tylko, ale katedrami wyłożone.“ Ten stan duszy, w którym nieskończoność widzi się niejako na jawie, doprowadza do abdykacyi rozumu a do zapanowania uczucia i fantazyi. One wmawiają w człowieka, że zdolny jest do przeniknienia tajemnic, jeżeli się pogrąży w ekstazie. Duchowe oderwanie się od świata, mistyczna ekstaza, błogość pobożna i tęsknota modlitewna, najsilniejszy wyraz swój w sztuce toskańskiéj znalazły (155—272).

*

* *

Taka jest treść prac estetycznych p. Dz.-go, treść sprowadzona do najkrótszego a może nawet zbyt suchego wyrażenia, które zatém ożywić sobie musi czytelnik całym szeregiem świątyń greckich, katedr chrześciańskich, posągów i obrazów, jak one przedstawiają się w dziełach autora, nie lubiącego abstrakcyj i najchętniéj przebywającego wśród rzeczywistych sztuk zabytków.

Ta właśnie okoliczność nadaje wybitne znaczenie jego studyom, gdy zważymy stan dytychczasowych pojęć estetycznych w naszéj literaturze objawionych. P. Dz. nie zwiększa liczby tych dosyć licznych u nas krytyków i teoryków estetycznych, co to nie znając się na warunkach technicznych artystycznego tworzenia, nie zwiedziwszy ani jednéj bogatéj galeryi czy muzeum, nie przypatrzywszy się dokładnie ani jednemu wielkiemu dziełu architektury, wysuwają swoje zdania o sztuce z kilku ogólników téj lub owéj estetyki, z kilkudziesięciu rycin, lepiéj lub gorzéj wykonanych a przedstawiających jakieś sławne utwory sztuki. — P. Dz. chociaż ma już wyrobioną teoryą i co do zadania sztuki i co do rozwoju jéj dziejów, nie nagina jednak przemocą szczegółów do téj teoryi, ale zupełnie niemal objektywnie szczegóły te przedstawia tak, że nawet ten, kto na wnioski z zestawienia ich wyciągnięte nie zgadza się, może przecież nie tylko korzystać z wrażeń i sądów autora, do pojedyńczego jakiegoś utworu sztu-

ki lub do całego ich szeregu się odnoszących, lecz także może na te wrażenia i na te sądy przystać prawie bez zastrzeżeń. Nie jest on ani bezwarunkowym chwalcą sztuki helleńskiéj, ani zwolennikiem gotyki; nie ma szczególnéj predylekcyi ani do dzieł z przeważną cechą formalną, ani do tych, co to treścią rozpierają formy; wyznaje natomiast prawo równowagi estetycznéj, zasadzającéj się na tém, żeby dzieło sztuki w równéj mierze zadawalniało uczucie jak rozum. P. Dz. wreszcie nie jest frazeologiem, którzyby miał głównie na celu wywołanie efektu bez względu na to, czy ten efekt ujmy prawdzie nie przyniesie; woli być nawet niekiedy suchym sprawozdawcą, aniżeli świetnym, choć paradoksalnym feljetonistą.

Przymioty powyżéj wyszczególnione nie należą do często spotykanych wśród naszych sędziów sztuki, i dla tego autor, który je posiada, może się zaliczyć do szczupłego kółka tych ludzi, co pracami swemi jeżeli nie zupełnie nowy, to przynajmniéj nader homeopatycznie w literaturze naszéj dotąd spożytkowywany żywioł wprowadzają. Kto zna siłę rutyny w życiu ludzkiém, ten potrafi ocenić doniosłość takiego reformatorskiego żywiołu, ten z wielkiém uznaniem wspomni o studyach estetycznych pana Dzieduszyckiego.

Piotr Chmielowski.

Z DZIEJÓW JĘZYKA POLSKIEGO.

Objaśnienia do rozprawy W. W. Makuszewa p. t. **„Ślady wpływu ruskiego na piśmiennictwo staropolskie,“** wydrukowanéj w czasopiśmie rosyjskiém „Sławianskij sbornik“ (tom 3),

napisał Ad. Ant. Kryński.

(Dokończenie.)

IV.

Pomnik języka polskiego z początku wieku XV, wydany pod nagłówkiem: „Ułamek starożytnego kazania o małżeństwie.“—Uwagi nad właściwościami języka oraz nad treścią tego zabytku.

Przedmiotem szczególniejszych studyów p. Makuszewa był „Ułamek starożytnego kazania o małżeństwie,“ zabytek z wieku XV, wydany pod takim tytułem przez Zygm. Glogera w r. 1873 (4 strony, 8-ka duża). Pan M. w pracy swéj zastanawia się szczegółowo nie tylko nad zewnętrznemi formami języka tego ułamku, ale i treść jego poddaje niemniéj drobiazgowemu roztrząsaniu. Wszelako, jak przy rozpatrywaniu poprzednich pomników, tak i tutaj, przy ocenie charakterystycznych znamion języka, autor, w skutek niedokładnego lub mylnego pojmowania zjawisk językowych, przedstawia nam, zamiast objaśnień rzetelnych, mniemania dowolne, błędne, często opaczne i z prawdą niezgodne. I tak: Powiada p. M., że w Ułamku tym „dźwięki nosowe, jak we wszystkich wielkopolskich pomnikach XIV—XV w., oznaczone są bez różnicy za pomocą ǿ“ (str. 174). Wyżéj nieco (str. 171) przy „Zabytku“ wydanym przez Działyńskiego, spotkawszy znak ǿ i przypisawszy mu fałszywie wartość dźwięku an, uznał pan M. i znak i wymawianie an jako ce-

chy języka „panującego w Małopolsce,“ gdzie i ów „Zabytek“ miał być według p. M. napisany przez człowieka „ruskiego z pochodzenia.“ Teraz zaś znaleziony tenże sam znak ǫ w „Ułamku“ ma być cechą „wszystkich wielkopolskich pomników.“ Chwiejne te i ze sobą sprzeczne orzeczenia autora są wynikiem niedokładnych i błędnych jego pojęć o staropolskim języku i piśmiennictwie.

Mówi autor daléj zgodnie z prawdą, że dzisiejsze wyróżnianie ą i ę ustaliło się w wieku XVI. Dla objaśnienia jednak téj elementarnéj zresztą wiadomości nietrafnie cytuje książkę z trzeciéj ćwierci XVI w., a m. „Wizerunek“ Reja, wydany 1558 r.; druki bowiem nierównie wcześniejsze, bo z piérwszéj ćwierci tegoż wieku, tj. z roku 1521 (Marchołt) i 1522 (Opecia Żywot Jezusa), uważane za najdawniejsze, zawiérają już oba te znaki i zachowują konsekwentnie różnicę w oddawaniu niemi brzmień obu samogłosek nosowych. Druk dawniejszy polski z r. 1514: Powieść o papieżu Urbanie (4 kartki), umieszczona przy Agendzie łacińsko-polsko-niemieckiéj, (1) w Krakowie u tegoż samego Hallera, co i dwa poprzednie wydany, samogłoski nosowe wyraża bez różnicy jednym tylko znakiem ᾳ (podobnym do greckiéj α z iotą podpisaną). Jeżeli tedy mówimy o czasie ustalenia w druku znaków ą i ę na oddanie dwu samogłosek nosowych, to jako datę owę podawać należy rok 1521, nie późniejszy.

Przy opisaniu dalszych znamion grafiki tego ułamku, mówi autor, że znakiem cz, obok dźwięku cz (czistota), wyrażano i dźwięk c; na poparcie czego podaje dwa przykłady: moczny i wielebnoscz. Z tych, jak widzimy, przykład drugi przywiedziony jest niewłaściwie, bo końcowe cz znaczy, jak i w wielu innych miejscach, dźwięk ć, nie zaś c, zarówno jak poprzedzające s wyraża brzmienie zmiękczonego ś (wielebność). Zaznacza nadto p. M., że dźwięk c wyrażano jeszcze połączeniem czs, i przykłady: czsnota, nyczs, podług swojego sposobu czytania wykłada: cnota, nic. Dziś tak jest niezawodnie; w wieku jednak XIV i XV było inaczéj; i dla tego znak s w grupie czs nie jest bynajmniéj dodatkiem niepotrzebnym, lecz spółgłoską, mającą wartość w wieku XV jeżeli nie fonetyczną, to bez wątpienia etymologiczną. Wyrazu bowiem czsnota pierwiastek słowiański jest čьt, (2) z którego zapomocą sufiksu tь powstało w starosł. čьt+tь=čьstь (τιμή, honor); w staropolskim czьst′ lub czest′, czest-ny i czes-ny, czьs(t)nota, czes(t)nota

(1) Agenda latino et vulgari sermone polonico videlicet et allemanico illuminata etc Impressum Cracouie etc. 1514 (Egzemplarz biblioteki Krasińskich).

(2) Miklosich. Radices linguae slovenicae vet. dial. str. 107.

i czьsnota lub c z s n o t a. Ostatnią tę formę jeszcze w wieku XIV i XV spotykamy w pomnikach piśmiennych nie rzadko, a m. w Psałterzu floryj., w „Zabytku“ Działyńskiego, w przekładzie statutów wiślickich i innych, mamy ją też i w „Ułamku“ rozbiéranym. Już jednak w wieku XV w języku żywym dokonało się na tym wyrazie przeobrażenie fonetyczne (czs=c); obok bowiem formy c z s n o t a pojawia się i c n o t a, jak np. w przekładzie Stat. wiśl. 1449 r. matka c z n o o t h rostropnoscz (st. 24), gdzie znak c z (cznooth) ma wartość fonetyczną c, podobnie jak w wyrazach: chczemi (s. 20, 21, 24), chcząncz (25), myedzi granyczami (20), i w in. w tymże pomniku. Istnienie takich form jak: czsnota, czsnoscz (virtus, Ps. fl. 20, 13), czsnosti (Zabyt. Dź.), czestnye (St. wiśl. 13), czestnyk (St. maz. 149),..., dowodzi, że w umysłach mówiących i piszących, pomimo dokonanych w języku przemian fonetycznych, istniała jeszcze świadomość formacyj czyli poczucie etymologiczne tych wyrazów. Podobnie pisarze ówcześni, wiedzeni tém samém poczuciem etymologiczném, pisali: swadeczstwa (Ps. fl. 24, 11), pwal iest w mnoszstwo bogaczstw (Ps. fl. 51, 7), nemeczski (Ps. fl. str. 1), w newinowaczstwe (in innocentia, Ps. fl. 25, 11); prawo mesczskye (księ. ziems. kościań. r. 1416, fol. 138.), swyeczsky (st. mazow. 148 i 9), wlostny (własny) [St. wiśl. 30 i 31, i Bib. Zof. 65.], radszey=radziéj (dziś: raczéj), ku myestczu (St. wiśl. 21), uboszstwo (St. wiśl. 52), radostny (Bib. Zof. 322), w murzech myestskich (B. Z. 92) i t. p.

Dla tych samych powodów zamiast dzisiejszego zaimka c o spotykamy w pomnikach wieku XIV i XV formę jego piérwotną c z s o, (1) odpowiednią starosłowiańskiemu č ь s o, (2) staroczeskim č s o, č s e (3) i t. d. Nie ulega wątpliwości, że w języku polskim w wieku XIV i XV-ym w wymawianiu tego zaimka istniało brzmienie cz; dowodzi tego naprzód tożsamość pierwiastku čь w starosłowiańskim i innych językach słowiańskich; powtóre dalsza odmiana w polskim: cz-ego,

(1) Psalt. flor. 5, 6; 7, 1; 15, 2; 30, 19...; Kś. ziems. poznań. 1391, 200; kościań. 1415, 68;.. kość. 1415, 77: czsogokoly tedy mely... Przysię. krak. wyd. Hubego. st. 7. Stat. wiś. s. 33; nyeczso st. 78; St. maz. 146, 148,... Modl. Wacł. 73 v; Bib Zof. st. 9, 35, 37, 185 (czsokoly),... „Ułamek“ str. 3.

(2) Starosłowiańskie čьso nie jest bynajmniéj formą genitivu do čьto, jak utrzymuje S c h l e i c h e r (L. u. F. d. kirchenslav. Spr. 268) i M i k l o s i c h (Wortbildgl der slav. Spr. st. 52, wyd. 2-gie), którzy zestawiają cząstkę s o z sanskrycką końcówką genitivu s j a. Nie ma do tego podstawy, a zasady fonetyki przeczą temu wyraźnie. — Forma č ь s o jest złożoną z piérwotnéj č ь i przyrostka s o, podobnie jak č ь - t o, k ъ - t o (Zob. B o p p. Vergl. gram. I, 535. 2 Ausg.). Od obu tych form č ь i č ь s o mamy w dalszych przypadkach: čьso-go, če-mu i čьso-mu, čь-mь i čьso-mь i t. d.

(3) Květ. Staročeská mluvnice, str. 62.

cz-emu, cz-ym; a także brzmienie wyrazów złożonych, z piérwotnym dźwiękiem cz dodziś w języku polskim przechowanych: zacz = zaco, przecz = prze co, wniwecz = w ni we co; w staropolskim prócz tego były: nacz = na co, (1) ocz = o co, pocz = po co, podobnie jak w staroczeskim: zač, proč, začež, proč̌ež, w serbskim: zač, nač (2) i w innych.

W dalszym ciągu oceniając pisownię „Ułamku," twierdzi autor, że w sposobie wyrażania spółgłosek zmiękczonych „różni się ona znacznie od pisowni pomników bardziéj starożytnych, jakiemi są: Psałtérz floryjański i Modliwy Wacława" (str. 174.). Mniemanie to autora jest zupełnie niesłuszne i błędne. Modlitwy Wacława ani ze względów paleograficznych, ani na zasadzie znamion językowych za pomnik dawniejszy od „Ułamku" żadną miarą uważane być nie mogą; rzecz ma się zupełnie przeciwnie: porównanie podobizn obu pomników i cechy fonetyczne języka każą nam widzieć w „Modlitwach Wacława" zabytek stanowczo późniejszy od rozbiéranego „Ułamku."

Przy rozpatrywaniu cech deklinacyj autor za wiele wymaga od „Ułamku," mówiąc, że „w liczbie mnog. tylko we dwu przypadkach narzędniku i miejscowniku (instrum. et locativ.)... deklinacya męska różni się od żeńskiéj" (grzesznymy skutky; w uczynkoch), i dodaje: „w pomnikach zaś XIV i XV w. prócz tego męska deklinacya różni się od żeńskiéj jeszcze w celowniku (dativ.) liczby mnogiéj." Nie mamy podstawy przypuszczać, że w naszym pomniku różnica om i am w celowniku nie odznaczyła się osobnemi formami, raz dla tego, że w całym „Ułamku," t.j. na 4-ch jego stronicach ani razu celownik l. mn. nie jest użyty; a powtóre, jakże owa różnica mogłaby być obcą językowi naszego pomnika z początku wieku XV, skoro napotykamy ją znacznie później, bo w języku wieku XVI-go: u Opecia, Reja, Kochanowskiego, Wujka, Skargi (3) i innych; nie jest bowiem

---

(1) Opeć 1522 r.: nacz twa lutość przyssła, list 15 v. Gdy wssytko popełnicie, nacz eście obwiązani przykazanim moim l. 22 r. i t. d. Dodamy tu, że w liczbie wielu poprawek w egzemplarzu tego dzieła, znajdującym się w Bibliot. główn éj warsz., dokonanych piórem nieznanego glosatora z końca XVI w., powyższe nacz zastąpiono wyrazami na co; zaś nacz eście formą na cz oście.

(2) Miklosich. Wortbildungslehre d. slav. Spr. 1876. str. 367, 220 i t. d.

(3) Opeć: ku onym paniam 84 v., ku nogam 107 v., k rzeczam świeckim, 35 r., I przykazal burzam 27 r., myślam 26 v., owcam 33 v... Rej: sprawam; onym roznym planetam, Żywot, I; Wujek: przypatruy się twarzom naszym y twarzam pacholąt Bibl. 931, żądzam swym cielesnym, Postylle 1579. st. 119, cnotam 133, przeciw slugam, 133; Leopolita: szátam 394 v., służebnicam 395 v., niewlastam 397 r., rzeczam 401 r., Biblia, wyd. 1577 r.; Skarga: wielkim niebespiecznościam, Kazania 1600, st. 274; Grodzicki: łaskam waszym, O Poprawie kalend. 1587 str. 2, i t. p.

bynajmniéj prawdą, co mówi p. M., że w celowniku „od XVI-go wieku dla obu rodzajów używane jest męskie tylko zakończenie“ (175).

Przez proste niezrozumienie form deklinacyi polskiéj dopatruje autor upadku odmian tam, gdzie go rzeczywiście nie ma i nigdy nie było. I tak: dla poparcia swego spostrzeżenia, że w naszym Ułamku „mieszają się końcówki dopełniacza (genit.), celownika (dat.) i miejscownika (locat.) liczby pojed.“ przywodzi między innemi przykłady: syostra czisto c z e, klϕϕtwa wsze m u złe m u, poczytując formy: czistoće, wszemu złemu, za dopełniacze (genit.) z końcówkami przejętemi od celownika (dativ.)!—gdy tymczasem są to zwyczajne, w niczém niezmienione celowniki ze swojemi własnemi zakończeniami (ê, mu), użyte w tém miejscu dla wyrażenia stosunku przynależności (verhältniss der zugehörigkeit), jak to ma miejsce przy innych także rzeczownikach: np. mąż ż o n i e zakon; ojciec dzi e c i o m; przekleństwo d y a b ł u i t. p. (1). Celownik ten, napotkany w zabytku języka polskiego, nie powinien być wcale dla badacza ani przedmiotem podziwu, ani téż pobudką do stwarzania fałszywych hipotez, wiodących na manowce, gdyż nie jest wyłączną tylko właściwością składni polskiéj; również bowiem posiada go język starosłowiański, czeski, rosyjski, bułgarski, serbski i inne słowiańskie (2). Nie obcy téż jest i językowi greckiemu, łacińskiemu i nowszym romańskim; czego dowodem wyrażenia: *ἡ κεφαλὴ τῷ ἀνθρώπῳ,—πολλοί μοι φίλοι εἰσίν, — οἵ σφι βόες* (u Herod.); legatus regis v. r e g i, finis injuriarum v. i n j u r i i s etc; (3) il est un terme à tout; frère au roi i t. p.

---

(1) W przyslowiu: Póki świát światem, wilk o w c y, ábo pies k o t c e nigdy nie będzie bratem. Adagia polonica K n a p s k i e g o 1632. str. 733. Człowiek c z i o w i e k o w i zguba, homo homini lupus. Adagia Arnolphi Ż e g l i c k i. Varsaviae 1751 str. 53. Żona m ę ż o w i korona. Żeglicki, 306; Przy boku páńskim ći śiedźieć mieli, którzy są przyiaćielmi c n o ć i e, u c z ć i w o ś ć i, w s t y d o w i... Ł. G ó r n i c k i Dzieie w Koronie etc. 1637, str. 83. Gospodzin utoka u b o g e m u, Ps. fl. 9, 9. gospodne kto rowennyk t o b e, Ps. fl. 34, 11. 1 t, d. teÿ n i w e Albertus nebil nigdy gospodan (gospodą). Przysię. krak, r. 1398 wyd. R. Hubego. st. 4.

(2) M i k l o s i c h. Vergleich. Syntax der slav. Spr. str. 605 i nast. Przykłady: w s t a r o s ł o w. čisti boga tworьca nebu i zemi i morju i vьsêmъ, iže (jaže) sątь w nih; — hramъ moj hramъ molitvê narečetъ sę; — d rugъ svêtu semu byti; c z e s k kromě kostela není hřichům odpuštění; s ł o w a c. tu som vás, ako mojmu otcovi dobrjeho prjatela, navštivil; r o s y j s. mužь domu stroitelь, niščetě otgonitelь; — spisok knigam, vêščam; m a ł o r u s. smotry kônća koždôj spravi (Gram. Osadcy, st. 201. §. 473); — vśim horodam ukrajińskym vôn buł rozorytel. b u ł g. vidêha onazi niva onomuva oračju; s e r b s. svakome zlu smrt je lijek; — koji ulazi na vrata, jest pastir ovcama; s ł o w e ń. bog je oče vsêm ljudem, njegovemu kraljestvu ne bô k onca, i t. p.

(3) Prócz tego u Cycerona: in Verr. IV, 118, oraz VII, 76; pro Muraena 20; pro Cluentio 99. etc. Przykłady z innych autorów zob. w „Historische Syntax der lateinischen Sprache“ v. Dr. A. D r a e g e r I, 2 Aufl. Leipzig 1878. str. 440.

Niewłaściwie też dopatruje autor i w innych wyrazach „mieszania się końcowek“; formy np. we sklenyczy, we slodkey strdzy mają końcówkę y (=i) miejscownika pierwotną, zupełnie właściwą rzeczownikom żeńskim ze spółgłoską tematową miękką (cz, dz), zgodnie ze starosłowiańskim. Wyrazy: pokorney grzesznyczy (-cy), pyszneey dzewcze (-ce), użyte w wyrażeniu: „wǫczey d o w i e r z a m pokorney grzesznyczy nyz pyszneey dzewcze,“ błędnie autor uważa za dopełniacze (genit.); są one najprostszemi, odwiecznemi w polskim języku formami celownika (dativ.), również zgodnie ze starosłowiańskim. Niesłusznie też w wyrazach: „od zlich mysly slowy vczynky, y obyczaayow“ widzi p. M. „dopełniacz (genit.) licz. mnog. na y (ы).“ Jest on tylko w wyrazie m y s l y, lecz w końcówce, podług pisowni pomnika, czytać należy *i*, a nie *y* (podobnie jak nyz=niż i tp.); dwa zaś drugie wyrazy: s ł o w y, v c z y n k y są narzędnikami (instrum.) l. mn., zamiast późniejszych: słowami, uczynkami. Całkowite wyrażenie tekstu brzmi: „Troiakǫ rzeczǫ bǫdze czistota schowana. Pirzwa iest richle vczeczenye od zlich mysly slowy vczynky, y obyczayow. Druga jest vdrǫczenye czala. Trzecza iest ostrzeszenye smysla y kwapieenye od ludzy.“ Wyrazy: s l o w y, v c z y n k y, uważane za genitivy, jak chce p. M., byłyby nie tylko w polskiém, ale w każdém z narzeczy słowiańskich istnemi dziwolągami. Form podobnych w dopełniaczu l. m. rodzaju męsk. i nijak. historya języka polskiego zgoła nie zna. Daremnie też usiłowałby p. M. wykryć je w języku rosyjskim lub w którymkolwiek tak z żyjących, jak i umarłych języków słowiańskich.

Na zasadzie tak błędnego pojmowania i opacznego oceniania form napotkanych w pomniku, autor nie waha się orzekać, że „takie mieszanie się końcówek przypadkowych wskazuje na epokę dosyć późną“. Każdy, obeznany z deklinacyą staropolską, nie dopatrzy tu żadnego „pomieszania zakończeń,“ widzieć tylko będzie pomieszanie pojęć gramatycznych w objaśnieniach p. Makuszewa, w tekście zaś „Ułamku“ napotka powszechnie znane cechy form języka staropolskiego. Cechy te nie pozwalają nam żadną miarą uważać „Ułamku“ za późniejszy ani od „Modlitw Wacława“, ani od „Biblii kr. Zof.“, jak p. M. orzeka bez żadnéj do tego podstawy.

W konjugacyi zaznacza autor s t a ł e używanie czasu przeszłego we formie ściągniętéj, tj. bez słowa j e ś m, j e ś, j e s t.... Przykładów takiego użycia znajduje się w naszym pomniku sześć: s z d r a a d z i l, s l a (szła), p o s p i e s z a l a s y e, s z g u b i l a, w i p ǫ d z y l a, s t a l o s y e, — wszystkie w 3-éj osobie l. pojed. Formy takie, jak wiadomo, spotykają się nie tylko w pomnikach XV wieku, ale i w XIV, nie należą wcale do rzadkości (Psałt. flor., lub

księgi sądowe). (1) Twierdzić zaś na zasadzie 6-u tylko przykładów znajdujących się w „Ułamku“, że formy te „panują wyłącznie“ w naszym pomniku i na tém pewne wnioski budować, jest rzeczą zaryzykowną ze względu, że nasz zabytek przedstawia się tylko jako u ł a m e k, z 4-ch stronic złożony.

Na samém jednak zaznaczeniu tego szczegółu p. M. bynajmniéj nie poprzestaje, ale w dalszych wywodach robi z niego odpowiedni dla swych celów użytek. Według mniemania autora, zarówno ów czas przeszły we formie skróconéj, jako téż owo urojone mieszanie się końcówek przypadków, stanowią cechę wpływu ruskiego! Dowodem silniejszym tego twierdzenia mają być jeszcze następujące wyrazy, napotkane w naszym zabytku: d z e w k a, z e n s c z y n a, v c z e n n y k (w znaczeniu uczony), k r a s n y, s m y s l, g o s p o d z i n, y m a a m, y z e e (iże), m ϕ s z c z y n a, w i e l m y, p o m n y, j a k o, c z i s t o t a, o b r a a s z! Komu nie obce są zasady słowotwórstwa języka polskiego, ten we wszystkich wymienionych tu wyrazach widzi formacye czystopolskie, właściwe bądź wyłącznie staropolszczyźnie, bądź téż i dzisiejszemu językowi polskiemu. Mimo to, ażeby i tych wyrazów nie pozostawić bez bliższych objaśnień, załączamy kilka odnośnych uwag.

O wyrazie d z i e w k a czystopolskim, zawiérającym dźwięk dź, mówiliśmy wyżéj przy pomniku „Modlitwy Wacława“ (str. 363).

Wyraz ż e ń s z c z y n a (a nie żenszczyna, podobnie jak żeński, nie żenski), właściwy językowi staropols., utworzony jest najprawidłowiéj, według praw fonetycznych i etymologicznych od źródłosłowu ż e ń s k za pomocą sufiksu i n a: żeńsk + ina = żeńszczyna (k przed i = cz; zaś s przed miękką cz miękczy się również na sz),

(1) P s a ł t. f l o r. Bo on r z c k l y vczynona sϕ. on k a z a l y stworzona sϕ. Ps. 32, 9; s neba w e s r z a l gospodzin 32, 13; bo p o d e p t a l me czlowiek 55, 1; m ϕ ϕ c y l me 55, 1; dobrze vczinil mne 56, 3; p o s l a l bog 56, 5 i t. d.—P r z y s i ę. k r a k. r. 1397: czso se dzalem y łożem sze d o s t a l o Swantochne zene Andree;— r. 1398: veml iszwaczimi esz Widzga k a z a l ranczicz za zan (za się) C grziwen Wiscowÿ;— esz dominus Episcopus Cracoviensis w s z a n l dwoye penandze zayednan dzeszandzinan; — iaco potr hanzelbork c u p i l tan czacz (część) w parcz czo w i d z a l sluzebnik...,— jakom pierweÿ pozwal niz trzÿ lata wyssla o 30 grziwen; — Wanch r a n c z i l za zona (za żonę) i t. d., str. 4, 5, 6... wyd. R. H u b e g o.—P r z y s i ę. w i e l k o p o l Swatczimi iaco oczeslaw za iacubowa oczcza penϕdzi n e b r a l. Kśę. ziem. pyzdr, r. 1398, fol. 67 i gnieźn. 1402, 1. Czso Laurentio maczey p o b r a l, to gi p o b r a l po królowe koronouanu. Księ. pozn. r. 1391, 200. Katharzina t r z i m a l a rogaczewo trzi lata spocogem po swym mϕsu, a scepan ge nigdi n e g a b a l. Kśę. kościań. 1395, 27. Czso r a n i l marcin jacuba, to go r a n i l na swem dobrze i t. d. Kśę. pozn. 1397, 183, i wiele in. przy rozprawie J. Przyborowskiego: Vetustis. adject. declin.

podobnie jak: dziewk + ina = dziewczyna, pajęk + ina = pajęczyna, męsk + ina = męszczyna. Ale i w wyrazie męszczyna upatruje autor pochodzenie rosyjskie; znany mu bowiem tylko dzisiejszy wyraz polski męszczyzna. Pan M. jednak, przystępując do oceny form staropolskich, winien wiedziéć przedewszystkiém, że wyraz, zawiérający w swym piérwiastku samogłoskę nosową, nie może być zapożyczony z rosyjskiego; powtóre, że zarówno sufiks ina, jak izna, były i są właściwe językowi polskiemu, jak tego dowodzą formacye: głow-a, głow-ina, głow-izna, robot-a, roboć-ina, roboć-izna; dzik, dzicz-yna (= dzik + ina), dzicz-yzna i t. p., a nawet obok znanego wyrazu: żeńszczyna, spotykamy u Balt. Opecia 1522 r., formę żeńczyzna (1). Podobnie oba te sufiksy (ina, izna) właściwie są i innym językom słowiańskim (2).

Wyraz uczeńnik spotyka się w „Ułamku" we dwu postaciach: raz z jedném, drugi raz z dwoma n. Obie utworzone od źródłosłowu uczeń: w 1-szym razie za pomocą sufiksu ik, w 2-im za pomocą nik, obu właściwych językowi polskiemu (koń, koń-ik, król, król-ik, dzień-nik, rzeź-nik, szkod-nik, grzesz nik, nędz-nik i t. p.). W nowszéj polszczyźnie wyraz uczeńnik nie istnieje i zastąpiony wyrazem uczony, podobnie jak wyszedł z użycia i wyraz uczyciel, właściwy tylko staropolskiemu, spotykany w Bib. kr. Zof. (3) i używany jeszcze przez Wujka w końcu XVI wieku (4).

Zamiast gospodzin cytuje autor mylnie „gospodin." W takiéj postaci wyraz ten nie znajduje się w Ułamku. Spotykamy tam tylko formy: gospodnu, gospodna (str. 2), a od tych, podobnie jak w XIV wieku, w Psałterzu flor. na każdéj niemal stronicy, mamy mianownik „gospodzin" (Ps. 19, 1; 19, 6; 20, 9; 22, 1; 23, 8, 23, 10;...), dopełniacz zaś i biernik „gospodna" (20, 7; 23, 5; 23, 6;...), celownik „gospodnu" (21, 29; 21, 34;...). Oprócz w staropolskim

---

(1) „Dowiedźieli sie też tego sąsledźi iż oná dobrotliwa żeńczyzná podług domnimania odchodźy od nich." list XIX r. Wyraz żeńczyzna, przekreślony przez poprawiacza z w. XVI, ma nad sobą zamieniający go wyraz pani (w egzemplarzu Bibliot. głów. warsz.).

(2) Miklosich: „Für ina tritt oft izna, selten isna." Vergleich. Stammbildungslehre d. slav. Spr. 1875, str. 132 i nast.

(3) Bib. kr. Zof. pod rǫkǫ Jehiela pysarza a Amazlasza uczicyela (str. 268 wyd. Mał.); u Wujka zaś: pod ręką Jehielá pisárzá, y Máásia doktora, Paralip. II, XXVI. Bibl. st. 448.); Bib. Z. str. 306: kaplan a uczicyel zakona bozego.

(4) W biblii Wujka czytamy: „pisanie... do Ezdraszá kápłaná y uczyciela zakonu pańskiego; — kapłanowi I vczycielowi zakonu pańskiego; — áni śpiewaká, áni sługę kościelnego, áni vczycielá kośćiolá tego. Kś. Ezdr. III, 8; 9 i 10; 24. Biblia z r. 1599, str. 1070.

(gospodzin) i rosyjskim (gospodin) wyraz ten znany jest także w czeskim (hospodin) (1), serbskim, słoweńskim (gospôdin) i starobułgarskim (gospodin). Skoro p. M. uważa wyraz g o s p o d z i n w języku polskim za przyjęty z rosyjskiego, to równém prawem, chociaż naprzekór nauce i prawdzie, twierdzić musi, że i inne narzecza początek tego wyrazu zawdzięczają rosyjskiemu!

W wyrazie c z i s t o t a nie domyślamy się, co pan M. upatruje niepolskiego. Wiadomo każdemu, że mamy tu źródłosłów słowiański i polski c z i s t i sufiks o t a; stąd najprostsza formacya: c z i s t o t a, podobnie jak, cn-ota, rob-ota, lich-ota, ślep-ota, nędz-ota, i t. p. Że na miejsce formy c z i s t o t a, właściwéj wiekowi XIV, XV i XVI (2), wyrobiła się w nowszéj polszczyznie forma z innym sufiksem o ś ć: c z i s t o ś ć, nie wynika jeszcze z tego, aby forma piérwsza była obcą, a tylko druga, powstała późniéj, rodzimą. Zjawisko to, jak tysiące innych, dowodzi tylko ciągłego rozwoju i zmian dokonywających się w języku. Tak samo w wieku XIV, XV i XVI istniały wyrazy: d o b r o t a i p r a w o t a (3), dziś nieużywane i zastąpione z czasem formami: dobroć, prawość lub sprawiedliwość. Podobnie mamy w wieku XVI wyrazy: ż ą d o ś ć, o b ł u d n o ś ć, d o l e g ł o ś ć, g ł u p o ś ć, p o s ł u s z n o ś ć, o c h o t n o ś ć, p o k o r n o ś ć, p o t r z e b n o ś ć, k r a d z i e c t w o, s w o w o l e ń s t w o (4) i inne, które, bądź w tymże wieku, bądź następnie, w języku późniejszym ukazują się w postaciach odmiennych: żądanie: obłuda, dolegliwość, głupota, posłuszeństwo, ochota, pokora, potrzeba, kradzież, swawola i wiele

---

(1) W znanéj pieśni czeskiéj, przypisywanéj ś. Wojciechowi, w rękopisie z wieku XIII lub XIV wyraz ten powtarza się kilka razy: Hospodine pomiluy ny;— uslyssiž hospodine hlasy násse, i t. d. Wacława H a n k i Starobylá skládanie. Památka XIII a XIV wěku. Dil III. w Praze, 1818, str. 250 i wiele innych.

(2) M o d l. W a c ł. O iakiey c z i s t o t i wam bilo potrzeba, str. 56 r.; B a l t. O p e ć: Onemum c z y s t o t ę moię ślubiła. list 3 v; ...á wnętrzechcie pełni kradźiectwá, n i e c z i s t o t y, łakomstwa y wssech grzechow. list 46 v.

(3) P s a ł t. f l o r. Prze d o b r o t ǫ twoiǫ gospodne, propter bonitatem tuam domine 24, 8; Pway w gospodna a czin d o b r o t ǫ, et fac bonitatem 36, 3; ziawila sǫ nebossa p r a w o t ǫ jego, annunciaveront coeli justitiam ejus, 96, 6; nad sǫdy p r a w o t y twogye super judicia justitiae tuae, 118, 164. Także 118, 7 i 8; 118, 26 i 30;... Księgi ziem. pyzdrs. pod r. 1397 f. 35; swyatcími, yse pan Bartos kedy gy pan Jan Sǫtoczsky myal postaulcz Jacubovi na p r a w o t a (ę) tedy rosnemogl sye.. U Przyborows. Vetustiss. adject. decl. str. 7; Balt. Opeć: Wielka twoiá d o b r o t á y pokorá byłá, str. 7.

(4) Ł u k. G ó r n i c k i: A przeto uczynisz w. m. dosyć ż ą d o ś ć i p. Boianowskiego. Dworzanin polski str. 76, wyd. 1639; ...zdrady, o b ł u d n o ś ć i.. st. 82, niewczásy, choroby y d o l e g ł o ś ć i... st. 84, tamże. O p e ć: już ukázuie się śmiáłość y g ł u p o ś ć twoiá. list 75 v., p o s ł u s s n o s ć l. 130 r., o c h o t n o s ć 8 r., p o k o r n o s ć 8 r., p o t r z e b n o s ć 16 v., k r a d ź i e c t w á l. 46 v. S k a r g a: s w o w o l e ń s t w o. Kazania r. 1600, str. 276.

innych. Czyż piérwsze dla tego, że wyszły z użycia, mamy uważać za pożyczone z innych narzeczy słowiańskich, a drugie tylko, do dziś przetrwałe, przyjmować za czystopolskie?

W wyrazie staropolskim smysł przyimek s obudza także w umyśle p. M. podejrzenie co do nieswojskości pochodzenia; w dzisiejszym bowiem języku istnieje tylko wyraz zmysł. Z tego powodu zmuszeni jesteśmy przypomniéć tu pobieżnie wiadomości z gramatyki o istnieniu w staropolskim języku, podobnie jak i w innych słowiańskich, trzech przyimków, a m. 1) sam, san, są, so, se, s = stsłow. sъn, są, sъ, łacin. cum, gr. σύν, niem. sammt, mit, który zachował się w złożonych: sampierz, sąpierz, sąsiad, sąsiek, sobór... (1); 2) przyimka s = stsłow. sъ ze znaczeniem łacińsk. de, gr. ἀπό, niem. herab, (np. s konia, s góry...); 3-ci z = stsł. jizъ, łac. ex, gr. ἐκ, ἐξ, niem. aus (np. z ust, ex ore, ἐκ στόματος). W sposobie wyrażania tych przyimków zarówno w piśmie jak i w druku po wsze czasy panowała niejednostajność. Jedni pisarze kierowali się tu zasadą etymologiczną (smiłuj się, smysł, s nami,.... Tak piszą i czesi); drudzy — zasadą fonetyczną czyli dźwiękową (s końcem, s końca, z głową, z domu...); inni wreszcie mieszali niekonsekwentnie obie te zasady, uwydatniając raz pochodzenie wyrazu, drugi raz jego brzmienie. Dowodzi to, że w poczuciu ogółu mówiącego oddawna zaciérały się różnice etymologiczne tych przyimków, tak, że w końcu i na piśmie zaniechano ich wyróżniania. Dziś przyimki te gdy stoją osobno, przed imionami, weszło w zwyczaj wyrażać (choć niesłusznie) wszystkie 3 jednym znakiem z; przy pisaniu zaś ich w wyrazach złożonych większość trzyma się jedynie słusznéj zasady fonetycznéj, pisząc je tak, jak brzmią, zależnie od natury spółgłoski następującéj, a m: z przed dźwięcznemi (g, b, d, m....), *s* przed bezdźwięcznemi (k, p, t...), jak np. skończyć, zgodzić, skon, zgon; spoić, zboczyć, stoczyć, zdmuchnąć; skąd, stąd, zmysł, zmiłować się, i t. p.

Wyrazu ymaam, jak i wielu innych, autor widocznie nie zrozumiał, skoro zalicza go do niepolskich. Znaczy on w staropolskim to samo, co dziś mam; przedstawia więc w „Ułamku" czas teraź-

---

(1) Przykłady użycia przyimka s = cum. Ps. flor. se zwǫkem, cum sonitu 9, 7, se zlimi, cum impiis 25, 5, s bogatimi, cum divitibus 9, 29. Kśę. poznań. s mimi dzeczmi, r. 1391, 198. Kśę. kościań. yachal se cztirmi taco dobrimi yaco sam a se trzimi podleyszimi r. 1406, 23. W złożeniu: Bib. Zof. przed sebranye mǫzow. 298. Opeć: piosnkę słożył, 8 v; smiłuy się nademną 33 r. Y otworzył jm smysł, iże rozumieli pismá. 116 r., Kochanowski: rácz syc smiłować. Psałterz 1579, 41, smysł łakomy, Tren 13, Psalm 86,... Wujek: smysły. Biblia, str. 668, smiłowanie 723, Sebast. Petrycy: członki ciała, w których bywa smysł (w znaczeniu Przekł. polityki Arystotel. r. 1604, str. 348 i t. d., i t. d.

niejszy od słowa imieć, habere, $\check{\varepsilon}\chi\varepsilon\iota\nu$: imam, imasz, imiał,... i odpowiada starosłow. iměti, imamь, imaši... Zarówno imam, jak imienie (w znaczeniu majątek, habitus, starosł. iměnije) powszechnie w staropolskim znane i w każdym pomniku bardzo często napotykane. W psałterzu np. flor. wszędzie ymecz = imieć (w bodze ymam nadziejǫ 10, 1); w księgach ziems. wielkopol. również: gymene, gymena, s tim gymenym, kśę. poznań. 1420, 46; w stat. mazow: O okupyenyu gymyenya ot syostr. 1450, 148; w stat. wiśl, r. 1449: chcząncz... nyekthore prawo ymyecz, str. 79; byeeg rzeeki za granicze zawzdi ma ymyaan bycz, 16; o swynyach do lasza pądzonych przes czvdze gymenye str. 79 i t. d., i t. d.,—rzecz powszechnie wiadoma.

Nieznane również są autorowi wyrazy staropolskie: iże i wielmi. Spójnik iże (dzisiejszy iż = jiż, że) spotykamy bardzo często w pomnikach XIV i XV wieku, w postaciach: yzee, ysze, iże, ysz, tudzież w drukach XVI wieku i późniéj w postaci iże (1). Forma dzisiejsza iż (właściwie jiż) jest skróconą ze staropolskiéj iże, podobnie jak odpowiednio dzisiejszym: aż, już spotykamy w staroplskim: aże, juże (Ps. flor. asze, 56, 2; iusze 76, 10; kśę. ziem. kościań. aże do dzyszego dnya r. 1425, f. 122; Opeć: aże na str. 96 r. 3 razy, 102 v. 130 r...; iuże, 102 v; stat. wiśl: yusze, st. 84). W „Ułamku“ naszym wyraz iże użyty jest 3 razy („yzee, yze“), i w każdym z nich ma najwidoczniéj znaczenie spójnika (2). Pan Makuszew zaś poczytał go za zaimek względny iże (= który) chyba tylko dla tego, by go uczynić zapożyczonym ze starorosyjskiego; nie zważał bowiem wcale, że przez taką zamianę spójnika na zaimek, w każdym z trzech miejsc myśl tekstu staje się odrazu niedorzeczną! Ale i ten nawet wzgląd pominąwszy, to, gdyby wyraz iże użyty był w „Ułamku“ w znaczeniu zaimka względnego który, cel pana M. byłby również chybiony, bo zaimek jiże (obok jenże), jaże, jeże, jak istnieje w jęz. staroruskim, tak niemniéj pospolitém jest zjawiskiem w języku staropolskim (3), starosłowiańskim, czeskim i sta-

---

(1) Psał. fl. Spowadacz czi se bǫdǫ na wieki isze vczinil ies. 51, 9; Stat. wiś. 1449 r., ale ysze rzeki cząstokrocz myedzy dzedzynamy plinią, st. 16, Stat. maz. 1450: vstavilismi, ize kyedikoli nyektori slyachćzicz naasz.. st. 146; Księgi ziem. pozn.: Jaco to swaczczą, isze matka... r. 1421, f. 33. Opeć: pamiętamić, iżc on zwoycá mowił 111 r.; słyssałaod ánioła iże zmartwywstał 114 v.; niedźiw iest iże smierći y sądu bożego sie boi 130 r...; Agenda r. 1514: dufam yze przesz thy modlitwy... Żyw. Urb. 2.

(2) Powiadaam waam zaprawdǫ yzee vrǫpnoscz czyny czǫsto z mǫsczyny nyewieeesczee serczee. „Ułamek“ str. 3. Pamyǫytay, yze tamta... st. 4. Ponmy yze nyewiasta wipǫdzyla. st. 4.

(3) Patrz: Psałt. flor., Stat. wiśl., Stat. mazow., Przysięgi krakowsk., Księ. ziem. pyzdr., Opeć i. t. d., i t. d.

roserbskim. Sądzić więc, że wyraz ten w którémkolwiek z narzeczy zapożyczony jest z ruskiego, można jedynie tylko na podstawie... fantazyi.

Przysłówek wielmy, t. j. wielmi, znaczący wielce, bardzo, jest własnością staropolszczyzny i spotykany tak w rękopisach XIV i XV wieku, jako téż w wielu drukach XVI i XVII stulecia. W psałt. flor. np. bogowie moczni zeme welmi sǫ se wznesly 46, 9; tamże 115, 1; 118, 167; 144, 8 (welmy); w biblii kr. Zof. (wielmi 344); u Balt. Opecia 1522 r. y wielmi sie zádziwiwssy rzekła (list 113); w biblii Leopolity: mąż wierny wielmi chwalon będzie, str. 395—6, wydanie 1577; w Mączyńskiego Lexicon latino-polonicum 1564 r., podobnie u Birkowskiego, Stryjkowskiego i innych (1). Wyraz ten prócz tego znany jest w narzeczach: czeskim (velmi, převelmi), serbskim, słowińskim (velmi, veoma) i staroruskim.

Krasny w znaczeniu: urodziwy, piękny, gładki, wyraz ogólnie słowiański; jest bowiem w starosł. krasьnъ formosus, w polskim, czeskim i słowackim krasný, w górnołuż. krasny, w serbskim, słowińs. krasan, krásen i krasni, w rosyjskim krasnyj. W staropolskim zarówno krasny, jak i rzeczownik krasa, tudzież okrasa spotykają się bardzo często w pomnikach (2).

Nie dosyć tego: za „słowiańsko-ruskie“ poczytuje téż pan M. znalezione w polskim pomniku wyrazy: pomny, jako i obraz! Czy i tutaj mamy odpowiedziéć autorowi, że jest w błędzie? Bynajmniéj. Uwagi tego rodzaju są za słabe dla p. Makuszewa, któremu czy to gruba zasłona niewiadomości, czy téż inne jakie zgoła nie naukowe pobudki nie pozwalają w jasném i rzetelném świetle widziéć form i zjawisk językowych powszechnie zrozumiałych. Jeden tylko zrobimy zarzut p. M., zarzut zbytniéj we wnioskowaniu... powściągliwości. Jeżeli bowiem autor uważa wyrazy polskie: pomny, jako, obraz za „słowiańsko-ruskie“ dla tego tylko, że się znajdują i w języku rosyjskim, to, posiłkując się tą samą opaczną i drwiącą z nauki metodą rozumowania, powinien był nie ograniczać się na

---

(1) Linde, VI, 298.

(2) Psał. flor. krasa (crasa) w znaczeniu piękność, decor, εὐπρέπεια, κάλλος (Ps. 20, 5; 25, 8; 29, 8; 44, 13; 49, 2; 92, 1;...), w tymże „Ułamku“: dobra zensczynaa... iest okrasa zywotaa (str. 1); Stat. wiśl. obiczaymi y navkami nye bandze ocraschon, st. 14; Modl. Wacł. y krasczne spyewanye 129 r., Opeć: syn twoy był krasy anielskiey, list 90 r., tyś wssytkimi cnotámi okrassona, l. 125 v; Bielski: Jugurta był urody krasney i udatney siły. Kr. 129. Skarga: Gdy już dorosł Izaak, a był krasnym dziecięciem, miał go ociec zabić. Żywoty, 202 i t. d.

przywiedzionych tu przykładach, ale powiększyć ich liczbę do wielu tysięcy, przez proste zestawienie wyrazów polskich z równobrzmiącemi rosyjskiemi i zaliczenie ich wszystkich ryczałtem do „słowiańsko-ruskich.“ Wynikiem takiéj nowéj metody „porównawczéj“ byłoby ni mniéj, ni więcéj, tylko twierdzenie, że język polski powstał z ruskiego, t. j. absurdum w obliczu zasad językoznawstwa, ale zapewniające przynajmniéj poglądom tego kalibru zaletę ścisłéj konsekwencyi w rozumowaniu; gdy tymczasem obecnym autora wywodom i na tym przymiocie zbywa w wielu bardzo razach.

W obec takiego pojmowania przez p. Makuszewa właściwości pisowni i języka naszego „Ułamku,“ łatwo osądzić, jaką może mieć wartość usiłowanie, podjęte przez autora w celu oznaczenia wieku tego pomnika. Oprócz przytoczonych powyżéj cech ortograficznych i językowych, pan M., przybrawszy jeszcze do pomocy dane paleograficzne, przychodzi do wniosku, że Ułamek nasz jest „zabytkiem z drugiéj połowy XV wieku, bliższym jego końca, aniżeli środka... dokładniéj mówiąc—z ostatniéj ćwierci tego wieku, i nosi na sobie ślady wpływu ruskiego“ (str. 176). Co się tyczy tego ostatniego, t. j. wpływu ruskiego, pan M., jak już wykazaliśmy, doszedł do jego wykrycia w skutek tego, że przy czynności, która winna być ściśle naukową, zbytnio, bo wyłącznie prawie, zaufał swojéj fantazyi, która téż, jak to zwykle fantazya, nie pozwoliła mu przedmiotowo ocenić i dokładnie obliczyć się z pozytywnemi, rzeczywistemi faktami językowemi naszego zabytku.

Nie o wiele pomyślniejszy wypadek osiągnął pan M. przy oznaczaniu wieku tego pomnika. Najprzód wcale mylnie autor zaznacza, że „charakter pisma w Ułamku jest ten sam, co i w ostatniéj części Biblii Zofii, jak o tém łatwo się może przekonać każdy, kto porówna wydaną przez Glogera podobiznę z podobizną 5-go arkusza Biblii Zof. w wydaniu Małeckiego“ (str. 173). Wskazany przez pana M. arkusz 5-ty Bibl. Zof. właśnie n a j m n i é j ma podobieństwa z pismem „Ułamku“; nierównie już podobniejszy jest ark. 3-ci, a zwłaszcza 2-gi (t. j. oznaczony podpisem: Próba pisma II pisarza) „jak o tém łatwo może się przekonać każdy,“ kto, nie podlegając złudzeniu wzroku, porówna bardziéj do siebie zbliżone kształty liter *a* i *g*, to samo podwójne ϕϕ, a nadto też same cugi stale nad literą *y* dodawane, których karta 5 wcale nie posiada. Ale i takie nawet zewnętrzne podobieństwo nie jest bynajmniéj wystarczającym dowodem do stwierdzenia spółczesności obu porównywanych podobizn. Témbardziéj zaś niepodobna na zasadzie mylnych spostrzeżeń pana M., odnosić naszego zabytku do k o ń c a wieku XV-go. Cechy ortograficzne, właściwości fonetyczne i morfologiczne języka stanowią dla

nas podstawę pewniejszą do oparcia na niéj wniosku o wieku pomnika. Na zasadzie tych to cech, rozpatrzonych w podobiźnie „Ułamku,“ sądzę, że zabytek ten odniéść należy do samego początku wieku XV-go. W każdym razie jest on, wbrew twierdzeniu p. Makuszewa, starszy zarówno od Biblii Zofii, jak i od Modlitw Wacława.

Mniemanie swoje o „wpływie ruskim“ na język „Ułamku,“ oparte na powyższych fałszywych z gruntu objaśnieniach, pozbawionych témsamém wszelkiéj siły dowodu, postanowił autor podeprzéć argumentami, zaczerpniętemi jeszcze z saméj treści tego zabytku. Jakoż, w treści naszego pomnika upatruje p. M. pewną wspólność, pewną pożyczkę z treści ruskich zbiorów zdań pouczających i przypowieści, znanych w Rosyi pod nazwą „Pszczół.“ Zestawienie jednak bliższe tekstu „Ułamku“ ze zdaniami „Pszczół,“ dobranemi przez pana M., nie dowodzi bynajmniéj nic tylko przekładu, ale żadnéj nawet zależności jednego utworu od drugiego. Tak np. początkowy ustęp naszego „Ułamku“: „Kto szdraadzil adaama nyewynnego, a daawida świøtego, a salomona møødrego, a samsona mocznego, absalona krasznego, zaprawda nyktyedno nyeewiasta. — Prawa dobra zensczynaa ta jest sklaad wssego dobregoo iest syostra czistocze, y kløøtwaa wszemu zlemu, iest stroza mysli a iest wielebnoscz przyrodzenya astolecz czsnoty, iest okrasa zywotaa,“— zestawia p. M. z następującemi z różnych miejsc wyjątkami z „Pszczół“: 1) Kobiéta jest początkiem grzechu i przez nią wszyscy umiéramy. 2) Najgorszym złem jest żona obłudna. 3) Żona dobra w domu jest jako mrówka, a zła jako łódź wątła. 4) Żona dobra stanowi życie domu i zbawienie dla męża, a zła żona jest pustką dla domu a zgryzotą mężowi. 5) Dobra żona w domu jest jako oczy w ciele, a zła jako ból w lędźwiach. 6) Dobra żona jest jak dobry rządca (ciwun) od króla.

Jeżeli w treści obu przywiedzionych tekstów można upatrzyć pewien, chociaż bardzo luźny i odległy związek myśli, dający się wyrazić w zdaniu, że kobiéta jest źródłem zarówno dobrego jak złego, to jednak pod względem formy wyrażeń oba teksty różnią się między sobą całkowicie; nadto, tekst „Ułamku“ stanowi jeden ustęp, z dwu części złożony, gdy tymczasem tekst z „Pszczół“ jest świeżo przez pana M. ułożony, z sześciu różnych zdań, na rozmaitych stronicach tego zbioru wyszukanych. Mimo tak forsowne dopasowywanie myśli, oczywista odrębność formy wyrażeń nie pozwala nam robić wniosków o wpływie i zależności jednego tekstu od drugiego.

Że „Ułamek“ nasz pod względem języka nie zdradza najsłabszego związku z układem tekstu „Pszczół,“ widoczne to i z następu-

jącego drugiego zaraz ustępu naszego „Ułamku“: „Yeden uczennyk mowi tako. Trojakǫ rzeczǫ bǫdze czistota schowana. Pyrzwa iest richle uczeczenye odzlich mysly slowy uczynky, y obyczaayow. Druga iest udrǫczenye czala. Trzecza iest ostrzeszenye smysla y kwapieenye od ludzy. jako matka boza taa gdy przesz uliczǫ sla wszdi sye pospieszala do domu...“ Pan M. znajduje podobieństwo tych słów z następującemi słowami „Pszczoły“: „Czterema rzeczami kala się dusza, chodzeniem po mieście, niepowściągliwością oczu i zbliżeniem się do kobiet, namiętną miłością i chełpieniem się z miłości.“ Jak widzimy, ustęp w polskim „Ułamku“ podaje trojaki sposób zachowania czystości, słowa zaś „Pszczoły“ pouczają o czterech przyczynach skalania duszy. Jak tu bez silnego złudzenia dopatrzéć wpływu tekstu ostatniego na piérwszy?

W dalszym ciągu „Ułamku“ mamy słowa, przypisane ś. Bernardowi, Augustynowi i Hieronimowi, które, bez względu na imiona tych myślicieli, pan M. uważa również za zapożyczone z „Pszczół“ ruskich. I tak, słowa w Ułamku naszym: „Bernhardus. Mila bracza powiadaam waam zaprawdǫ yzee urǫpnoscz czyny czǫsto z mǫsczyny nyewieesczee serczee,“ podług pana M. miały powstać z następujących słów „Pszczoły“: „Także i zbliżenie się niewieście owłada wszystkiemi, a usidławszy ich przekazuje dyabłu. W następstwie zaś ci męszczyźni stają się miękcy, bezwstydni, nierozumni... a po prostu mówiąc, wszelka niewieścia namiętność zgubna jest dla ich duszy...“ Nb. w Pszczole słowa te wzięte są z Jana Złotoustego.

Albo téż słowa naszego Ułamku: „Augustinus. Naydǫ czǫsto w nabosznеem ukazanyu skritego angyala nyeczystoty. ya wǫczey dowierzaam pokorney grzesznyczy nyz pyszneey dzewcze,“ porównywa p. M. z taką przestrogą, zawartą w Pszczołach: „Żony dumnéj sobie nie bierz, będziesz bowiem nie ty jéj panem, ale ona panią tobie.“

Nie będziemy powtarzać dalszych zestawień pana Makuszewa; przywiedzione tutaj dają już dostateczne pojęcie o metodzie i ścisłości badań autora, oraz dowodzą zupełnéj niezależności powstania naszego „Ułamku“ od tekstu „Pszczół“ ruskich.

Ta niezawisłość jednego tekstu od drugiego nie przeszkadza bynajmniéj istnieniu pewnego podobieństwa, pewnéj niekiedy wspólności myśli, miejscami w obu rzeczonych utworach napotykanéj. Przyczyna zaś tego podobieństwa myśli spoczywa w tém, że zarówno

nasz „Ułamek“, jak i „Pszczoły“ ruskie nie są utworami oryginalnemi, ale tylko przeróbkami, wypisami z trzecich źródeł, a mianowicie z biblii i z dzieł ojców kościoła. Owe Pszczoły ruskie, jak sam autor zaznacza, są tłómaczeniem pszczół bizantyjskich (*Μέλισσαι*). Przełożone z greckiego naprzód na starobułgarski, rozpowszechniły się następnie w Rosyi w licznych odpisach ruskich. Jak więc pisarze Pszczół greckich czerpali materyał teologiczno-filozoficzny z biblii i ze źródeł bizantyjskich, tak podobnéj karmi duchowéj ludom zachodu dostarczała taż sama biblia, ojcowie rzymsko-katolickiego kościoła i aż do przesytu średniowieczna teologia scholastyczna. Do porównań np. i orzeczeń o złych i dobrych kobiétach (o czém mowa w piérwszym zaraz ustępie naszego „Ułamku“) obfity znajduje się materyał w Przypowieściach Salomona (rozdź. 6, 7, 12, 14, 18, 21, 25, 27....), w Ekklesiastes czyli wtórych księgach salomonowych, tudzież w Ekklesiastiku czyli księgach Jezusa syna Syrachowego, gdzie np. w rozdź. 25 jest mowa „o złości złey niewiásty, że od niey wszystko złe pochodzi,“ w 26-ym zaś „o chwale dobrey niewiásty,“ a w 41 i 42-im „o wiarowaniu się niewiast“ (1) i wiele in.

Tęż samę treść, zaczerpniętą z biblii, przerabiali, omawiali i na różny sposób wykładali w ciągu szeregu wieków ojcowie kościoła i nieprzeliczony zastęp średniowiecznych teologów. Ich téż pisma, zarówno jak i sama biblia, nie były zamknięte dla reszty duchownych minorum gentium. Tą drogą powstał niejeden wyciąg zdań, niejeden zbiór aforyzmów i nauk moralnych. Tą drogą były układane melissy czyli pszczoły greckie, nie innego téż pochodzenia jest i treść naszego „Ułamku“.

Że nauki, w tym „Ułamku“ zawarte, czerpane są ze źródeł chrześciańskich rzymskich, mamy tego oczywiste dowody w nazwiskach ojców tego kościoła: Bernardus, Augustinus, Jeronimus, przywiedzionych w tymże „Ułamku“ wraz z ich słowami. Nazwiska zaś te w „Pszczołach,“ jako ułożonych ze źródeł bizantyjskich, wcale się nie spotykają. Pan M. i ten silny dowód zupełnéj niezależności „Ułamku“ od „Pszczół“ ruskich swojemi sofistycznemi pomysłami stara się usunąć, twierdząc, że owe „Pszczoły ruskie uległy w rękach Polaków przeróbce: wszystko, co nosiło charakter prawosławia, pod piórem katolickich pisarzów polskich zaciéra się i zaciemnia, a zwykła zwięzłość Pszczół ruskich przetwarza się w wodniste krasomów-

(1) Treść rozdziałów przywodzę podług nagłówków w Biblii Leopolity z r. 1577.

stwo,“ i daléj: że „Polak, mający przed oczyma ruską Pszczołę, napotykał tam nieznane sobie imiona ojców kościoła (wschodn.) i filozofów greckich,—imiona, których, być może, i przeczytać nie umiał, i dla tego albo pozostawiał je dla swych czytelników niewiadomemi (anonimami), albo téż zastępował je nazwiskami znanych mu ojców kościoła katolickiego.“ Taka jest, na podstawie wprowadzonego przez pana M. saltus in demonstrando, przyczyna obecności w tekście naszego „Ułamku“ nazwisk: Augustyna, Hieronima i Bernarda!

Dla okazania, że p. Makuszew w tych bezwzględnych orzeczeniach i śmiałych komentarzach kieruje się tylko natchnieniem i fantazyą, mało troszcząc się o pozytywne uzasadnienie swych oryginalnych pomysłów, wystarczy następujące z naszéj strony objaśnienie. W tekście polskiego „Ułamku“ przy imieniu „Bernhardus“ mamy zapisane słowa „iż urąpność (tj. piękność) czyni często z męszczyzny niewieście serce.“ Słowa te są rzeczywiście parafrazą myśli ś. Bernarda, że piękność ciała ludzkiego staje się często przyczyną upadku człowieka. Wykładowi téj myśli ś. Bernard poświęca w pismach swoich osobny ustęp. Czytamy tam, między innemi: „Kto się w piękności ciała kocha, oszukuje sam siebie...“ „Wielu omamiła już i jeszcze oszukuje piękność ciała.....“ „Wielu skutkiem piękności ciała więzi się w grzechach“ i t. p. (1). W zestawieniu zaś pana M., powyżéj przytoczoném, słowa Bernarda z Ułamku naszego nie zdradzają żadnego związku ze słowami wyjętemi z Pszczół, a należącemi do Jana Złotoustego!

Drugie sprawdzenie: W „Ułamku“ polskim przy imieniu „Augustinus“ czytamy: „...ja więcéj dowierzam pokornéj grzesznicy niż pysznéj dziewce“ (tj. dziewicy). Myśl tę również znajdujemy w pismach ś. Augustyna we formie: „Lepsze jest upokorzenie się w grzechu niż pyszne dziewictwo“; albo „lepszy jest grzesznik pokorny, niż sprawiedliwy pyszny“ (2). I tutaj słowa Augustyna z „Ułam-

---

(1) „Qui pulchritudinem corporis diligit, semetipsum decipt... Multi fuerunt et sunt decepti per pulchritudinem corporis.—Stulti homines dum considerant pulchritudinem corporis, incidunt in diaboli laqueum, dum carnis pulcritudinem attendunt, retiaculis diaboli praepediuntur.—Multi per pulchritudinem corporis alliguntur in peccatis.“

S-cti Bernardi Abbati primi Clarae-Vallensis etc. opera omnia. Parisiis, 1719. II, 898.

(2) „Melius est humile conjugium, quam superba virginitas“. I odwrotnie: „Virginitas superba deterior est quam humile conjugium“. D. Aurelii Augustini Hipponensis episcopi etc. opera. Basileae ex officina Frobeniana. Anno 1569, VIII, 1118, d. Także: „Melior est peccator humilis quam justus superbus“. Tamże, tom X, 682, c.

ku,“ zestawione ze słowami, wyjętemi z jego pism, wykazują nierównie bliższy stopień wzajemnéj ich zależności, aniżeli sporządzone przez p. M. porównanie tychże słów Ułamku z wyjątkami z Pszczół ruskich. Gdy bowiem w naszém zestawieniu obok zgodności myśli i dość bliskiego podobieństwa wyrażeń, mamy zarazem tożsamość osób, do których te myśli należą,—u pana M. przy oczywistéj niezgodności myśli i słów w obu porównywanych tekstach wcale różne występują osoby. Nic téż dziwnego, że słowom Bernarda z naszego Ułamku nie chcą odpowiadać porównywane przez p. M. słowa Jana Złotoustego, zapisane w Pszczołach.

Autor jednak i takie przeszkody z drogi do swoich celów stara się stanowczo usunąć przy pomocy właściwego sobie sposobu rozumowania, które streścić się daje w téj prostéj formie: Skoro w „Pszczołach“ ruskich nie masz imion: Bernarda, Augustyna i Hieronima, a „Ułamek“ polski posiada je w swym tekście wypisane wyraźnie, więc do tego Ułamku dostać się one musiały przypadkowo (!) na miejsce innych imion ojców kościoła wschodniego, które dla pisarza Ułamku były nieznane, albo których przeczytać nie mógł. Oto sąd autora dosłowny: „Że imiona uczonych kościoła katolickiego wstawione są (do „Ułamku“) przypadkowo (słučajno), widać (! ?) z tego, iż Bernardowi przypisane są słowa Jana Złotoustego (podług Pszczoły).“

Tak rozumując, p. M. nie spostrzega się, że w dowodzeniu swojém używa argumentu, który nie tylko że nie przedstawia prawdy udowodnionéj, ale jest zdaniem wprost fałszywém. W skutek czego dowodzenie, zawiérające „błąd zasadniczy,“ któremu przysłuża nazwa arystotelesowa *πρωτον ψεῦδος*, samo przez się upada, a teza, wzięta do dowiedzenia, pozostaje fikcyjną. Argumentacya autora może tylko służyć czytelnikowi za próbkę, jak rzecz sama w naszym Ułamku wyraźna i jasna, dopiéro pod piórem pana M. zaciéra się i zaciemnia, chociaż koniec końców użytemi sposobami na nice wywrócić się nie daje.

Daremnie téż zestawiał p. M. przywiedziony wyżéj (str. 560) początkowy ustęp naszego Ułamku, zaczynający się od słów: Kto zdradził Adama niewinnego, a Dawida świętego, a Salomona mądrego, a Samsona mocnego, itd.“, ze słowami Pszczół, pomiędzy którémi zbyt luźny zaledwie związek myśli dopatrzéć się daje. Już nierównie bliższe podobieństwo słów naszego „Ułamku“ (1-széj połowy tego ustępu) widziéć można ze słowami ś. Hieronima, jakie czytamy w jego komentarzach do przysłów' Salomona. Tezę mianowicie, że i najdzielniejsi mężowie pokonani zostali przez kobiétę (et fortissimi quique interfecti sunt ab ea), objaśnia przykładami, jakie się właśnie

znajdują i w naszym „Ułamku“. Oto słowa Hieronima: „Jako sam Salomon najmędrszy z mężów, jako Samson najmocniejszy, jako Dawid najłagodniejszy, przez sidła niewieście...... upadli“ (1). W zdaniach zaś przywiedzionych z Pszczół nie masz ani jednego podobnego przykładu.

Już niejednokrotnie zauważyliśmy, że p. M. w swoich sposobach dowodzenia nie uwzględnia najkonieczniejszych nieraz wymagań logiki. Dla dowiedzenia swéj tezy, która jest myślą z góry powziętą a z prawdą niezgodną, autor, nie mogąc oczywiście przytoczyć dowodów kategorycznych, pewnych, posiłkuje się przypuszczeniami, stwarza argumenty hipotetyczne, których prawdopodobieństwo, przy bliższém rozważeniu i zestawieniu z faktami znanemi, sprowadza się po prostu do zera.

Chąc i teraz przekonać mocniéj czytelnika, że źródłem, które dało początek naszemu „Ułamkowi“, było nie co innego, tylko ruskie „Pszczoły“, mówi p. M. że „w Europie zachodniéj w wiekach średnich zbiory podobne Pszczołom ruskim, o ile to autorowi wiadomo, wcale się nie pojawiają“. To zaś mylne przypuszczenie ma być znowu, podług p. M., przyczyną, dla czego i „w zachodnio-słowiańskich literaturach nic podobnego do takich zbiorów nie spotykamy“. Skądże, pyta pan M., wziąć się one mogły u Polaków? Oto—odpowiada—„podobieństwo rozbiéranego zabytku z ruskiemi Pszczołami (?) i napotykane rusycyzmy (!) wskazują na Ruś“, a Ułamek nasz ma dowodzić „że ruskie Pszczoły uległy tylko u Polaków przeróbce.“

Cały ten szereg dowodów przypuszczalnych nie może w niczém podeprzéć fałszywego mniemania autora o pochodzeniu polskiego „Ułamku“, gdyż stoi w oczywistéj sprzeczności z tém, co skądinąd dostatecznie jest znane.

Zarówno bowiem z obszerniejszemi poglądami, jak i ze zdaniami urywkowemi o kobiétach (co stanowi główną treść naszego Ułamku) spotykamy się po wszystkie czasy w każdéj niemal literaturze. Obrazy dodatnich i ujemnych stron natury niewieściéj, szkicowe wprawdzie, ale jaskrawemi barwami odznaczone, a zwłaszcza utyskiwania na kobiéty, jako na źródło i początek grzechu, wszelkiego zła i niedoli na tym mizernym padole płaczu, kreśliło tysiące piór,

---

(1) Hieronymi Stridonensis opera. T. VIII, str. 83, edit. 1616, Coloniae Agrippinae. „Ut ipse Salomon sapientissimus virorum, ut Samson fortissimus, ut Dauid mansuetissimus à mutiebri decipula, ut Origenes ab haeretica, quem post apostolos ecclesiae magistrum fuisse, quamdiu recte sapuit, qui negaverit errat.“ Commentarii in proverbia. Cap. VII.

opiéwało setki bardów, rymopisów i poetów. Mamy je obficie w biblii (wskazaliśmy powyżéj niektóre miejsca), mamy u Greków i Rzymian (1), mamy u każdego prawie z ojców kościoła chrześciańskiego (2), mamy poddostatkiem w średniowiecznéj literaturze zachodu, bądź w formie „epigrammatów“ (3), bądź jako „monosticha“, bądź

---

(1) Nie podobna licznych przywodzić tu cytat. Dość wspomniéć z pisarzów greckich E u r y p i d e s a, który w nienawiści swéj ku kobiétom, między innemi, w tragedyi „Medea“ przez usta Jazona wyjawia pragnienie, by ród ludzki mógł jakim innym rozmnażać się sposobem „a niewiasty żeby nie istniały wcale; wtedy, zapewnia, nie byłoby żadnego zła wśród ludzi“ (Medea, v. 562—564), i wiele podobnych miejsc w tymże duchu. Podobnie u rzymskich poetów nie brak aforyzmów i przestróg na temat Owidyuszowego „Varium et mutabile semper femina“.

(2) Widzieliśmy to w przywiedzionych powyżéj krótkich wyjątkach z pism Augustyna, Bernarda i Hieronima, których imiona wspomniane są właśnie w tekście naszego „Ułamku“. Zarówno ci pisarze jak i inni teologowie nie skąpili przepisów, nauk i ostrzeżeń co do przestawania z kobiétami, dość wymownie, jakkolwiek w podeszłym zazwyczaj już wieku kréślonych. A u g u s t y n ś., wołając z Jezusem Syrach: „Noli attendere in faciem virginis, ne scandalizet te vultus ejus“, dodaje między innemi: „...quia sine ulla dubitatione qui familiaritatem mulierum non vult fugere, cito dabitur in ruinam“. (Augus. opera, edit. 1569, IX, col. 1051). Przy dziełach ś. H i e r o n i m a, pomiędzy innemi, znajdujemy list obszerny pewnego V a l e r i u s a do Rufina, pisany z wyraźnym zamiarem ostudzenia w tym ostatnim chęci do małżeństwa (Valerius Ruffino, ne ducat uxorem). Dla charakterystyki przytaczamy z niego choć mały ustęp: „Amice, si non es sapientior Salomone, quod nemo est: non est major quam qui potest fascinari a femina, oculos tuos aperi et vide. Optima femina, quae rarior est phoenice, amari non potest sine amaritudine metus et solicitudinis et frequentis infortunii. Malae autem, quarum tam copiosa sunt examina, ut nullus sit expers malignitatis earum: cum amantur amare puniunt, et afflictioni vacant usque ad divisionem corporis et spiritus. Amice, Philosophicum est. Videto cui te des. Ethica est. Videto cui te des.“ (Hieron. opera. 1616. IX, 176. c). Całém rozumowaniem swoim stara się ów Valerius udowodnić, że nie kto inny, tylko kobiéty stanowią główną przeszkodę, dla któréj dotychczas ziemia nie stała się mieszkaniem bogów: Feminae impediunt, ne diis terra incolatur! (Tamże, Index). I wiele innych fabuł teologicznych e j u s d e m f a r i n a e.

W pismach znowu ś. B e r n a r d a znajdujemy „C a r m e n p a r a e n e t i c u m a d R a i n o l d u m“, w którym autor tak się wyraża o kobiétach:

Causa gravis scelerum cessabit amor mulierum,
Colloquium quarum nil est nisi virus amarum,
Prebens sub mellis dulcedine pocula fellis.
Nam decor illarum laqueus fallax animarum.
Cum verbis blandis, fallacibus atque nefandis
Illaqueat stultos et fert ad tartara multos.
Tempora transibunt et gaudia vana peribunt,
Et parient fructum, tristem per saecula luctum.

Bernardi opera, II, pag. 909, Parisiis, a. 1719.

(3) Posiadam zbiór podobny w wydaniu miniaturowém, p. t. E p i g r a m m a t u m J o a n n i s O w e n Cambro-Britanni Oxoniensis. Editio postrema, Lugduni Batavorum. Ex officina Elzeviriana. Anno 1628; gdzie w części drugiéj umieszczone są „Mo-

jako „aphorismorum silva“ i. t. p., mamy je též z pomiędzy Słowian i u Czechów (1).

Czyż źródła te, przy znaném rozpowszechnieniu łaciny w Polsce, już w wieku XIV powszechnie dostępne, nie mogły posłużyć do ułożenia podobnych wyciągów, jakich próbę przedstawia nasz „Ułamek“? Bez wątpienia, wykazane bliskie podobieństwo kilku ustępów z treści tego „Ułamku“ z powyższemi źródłami przemawia za tém stanowczo. Tylko nieznajomość rozwoju oświaty i ówczesnéj cywilizacyi w Polsce może obudzić myśl i chęć poszukiwania jéj źródeł i pierwiastków nie w oświacie Europy zachodniéj, lecz na wschodzie, któremu, według rzeczywistych świadectw historyi, Polska w umysłowych i cywilizacyjnych swych dorobkach nic zgoła nie ma do zawdzięczenia.

---

nosticha quaedam ethica et politica veterum sapientum“. Tutaj, między innemi, mówi się krótko o tém „Quae virginitati obstat“; lub pod nagłówkiem: „Tutior est sibilus basilici quam cantus puellae“ tożsamo opiéwający dwuwiersz:

Tutius in silvis basilicum audire frementem.
Quam molles cantus foemineumque melos. (str. 154).

(4) Pan P t a s z y c k i w krytyce studyum p. Makuszewa, wydrukowanéj w czasopiśmie min. ośw. w Petersb. 1877, Maj (o któréj dowiaduję się po napisaniu swych objaśnień), odnośnie do poruszonéj tu literatury średniowiecznéj, stwierdza obfitość jéj materyału i przytacza kilka źródlowych prac; między innemi: P a l m' a H. Lateinische Lieder und Gedichte aus schlesischen Kloster-Bibliotheken; F e i f a l i k 'a Studien zur Geschichte der altböhmischen Literatur; W a t t e n b a c h 'a Lateinische Reime des Mittelalters. Z czeskich przywiedziony jest J a n S t e l c a r Ż e l e t a v s k y, autor dzieła: O stvořeni svèta r. 1591 (Vybor, T. II), gdzie osobne rozdziały poświęcone są dobrym i złym kobiétom, a w nich zbiór przykładów z historyi tudzież zdania ojców kościoła i innych myślicieli.

Z W a t t e n b a c h a np. przytacza pan P. porównania kobiét do jadu osłodzonego miodem:

Femina vas demonum, fetens rosa, dulce venenum.
Femina fons fellis, quamvis det basia mellis.
Femina mors juvenum, nam fert sub melle venenum.

Z temi zaś zdaniami, jako téż z powyższemi w „C a r m e n p a r a e n e t i c u m“ (wiérsz 2 i 3), w bliskim zostają związku wyrażenia naszego „Ułamku“: Pomni, że niewiasta wypędziła Adama z raja, bo j a d n i g d y n i e b ę d z i e r y c h l é j d a n j e d n o w s ł o d k i é j s t r d z y“ (miodzie); chociaż znowu piérwotném źródłem tak jednych jak drugich jest biblia, mianowicie Przypowieści Salomona (rozdź. 5 i in.).

V.

„Nec semper feriet quodcunque minabitur arcus.“

Mikołaj Rej obwiniony powtórnie.—Zarzut przed sądem prawdy.— Wywody ostateczne i ich wartość.

Na zakończenie swych szczegółowych studyów nad polskim „Ułamkiem“, które doprowadziły pana M. do wniosku o rozpowszechnieniu „Pszczół“ ruskich w Polsce w wieku XV, autor zamierzył błędny ten domysł rozciągnąć i do epoki późniejszéj, mianowicie na wiek XVI-ty. W tym celu robi raz jeszcze zwrot do Mikołaja Reja, by i teraz w pismach jego znaléść potwierdzenie swego mniemania. Widzieliśmy, jak na początku swéj rozprawy pan M., przy przeglądzie dzieł niektórych pisarzów naszych XVI wieku, pomówił ogólnikowo i Reja o używanie przez niego rusycyzmów. Był to jednak zarzut bezzasadny, niesłuszny, bez wszelkich, najsłabszych nawet, wykazujących winę, dowodów, po prostu: v e r b a v o l u p t a t i s c a u s a f i c t a, jak mówi Horacy. Obecnie, na poparcie swego mniemania, że Rej również ze skarbnicy ruskich „Pszczół“ korzystał, przytacza p. M. dowód, z pism Reja zaczerpnięty, nie mniéj jednak niebaczny i niefortunny, jak i powyższe obwinienia gołosłowne. Opiéra mianowicie swój domysł na podobieństwie jednego wyrażenia, napotkanego w „Zwierciedle“ Reja, z wyrażeniem, znajdującém się w „Pszczole“. Miejsce zacytowane przez autora brzmi: „Czytayże zasię iako z ł ą (ż o n ę) swowolną a plugawą pismo też plugawie przezywa. Bo ią zowie ś w i n i ą w bramkę ubraną, a p i e r s c i e ń z ł o t y w n o z d r a c h n o s z ą c ą itd.“. W „Pszczole“ zaś czytamy: „Jakože useraž złato w nozdřech u swini, tako i žeňe złoumńe dobrota“. Podobieństwo porównań, przyznajemy, widoczne; i musielibyśmy na zasadzie nawet tego jednego przykładu, zgodzić się bezwarunkowo z mniemaniem autora, iż Rej wyrażenie o złéj niewieście zaczerpnął z ruskiéj „Pszczoły“, gdyby znowu nie było rzeczą znaną i niewątpliwą, że, jak na Rusi krążyły Pszczoły bizantyjskie w przekładach ruskich, tak w Polsce w wieku XVI-ym istniały inne, bardziéj dostępne, poważniejsze i powszechnie znane księgi, a mianowicie pismo ś. Na to zaś źródło sam Rej w piérwszéj części zacytowanego tu wyrażenia dostatecznie wskazuje, mówi bowiem wyraźnie, że „p i s m o“ też plugawie złą niewiastę przezywa...; a nawet w wyrazach „c z y t a j ż e z a s i ę“ mamy drugą wskazówkę, że Rej czerpać musiał z tego „pisma“, tj. z biblii, skoro i czytelnikowi księgę tę zaleca. Pozostaje przeto, idąc za temi wskazówkami, udać się do biblii w ce-

lu odszukania podobnego wyrażenia..... I w rzeczy samej przekonywamy się, że Rej nie bez podstawy wskazuje na „pismo"; w przypowieściach bowiem Salomona w rozdziale XI, wierszu 22, znajdujemy porównanie: „Obrączká złota w nozdrzach u świnie—niewiástá gládka á głupia" (1), podobnie jak to czytamy u Reja.

Zapewne, że rozczytywanie się w biblii, w celu sprawdzenia miejsca przez Reja wspomnianego, przedstawia drogę mozolną i długą, chociaż, dla wyświecenia prawdy, jedyną. Pan M. obrał dla siebie znacznie dogodniejszą i krótszą, ale, jak się okazało, fałszywą.

Że z podobném porównaniem o kobiétach, zaczerpniętém z biblii, spotykamy się w pismach Reja, wcale nie więcéj nas to dziwi, jak to, że owo jaskrawe wyrażenie znajduje się także w „Pszczole". Zarówno bowiem duchowni bizantyjscy, jak kościoła rzymskiego, zarówno Aryanie, jak stronnicy Lutra lub Kalwina, i w ogóle wszycy ludzie, umiejący czytać, nie wyłączając i naszego Reja z Nagłowic, mogli zupełnie od siebie niezależnie zagłębiać się w piśmie ś. i każdy na swoję rękę z tegoż pisma dowoli korzystać. Wiadomo prócz tego o Reju, że z pismem ś. niezgorzéj był obeznany, skoro brał udział w ówczesnych sporach religijnych, pisał wykłady ewangielij (Postylle, wyd. r. 1556) i pewne części biblii na język polski przełożył (Psalmy, Apokalipsa, r. 1564). Z niemniejszą téż pewnością twierdzić możemy, że Rej nie potrzebował szukać „Pszczół" ruskich, skoro miał pod ręką łacińską Wulgatę, a obok tego niejeden rękopis przekładu polskiego biblii, a nawet wyszłe już wtedy z druku w polskiém tłómaczeniu: biblią Leopolity (r. 1561 u Szarfenbergera) i radziwiłowską cz. brzeską (1563), z których niewątpliwie przy pisaniu dzieł swoich, a więc i „Zwierciadła" (r. 1567) niejednę maksymę, niejedno oryginalne wyrażenie lub porównanie zaczerpnął.

Mniemanie więc pana M., że słowa napotkane u Reja w jego „Zwierciedle" pochodzą z „Pszczół" ruskich, nazwać można, podobnie jak i inne domysły, przywidzeniem. Na tém jednak mniemaniu mylném i nic z prawdą nie mającém wspólnego, opiéra autor swój sąd stanowczy, że „Polakom r z e c z y w i ś c i e była znana Pszczoła ruska" (str. 181), tudzież twierdzi, że wpływ ruski na piśmiennictwo polskie wieku XVI uwydatnił się nawet „w t r e ś c i niektórych celniejszych utworów owego czasu"!

---

(1) Biblia L e o p o l i t y str. 388 v. Cytuję nie z wydania piérwszego z r. 1561, lecz z drugiego z r. 1577. W przekładzie W u j k a miejsce to brzmi: „Kolce złoté w pysku u świnie—niewiástá piękna, á głupia". Wyd. 1599, str. 661.

W końcu rozprawy podaje pan M. ostateczne wywody swych badań i rozumowań. Są one podług autora następujące:

1) „Pierwsi tłómacze pisma ś. na język polski mieli przed sobą oprócz czeskiego, przekład starosłowiański w odpisach ruskich“.

2) „Zbiory, znane pod nazwą „Pszczół“, bardzo rozpowszechnione w Rosyi, przeszły i do Polaków i tu uległy nowéj przeróbce“.

3) „Do ważniejszych pomników staropolskiego piśmiennictwa należą „Kazania“, pisane przez człowieka ruskiego w Rusi Czerwonéj w połowie XV-go wieku“.

4) „Wpływ ruski na literaturę polską wieku XVI-go uwydatnił się nie tylko w języku, ale i w treści niektórych znakomitszych utworów owego czasu“.

Po przedstawieniu zaś naszych objaśnień do pracy pana M., wywody przytoczone i rzeczywista ich wartość znacznym uledz muszą zmianom. I tak:

Co do 1-go. Oddawna rzeczą jest wiadomą, że przekłady czeskie a nawet i starosłowiańskie były znane tłómaczom pisma ś. na język polski. Czy jednak starosłowiańskie przekłady istniały u nas w redakcyach ruskich, orzekać tego na zasadzie studyów i dowodów pana M. niepodobna. Przykłady bowiem, przywiedzione przez autora z polskich zabytków, jako „rusycyzmy“, dowodzą tylko, że autor w badaniu swojém nie posiłkował się wskazówkami metody naukowéj, skoro liczne zjawiska fonetyczne, morfologiczne i etymologiczne języka staropolskiego, wspólne językowi czeskiemu, kaszubskiemu, połabskiemu, górno-i dolno-łużyckiemu, tudzież innym słowiańskim, nie waha się przypisywać wpływowi języka ruskiego! Rozumowania podobne w epoce gramatyków aleksandryjskich, albo przynajmniéj parę stuleci wstecz mogłyby mieć jeszcze jakąś względną wartość; w dzisiejszéj zaś nauce żadną miarą nie uchodzą.

Co do 2-go. Zarówno dla pisarzów „pszczół“ bizantyjskich, których Pszczoły ruskie są przekładami, jak i dla ojców kościoła i licznych teologów, jako téż dla twórcy zabytku języka polskiego, wydanego pod nagłówkiem „Ułamek itd.“ źródłem piérwotném do czerpania maksym, wyrażeń i różnego rodzaju porównań była biblia (jak w danym razie: przypowieści Salomona, księgi Ekklesiastes i księgi Jezusa Syrachowego). Wiadomości zaś o istnieniu „pszczół“ ruskich w Polsce i przeróbkach tychże przez pisarzów polskich są osobistém błędném mniemaniem autora, wyniklém w skutek powierzchownego i lekkomyślnego traktowania przedmiotu.

C o d o 3-go. Twierdzenie, jakoby pisarzem „Kazań“ z wieku XV, wydanych przez Działyńskiego, miał być „człowiek ruski“, z Rusi Czerwonéj, jest pomysłem pana M., wprost z krainy własnéj jego fantazyi zaczerpniętym. Wszelkie niedokładności grafiki tego pomnika, na jakiéj p. M. oparł swoje wnioski fonetyczne i morfologiczne, jako téż wszystkie archaizmy polskie tego zabytku, w dosyć dziwacznéj nieraz postaci graficznéj przedstawione, zostały przez pana M. błędnie zrozumiane i opacznie, bez uwzględnienia zasad gramatyki, wyłożone. To było powodem fantastycznych i nieprawdopodobnych domniemań autora o narodowości pisarza owych „Kazań“.

C o d o 4-go. Wyrazy rusińskie, używane przez Zimorowiczów w ich sielankach, będących obrazami z życia ludu r u s i ń s k i e g o, nie upoważniają bynajmniéj do ogólnego wniosku o wpływie ruskim na język polski. Wyrażenia, napotkane u innych pisarzów polskich wieku XVI-go i nieoględnie przez autora za „rusycyzmy“ poczytane, znalazły w rozdziale II téj pracy odpowiednie wyjaśnienie. Co zaś do twierdzenia autora, jakoby wpływ ruski uwydatnił się „i w t r e ś c i niektórych znakomitszych utworów owego czasu“, jest ono z gruntu fałszywe, bo sprzeczne z dziejami i rzeczywistemi znamionami naszego piśmiennictwa epoki zygmuntowskiéj.

Na zasadzie przeto powyższych objaśnień studyum p. Makuszewa o wpływie ruskim na piśmiennictwo staropolskie, w głównéj osnowie, w główném swém założeniu okazuje się zupełnie chybioném; w rozbiorze zaś szczegółów w większéj nierównie pozostaje zgodzie z fantazyą autora, aniżeli z zasadami nauki i pozytywnemi faktami językowemi.

BITWA POD GRUNWALDEM
JANA MATEJKI.

Stare to łacińskie przysłowie: *habent sua fata libelli*, a można śmiało dodać, że nie tylko książki mają kapryśne przeznaczenie, że każdy utwór umysłowy nie wewnętrznym tylko warunkom zawdzięcza powodzenie; że często dzieło jakieś znajdzie tak głośny poklask w kole przyjaciół autora, że poklask ten obałamuci sąd ogółu na czas długi, że dzieło średniéj wartości pozyska imię nieprzemijające, a człowiek, któryby mógł na inném polu pracować użytecznie, zostanie na całe życie pchniętym na niewłaściwą koléj.

W innych znów razach arcydzieło ujdzie uwadze współczesnych, albo nawet napotka na sąd zajadły ludzi uprzedzonych i złéj woli i zostanie okrzyczaném jako lichota. A jeśli zazwyczaj powiadamy, że żadne prawdziwe arcydzieło nie zaginie, że żaden geniusz nie zmarnieje, orzekamy o rzeczy, o któréj nie mamy prawa orzekać. To prawda oczywista, że nie zaginęło żadne z arcydzieł, które posiadamy, ale któż wié ile to wieszczów z urodzenia i bożéj łaski chodziło całe życie za pługiem w siermiędze? — ile utworów prawdziwéj poezyi nie doczekało się nigdy wydawcy? — ile obrazów cudownych spełzło na wieki gdzieś na strychu albo w zakrystyi wiejskiego kościołka? — ilekrotnie w samotności przebrzmiała harmonia najpiękniejsza?. —

I gdyby to tylko zależało od krytyków, którzy w Wiedniu powitali bitwę pod Grunwaldem Matejki poszłaby na strych pełznąć — zapomniana; nigdy może nie potępiono obrazu tak bezwzględnie; nigdy nie pisano tak długo i széroko o tém, że coś jest nie piękném i wadliwém; i nigdy zła wola nie wylała tyle żółci co w Wiedniu na

widok tego obrazu przejmującego całą grozą bitwy, najwyższego podobno arcydzieła, jakie dotąd stworzył Jan Matejko.

Ale tu śmiało rzec można, że zła wola arcydzieła nie zagrzebie i że przyszłe pokolenia będą patrzéć z podziwem na ten obraz, w którym groza bitwy oddana tak jakby gdzieś w Homerze, albo w Szekspirze.

Skoro wejdziesz do wielkiéj sali w któréj ten obraz zawieszony, widzisz od razu, że to bitwa straszliwa wali się na ciebie z tętentem i impetem, z krzykiem i łoskotem, falą wielką koni i ludzi; a wśród bitwy widzisz dwie postaci, które niejako uosobistniły zwycięstwo i klęskę Witolda i Wielkiego Mistrza. Zdaleka tylko ruch bitwy widzisz ogólny i ogólną harmonią kolorów do któréjśmy u Matejki dotąd w tym stopniu co tu nie przywykli, a na tle ruchomém występują widocznie i wspaniale tylko te dwie postaci wodzów — tak jak być powinno i jak tego wymagają prawa wielkiéj naprawdę sztuki. A z tych dwu postaci zwycięski Witold najwidoczniejszy. On zajmuje sam środek obrazu, on jaśnieje pyszną karmazynową barwą, a i siwy jego koń zwraca na siebie z konieczności uwagę widza: i zdaleka już, zanim się wyraz twarzy rozpozna, widać że to postać tak natchniona i piękna, o jakiéj chyba Tycyan marzył gdy wyobraźnia wywiodła przed oczy jego duszy boga wojny; a czém bliżéj przystąpisz do tego rycerza co z okrzykiem zwycięstwa pędzi wprost na ciebie, na pysznym siwym arabskim rumaku, i co puściwszy cugle i podniosłszy do góry miecz i tarczę przeskakuje powalonego konia — tém bardziéj będziesz podziwiał najwspanialszą i najpiękniejszą postać jaką dotąd stworzył Matejko, najpiękniejszą może postać jaką dotąd wydała sztuka Polska. Naprzód! naprzód woła; jeszcze trochę a przeważą się losy! i sadzi przez bitwę — niezrównany. Może to uniesienie stronnicze; może to miłość zaślepiona dla swojskiéj sztuki, ale mnie się wydaje, że ten Witold co tu nad bitwą góruje w chwili gdy się bitwa przeważa, piękniejszy jeszcze od najpiękniejszego dotąd zwycięscy malowanego, od Konstantego Wielkiego, co podobnież widny zwycięża na czele hufców swoich w jednéj z komnat Watykanu. Zapewne porównanie to musi chromać, podobnie jak każde porównanie, a to tém bardziéj, że podczas gdy Konstanty Rafaela czy raczéj Giulia Romano pojęty z klasyczną miarą szkoły rzymskiéj, mistrz krakowski całą namiętność własną i może uczucie całego życia przelał w tę przepyszną postać Witoldową; a jednak mimo różnic wszystkich i właśnie dla tego, że ta postać jest tak arcypiękną, trudno bohatéra téj bitwy pod Grunwaldem porównać z kim innym, jak z bohatérem bitwy *par excellence* w malarstwie. A jeśli kto ze stanowiska koniarskiego podniesie zarzut, że koń ręką jeźdzca

niepowstrzymany musiałby paść gdyby tak pędził wśród bitwy, odpowiem na to, że Witold i koń jego są piękniejszymi tak jak ich pojął Matejko, i że lepiéj uwidoczniają pęd i swobodę zwycięstwa. Naprzód pędzą niczém niewstrzymani, książę Opolski i komtur Lichtenstein leżą u ich stóp powaleni, a Żyszka postępuje tuż obok pieszo — siecze i rąbie z takim potężnym zamachem, iż znać, że tam gdzie padnie jego szabla, z rycerza żywego zostaną tylko dwie rozpłatane połowy. Po lewéj ręce Witolda powiewa bujnie chorągiew zwycięska w purpurze i weselu, a po prawéj wyrywa Zyndram z Maszkowca chorągiew pruską z rąk niemieckiego rycerza, zakutego w żelazną zbroję.

Tu Witold przeciął już na dwoje niemieckie hufce; tu koń jego toruje tylko drogę dla innych rumaków i innych rycerzy, tu jaśnieje zwycięstwo, płonie barwa i żyje zapał, i tu najpiękniejsza bezwzględnie część obrazu, w któréj obok dawnych zalet Matejki, obok płonącego kolorytu i dramatycznego wyrazu, widać inne zalety, do którycheśmy dotąd nieprzywykli; bo ruch szalony, prawdziwy, porywający, i skrócenia tak śmiałe i szczęśliwe jak niegdyś u Tintoretta. Jakżeż niezrównanie pyłyskuje nożem Zyndram z Maszkowca w swoim kołpaku; jak żywo broni się pokonany już rycerz niemiecki, co woli zginąć zanim odda w lackie ręce święty znak zakonu! A jakżeż pysznemi są postaci dwu powalonych Niemców u stóp Witolda! Tu naprawdę podziwiać tylko mogłem.

Na prawo od Witolda kona już wielki mistrz. Jeszcze nie ranny, ale już nie masz dla niego ratunku, i Witold nie ogląda się nawet na skazanego, tylko pędzi naprzód, aby gdzieindziéj dokonać zwycięstwa. I postać mistrza uwydatniona wśród tłumu, dzięki białemu koniowi i białemu płaszczowi, co się nad głową mistrza unosi niesiony przez wiatr. Mistrz prawdziwy, pełen życia i malowany, ma się rozumiéć, doskonale, i dwaj na wpół nadzy Litwini co się włóczniami na niego zmierzyli są to postaci o niezrównanéj, choć przesadnéj muszkulaturze, i ruchu tu pełno, pełno wyrazu w sędziwym komandorze z Elblągu co przerażony widokiem śmierci, jaką mistrzowi gotuje dzicz litewska; są tu piękności których w Matejce nie bywało, i są tu prócz ruchu i koni piękne ciała nagie, a jednak muszę się przyznać, że już nie podziwiam tak tego mistrza pokonanego jak podziwiam zwycięskiego Witolda. A najpierw wydaje mi się, że jest tego białego płaszcza zawiele, a potém jakoś cała gama utworu tu zniżona, jest uczucia mniéj; piękne to, ale mniéj piękne.

Jeśli mam mówić o ogólném wrażeniu, które rzecz sprawia, powiém, że trzecia grupa a ostatnia na lewo nie jest mniéj piękną od środkowéj, i że w całym sposobie w którym ją traktował, dał Matejko

niepośledni dowód artystycznéj dojrzałości. Ów książę Szczeciński na karym koniu z pawiemi piórami na hełmie, to dopiéro obraz prawdziwy bohatérskiéj klęski i młodości, co mężnie kona na pobojowisku zwyciężona, a jeśli uzupełnia myśl nie ze wszystkiém wypowiedzianą w wielkim mistrzu, nie skoczy w oczy w skutek ciemnego kolorytu swego, i nie psuje jedności kompozycyi; dopiéro po niejakimś czasie dostrzeżesz go, a skoro dostrzeżesz pokochasz i zlitujesz się nad pięknością tą i siłą, co skonać muszą koniecznie; bo już naciéra z włócznią i ognistym wzrokiem Skarbek z góry, bo już jakieś pacholę chwyta konia za cugle, bo już śmierć zagląda młodemu bohatérowi w oczy, i co może i trochę dziwaczne, zagląda widomie w postaci jakiéjś bladéj, szkaradnéj, niewyraźnéj zmory. Powiadam, i strach i piękność bitwy stoją widomie przed nami w owym księciu, w pacholęciu i koniu, i nacierającym rycerzu, a nawet aby dramatyczne, straszliwe uczucie doprowadzić do szczytu powalił jeszcze do stóp koni tych i ludzi, trzy postaci, jakiegoś starca co leżąc na znak do piersi przyciska jeszcze rycérski miecz, dwu ciurów co się na ziemi kąsają, straszliwi jak niektórzy opętańcy Rubensa.

Ale jeśli myśl i ogólne wykonanie téj skrajnéj na lewo grupy są przecudowne, musimy w interesie prawdy powiedzieć, że są tu niektóre szczegóły zbyteczne, których sobie wytłómaczyć niepodobna i które przy bliższych oględzinach psują wrażenie. Gdyby kto inny namalował te przedmioty, któremi Jan Matejko psuje dowolnie swoje obrazy, mógłby być dumnym z tego co namalował. Niemniéj przeto wielka to szkoda, że Matejko swoje arcydzieła natłoczeniem pięknie malowanych szczegółów psuje; tu po lewéj stronie obrazu z resztą mniéjsza oto że postawił kilka łamigłówek, gorzéj to, że po prawicy taki natłok, że człowiek przyznać musi, mimo to, że się przeciw temu zżyma, podziwienie, które sprawia całość obrazu, że podobnie jak Matejko nigdy dotąd nie odmalował rzeczy tak pięknych jak w Grunwaldzie, i co więcéj, że podobnie jak w wieku naszym nikt może takich postaci jak te co tu są, nie odmalował; tak z drugiéj strony ani Matejko, ani żaden wielki malarz przed nim nie zepsuł tak samowolnie części swego obrazu; a to tém boleśniéjsze, że w pierwotnym szkicu tego natłoku nie było, i że nawet przy koncepcyi teraźniejszéj nie byłoby tego natłoku gdyby Matejko nie był namalował jednéj zupełnie niepotrzebnéj głowy końskiéj gniadéj, obok Zawiszy Czarnego, jednego prałata, co gdzieś ma u saméj góry twarz z konieczności ciała pozbawioną, innéj, także nie wiedzieć z czém połączonéj głowy starca umarłego, i jednego wojownika w żółtym hełmie. Gdyby tych kilku głów nie było, byłoby tu powietrze, byłaby perspektywa, uwydatniłby się ów niezrównany Zawisza Czarny na

jabłkowatym koniu cwałujący; swobodniéjby odstawał ów komtur niemiecki, co z rycerską pogardą we wzroku kona, wzięty na arkan przez brzydkiego Tatarzyna, i rycerz niemiecki, co bieży na koniu by towarzyszowi pomódz, miałby gdzie się ruszać, całość zaś obrazu byłaby bez zarzutu, i nawet najniechętniejszy Niemiec musiałby bić czołem przed Witoldem, przed mistrzem i księciem Szczecińskim nie mogąc pisać sążnistych artykułów o błędach, które Matejko popełnia, nie mogąc nałożyć wędzidła na wyobraźnię, którą, darujcie wyrażenie, trapi go geniusz. A jakiż to geniusz widoczny dla przypatrującego się Grunwaldowi z dobrą wiarą. Aby podnieść jeden tylko szczegół wśród wielu, pytam się: czy kto kiedy widział taki dramat wyrażony na twarzach zwierząt, jak ten co widoczny na koniach Matejki. Koń księcia Szczecińskiego w rozpaczy toczy oczyma; koń wielkiego mistrza kąsa się wściekle z koniem Zyndrama z Maszkowca; koń Witolda pędzi naprzód jakby gnany siłą jakąś demoniczną co go opanowała, a powalony u jego stóp rumak skarogniady księcia na Oleśnicy sieje wściekłością i nienawiścią. Konie i ludzie walczą, napełniają widza grozą i przykuwają do miejsca; a choć strach bierze, unosi się on pięknością bohatérskich głów ludzkich.

A teraz na dokończenie wypada powiedzieć słów kilka o drugim planie obrazu i o owéj postaci świętego Stanisława, którą tylu ma mistrzowi za złe. Długo o tém prawić nie potrzebuję. W ogóle powiém, że plan dalszy był pierwotnie bardzo dobrze pojęty, z wielkiém zrozumieniem bitwy i głębokiém uczuciem natury, i że tak wiatraki z knechtami niemieckiemi po lewicy, jak król Polski z rycerstwem w gaju na prawicy robią wrażenie wielce przyjemne; jednak owo fatalne natłoczenie ludzi na pierwszym planie po prawéj stronie obrazu psuje perspektywę przed gajem, w wielkiéj mierze szkodzi wrażeniu, jakieby mogły wywrzéć dobrze pomyślane krajobrazy w głębi.

A co do świętego Stanisława, o którym się ktoś wyraził, że znajduje się obok złamanego patyka, nie mogę się zgodzić z potępiającym wyrokiem, wydanym prawie jednogłośnie. Lubo wiém, że postaci téj nie było w pierwotnym pomyśle, sądzę, że uzupełnia myśl obrazu, skoro rzeczą niewątpliwą, że rycerstwo polskie zwyciężyło wtedy w imię idei Chrześciańskiej, mimo to, że walczyło z zakonem krzyżowym. I jest dla mnie rzeczą wyraźną, że ta postać jest gdzieś w głębi i że wychyla się duchownie i majestatycznie z tumanu kurzu coby przecie nie podźwignął prawdziwego ciała.

Słowem, bardzo a bardzo wiele rzeczy bezwzględnie podziwiam w olbrzymim utworze i sądzę, że bitwa pod Grunwaldem nie przestanie nigdy budzić podziwu potomności. Niemniéj przeto żałuję, że mistrz popsuł pierwotny pomysł w wielkiéj mierze chaotycznem

i wreszcie nie motywowaném nagromadzeniem ludzi i koni po prawéj stronie obrazu. Pochwałą to wielką dla obrazu Matejki, że tylko bitwa Konstantego przychodzi na myśl, gdy na ten obraz patrzymy, i że wszystkie bójki siedmnastego wieku i manewry wieku dziewiętnastego zostawione gdzieś daleko w tyle, ale niektóre dowolne wybryki nadały obrazowi pewne naiwne pozory, przypominające raczéj malarstwo piętnastego wieku we Włoszech, albo, i to najwięcéj tak wielkie a przecie dzikie malarstwo hiszpańskie, a nie klasyczny spokój pełnego odrodzenia. Za to, co prawda, bitwa ta posiada dramatyczne zalety przejmujące grozą, których nie ma w żadnéj innéj bitwie na świecie, i w bitwie téj możemy powitać jeden z najszczęśliwszych efektów dramatycznego kolorytu, co także niepomierną jest chlubą dla jéj twórcy.

Wojciech Dzieduszycki.

KRYTYKA.

Biblioteka Filozoficzna. Tom I-szy Renata Kartezyusza: Rozprawa o Metodzie etc., przetłómaczone przez Wojciecha Dobrzyckiego. Lwów 1878.

Biblioteka Filozoficzna, „ma według słów redakcyi pomieścić dzieła wszystkich tych wielkich myślicieli, którzy się przyczynili do odrodzenia myśli, a przez to do odrodzenia nauki.“ Wyrażenie „odrodzenie nauk“ nie bierze redakcya bibl. filozof. w jego zwykłém znaczeniu t. j. jako nazwy dla ruchu umysłowego XVI-go i początku XVII-go stulecia, ale nadaje mu znaczenie obszerniejsze; stosuje je bowiem nawet do chwili obecnéj. „Dążnością naszą najważniejszą,“ zapowiada odezwa do czytelników (str. 7.), „jest wprowadzenie do literatury naszéj dzieł i myśli, które sprowadziły tę wielką epokę odrodzenia nauk, sztuk i przemysłu, oraz życia społecznego, w jakiéj *obecnie* żyjemy.“ Zgodnie téż z takiém rozumieniem redakcya bibl. filozf. zamierza wydać nie tylko tłómaczenia dzieł Spinozy, Humégo, d' Alemberta, ale także Kanta a nawet Littrego. Jakkolwiek wygodniéj dla czytającego, jeśli piszący używa terminów i wyrażeń naukowych w utartém ich znaczeniu, z tém wszystkiém niepodobna autorom odmówić prawa nadawania tym terminom i wyrażeniom znaczeń takich, jakie dla swych celów za stosowne uważają; byle tylko każde takie nowe znaczenie było jasno i dokładnie określone. Dla tego téż nie można mieć do redakcyi bibl. filozof. pretensyi za to, że po swojemu tłómaczy „odrodzenie nauk,“ chociaż potrzeby takiego nowego tłómaczenia nie widzimy. Natomiast do wyrazu „filozof,“ przywiązuje redakcya tak niejasne pojęcie, że czytelnik gubić się musi w domysłach co do zawartości dzieł, mających stanowić Bibliotekę *Filozoficzną*. Na str. bowiem 8-méj czytamy: „Oświadczamy atoli zarazem, że nie umieścimy w Bibliotece żadnego z tych filozo-

fów, którzy swoje systemata na wyrazach opiérają. Nie goniąc za ciężką systematycznością, będziemy wyszukiwali autorów, którzy podają nowe myśli, chociażby się filozofami nie nazywali. O nowe prawdziwe myśli chodzi nam przedewszystkim.“ Któż może powziąć z tego wyobrażenie o normie, według któréj redakcya przy wyborze autorów i dzieł postępować zamyśla? Jeśliby wydawcy wprost zapowiedzieli, iż pragną wypuścić w świat tłómaczenia najważniejszych, wybitniejszych filozofów lub téż tłómaczenia dzieł, należących do pewnych tylko lub też do jednego kierunku filozoficznego, to każdy, choćby z gruba tylko obznajmiony z historyą filozofii, mógłby wiedziéć, czego się może spodziewać po zamierzonym wydawnictwie. Gdy wszakże redakcya oznajmia, że będzie wyszukiwać „autorów, którzy podają nowe myśli chociażby się *filozofami* nie nazywali,“ to program wydawnictwa pozostaje dla czytelnika zupełnie niejasny; gdyż redakcya nie zadała sobie trudu obznajmienia, kto, według jéj pojęć, jest filozofem, co filozofia i co filozoficzném. Nie dość bowiem, jak to czyni redakcya, powiedziéć, że nie będzie umieszczać dzieł filozofów, opiérających swe systemata na wyrazach, gdyż podobnych systematów w gruncie rzeczy nie ma, a przynajmniéj historya filozofii takich nie zaznacza, lecz skoro zamiarem redakcyi jest wydawać w bibliotece *filozoficznéj* utwory takich nawet ludzi, którzy się *filozofami* nie nazywają, toć wypadało, zwłaszcza przy obecnym zamęcie w poglądach na znaczenie filozofii, zdać sobie samemu i czytelnikowi jasną sprawę z przedmiotu filozofii, jéj granic i stosunku do innych umiejętności. Braku tego nie zapełni spis autorów podanych exempli gratia, gdyż i w spisie tym widnieje taki sam brak ogólnéj zasady, według któréj ułożony został. Znajdujemy w nim bowiem obok ludzi, którzy się „nazywają filozofami,“ i tych jest znakomita większość, także i nazwiska: *La Bruyère'a Mösera* i *Addisona*, których tytułu do figurowania w jednym rzędzie z *Kartezyuszem*, *Lockém*, *Spinozą*, *Kantem*, *Platonem*, *Arystotelesem* etc. nie znamy i napróżno w odezwie redakcyi szukamy. Boć to że „w Labruyèra dziele znajdzie każdy czytelnik dużo znajomości charakterów ludzkich, a w trudnéj sztuce poznawania ludzi nie jednę ztąd odniesie wzkazówkę,“ „że Möser w Fantazyach swoich z wesołością i dowcipem wzkazuje wady różnych warstw społeczeństwa,“ że nareszcie „z Addisona klasycznych obrazków obyczajowych“ można podać „zajmującą wiązankę“— boć te względy, powtarzamy, nie mogą być dostatecznym dowodem, że dzieła tych mężów mogą i powinny być pomieszczone w zbiorze biblioteki *filozoficznéj*.

Spis ten autorów, których dzieła mają się złożyć na bibliotekę filozoficzną, zastanawia czytelnika nadto jeszcze z tego względu, że

nie spotyka się w nim z nazwiskiem *Leibnitza*, ani *Hegla*, ani *Schopenhauera* i t. p. że, jedném słowem, została w nim zupełnie pominięta cała plejada filozofów niemieckich, z wyjątkiem jednego *Kanta*, którego zresztą redakcya jakby z łaski w poczet filozofów zaliczyła. Gdy bowiem powodów dla wydania dzieł innych filozofów szukała redakcya w ich znaczeniu dla postępu wiedzy, to niemiecki myśliciel zostanie dla tego tylko uwzględniony, że Niemcy imię jego stawiają tak wysoko jak Francuzi Kartezyusza, a Anglicy Bakona (str. 6). Dla czego redakcya tak po macoszemu traktuje filozofią niemiecką, zrozumiéć trudno. Jeżeli redakcya „z całą przyjemnością" (sic!) umieści w Bibliotece pisma Tertuliana i św. Augustyna, to dla czegóż nie miałaby z podobną przyjemnością wzbogacić naszéj literatury przekładami dzieł Hegla i Schopenhauera, tém bardziéj skoro obiecuje „przedstawić czytelnikom przynajmniéj zasadnicze dzieła Platona, Arystotelesa i Cicerona, aby mieli sposobność osądzić, jak wielka jest różnica pomiędzy filozofią nowszą a filozofią starożytnych" (str. 7). A jakżeż chce redakcya pomódz czytelnikowi do sądzenia o różnicy między filozofią starożytną a nowszą, jeśli nie przedstawi mu pism twórców najpotężniejszych systematów filozofii niemieckiéj? Czyżby taki Leibnitz, Hegel lub Schopenhauer mieli być przez redakcyą umieszczeni na owéj poskrypcyjnéj liście „tych filozofów, którzy swoje systemata na wyrazach opiérają" (str. 8)? Nie chcielibyśmy robić tak krzywdzącego dla redakcyi przypuszczenia, a jednak w braku motywów usunięcia z zamierzonego wydawnictwa dzieł tych filozoficznych potentatów mimowoli się ono nasuwa. Nie myślimy kruszyć kopii w obronie idealnego kierunku filozofii niemieckiéj; ale twierdzimy, że wydający bibliotekę filozoficzną nie mogą pominąć ważniejszych pomników tego kierunku bez narażenia się na słuszny zarzut najzupełniéj nienaukowéj dowolności.

W obec więc braku wywodów, popierających z jednéj strony pomieszczenia La Bruyère'a, Addisona i Mösera na liście filozofów a wykazujących z drugiéj nicość filozoficzną Leibnitzów, Heglów i Schopenhauerów, chętnie wierzymy. że zapowiedziana Biblioteka, według zaręczenia redakcyi (str. 8), będzie bardzo poważną i nie nudną, ale wątpimy, czy będzie filozoficzną.

Szereg wydawnictwa rozpoczyna redakcya Kartezyuszem. „Na czele naszego wydawnictwa stawiamy Kartezyusza," czytamy na stronie 6-téj; okładka zaś książki poucza nas, że drugiém z kolei dziełem będzie *Novum Organum* Bakona. Taki porządek wydawnictwa nie jest dziełem przypadku, nie sprowadziły go okoliczności niezależne od redakcyi, lecz przeciwnie ma on, zdaniem redakcyi, najzupełniéj odpowiadać znaczeniu obu tych uczonych dla rozwoju nowożytnéj my-

śli filozoficznéj. „Na czele naszego wydawnictwa, powiada redakcya na str. 6., stawiamy *Kartezyusza*....... dzieło filozoficzne, które podajemy, pierwsze przełamało lody, jest fundamentem całéj nowéj filozofii.“ I zaraz daléj: „Równie potężną jest postać *Franciszka Bacona*, kanclerza Anglii. Obudzoną przez Kartezyusza myśl, on w odmiennym prowadzi kierunku.“ Nie pojmujemy prawdziwie, jakim sposobem ktoś, co wydaje Bibliotekę Filozoficzną, może popełnić tak grube błędy w chronologii historyi filozofii. Zaprawdę nie potrzeba specyalnie zajmować się filozofią, żeby wiedziéć, że w chronologicznym porządku Bakon idzie przed Kartezyuszem, i że jeżeli już koniecznie jednemu z nich należy przyznać zasługę obudzenia nowszéj filozoficznéj myśli, to pierwszeństwo w tym względzie należy się naturalnie temu, kto piérwszy w nowym duchu pisać zaczął, a więc Bakonowi; ponieważ oba najważniejsze jego dzieła: *de dignitate et augmentis scientiarum* i *Novum Organum* wyszły znacznie wcześniéj od pierwszéj puplikacyi Kartezyusza. Gdy bowiem ta ostatnia p. t. *Essys philosophiques* (zawiérające w sobie. *Discour de la méthode* etc *Météores* i *Géométrie*) wydana została dopiéro r. 1637, to pierwsze z wymienionych dzieł Bakona zjawiło się roku 1623 a drugie roku 1620; a już oba te dzieła są w rzeczy saméj tylko późniejszą i poprawną edycyą dwu innych daleko wcześniéj w świat wypuszczonych. A mianowicie pierwowzór pierwszego wyszedł w angielskim języku roku 1605 p. t. *The twobooks of Francis Bacon on the proficience and advancement of learning divine and human*, a drugiego w języku łacińskim r. 1612 p. t. *Cogitata et visa.* Dopiéro za tym w 31 lat po publicznym wystąpieniu Bakona podniósł Kartezyusz swój głos w sprawie reformy fiłozofii. (1)

Zdaniem naszém, zrobiła redakcya najniefortunniejszy wybór z dzieł Kartezyusza, dając do tłómaczenia jego rozprawę o metodzie. Znaczenie bowiem tego dzieła zarówno dla specyalnego celu poznania filozofii Kartezyusza jako téż i dla celu ogólniejszego: zaznajomienia się u źródła z temi myślami, które umysł ludzki w badaniach filozoficznych na nowożytne pchnęły tory, jest bardzo małe. Redakcya a wraz z nią i tłómacz p. Wojciech Dobrzycki grzeszą w ocenie doniosłości rozprawy o metodzie nadzwyczajną przesadą. Bezzasadność zdania redakcyi, że dziełko to pierwsze przełamało lody — że „jest fundamentem całéj nowéj filozofii“ wyżéj wykazaliśmy; nie rozwodząc się więc dłużéj nad niém, przejdziemy do sądu tłómacza: „Rozprawa o metodzie,“ powiada on, „należy do najważniejszych

---

(1) Ueberweg: Grundriss der Geschichte der Philosophie III, str. 35 i 43.

dzieł, jakie historya filozofii przedstawia, doniosłość jéj polega na tém, że jest ona najuroczystszym protestem przeciw błędom naukowym odzianym powagą długiego szeregu upatentowanych, pysznych, a nieświadomych rzeczy uczonych, jest krzykiem samodzielności umysłu, pragnącego ratunku z powodu narzuconych nauk, jest odwołaniem się rozumu do boskiéj żywej księgi świata od opleśniałych pargaminów i wymysłów chorobliwéj ambicyi ludzkiéj“ (str. 23).

Nie ulega kwestyi, że rozprawa Kartezyusza o metodzie jest protestem przeciwko scholastyce i odwołaniem się rozumu do żywéj księgi świata; ale te strony dzieła Kartezyuszowego nie stanowią jego wartości i to takiéj wartości, żeby je aż za jeden z najważniejszych filozoficznych utworów uważać. Takich protestów, takich krzyków samodzielności umysłu, jak się tłómacz wyraża, i to daleko uroczystszych, daleko energiczniejszych, było wiele przed ukazaniem się rozprawy o metodzie; a odzywały się one o wiele wcześniéj. Nie mówię już o Bakonie i jego dziele „de dignitate et augmentis scientiarum,“ które całe jest tylko jednym wielkim i wszechstronnym protestem przeciwko ówczesnéj nauce— nie mówię o nim, gdyż i on nie jest ani najpierwszym, ani najenergiczniejszym przeciwnikiem scholastyki. Już w XIV-ym bowiem wieku *Nicolaus de Autricuria* głosi śmiało, że należy zerwać z Arystotelesem i Averroesem a odwołać się bezpośrednio do rzeczy; w XV-tym wieku *Laurentius Valla* podejmuje reformę dotychczasowéj Logiki i stara się wstrząsnąć powagą Arystotelesa; wreszcie w tymże wieku *Ludwik Vives* wypowiada zdanie, że prawdziwi uczniowie Arystotelesa badają wprost przyrodę i że jedyną drogą, wiodącą do poznania jéj, jest bezpośrednie doświadczenie. (1) W obec tych śmiałych głosów, blednie zupełnie Kartezyuszowska rozprawa o metodzie tak, że jeślibyśmy na zasadzie tego dzieła chcieli wydać wyrok o doniosłości filozoficznéj Kartezyusza, musielibyśmy go prawie postawić w rzędzie tych uczonych uniwersytetu paryskiego z XIII-go stulecia, którzy się stali twórcami teoryi *podwójnéj prawdy*: teologicznéj i filozoficznéj, wprost sobie, zdaniem ich, przeciwnych, ale mogących jedna obok drugiéj istniéć, a którzy jednak mimo to wypowiadają między innemi zdania takie, że: „religja chrześciańska przeszkadza czegoś nowego się nauczyć“ lub: „rozprawy teologów opiérają się na bajkach. (2) Jedném słowem, gdyby Kartezyusz nie był nic innego napisał, jak tylko swą rozprawę o metodzie, niktby go bez wątpienia nie uważał za jednego z założycieli

---

(1) F. A. Lange Geschichte des Materialismus, cz. 1-a wyd. 2-gie 1873. str. 181 i n.
(2) Ibid. str. 181 i n.

nowożytnéj filozofii. Inne jego dzieła, a mianowicie: *Meditationes del prima philosophia*, *principia philosophiae* etc. zyskały mu nieśmiertelną sławę. W nich to, a zwłaszcza w ostatniém z wymienionych znajdujemy protest przeciwko scholastyce, jeśli już koniecznie o taki protest dla oceny Kartezyusza chodzi, wprawdzie protest niewyraźnie sformułowany, ale za to tém skuteczniejszy i donioślejszy, że nie zawiera się tylko w saméin żądaniu zerwania z panującą filozofią lub w pobieżnéin naszkicowaniu środków, jakich użyć należy, żeby dotrzéć do prawdy, jak to ma miejsce w rozprawie o metodzie; lecz w konsekwentnie przeprowadzonym systemie umiejętności, w którym, mimo dość znacznych i to umyślnych akkomodacyj do ówczesnéj przez kościół uświęconéj filozofii, wyrugowane zostały zasadnicze pojęcia zescholastyzowanego, jeśli się tak wyrazić wolno, Arystotelesa, a cały świat zewnętrzny wytłómaczony z materyi i ruchu mechanicznie się przenoszącego. Jeśli więc redakcya chciała czytelnikom swym dać możność bezpośredniego zapoznania się z filozofią Kartezyusza, to należało wydać tłómaczenie jego „zasad“ lub przynajmniéj jego, Medytacyi.

Nie przeczę bynajmniéj, że rozprawa o metodzie ma pewne i nawet wielkie znaczenie dla zupełnego zrozumienia filozofii Kartezyusza, a mianowicie dla odgadnięcia tych jego myśli i poglądów, które uważał za stosowne zataić, lub téż tak je przeinaczyć, żeby nie były powodem zgorszenia. Ale jeśli chodzi o wybór dzieł jakiegokolwiekbądź uczonego, nie tylko filozofa, toż wybierać należy to, co ma znaczenie fundamentalne. A takiego znaczenia „rozprawa o metodzie“ nie ma, gdyż nie tylko cały jéj przedmiot umiejętny mieszczą w sobie „zasady“ i to w formie ściślejszéj, umiejętniejszéj; ale nadto zamiast wielu szczegółów czysto biograficznych, bardzo ważnych zresztą dla poznania charakteru i historyi umysłowego rozwoju Dekarta, a krom tego zamiast tylko lekko naszkicowanych próbek zastosowania nowéj metody do niektórych przedmiotów wiedzy, dzieło to zawiera konsekwentnie przeprowadzony system wiedzy. Dla tego téż, jakkolwiek nie ulega kwestyi, że z „rozprawy o metodzie“ odniéść można korzyść (bo zresztą z jakiéj książki korzyści się nie odnosi?) to przecież korzyść ta jest bardzo mała, zarówno odnośnie do poznania filozofii Kartezyusza, jak i do wzmocnienia ogólno-filozoficznego wykształcenia; a każdy uważny czytelnik nad gorący epilog tłómacza przełoży bez wątpienia następujący chłodny sąd *Kirchmanna*: „Być bardzo może, że czytelnicy pod koniec téj rozprawy (t. j. o metodzie) doznają pewnego rozczarowania w oczekiwaniach, z jakiemi ją, powodowani nazwiskiem Dekarta, czytać rozpoczęli; w samej rzeczy, książka ta zawiera w sobie mało treści, treść tę przed-

stawia tylko jako krótki wyciąg z dzieła większych rozmiarów i po większéj części zajmuje się formalnemi prawidłami, których doniosłość sam Dekart przeceniał. Ale jako klucz do poznania charakteru i sposobu myślenia tego wielkiego męża ma niespożyte znaczenie......... Znaczenie dzieła o metodzie leży wyłącznie w epoce, w któréj napisane zostało. Dla obecnéj chwili wiele z zawartych w niém myśli może się wydawać zwykłemi, niepotrzebującemi dowodu (selbstverständlich), inne znów przestarzałemi" (1).

Polski tłómacz rozprawy o metodzie nie umiał skorzystać z tych dwu ważnych, przez Kirchmanna słusznie zaznaczonych stron tłomaczonego dzieła dla życiorysu Kartezyusza, który jako wstęp do tłómaczenia swego przyłączył. Obszerna ta praca, bo na 100 prawie stronicach rozprowadzona, nie poucza nas ani o filozoficznych podstawach ówczesnéj wiedzy, do zburzenia których Kartezyusz przez wprowadzenie nowych tak silną dłoń przyłożył, ani téż o wewnętrznych walkach, które z sobą staczał, żeby przez zbyt wyraźne i jawne wypowiedzenie swéj myśli nie narazić się ówczesnéj prawomyślności. Zamiast w ten sposób rzecz swą traktować, przez co dopiéro postać Kartezyusza nabrałaby życia a czytelnik mógłby zrozumiéć w całéj doniosłości jego zasługi dla postępu wiedzy, daje nam tłómacz streszczenie każdego dzieła po szczególe i opowiada nam zewnętrzną historyą swego bohatéra.

Taka metoda musi koniecznie chybić celu. Czytelnik, nieobznajmiony z życiem umysłowém epoki wśród któréj działał Kartezyusz, nie znający ani ogólnie przyjętych filozoficznych podstaw ówczesnego całokształtu wiedzy ludzkiéj, ani téż samodzielnych i z pod ogólnéj tyranii wybijających się prądów, nie byłby w stanie zrozumiéć i ocenić nowatorstwo tego uczonego nawet i wtedy, gdyby *in extenso* zapoznał się z jego pismami; a cóż dopiéro mówić o korzyści, jaką w tym względzie może odniéść ze szczupłego ich streszczenia. Porównywanie zaś, jak to czyni tłómacz, teoryi i myśli Kartezyusza z obecnym stanem naszéj nauki i wykazywanie, jak blizkim był prawdy, jak byłby nie był popełnił pewnych błędów, gdyby już wówczas porobione były te odkrycia, które niestety dopiéro po nim zrobiono, do niczego nie prowadzi. Raz dla tego, że czytelnikowi w ten sposób nie daje się możności ocenienia o ile poglądy, z któremi zapoznaje się u Kartezyusza, były jego wyłączną własnością, a o ile były one w posiadaniu całego ówczesnego społeczeństwa. Powtóre zaś

(1) I. H. v. Kirchmann: René Descartes' philosophische Werke. I-te Abth. 1870. uwaga 39.

dla tego, że mimo wszelkich starań wykazania zgodności między teoryami Kartezyusza a obecną umiejętnością, zasadnicze jego poglądy jak teorya wirów, odłamków między najmniejszemi cząstkami materyi, w ogóle cały jego pomysł o wypełnieniu przestrzeni materyą właśnie przez takie zbliżenie z nowoczesną umiejętnością, muszą dla czytelnika, któremu tłómacz wciąż jako miarę oceny poddaje pojęcia nowoczesne, wydawać się niedołężnemi, oniemal śmiesznemi!

Podobnie jak nie dał nam tłómacz wiernego wizerunku Kartezyusza jako reformatora filozofii, tak téż nie dał nam wiernego wizerunku człowieka. Jak już wzmiankowaliśmy, tłómacz zapoznaje nas tylko z zewnętrzną historyą Kartezyusza. Co gorsza nie umié w niéj rozróżnić faktów głównych od podrzędnych, a rozszerzając się nad ostatniemi, dodając tu i owdzie rzeczy nie odnoszące się zgoła do życia Kartezyusza, jak np. cały epizod o stosunku Elżbiety, córki Fryderyka palatyna reńskiego, do króla polskiego, Władysława IV; o pierwszych mówi nieraz tylko mimochodem; tak np. o wielkim sporze z Woecyuszem, pierwszym profesorem Teologii uniwersytetu utrechtskiego i procesach ztąd wynikłych, (1) głuchą czyni tylko wzmiankę. A jednak był to jeden z ważniejszych wypadków w życiu Kartezyusza, tém ważniejszy, że rzuca jasne światło na charakter jego i na intrygi ówczesnych prawomyślnych. W skutek tego postać Kartezyusza zarysowuje się blado, nie budzi żadnego interesu w czytelniku, a nagromadzone szczegóły biograficzne wydają się błahemi wiadomostkami, pozbawionemi głębszego znaczenia. I nie mogła być inną tego rodzaju biografia takiego jak Kartezyusz człowieka. Jakiż bowiem żywszy interes mogą budzić w czytelniku losy uczonego, stojącego na uboczu od całego gwaru interesów praktycznych, uczonego, który ani szukał, ani nie przenosił jakichś gwałtownych burz życia, uczonego cichego i o niemal nagannie lękliwego? W zupełności téż można o tym polskim życiorysie Kartezyusza powtórzyć słowa, które *Huygens* wyrzekł o pierwszéj obszernéj jego biografii napisanéj przez Bailleta: (2) „Nie byłożby zaszczytniejszém dla pana Dekarta, jeśliby pominięto znaczną liczbę małych szczegółów z jego życia? Albo mamyż mniemać, że jest rzeczą korzystną lub pożądaną być potomności znanym z pewnych szczegółów i okoliczności, które nie zawierają w sobie nic wielkiego i nadzwyczajnego! Sądzę że, gdyby pozostawiono podobne pamiętniki życia Epikura i Platona

(1) Ciekawych téj sprawy odsyłamy do: Kuno Fischer's Geschichte der neuen Philosophie. I Band Descartes u. seine Schule. 2-gie wyd. r. 1865. rozd. 9-ty str. 224—247.

(2) A. Baillet La vie de M-r des Cartes. Paris 1691.

w niczémby się one nie przyczyniły do zwiększenia mojego szacunku dla tych wielkich mężów. Oprócz tego, błahe te rzeczy nie godne są zajmować czytelnika (1). Wadliwych tych stron biografii nie zatrze ogólna charakterystyka Kartezyusza, umieszczona w końcu życiorysu; nie będąc bowiem wyraźnym wynikiem poszczególnych faktów, z któremi czytelnik zapoznaje się w historyi filozofa, nie może też w nim obudzić przekonania o jéj prawdziwości. Charakterystyka taka wtedy ma tylko znaczenie i wartość, jeśli jest syntezą właściwości i cech bohatéra, które czytelnik już w ciągu czytania życiorysu jego poznał lub z podanych faktów odgadł, a temu kardynalnemu warunkowi tłómacz nie czyni zadość. Ale jest to wzgląd formalny i nie zwrócilibyśmy na niego uwagi, gdyby ten ogólny wizerunek Kartezyusza był rzeczywiście prawdziwy. Na nieszczęście, wiadomości, jakie tłómacz o charakterze swego filozofa podaje, jeśli nie są nieprawdziwe to co najmniéj zbyt apodyktycznie z pretensyą do prawdy wygłoszone. Zdaniem naszém, byłoby daleko właściwiéj, w obec różnorodnych świadectw o Dekarcie z ostatecznym sądem o nim nieco się wstrzymać. Tymczasem tłómacz robi z Dekarta prawdziwy typ klasycznego mędrca, otacza go jakąś aureolą stoicyzmu, wolnego od wszelkich ludzkich słabości. A jednak miał Dekart swoje słabe i nawet bardzo słabe strony. A najprzód nie był on tak nieczuły na sławę, żeby się aż jéj obawiał dla swéj swobody i wypoczynku, jak to chce nasz tłómacz (str. 86 i n.). Przeciwnie, chodziło mu bardzo o sławę, a zazdrość o primat na polu umiejętności była mu tak samo dobrze znana jak i uczonym XIX-ego stulecia. Nadzwyczaj ciekawe i pouczające pod tym względem jest zdanie wzmiankowanego już Huygensa.

Po bardzo trafnéj, dziś jeszcze najzupełniéj prawdziwéj ocenie znaczenia reformatorskiéj działalności Dekarta i po wykazaniu zasług Telesiusa, Campanelli, Gassendiego i Bakona w krótkich słowach ocenia Huygens moralny charakter Galileusza i bezpośrednio przechodzi do podobnéj oceny Dekarta. Ponieważ sądy jego w obu tych uczonych nawzajem się dopełniają i przez zestawienie zyskują na sile, przeto oba tu przytoczę. „Galileusz posiadał wszystko co potrzeba dla zrobienia postępów w fizyce, i trzeba przyznać, że był on pierwszym człowiekiem, który poczynił piękne odkrycia, tyczące się natury ruchu, jakkolwiek w kwestyi téj wiele jeszcze do zrobienia zostawił. Nie był on na tyle śmiały i zarozumiały, żeby kusić

(1) Oeuvres de Victor Cousin t. II. Bruxelles 1841. Artyk. p. t. Lettres médites de Descartes et remarques de Huygens sur la vie de Descartes par Baillet str. 176.

się o wyjaśnienie wszystkich przyczyn naturalnych, ani też na tyle próżny, żeby chciał zostać głową jakiéjś sekty. Był skromny i zanadto kochał prawdę; sądził nadto, że już dość zyskał sławy i to takiéj, która wiecznie trwać miała w skutek jego nowych odkryć."

„Lecz pan Dekart, który, jak mi się zdaje, bardzo zazdrościł Galileuszowi jego sławy, mocno pragnął tego, żeby go uważano za twórcę nowéj filozofii. Pokazuje się to z jego usiłowań i nadziei wprowadzenia wykładu jéj do szkół na miejsce filozofii Arystotelesa; z tego, że życzył sobie iżby ją przyjął zakon Jezuitów, wreszcie z tego, że gwałtem obstawał przy zdaniach, które raz wygłosił, jakkolwiek były one często zupełnie fałszywe" (1).

Jest to jedno z najważniejszych świadectw, jakie posiadamy o Dekarcie; dał je bowiem nie tylko znakomity uczony, który nie mógł być zazdrosny o sławę Dekarta, gdyż jako rówiennik Newtona należał do młodszego pokolenia; ale nadto syn jednego z najlepszych przyjaciół naszego filozofa, dla którego tenże nawet napisał mały traktat o Mechanice, umieszczony w paryskiém wydaniu „Próbek". Świadectwo to jest tak ważne, że Cousin, znalazłszy ten fragment Huygensa w bibliotece lejdejskiéj, uważał za swój obowiązek w interesie prawdziwéj oceny Dekarta ogłosić go drukiem, chociaż Uylenbroeck, profesor uniwersytetu w Leydzie, chciał go od tego odwieść (2). Cousin osobiście uważa ten sąd Huygensa za zbyt surowy, graniczący nawet z niesprawiedliwością. A jednak, jeśli go zestawimy z niektóremi okolicznościami z życia Dekarta, przekonamy się, że nie był pozbawiony podstaw i że jeśli nie jest zupełnie prawdziwy, to niewątpliwie niewielką grzeszy przesadą. W roku 1629-ym 20-go Marca zaobserwowano w Rzymie cztery poboczne słońca. Znany rywal Dekarta *Gassendi* zjawiska te starał się objaśnić. W następstwie wyjaśniał ten przedmiot i Dekart; ale nie robi żadnéj o Gassendim wzmianki; jakkolwiek cały opis tego fenomenu zawdzięcza jednemu z najgorętszych swoich zwolenników niejakiemu Henrykowi Renier v. Reneri (ostatecznie profesorowi uniwersytetu utrechtskiego), który odnośne wiadomości zaczerpnął u Gassendiego (3).

Podobnież starał się Dekart zataić prace innych uczonych i sobie przyswoić zaszczyt pierwszeństwa w odkryciach naukowych, których tamci dokonali; tak się ma między innemi z prawem refrak-

(1) Cousin, l. c. str, 176.
(2) Ibid. str. 172.
(3) Kuno Fischer l. c. str. 191.

cyi, odkrytém przez *Snella* i obserwacyą *Pascala*, że na górach zmniejsza się ciśnienie powietrza (1). Wreszcie nie małem poparciem zdania Huygensa jest lekceważenie, z jakiém się Dekart o pracach *Galileusza* odzywał. Ta ostatnia okoliczność naprowadza nas na myśl inną, oględnie się wyrażając, bardzo słabą stronę Dekarta, a mianowicie jego obawę narażenia się ówczesnéj ortodoxyi. W roku 1632 wykończył Dekart po długich i sumiennych przygotowawczych pracach swe pierwsze wielkie dzieło p. t. „Le Monde ou le traité de la lumière." W owém dziele, w którém Dekart kusi się o wyjaśnienie budowy wszechświata, teorya obrotu ziemi stanowi jednę z prawd podstawowych i tak jest, według słów Dekarta, ze wszystkiemi częściami dzieła połączona, że jéj usunąć niepodobna. Tymczasem w Czerwcu roku 1633 został Galileusz za swój dialog, w którym zestawia system Ptolomeusza z teoryą Kopernika, pociągnięty przed trybunał inkwizycyi i do odwołania zmuszony.

Na wieść o tém, Dekart cofa gotowy już do druku manuskrypt i zrzeka się dobrowolnie wszelkiéj w ogóle publikacyi. Po latach wszakże pięciu puszcza w świat swe „Próbki", które są tylko fragmentem pierwotnego dzieła o świecie i w których starannie unika wszystkiego, coby mu w opinii prawomyślnych zaszkodzić mogło. Taka bojaźliwość, takie ukrywanie się z myślami, o prawdziwości których jak najzupełniéj przekonani jesteśmy, dziś wydawałaby się nam naganną słabością. W wieku wszakże Dekarta mógł rzeczywiście gniew kościoła przestraszyć uczonego, który życzył sobie żyć w spokoju. Nie mniéj przeto krok ten nie jest bynajmniéj dowodem wielkości ducha i on sam jest już dostatecznym protestem przeciwko apoteozie Dekarta jako człowieka, zwłaszcza jeśli go porównamy z męską odwagą Giordana Bruno, z szlachetnym uporem Galileusza lub wzniosłém zamiłowaniem niezależności Spinozy. Ale Dekart nie zatrzymał się na tém. Party potrzebą pisania i ową żądzą sławy, o któréj przedtém mówiliśmy, przygotowuje nowe dzieło, mające również jak „Le monde" wszechświat za przedmiot, i puszcza je roku 1644 w świat p. t. Principia philosophiae". Zabiera się przytém do rzeczy nadzwyczaj ostrożnie i sonduje powoli obóz prawomyślnych. W tym celu wydaje naprzód teologiczno-metafizyczną podstawę wzmiankowanego dzieła p. t. Meditationes de prima philosophia r. 1641; ale przed oddaniem do druku komunikuje ją niektórym znanym uczonym i wpływowym teologom i filozofom i, dopiéro po otrzymaniu ich uwag i sądów, drukuje ją wraz z temiż; wszakże nie po

---

(1) Cousin l. c. str. 177 i F. A. Lange l. c.

francusku jak rozprawę o metodzie, lecz po łacinie, z obawy, żeby nie wywołać burzy w szerszém kole publiczności.

I cóż się stało z teoryą obrotu ziemi w tém nowém dziele, mającém w miejsce piérwotnego wyjaśnić wszechświat z ową prawdą, o któréj w roku 1633 pisał do Mersenne'a. „A jest ona do takiego stopnia związana ze wszystkiemi częściami mojego traktatu, że nie mogę jéj z niego wyrugować bez uszkodzenia reszty“ (1). Prawdy téj wypiera się Dekart publicznie w swoich „zasadach“, stanowczo odrzuca hipotezę Kopernika (2) i wbrew nadziei, wyrażonéj w innym liście do Mersenna, że przyjdzie czas, iż kiedyś będzie mógł własnym posiłkować się rozumem (3), stawia ad hoc wymyśloną hipotezę, o któréj i sam powiada, że słowami zaprzecza ruch ziemi a w rzeczy saméj przyjmuje system Kopernika (4).

Jeśli zwrócimy na to uwagę, że do podobnego przemycania, do takiego fałszowania własnych poglądów, uciekł się człowiek, który wielostronnie wyrażał obawę, że myśli jego mogą przez innych być spaczone, (5) który do tego stopnia czuwał nad czystością swych teoryj, że podniósł publiczny protest przeciwko najwierniejszemu ze swych uczniów *Henrykowi Le Roy* v. Regiusowi, profesorowi botaniki w Utrechcie, za to, że ten w dziele swém, „fundamenta physica“ wygłosił poglądy niezgodne z jego teoryami (6), jeśli, powtarzam, okoliczności te zestawimy, to niechybnie nasunie się nam pytanie, czy nie zboczył Dekart z drogi sumienności?

Robiąc ostateczny wywód z tego, cośmy wyżéj o Dekarcie powiedzieli i co jeszcze nie jednym faktem z jego życia poprzećbyśmy mogli, utrzymujemy, że miał on bez wątpienia prawo powiedzieć o sobie: „bene vixit, qui bene latuit“, ale nie w tém znaczeniu, w jakiém zdanie to wyrzekł mędrzec starożytny i w jakiém je bierze nasz tłómacz, zgadzający się pod tym względem z Kirchmannem i Kuno Fischerem, a mianowicie, że rozgłos jest zawadą dla życia cnotliwego; ale w tém, że dobrze temu na tym świecie, o kim ludzie nie wiele mówią.

O filozoficzném uzdolnieniu i przygotowaniu tłómacza wolelibyśmy wcale nie mówić. Nie dotykamy też takich naiwnych sądów:

---

(1) Oeuvres de Descartes t. IV. wyd. Cousina str. 239.

(2) Renati Descartes. Principia philosophiae. Amsterdam 1685. str. 53 i in.

(3) Oeuvres de Descartes VI str. 246.

(4) Kuno Fischer l. c. str. 178.

(5) Renata Kartezyusza Rozprawa o metodzie tłóm. Dobrzyckiego str. 175.

(6) Kuno Fischer, l. c. str. 246. Tamże czytelnik może się dowiedzieć, z jakim poświęceniem pracował Regius dla sławy i dobra Dekarta, str. 225 inn.

że prawda jest zgodą myśli z rzeczywistością; że z „rozprawy o metodzie“ można powziąć dostateczne wyobrażenie o metafizyce: że metafizyka jest nauką, zmierzającą do poznania ogólnych podstaw całego świata drogą czystego myślenia bez pomocy zmysłów i t. d.; nie dotykamy tych myśli, gdyż nie wiążą się one bezpośrednio z przedmiotem, o którym mówimy. Ale niepodobna pominąć milczeniem uwag tłómacza o sławném zdaniu *cogito ergo sum*, zbyt ważną bowiem rolę gra to zdanie w filozofii Dekarta. Wiadomo, że tę podstawę kartezyańskiéj metafizyki już od współczesnych spotkały zarzuty, i że dziś jeszcze jest ona przedmiotem rozlicznych komentarzy. I tłómacz nasz przewiduje również rozmaite zarzuty, jakie przeciwko temu zdaniu podniéśćby można. Uważa więc że „niejeden mógłby, sapnąwszy sobie (sic!), powiedzieć: jem, więc jestem... Listonosz mógłby powiedzićć: „chodzę więc jestem“ a wreszcie nawet i konie (dla czego nie inne zwierzęta?) mogą mieć tę świadomość siebie, bo jedzą i chodzą (str. 26). Wszystkie te zdania, według tłómacza, mogą stać na równi ze sławném „cogito ergo sum“; wszakże to ostatnie zasługuje dla tego na pierwszeństwo, że jest „najwyższym wyrazem ludzkiéj świadomości“. Bo „myślę więc jestem“, powiada tłómacz, „to znaczy, jestem człowiekiem, w obec Boga jestem robakiem, w obec natury jestem panem, jestem królem stworzeń“ (ibid); i daléj w ten sposób rozszerza się tłómacz, fantazyując z całą swobodą na temat: cogito ergo sum. Niepodobna w ogóle wchodzić z tego powodu z tłómaczem w dyskusyą, niepodobna zastanawiać się z nim nad tém w jaki to sposób należy „okiełznać“ przyrodę, jak to ona „niby słoń potężny jedném machnięciem swojéj trąby powali nas na ziemię“, jaką szkodę społeczeństwu wyrządzają „trutnie“; niepodobna powtarzamy, gdyż wszystkie te fantazye nie kwalifikują się do pociągnięcia ich przed forum krytyki. Zauważymy tylko w krótkości, że ponieważ „cogito ergo sum“, ma być według Dekarta wyrazem jedynéj prawdy, która się nawet w obec absolutnego sceptycyzmu ostaje, przeto w zdaniu tém nie mogą się mieścić wszystkie te piękne myśli, które tłómacz ku zbudowaniu czytelnika wypowiedział, gdyż każdą z nich może najzupełniéj dosięgnąć sceptycyzm.

Najlepiéj rekomenduje się p. Dobrzycki jako tłómacz, chociaż i pod tym względem praca jego nie jest wolna od znacznych usterków. Nie mieliśmy pod ręką francuskiego wydania „rozprawy o metodzie“ i musieliśmy tłómaczenie polskie porównywać z łacińskiém, dokonaném w r. 1637 przez księdza Etienne de Courcelles i przejrzaném przez Dekarta, a więc mającém takie same znaczenie jak i oryginał francuski. Przy porównaniu tém przekonaliśmy się, że tłómaczenie w wielu miejscach zmienia myśli oryginału do takiego

stopnia, że często sens nawet został zatracony. Tak np. o matematyce czytamy w oryginale łacińskim następujące zdanie (1) sedquia advertebam, illas (tj. nauki matematyczne), etiamsi circa diversa objecta versarentur, in hoc tamen omnes convenire, quod nihil aliud quam relationes sive proportiones quasdam quae in iis reperiuntur, examinent; has proportiones solas mihi esse considerandas putavi, et quidem maxime generaliter sumptas; in iisque tantum objectis spectatos, quorum ope facilior earum cognitio redderetur". Ustęp ten orzeka, że ponieważ wszystkie gałęzie matematyki mimo różnorodności swych przedmiotów w tém z sobą są zgodne, że zajmują się tylko stosunkami tych przedmiotów; przeto Dekart uważał za słuszne rozważać te stosunki tylko w takich przedmiotach, któreby mu poznanie ich ułatwiły. Tymczasem tłómacz ustęp ten oddaje w następujący sposób: „Widząc daléj, że nie tylko (?) treść tych nauk jest bardzo rozmaita, ale (?) że one nie dadzą się połączyć (?), ponieważ każda z nich zajmuje się tylko różnemi proporcyami, które w swéj gałęzi znajduje postanowiłem badać proporcye te w ogólności, wyobrażając je sobie, tylko w takich przedmiotach, których (?) poznanie ułatwiłoby mi się (?) przez to" (str. 129). Na stronie 13-ej i następ. oryginału chwali Dekart swą metodę dla tego, że przy jéj pomocy mógł we *wszystkich* kwestyach posiłkować się własnym rozumem, o ile go na to stać było, i że mu ona odda takie same usługi we wszystkich gałęziach wiedzy, jak już oddała w Algiebrze i Geometryi, ponieważ nie związał jéj z żadnym oddzielnym jakimś przedmiotem nauki: „Atque haec mihi methodus in eo praecipue placebat, quod per illam viderer esse certus in omnibus me utiratione, si non perfecte saltem quam optime ipse possem...... Cumque illam nulli speciali materiae alligassem, sperabam me non minus feliciter ea esse usurum in aliarum scientiarum difficultatibus resolvendis, quam in Geometricis vel Algebraicis. W tłómaczeniu zaś polskiém ustęp ten brzmi tak: „Coś innego cieszyło mnie atoli najwięcéj w téj metodzie. Przy jéj pomocy byłem pewny, że używam całego (?) mego rozumu, jeżeli nie najlepiéj, to przynajmniéj tak jak tego byłem zdolny..... Nie związawszy jéj w (?) żadną szczegółową treść obiecywałem sobie" itd. (str. 130).

W téj części dzieła, gdzie Dekart mówi o prawidłach jakich się w etyce swego postępowania trzymał, czytamy ustęp: „non modo quia hominum mores eo usque corrupti sunt, ut perpauci quid sentiant dicere velint sed etiam quia permulti saepe ipsimet ignorant (2).

---

(1) Według wydania Amsterdamskiego z r. 1685, str. 12.

(2) Str. 15.

Tłómacz nasz zdanie to oddaje tak: „nie tylko z téj przyczyny, że w obec zepsucia obyczajów mało jest ludzi, którzy mówią to co myślą, lecz i z téj przyczyny, że wielu ludzi nie zna siebie samych“ (str. 132); zamiast: że wielu ludzi o tém nawet nie wié. Na str. 138 czytamy, że Dekart starał się o udoskonalenie słów swoich, tymczasem z oryginału dowiadujemy się, że mu chodziło o udoskonalenie swych sądów (judicia). Nie chcemy nużyć czytelnika przytaczaniem wszystkich takich miejsc tłómaczenia, gdzie albo myśl jest zupełnie niejasna, albo też gdzie jéj brak zupełnie. Niepodobna wszakże zamilczéć tego, że w najważniejszym ustępie „rozprawy o metodzie“ a mianowicie w tym, gdzie Dekart mówi o podstawie całéj swéj metodologii o owém nieszczęsném cogito ergo sum, tłómacz tak niejasno oddaje oryginał, że czytelnik najzupełniéj w błąd wprowadzony zostaje. I tak w oryginale czytamy: „Et quia plane notabam, nihil plane contineri in his verbis, Ego cogito, ergo sum, quod me certum redderet eorum veritatis, nisi quod manifestissime viderem fieri non posse ut quis cogitet nisi existat, credidi, me pro regula generali sumere posse omne id quod valde dilucide et distincte concipiebam verum esse“ (1). A więc jasne i wyraźne pojmowanie rzeczy Dekart dla tego uważa za kryteryum prawdy, że i prawdziwość zdania cogito ergo sum na tém li tylko się opiéra, że jasno pojmujemy niepodobieństwo, żeby ktoś myślał, jeśli nie istnieje. Ta tak powszechnie znana zasada Dekarta przedstawia się w tłómaczeniu polskiém tak niejasno i z takim odcieniem, iż czytelnik nie znający oryginalnego dzieła Dekarta musiałby mniemać, że to, czego się o filozofii jego z innych książek dowiedział, jest zupełnie błędne. Tak bowiem zacytowany wyżéj ustęp tłómacz nasz oddaje: „Dostrzegłszy, że w tém zdaniu: myślę, więc jestem, nic nie ma takiego, coby mię zapewniało że mówię prawdę, chyba to że aby myśléć, trzeba być, co jest rzeczą bardzo jasną, uznałem że można przyjąć jako powszechne prawidło, że wszystko, co rozumiemy bardzo jasno i wyraźnie, jest prawdą“ (str. 141). Nikt po przeczytaniu tego miejsca nie domyśliłby się nawet, że Dekart kładzie w niém nacisk na ową jasność świadomości, w jakiéj nam się sąd: cogito ergo sum przedstawia; przeciwnie, sądzićby można, że główną tu myślą jest sam ten sąd i że on a nie owa pewność i świadomość, która z tym sądem się łączy, jest dla Dekarta kryteryum prawdy.

---

(1) Str. 21.

Kończąc na tém nasze uwagi o pierwszym tomie Biblioteki Filozoficznéj, nie możemy nie wyrazić życzenia, żeby redakcya następne tomy w wierniejszym wydawala przekładzie. W przeciwnym razie obawiać się należy, czy trud i koszta redakcyi nie pójdą na marne.

Henryk Goldberg.

RUINY NA OSTROWIE JEZIORA LEDNICY.

Studyum nad budownictwem w przedchrześciańskich i pierwszych chrześciańskich wiekach w Polsce. Na podstawie badań wspólnie na miejscu odbytych z **prof. Wład. Łuszczkiewiczem**, źródłowo opracował i napisał **Maryan Sokołowski**. (Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie Wydział Filologiczny i Historyczno-Filozoficzny, Tom III. Kraków 1876, pp. 117—277, z trzema tablicami i drzeworytami w tekście).

W naszém piśmiennictwie archeologicznóm, nie zawsze wolném od dyletantyzmu, z prawdziwém zadowoleniem witamy pracę, która, będąc oparta na badaniach na miejscu, przez delegatów Akademii Umiejętności pp. Wład. Łuszczkiewicza i M. Sokołowskiego dokonanych, a zredagowana przez ostatniego, przedstawia nowy poważniejszy kierunek naukowy, który inicyatywie Akademii zawdzięczyć należy.

Ruiny na Ostrowie jeziora Lednicy nie są tematem nowym w literaturze archeologicznéj. Już Mone w r. 1822 wzmiankował o nich, czerpiąc głównie wiadomość swą z Długosza. Po nim Edward hr. Raczyński, zwrócił we „*Wspomnieniach Wielkopolski*“ na starożytność tego zabytku uwagę szerszéj publiczności i przysłużył się zachowaniem rysunku istniejącéj jeszcze wtedy kamiennéj arkady. Późniéj tacy badacze jak Lelewel i Aleksander hr. Przezdziecki, dość skwapliwie zajmowali się tą ruiną, i lubo p. M. S. uważa wyniki badań, szczególniéj ostatniego, za „hypotezę w sposób nie dość stanowczy postawioną.“ mojém zdaniem jednak, i Lelewel niezbyt oddalał się od rzeczywistości, gdy uważał zabytek ten za pochodzący z czasów Bolesława Chrobrego; hr. Przezdziecki zaś, po wystudyowaniu ruin, oparty na wzmiance Długosza, *stanowczo* dowiódł i zdjętym planem stwierdził, że ruiny te są pozostałością chrześciańskiéj świątyni, z czasów pierwotnych naszego kościoła.

Wprawdzie wyniki te były nieco zamglone fantazyjnemi zapatrywaniami, więcéj zapału, niżeli ścisłości naukowéj objawiającemi, ówczesnego właściciela wyspy Albina hr. Węsierskiego i zasłużonego z innych względów archeologa p. Kazimierza Szulca, którzy, mieszając istotne znaczenie wyspy téj i zabytków na niéj znajdowanych z czasów przedhistorycznych, z samemi ruinami, chcieli widzieć w niéj pozostałość słowiańskiéj świątyni pogańskiéj (1).

Nigdy może praca naukowa nie była w przyjaźniejszych warunkach poczętą. Ściérające się zdania uczonych nadały ruinom tym niezmierny urok i rozgłos. Poważne prace poprzedników, postawiły kwestyą tę jasno, zainteresowanie się Akademii Umiejętności dało poparcie moralne dopełnionym na miejscu studyom, a współpracownictwo zaszczytnie znanego na polu sztuki i restauracyi pomników naszéj architektury, prof. Łuszczkiewicza, ułatwiało badania, dawało im grunt istotnie naukowy.

Współpracownictwo téż prof. Łuszczkiewicza, jeśli nadało rzeczywistą wagę rozpoznaniu i scharakteryzowaniu tych pierwocin naszego budownictwa chrześciańskiego, jeżeli sz. profesor poważną część trudów wziął na siebie: zdjęciem dokładnych pomiarów, subtelném rozważaniem wątku ścian, zbadaniem materyałów do nich użytych, nakreśleniem planów, przekrojów i pojedyńczych szczegółów, i siłą istnie Cuvierowskiéj intuicyi odtworzeniem wiekami i fatalnością losów zniszczałéj prastaréj budowli, to być może, iż z drugiéj strony zacieśniło w pewnym względzie pole badań.

Zdawałoby się, że skoro komisya archeologiczna Akademii wysłała delegatów dla badania wyspy i jéj ruin, nie mogło jéj chodzić jedynie o odtworzenie ruin świątyni chrześciańskiéj, gdyż badania w tym kierunku mogły być tylko uzupełnieniem badań Przezdzieckiego. Kwestye z zakresu pierwotnéj architektury chrześciańskiéj mają wprawdzie wielkie znaczenie, ale nie są jedynemi, ani najważniejszemi.

Inna rzecz w zakrésie archeologii przedhistorycznéj; tu, pozbawieni będąc pomników piśmiennych, musimy ograniczać się wyłącznie na zabytkach; każdy najmniejszy szczegół, może mieć doniosłość dokumentu historycznego. Owóż wyspy na jeziorze Lednicy, leżącém w centrum Wielkopolski, o dwie mile od Gniezna, istotnego gniazda Lechitów-Polanów, przedstawiają niezmiernie bogate pole do poznania okrésu przeddziejowego. Jesteśmy tu w okolicy obfitującéj

(1) „Nadwiślanin," Lipiec 1858 r., także: Budowle i Wykopaliska Słowian pogańskich, ich rodzaje i znaczenie, w „Roczniku Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Poznań, 1863. T. II, str. 345 i inne.

we wszelkiego rodzaju zabytki z epoki pogaństwa. Przy wsi Lednogórze widzimy mały szereg nasypów, tworzących wspaniałe grodzisko Moraczewskie; z północno-wschodniéj strony jeziora widnieje mogiła w Jemiołach; daléj nasypisko pod wsią Waliszewem, wzgórza wsi Dziekanowic, regularnie jakby ręką ludzką ukształtowane; a na dalszym jeszcze horyzoncie widać na mapie, jakby półkolem otaczające jezioro, liczne usypiska.

Same wyspy jeziora regularną formą swych wałów, zabytkami odkrytemi tu przez Grevenitza, hr. Węsierskiego i hr. Przezdzieckiego, w najwyższym stopniu zaciekawiające archeologa, winny były zachęcić do systematycznego badania na sposób jak to w innych krajach ma miejsce (1).

I czyż w istocie nie należy się dziwić, że mimo wielkiego zajęcia się archeologią, dotychczas żaden z naszych palafitów, żadne grodzisko z wyjątkiem w Horodnicy na Pokuciu, mało które z cmentarzysk, systematycznie rozkopaném i zbadaném zostało? Towarzystwo Naukowe Toruńskie mimo słabych środków, przy gorliwości swego członka p. G. Ossowskiego, daje nam przykład, do jakich rezultatów przy dobrych chęciach w krótkim czasie w badaniach tego rodzaju dojść można, i na podstawie tych to dopiéro badań, zamierzoną i rozpoczętą jest publikacya, godna licznych i bogatych zabytków naszego kraju: *Monumenta Poloniae Praehistorica*.

Mamy wprawdzie gabinety ciekawości, ale nie zdołaliśmy się zdobyć na jedno muzeum naukowo prowadzone i stosownie uposażone, mogące współzawodniczyć choćby z takiemi muzeami jak w Pradze, Budapeszcie, nawet w Wrocławiu, nie mówiąc o większych. Jedném słowem, archeologia, z małemi wyjątkami, nie wyszła jeszcze u nas z fazy niemowlęctwa. Nowy kierunek naukowy znajdowałby na Ostrowie jeziora Lednickiego najwdzięczniejsze pole dla swoich poszukiwań.

Lecz delegaci Akademii nie w tę stronę zwrócili swoje badania; za „ostateczny cel tychże, przyjęli z jednéj strony oznaczenie wieku ruiny, z drugiéj wytłómaczenie jéj przeznaczeń“ (p. 122). W sprawozdaniu p. M. S. mamy wprawdzie wiele wzmianek o podobnych grodziskach w krajach słowiańskich i niesłowiańskich, wyliczenie zabytków dawniéj tu znalezionych, wyrażenie prawdopodobieństwa, że wyspa ta mogła być w tych stronach jedném z ważnych ognisk religijnego i politycznego życia, pogańskiéj słowiań-

(1) Mamy tu na myśli cmentarzyska Darzowskie i Hallstackie, tak wzorowo zbadane jedno przez Hostmanna, drugie przez Ed. Sackena.

szczyzny, lecz materyału znajdującego się w zbiorze hr. Węsierskiego w Zakrzewie, lub w Gabinecie Archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie zużytkowano. Układ wału w grodzisku na Ostrowie, spoczywającego na pokładzie belek dębowych, poziomo obok siebie kładzionych i klinami spojonych, nie został rozpoznany; wyrażono tylko przypuszczenie, że belki poziome „prawdopodobnie leżéć muszą na pionowo bitych palach, o czém tylko rozoranie głębokie wału, połączone z wielu trudnościami, przekonaćby mogło.“ Taki właśnie układ, który się powtarza tak w terramarach jak i grodziskach naszych, mianowicie tak zwanych przez Virchowa *łużyckich*, lepiéj zdaje się *wendyjskich*, i który skłania nas do uważania większéj przynajmniéj części naszych grodzisk, za dalsze rozwinięcie samych osad nawodnych (1), zasługiwał na autopsyą. Sprawdzenie wieści o palach, sterczących z dna jeziora, w różnych kierunkach, o które rybacy zaczepiają swe sieci, mogłoby przekonać, czy nie są to istotne szczątki palafitu w tak bezpośredniém sąsiedztwie grodziska niegdyś wznoszącego się,— na co sama topografia i zgodność zabytków znajdowanych na wyspie z palafitowemi, naprowadzaćby się zdawały, a co zbadanie samych pali i warstwy wśród nich rozłożonéj potwierdzićby mogło. Przypuszczenie, że to są szczątki mostów łączących niegdyś wyspy z sobą, lub te ostatnie z lądem, może być słusznéem, ale wolelibyśmy mieć pewność w tym względzie.

Na Ostrowie znajdują się niezliczone szczątki „urn i skorup;“ gdyby sprawozdanie podało rysunki ich ornamentów, posłużyłoby to do porównania z zabytkami podobnemi z innych wykopalisk. W roku 1865 przy odczyszczaniu środkowego zabudowania, w jednéj ze ścian natrafiono na stojącą w zamurowaném wydrążeniu urnę z popiołami i kośćmi. Urna ta przechowana (lubo rozpadła na części), w miejscowym zbiorze, o ile wiemy, ozdobiona była ornamentem, o którym w sprawozdaniu nie uczyniono wzmianki. Dzięki jednak szczęśliwemu wypadkowi, iż między ofiarowanemi Gabinetowi archeologicznemu Uniwersytetu Jagielońskiego zabytkami z Ostrowa Lednickiego pochodzącemi, znalazła się pyszna skorupa czerwona dobrze wypalona, która nosi najwyraźniejszy ornament falisty, tak zwany „*Burgwalltypus*;“ mamy nowy dowód wspólności zabytków Ostrowa Lednickiego z zabytkami innych palafitów i grodzisk słowiańskiego, albo ściśléj „wendyjskiego“ pochodzenia.

---

(1) Patrz „Dwutygodnik Naukowy“ rozprawę naszę: Mieszkańcy osad nawodnych, T. I, str. 258—260.

Do jakiego stopnia teren tutejszy był przyjazny poszukiwaniom archeologicznym, dość przytoczyć, że „każda kretowina wśród bujnéj trawy wyrzuca czerepy popielnic i szczątki kości ludzkich i zwierzęcych; a przy kopaniu na łokieć głębokości, wszędzie okazują się w czarnéj ziemi kości, ułamki popielnic, a czasami rozmaite sprzęty i narzędzia, np. mała osełka, strzała i oszczep, wyrobione z rogu jeleniego, siekiéra z syenitu, kółka z wypalonéj gliny, służące do pławienia sieci rybackich (inaczéj kółka od wrzecion.)“ W obrębie zaś wału „kopiąc w czarnéj ziemi na półtora łokcia głębokości, napotyka się nierzadko całe szkielety o czaszkach wielkiego rozmiaru, przykryte bryłkami gipsu.“ W sprawozdaniu Grevenitza czytamy o wielkiéj ilości kości zwierzęcych tam znalezionych: w roku 1854 znaleziono niemniejszą ich ilość, między innemi łyżwy z kości końskiéj, jakie to narzędzie znaleziono w różnych palafitach tak Ołomuńca, Brandeburgii, jak i Szwajcaryi (1). W obrębie saméj ruiny natrafiono na bardzo charakterystyczne przedmioty z epoki przedchrześciańskiéj; wspomnieliśmy wyżéj o popielnicy zachowanéj w wydrążeniu muru, landrat Grevenitz wspomina o „skrzynce zbitéj z kamieni,“ zawiérającéj dziecięce szkielety, także o znalezionych tam monetach rzymskich: Marka Aureliusza, Dyoklecyana i Maxymiliana, o „piéniądzach polskich“ i pierścieniu srebrnym „starożytnéj roboty;“ hr. Węsierski znalazł w ruinie dwa grzebienie kościane formy, jakie w palafitach znajdowano, oraz w różnych punktach części zachodniéj budynku, kółka kamienne lub z gliny wypalone, za kółka od wrzecion uważane (raczéj mające znaczenie symboliczne), jakie Schlieman w znacznéj ilości w gruzach Troi, a inni archeologowie we wszystkich niemal wykopaliskach europejskich odnajdują.

Równie bogatą w zabytki jest sąsiednia wysepka Ledniczka: „O ile wiemy,“ mówi p. S. „poszukiwań dotąd żadnych nie robiono na téj wysepce; cała jéj powiérzchnia jednak, podobnie jak wyspy większéj, jest pokryta skorupami popielnic, kawałkami kości i materyałów palnych, zwęglonych, co jéj daje również niezwykle bujną wegetacyą. Czyż wszystko to nie powinno zachęcić do poszukiwań? Nie można, jak widzimy, znaléść bogatszego materyału archeologicznego i antropologicznego, nagromadzonego na jednym punkcie, a dotychczas niemal nietkniętego naukowo; wyspy jeziora Lednicy pozostają przeto jeszcze do zbadania pod względem archeologii przeddziejowéj.

Przechodząc do poszukiwań dotyczących bezpośrednio ruin na Ostrowie, przyznać należy, że delegaci nie szczędzili pracy, przy-

(1) „Dwutygodnik Naukowy“ T. I, str. 437 i 8.

gotowawczych studyów i wyczerpującéj analizy; część tę, można powiedziéć, *con amore* traktowali. Nie potrzebujemy tu składać dowodów trudności z jakiemi walczyć musiał prof. Łuszczkiewicz, któremu cała część techniczna „rozwiązanie architektonicznych zagadek ruiny“ dostało się w udziale; umiał je pokonać z równą biegłością jak i w innych pracach swych tego rodzaju.

Zużytkowanie rezultatów, do których wystudyowanie ruiny doprowadziło, nawiązanie ich ze wzmiankami kronikarskiemi tu i owdzie napotykanemi, krytyczne rozebranie tych historycznych źródeł, poparcie wspólnie wyniesionych poglądów dowodami z historyi sztuki czerpanemi, cała część literacka wreszcie, przypadła w udziale p. M. Sokołowskiemu.

Autor z należném przygotowaniem, nie szczędząc trudów przystąpił do pracy i wyczerpał wszelkie dane, jakie po za badaniami samych ruin dostarczały tak wzmianki kronikarskie, jak i historya sztuki architektonicznéj chrześciańskiéj, wszystko, co w stanie było rzucić jaśniejsze światło na epokę, oraz cel i znaczenie ruin. Może nawet był zbyt skrupulatnym w przytaczaniu szczegółów z historyi rozwoju architektury w ogóle, czasem w luźnéj tylko spójni z przedmiotem będących.

W części historycznéj, gdzie autor zajmuje się wyszukaniem i porównaniem tekstów jakikolwiek związek mających z naszą ruiną, przeciążenie to przynajmniéj w organicznym pozostaje związku z samemi badaniami; owszem za zasługę autorowi mieć należy, że nie uląkł się mozolnéj a subtelnéj nieraz analizy niejasnych tekstów jak np. szląskiéj kroniki „*Principum Poloniae*,“ po dwakroć wspominającéj „*Castrum Ostrow*.“

Autor umiejętnie skorzystać potrafił z najnowszych wydawnictw tekstów, choć i tu nie umiał się powstrzymać od dania nam *ab ovo* genezy téjże kroniki.

Na mocy tak rozebranego tekstu kroniki szląskiéj, oraz innych źródeł, p. M. S., zbijając niewłaściwe stosowanie nazwy „*castrum Ostrow*“ do zamku poznańskiego, udowadnia zgodnie z zapatrywaniem Raczyńskiego, Lelewela, Przezdzieckiego, że zamek ten, najstarszą rezydencyą królów, należy odnieść do naszéj wyspy, i że tu a nie gdzieindziéj miała miejsce owa doniosła w dziejach naszych uroczystość przyjęcia Ottona III-go przez Bolesława Chrobrego.

Prócz tego, autor dość szczęśliwie w obszernym przypisku dotyka i drugiego ustępu kroniki „*Principum Poloniae*“ i stawia może niezbyt uzasadnioną jeszcze hipotezę, że „źródłem obu ustępów o Ostrowie w kronice polsko-szlązkiéj, były piérwotne „*Gesta Piotrkonis*,“ wzmiankowane w kronice Boguchwała i datujące z piérwszéj

czy téż drugiéj połowy XIII-go wieku. W każdym razie rezultatem krytycznéj analizy obu tych ustępów jest to, że zamek Ostrowski wielką grał rolę w początkowych naszych dziejach; że panujący książęta w końcu X-go i w ciągu XI-go wieku stale lub czasowo w nim przebywali, tak Bolesław Chrobry, jak i Kazimierz I-szy; że legenda nawet opromieniła te mury, podaniem o zesłanym tu posiłku z niebios Kazimierzowi w walce jego przeciwko Masławowi.

P. M. Sokołowski kreśli następnie dalsze dzieje kasztelanii Ostrowskiéj, opierając się na dokumentach, poczynając od bulli Inocentego II-go z r. 1136, a kończąc na akcie Bolesława Pobożnego z r. 1257.

„Od téj daty zamek Ostrowski przestaje być wymieniany w dyplomatach i przywilejach jako ważne i pożądane w sporach o władzę *castrum*, pozostaje on tylko zwyczajną, zrazu jak sądzić należy, dość potężną kasztelanią, któréj znaczenie coraz bardziéj z postępem czasu upada.“ Nakoniec z początkiem XV-go stulecia ginie zupełnie tak z piśmienniczych świadectw, jak i z pamięci ludzkiéj.

Po tym zarysie historycznym i wspomnianym wyżéj opisie samych ruin i ich architektonicznych wątków, następują niezmiernie długie ustępy III i IV, które, jak mówiliśmy, są dowodem wyczerpujących studyów, potrzebnych dla zoryentowania się w tak niejasnych i mało licznych motywach architektonicznych budowli, ale które zanadto obciążają sprawozdanie.

Z tego, że niektórzy uważali dotychczas ruinę Ostrowską za świątynię pogańską, że niejasne u nas panują pojęcia „tak o naturze świątyń w ogóle, jako o znaczeniu materyału budowlanego i rozmaitém jego użyciu w różnych epokach rozwoju społeczeństwa i historyi“— które to zdanie prawdziwe w zastosowaniu do szerszéj publiczności jest egzageracyą względem specyalistów i choćby koła czytelników, dla którego publikacye akademickie są dostępne,—autor bierze asumpt do nakreślenia historyi budownictwa, począwszy od najpiérwotniejszych jego elementów, od stawiania grobowców lub świątyń z szeregu pojedyńczych kamieni.

Zbyt długim jest także ustęp (p. 184—192), traktujący o mitologii i formowaniu się instytucyj społecznych. Historya powstawania i rozwijania się samych świątyń przedstawiona jest szczegółowo. Autor przebiega pierwotne gaje religijną czcią otaczane — *temeny* greckie, *templa* i *fana* rzymskie, *cromlechy* galijskie i celtyckie, święte zagrody—*hofy* germańskie i skandynawskie,— w końcu *kontyny* słowiańskie. Zastanawia się nad zewnętrznym kształtem, oraz materyałem i samą konstrukcyą tychże; równie jak nad układem społecznym tych ludów i historyą krzyżowania się wpływów wzajemnych.

Rezultat tego przeglądu archeologicznego jest, według autora, taki: że ludy północy, nawet w tak względnie wyżéj po nad inne w cywilizacyi posunięte jak Celtowie i Słowianie nadbaltyccy, nie znali właściwego ceglanego lub kamiennego budownictwa,— a ograniczali się na przejrzystém drewnianém budownictwie, podniesionem rzezbionemi architektonicznemi ornamentami, lub co najwyżéj na użyciu „ziemnych lub zeżużlonych nasypów,“ ryglówki z gałęzi i gliny lub kamieni drewnianemi belkami złączonych (p. 169, 170 i inne). Dopiéro cywilizacya Greko-Italów miała zdobyć i przyswoić sobie znajomość właściwéj techniki mularskiéj; ona jedna „przejrzyste świątynie drewniane przerobiła na zamknięte kamienne budynki i z tradycyj nagromadzonych przez przedwieczne azyatyckie społeczeństwa, siłą swego geniuszu wytworzyła techniczne i estetyczne prawa sztuk pięknych, które z klasyczną kulturą rozeszły się po północy“ i t. p.

Nie możemy tu zgodzić się z szan. autorem. Najprzód należałoby porozumiéć się, czy kto mury cyklopejskie (przecież nie greko-italskie), czy olbrzymie groty wieszczek, aleje kryte północy i t. p. pomniki jak Stone-henge, Abury np., z głazów nad sobą ułożonych niekiedy fugowanych powstałe, nazwie lub nie, dziełem architektonicznem, stawianém z kamieni; jeśli nie, w takim razie i piramidy egipskie i mury Tiryntu i t. p. nie są murowane, bo tylko własną siłą ciężkości głazy są z sobą spojone. Czémże jednak będą tak zwane „Staigue Fort“ w hr. Kerry, z dobrze spojonych drobnych kamieni murowane (1). Przecież ich Greko-Italom przypisać nie można.

Cóż mówić o starożytnych pomnikach Wyższéj i Małéj Azyi, choćby ruinach saméj Troi, w których tak zdumiewająco podobne do naszych europejskich odkrył Schliemann zabytki; a na wieleż dziesiątków wieków cywilizacya ta mogła poprzedzić greko-italską? Cywilizacya ta ostatnia nie rozwinęła, zdaniem naszém, ani jednego motywu, którego zarodów nie znajdowalibyśmy w poprzedzającéj ją cywilizacyi pierwotnych Aryów-Pelazgów. Pomniki Chaldei pierwotnéj, nie semickiéj (Wurka, Mugheir, Senkereh it. z.) Syryi (z ziemią Kanaan), Małéj Azy, Cypru i wysp Archipelagu, dostarczają nam tu dostatecznych dowodów.

Dziwny zaiste od niejakiegoś czasu w nauce powstał kierunek, obłupienia wszystkich narodów z takich nawet objawów cywilizacyi, jak metalurgia, ceramika, lub umiejętność stawiania murów, na karb cywilizacyi greko-italskiéj, jakby ta ostatnia, nie dość jeszcze pro-

---

(1) Sir John Lubbock: Praehistoric Times, I, fig. 79, 80.

mienna, nie umożliwiała już sama przez się wszelkich z nią porównań. Gdzież w końcu wpływ téj ostatniéj się nie oprze? Już Skandynawia i konsekwentnie wyspa Islandia wchodzą w zakrés tych wpływów. Kierunek ten, którego inicyatorami są Niemcy (Lindenschmit, Hostmann, Genthe i t. p.), nie mający co z przeszłości przeddziejowéj konserwować i do czego się przyznać, jako najpóźniejsi przybysze z rodziny aryjskiéj na niwę Europy, — dziwnie wygląda przeszczepiony wśród potomków prastaréj i wysoko rozwiniętéj, jak świadczą pomniki archeologiczne, historyczne, oraz badania językowe, cywilizacyi galijskiéj, bretońskiéj i wendyjsko-słowiańskiéj.

Czyż bowiem oprócz zagadkowych jeszcze, dajmy na to, pomników megalitycznych, nie mamy dostatecznych historycznych dowodów, o budowaniu twierdz i murów przez ludy północy, przed zetknięciem się bliższém z cywilizacyą rzymską? Czyż Cezar (Bell. Gall. VII, 23) nie daje dokładnego opisu murów galijskich; czyż rumowiska Hastedonu, Alesii i t. p. nie świadczą o tém? czyż szczegół, że używali, do wiązania kamieni, belek w fortyfikacyach tych, co przemawia przeciw ich dobroci? w takim razie, za co należałoby uważać wszystkie nasze tak zwane pruskie mury? Autor przytém przytaczając ustęp Pliniusza świadczący o umiejętności obrabiania kamieni u Belgów, który brzmi: „In Belgica prowincia candidum lapidem serra, qua lignum faciliusque etiam, secant, ad tegularum et imbricum vicem: vel si libeat, ad quae vocant pavonacea tegendi genera,“—twierdzi, ale nie dowodzi, że ustęp ten odnosi się „*oczywiście do budowli rzymskich*“ (p. 170 nota 1.). (1) Wracając do ziem naszych, autor sam bardzo trafnie, zdaniem naszém, twierdzi: „Ryglówka nakoniec znaną była mieszkańcom Prus pogańskich; kto wié nawet, czy oznaczająca ją nazwa „*muru pruskiego,*“ w naszym języku, nie sięga Piastowskich czasów i nie świadczy o jéj pochodzeniu u nas z nad brzegów Łany, Preglu i Russy“ i t. d. (p. 180). Co więcéj, z wielką skrupulatnością zestawia wszystkie znane dotychczas ślady pomników megalitycznych i mikrolitycznych na ziemiach słowiańskich, między innemi owe złomy głazów, na szczytach i u stoku Łyséj góry, które w XV jeszcze wieku „tworzyły, zapadające się już może, ale łatwe do *ocenienia izby i korytarze,*“ i które w takie zdumienie wprawiały

---

(1) W przytoczonym ustępie Pliniusza nie ma wcale mowy o stawianiu murów z kamienia, ale po prostu o pokryciu dachów płytami kamiennemi, prawdopodobnie i dziś używanym tam w tym celu szyfrem; dla czegoż więc odmawiać i téj specyalności Belgom, która tak dziwiła Rzymianina.

Długosza; zbija zapatrywania, chcące widzieć w budowlach tych pozostałości klasztoru Benedyktynów słowiańskiego obrządku (p. 179, 180 i nota). Gdzież więc możność zaprzeczenia znajomości stawiania murów u ludów północy?

Jeżeli przesadzanie wielkości i starożytności własnéj plemiennéj cywilizacyi, tylko chaos w nauce wytworzyć może; to z drugiéj strony, trwożliwe niedowierzanie i ściąganie najelementarniejszych objawów téjże, do późniejszych epok, modernizowanie zabytków, oddać może naukę na ofiarę tendencyjnym teoryom niemieckim.

Mamy zresztą, o czém autor sam wspomina, pomniki dość rozwiniętego budownictwa, tak na północy jak i na południu Europy, o których początkach Greko-Italowie nie wiele co wiedzieli. Mówimy tu o świątyniach kształtu kolistego i początkach formy dośrodkowéj architektury. Poszukiwania na wyspie Samotrace, przedsięwzięte przez Conzego, Niemanna i innych, (1) odkryły, jak wiadomo, fundamenta świątyni kolistéj, *Arsinoeïonu* tak zwanego, datującéj z początków samych epoki Macedońskiéj i wpływów, jak tego Helbig dowiódł, Diadochów. Świątynie te, których kilka zaledwie ze wzmianek autorów starożytnych, jak Philipeïonu Olimpijskiego u Pauzaniasza, lub z malowideł ściennych pompejańskich, przedstawienia w płaskorzeźbie będącego własnością Luvru— Conze zliczyć może: były ściśle złączone z rytuałem czczonego tam bóstwa, z liturgicznemi wymaganiami kultu mającego swoje siedlisko na téj wyspie. Conze po wyczerpującéj analizie wszelkich danych o słynnych mysteryach Samotraki — przychodzi do wniosku: „*dass es ein auf dem benachbarten thrakischen und kleinasiatischen Festlande ganz verwandt vorkommender Verein von vorzugsweise chthonischen Göttern war*, *welcher auf Samothrake verehrt wurde*“ i t. d. Najdostojniejszą zaś postacią tego cyklu bóstw była bogini, którą w starożytności już identyfikowano z małoazyatycką Kybelą. Świątynia więc i kult druidyczny, który główne tam miał siedlisko, były trackiego a nie helleńskiego pochodzenia, z przewagą zaś Macedonii wpływy te przeszły i do Hellady. Jeżeli porównamy plany zdjęte przez Conzego i Niemanna z okrągłéj świątyni na Samotrace, z planami odrestaurowanych przez dra Thurnama i Browne'a (Nilsson III fig. 3.) Stone-henge, każdy nieuprzedzony przyzna, że te dwa pomniki mają się do siebie, jak pierwotny zarys do rozwiniętéj skończonéj całości, że w obu główny motyw jest ten sam, że należą, jedném słowem, do jednéj cywilizacyi, do jednego i tego samego kultu. Wielka Brytania, jak wiadomo, była na północy za-

(1) Archaeologische Untersuchungen auf Samothrake. Wien 1875.

równo siedliskiem druidyzmu. Podobny pomnik do Stonehenge miał egzystować, jak twierdzi Nilsson (Die Ureinwohner des Scand. Nordens, III p. 96), w Hallandyi w Szwecyi, z którego dwa monolity jeszcze się zachowały. Motyw ten zresztą powtarza się we wszystkich *cromlechach*, kręgach świętych rozrzuconych po całéj Europie i w wielu okolicach zachodniéj Azyi, Indyj i północnéj Afryki. (1) W dziele Caylusa: *Recueil d' antiquités* etc. T. VI, tabl. CXXIV, jest przedstawiona świątynia kolista bez dachu, z dwóch współśrodkowych kręgów przeprutych licznemi wejściami złożona, z rozłożystym wiązem w pośrodku, służąca dziś za przedsionek kościoła w Lantef, dyecezyi St. Brieux, w dawnéj Armoryce — Wandei. Według Caylusa, miałaby to być przechowana świątynia galijska. Wątpić należy czy któremukolwiek z architektów, najzawziętszemu zwolennikowi wpływów greko-romańskich, uda się kiedykolwiek dowiéść, jakiegokolwiek wpływu klasycyzmu, lub choćby byzantynizmu na budowle tego rodzaju. Przypominamy także, taras kolisty z dobrze ułożonych i zaprawą spojonych kamieni, z kolistą studzienką w saméj grubości muru zawiérającą popielnicę — w pobliżu drogi z Rataj do Borowan w Czechach (Wocel: Pravek země české, fig. 180, p. 510); współśrodkowe kręgi grobowcowe u Hagenowa i in. wspomniane, dowodzące jasno, że tego rodzaju konstrukcye, lubo może nieco prymitywniejsze albo gorzéj zachowane, w prastaréj słowiańszczyźnie były znane.

Nie przeczymy przez to bynajmniéj, aby większość świątyń słowiańskich mianowicie nadbaltyckich, o których nam kroniki wiadomość przechowały, nie składała się „z przejrzystych budowli drewnianych:“ Helmold, Dytmar, Herbord i Saxo Grammatyk, dostatecznie nas o tém powiadamiają; ale stanowczo przeczymy, aby zarzucić społeczeństwom tym było można, nieznajomość stawiania trwałych i silnych murów. Pan S. robi wprawdzie ustępstwo dla budownictwa podziemnego, grobowcowego (p. 181 i następ.); ależ grobowiec w pierwotnych cywilizacyach jest zarazem świątynią; wszystkie świątynie od wykutych w Ipsambulu w skale, do kopuł Grobu św. i św. Piotra w Rzymie od grobowców biorą swój początek.

Daleko szczęśliwiéj i bez uprzedzenia traktuje autor budownictwo świeckie; z dziwną mianowicie intuicyą, przy braku materyałów i poprzednich studyów, głęboką erudycyą w wyszukiwaniu analogii i wyprowadzaniu wniosków, odtwarza autor postać średniowiecznego

---

(1) Pod względem geograficznego rozłożenia pomników megalitycznych patrz: „Dwutygodnik Naukowy“ T. I, art. Kamienna karta dziejów.

naszego zamku, począwszy od XI i XII w.. Szczupłe wzmianki kronikarskie, brak zupełny zabytków z téj epoki, krzyżujące się wpływy wschodu i zachodu, reminiscencye klasyczne i samorodnego barbaryzmu nie ułatwiały razem wzięte zadania autorowi, i zaprawdę nie jest najmniejszą jego zasługą, że potrafił uchwycić jakąś nić Aryadny wśród tego ciemnego labiryntu i zdołał stworzyć dość silną podstawę dla przyszłych badań. Dla ruin jednak Ostrowa Lednickiego, rezultat tego wywodu jest negatywny. „Przez w. X i XI zatém, mówi autor, budynków kamiennych świeckich u nas nie było; w w. XII mogły się pojawiać co najwięcéj mury otaczające niektóre grody; przez wiek XIII wzniosły się murowane wieże, a w miejscowościach wyjątkowych zamki; w XIV zaledwie, jednocześnie z silniejszym społecznym i politycznym rozwojem, zaczęło się nasze drewniane budownictwo powszechniéj, chociaż zawsze powoli na kamienne zamieniać.“ Z czego i z innych danych prosty wniosek, że doszła do nas ruina pozostałością zamku być nie może.

Lecz aby do takich rezultatów dojść z autorem, tj. że ruina nasza ani świątynią pogańską, ani średniowiecznym zamkiem być nie mogła, jakąż to masę trzeba było przebrnąć faktów, cytat i wzmianek o Scytach Herodotowych i *kamiennych babach*, o Zoroastrze, o wędrówkach Ostrogotów i Wizygotów, o pozostawionych przez nich nad Dunajem skarbach Petreozy, w Yecla zaś w prowincyi Murcyi *kamiennych babach* tego samego kształtu i rodzaju co nasze; o Eddzie skandynawskiéj i w ogóle o mitologii porównaczéj.

Nie przeczymy, że nie jeden, a nawet każdy z tych ustępów jest interesujący i pouczający; wiele z nich mogłoby stanowić osobne rozprawy i być cennemi przyczynkami do historyi rozwoju cywilizacyi; ale łączność ich z ruinami Lednicy jest chyba za odległą.

Z całéj téj bogatéj mozaiki faktów i zapatrywań, podniesiemy jeden tylko ustęp, co do którego trudno nie zrobić zastrzeżeń; jest to obszerny przypisek, o *kamiennych babach*, którym autor odmawia stanowczo cechy słowiańskiéj, a uważa je już to za pomniki *turańskie*, już to *wizygockie*.

W przypisywaniu pomników niewiadomego pochodzenia są dwie tylko cechy, które za niewątpliwe dowody służyć mogą: miejsce ich znalezienia i akcesorya archeologiczne tj. wspólność ogólnych cech z innemi podobnemi wyobrażeniami i emblematami; jednem słowem, należy się starać o oznaczenie miejsca i czasu, jakiemu przypisać je należałoby. Powoływanie się choćby na najpoważniejszych autorów starożytności lub nowoczesnych nie może tu mieć najmniejszéj wagi, gdyż czegóż w ten sposób dowieść nie usiłowano! Otóż *baby kamienne* przeważnie i to w wielkiéj liczbie odnajdują się na ziemiach słowiań-

skich. Te, które znajdują w północnéj i środowéj Azyi, a nawet w Chinach, są zupełnie odmienne, i w istocie tak w ubraniu jak i wyrazie twarzy typ mongolski w nich przebija; (1) ale czegóż to dowodzi? Tak Aryowie od Turanów, jak ci ostatni od Aryów mogli zapożyczyć tąk samego pojęcia, jak i symbolicznego jego wyobrażenia, urabiając go następnie według własnego geniuszu. Baby azyatyckie już przez to samo, że są lepiéj wykończone, że i dziś mają swoje religijne znaczenie zrozumiane przez ogół, zdają nam się późniejszego pochodzenia. Wolno p. S. widziéć w naszych i zachodniéj Europy *babach* wpływ *greckiéj kultury*, tak jak po pracach: Lindnera, Müllenhoffa, Bergmanna, Nadieżdina... choćby rozprawie K. Sienkiewicza, po odkryciach archeologicznych Chersońskiéj i Ekaterynosławskiéj gubernii, wątpić jeszcze czy Herodotowi *Scytowie-oracze*, są Słowianami, lecz chyba nie należało tych indywidualnych zapatrywań lub wątpliwości, wygłaszać jako prawdy udowodnione. Dla nas i, pochlebiamy sobie, dla wielu innych, rozrzucenie geograficzne tych *bab* europejskich, jak i akcessorya archeologiczne nie pozostawiają najmniejszéj wątpliwości, co do ich aryjskiego *najpierwotniejszego* pochodzenia. Jużby sam trzymany przez nie kubek czy czara tego dowodziła. Czara bowiem u niemal wszystkich pierwotnych ludów aryjskich jest symbolem odrodzenia i nieśmiertelności. Występuje zarówno w Wedach (2) z napojem boskiéj rośliny Sôma, jak w Zend' Aweście z nektarem Haoma „źródle życia, sprawiającém, że kobiety niepłodne rodzą piękne dzieci, i oddalającém śmierć“ i t. d. W Egipcie k i e l i c h l o t u s u, symbol także płodzenia i nieśmiertelności, bywa trzymany przez wszystkie wielkie boginie jak: Neith, Sati, Athorę, Bouto, a nie mniéj przez Izydę boską rodzicielkę. Lecz przedewszystkiém u Gallo-Kimrów, w kulcie druidycznym, kielich-czara zachowała swoje piérwotne znaczenie, była tam symbolem małżeństwa (3). Po śmierci składano czarę świętą przy zwłokach, z któréj zmarły miał pić napój nieśmiertelności podczas swoich pośmiertnych transmigracyj; zwyczaj ten miał się przechować do dziś dnia w niektórych okolicach kraju Morvan we Francyi (4). Znajdujemy ją także wyrzeźbioną na pomnikach megalitycznych. To samo mistyczne zna-

---

(1) Swiedienja o kamiennych babach. Trudy II-awo archeolog. sjezda. Moskwa 1871 roku.

(2) Essai sur la Véda, par Emile Burnouf. Paris 1863.

(3) Amédée Thierry: Histoire des Gaulois, t. I, str. 136. Henri Martin: Histoire de France, t. I, str. 11. Co do wspólności napoju Sômy i Haomy z jemiołą druidyczną patrz: Jean Reynaud: L' Esprit de la Gaule (Le Gui et le Haoma), str. 226, 231.

(4) Archéologie céramique et sépulcrale. Paris 1860, p. 16; także Henridu Cleuzion: De la Poterie Gauloise etc. Paris 1872. § La coupe de l' Immortalité.

czenie czary odnajdujemy w micie Taliesina a późniéj w średniowiecznem podaniu bretońskiém o St. Graalu.

Tak więc jak daleko sięgał kult druidyczny i pomniki megali- i mikrolityczne, nic dziwnego, że odnajdujemy i *baby kamienne;* że są one symbolami płodzenia, najwymowniéj poświadczają emblemata zastępujące niejednokrotnie kubek w ręku tych postaci. Wracając do *bab* na ziemiach słowiańskich odnajdywanych, zdaje nam się naturalniéj uważać je za słowiańskie, niżli raz za turańskie drugi raz za wizygockie; chyba należałoby dowieść, że emblemata wyżéj wymienione nie miały u Słowian właściwego znaczenia, lub że nazwy ich i postaci nie mają nic wspólnego z przechowanemi dotychczas u wszystkich niemal Słowian podaniami o Babach-Jahach, Babach-Jędzach, czarownicach, a także tak licznemi nazwami miejscowości jak: Babie-góry, Babenberg (pod Potsdamem), Babie-łono (góra w Tatrach) i t. p.

Co do nas, mimo stanowczego roztrzygnięcia kwestyi przez p. S., nie robimy sobie skrupułów uważania *bab kamiennych* za proste upostaciowanie mało-azyatyckiéj Cybeli, egipskiéj Izydy, czyli słowiańskiéj Cycy tj. matki-rodzicielki, ziemi. W poblizkich Słowianom Kimryjskich (Gallo-Bretońskich) społeczeństwach, znaczenie ich musiało być podobne i prawdopodobnie nie z Wizygotami dopiéro *baby kamienne* dostały się do Murcyi. W pewnéj epoce tak zwanej przedhistorycznéj, na całéj przestrzeni Europy od Atlantyku po Kaukaz widzimy te same pomniki i zabytki archeologiczne, te same rasy aryjskie krótkogłowe, to samo stadyum cywilizacyjne.

W rozd. V dochodzi autor do istotnego celu swéj pracy: do oznaczenia wieku i rzeczywistego znaczenia dzisiejszéj naszéj ruiny. Ustęp ten streszcza wszystkie rezultaty subtelnych badań samego pomnika i dodatnie teoretyczne wywody z historyi sztuki czerpane.

Autor nie tylko że umié się tu utrzymać na właściwym terenie, ale i dla metody jego badań tylko pochwały mieć należy. Przystępuje bowiem tym razem, jak sam się wyraża, „wolny od wszelkich uprzedzeń“ do archeologicznéj analizy, pyta się „nie dziejowych źródeł, nie kronik i nie dyplomatów, ale samych murów co one mówią o sobie, jakie było ich przeznaczenie i jaki czas ich powstania?“

Mury te mimo braku wszelkich oznak stylowych, z wyjątkiem jedynego kawałka gzymsu przechowanego w zbiorach konserwatorskich w Berlinie, mimo szczupłości samych resztek choćby obnażonych z wszelkich ornamentów, są jednakże dość wymowne, aby wyjaśnić swoję genezę, swoje dzieje i swoje pokrewieństwa.

Tryumf to prawdziwy metody indukcyjnéj, zastosowanéj tym razem do dzieł sztuki, że po wiekach minionych, mimo zrównania

niemal z ziemią budynku, idąc powolnie choć śmiało, krok za krokiem, od wątku do wątku, potrafi odtworzyć całość, wzbudzić do życia przeszłość, nie na illuzyach i fantasmagoryach, lecz na pozytywnych danych, cyrklem i rachunkiem dających się zmierzyć, opartą. To téż delegaci, radząc się materyału tu użytego (granitu polnego), zaprawy, ozdób z tuffu i rzeźbionego kamienia, układu i grubości murów, kierunku ścian i t. p., dochodzą do stanowczego rezultatu: że budowla ta nie mogła być niczém innném jak tylko kościołem chrześciańskim i że należy ją odnieść „do epoki budowniczéj panującego granitu polnego, poprzedzającéj wiek XIII, t. j. do czasu dwóch piérwszych wieków naszéj historyi, w którym innego materyału nie posiadano, a cegły jeszcze nie umiano użyć."

Posunąwszy analizę jeszcze daléj, wezwawszy na świadectwo pomniki najstarsze przechowane gdzieindziéj, mianowicie w Niemczech, wiek naszéj ruiny da się ściśléj jeszcze oznaczyć. Zachodzą różnice widoczne między częścią zaokrągloną i wschodnią ruiny a zachodnią podłużną, odznaczającą się doborem kamieni i układu samego muru; otóż ze wszystkich tych okoliczności, których tu powtarzać nie możemy, daje się wyprowadzić wniosek: że zachodnia ta część ruiny Ostrowskiéj, znajdująca swoje analogie w Niemczech, pochodzi z XI w.; wschodnia zaś jako prezbiteryalna i według charakteru swych murów musi być dawniejszą, a zatém sięga piérwszych lat Chrześciaństwa.

Autor nie poprzestaje jednakże na tém, wyczerpującemi wywodami popiéra to zapatrywanie, kreśli nam niemal historyą całą budownictwa kościelnego, wykazuje główne ogniska téj sztuki, z których rozchodziły się promienie aż na odległą naszę północ, wyświetla krzyżujące się na ziemiach naszych wpływy Wschodu i Zachodu i każdéj części ruiny, każdego muru, zaprawie, ornamentowi i t. p., oznacza właściwe pochodzenie, wpływ, niemal datę.

Tak więc widzimy odrestaurowany na kanwie myśli, pierwotny kościołek z czasów Dąbrówki, mały, okrągły, ze sklepieniem wspartém na czterech niezbyt kształtnych słupach, świątynię, w któréj kształtach jak i technice widoczne przebijają wpływy bizantyńskie przeszłe do nas z Czech, i późniejszy kościół metropolitarny (?) Kazimierza Odnowiciela, na kształt bazyliki romańskiéj przybudowany i w jednę całość z piérwszą spojony.

Kończąc ocenę téj sumiennéj i mozolnéj pracy, musimy wyrazić jeszcze raz ubolewanie, że autor nie ograniczył się na téj wyczerpującéj i nic więcéj do życzenia nie pozostającéj części, przez co całość zyskałaby na jednolitości. *T. Ziemięcki.*

Od redakcyi. — Praca p. Sokołowskiego, której recenzent zasłużone oddaje pochwały, znakomicie przyczynia się do poznania naszej kultury za piérwszych Piastów. Będzie ona niejako wstępem do historyi sztuki w Polsce, historyi, której dalsze karty prof. Łuszczkiewicz z takiém powodzeniem zapełnia. Historyk, archeolog i budowniczy znajdą tu dla siebie wiele cennych wskazówek, a i nie specyalista z zajęciem rozprawę tę przeczyta, gdyż suchą z pozoru treść p. Sokołowski umié nie tylko jasno i dostępnie wyłożyć, ale i w barwną przyodziać formę. Czy to podaje charakterystykę prądów życia społecznego w XIII wieku (str. 227—229), czy kreśli widok pierwotnych świątyń przejrzystych w Europie (170), czy wprowadza nas do kontyny Słowian nadbaltyckich (174—176), lub ukazuje w rycerskiéj halli spoczywającą przy wieczornym ogniu drużynę (236), — zawsze wykład jego jest malowniczym, nie schodząc mimo to z gruntu ściśle naukowego. Nawet hipotetycznym ustępom prawdy idealnéj, jeśli nie faktycznéj, odmówić nie można. Tak owa książęca krypta grobowa, w któréj przy świetle bladéj lampy mnich benedyktyński z trwogą dopatruje widma nieboszczyków; tak Kazimierz Odnowiciel modlący się nad trumnami przodków, przed stoczeniem stanowczego boju z Moisławem; stopniowa ruina, do jakiéj czas i zaniedbanie ludzkie doprowadziły stary kościół; szturm krzyżaków i pożar, który budowli zadał cios ostatni a obrońców i napastników w tych samych pogrzebał zgliszczach; nakoniec ów rybak, który ciemną nocą przeprawia się przez wody jeziora, by w zapomnianych gruzach szukać zaklętych skarbów, dopóki kur nie zapieje: — wszystko to obrazowo a trafnie odwzorowywa nam przeszłość a wyobraźnię przenosi w dawno zamierzchłe czasy (1). Autor rozbiera rzecz swoję wszechstronnie, argumentuje zręcznie, trzeźwo i do przekonania łatwo przemawia. W kilku jednak punktach rozprawy nasunęły nam się wątpliwości, które poddane dyskusyi, może przyczynią się do zupełniejszego wyjaśnienia przedmiotu.

Chronica principum Poloniae zamieszcza legendę, wedle któréj Kazimierz Odnowiciel, po modłach w kościele zamku Ostrowskiego odbytych, stoczył bitwę z Moisławem (Masławem), a potém na

(1) Podanie o skarbach, przy odszukiwaniu których obrzędy religijne okazują się bezskutecznemi, stosowane przez lud do Lednogóry, autor wiąże z ruinami na Ostrowie z téj wychodząc zasady, że w Lednogórze żadnych nie ma pieczar. Nie możemy zgodzić się na tę poprawkę; podanie to nie jest właściwém wyłącznie téj okolicy, w różnych bowiem stronach kraju naszego lud opowiada je o miejscowościach, pozbawionych i murów i pieczar, powtarzając mimo to wszelkie szczegóły zawsze według jednego szablonu. Z istnienia przeto podania nie wynika wcale, żeby w danéj miejscowości istotnie ktoś kiedy poszukiwał skarbów; nie utrzymujemy jednak przez to, aby dla braku legendy miejscowéj nie były w takim celu przetrząsane.

miejscu odniesionego zwycięstwa zbudował miasto. Pan S. utrzymuje, że tém miastem nie był Poznań, jak to powiada kronikarz, lecz że tu rozumiéć należy Pobiedziska, leżące w pobliżu jeziora Lednickiego, gdyż nazwa *Pobiedziska* znaczy miejsce odniesionego zwycięstwa, albo używając starodawnego wyrazu — *pobiedy*. Na poparcie tego autor przytacza słowa Galla, który o zwycięstwie nad Moisławem tak się wyraża: „Ibi namque tanta caedes Mazovitarum facta fuisse memoratur, sicut adhuc *locus certaminis* et praecipitium ripae fluminis protestatur," — i rozumié, że *locus certaminis* oznacza właśnie Pobiedziska. Że nazwa tego miasta znaczy istotnie miejsce, w którém odniesiono zwycięstwo, nie ulega żadnéj wątpliwości; ale czy mianowicie zwycięstwo nad Moisławem, a w szczególności owo ostateczne zwycięstwo, o którem Gallus wspomina? Czyżby, z téj saméj zasady, Pobiedziska nie mogły być polem zwycięstwa nad Pomorzanami, o którem kronikarz, mówiąc w następnym rozdziale, znowu wyrażeń „campum certaminis" i „locum certaminis" używa? Wszakże *locus certaminis* znaczy właściwie pole bitwy, pobojowisko, a więc gdyby nazwa miasta miała wyrażać dokładnie pomiątkę takiego wypadku, to powinnaby brzmiéć Poboiska, Pobójsk, jak to widzimy na przykładzie wsi litewskiéj, która taką nazwę stoczonéj bitwie zawdzięcza (Staroż. Polska III. 208). Przecież dla oznaczenia *pobiedziska* mógł kronikarz powiedziéć *locus victoriae* albo *campus victoriae*, jak to w innćm miejscu téjże kroniki czytamy (MPh. I, 430). Gallus miejscowość bitwy określa nadto innćm wyrażeniem: *praecipitium ripae fluminis;* czy to odpowiada położeniu Pobiedzisk — autor nam nie powiedział. Według mapy Gilly, Pobiedziska leżą na wzgórzu, ale pod niém nie ma żadnéj rzeki; na mapie zaś, dołączonéj przez autora, są pod tém miastem dwa maleńkie jeziorka, a z drugiéj strony wypływa jakiś nikły strumień, lecz znów nie widać wzgórza. Trudno więc wśród tych płaszczyzn domyślać się jakiegoś *praecipitium ripae*, zwłaszcza, że gdy dawniejszy stan wód, jak twierdzą, był znamienicie wyższy, a tém samém lądy o tyleż mniéj nad poziom wodny wystawały. Wątpić téż wolno, aby Moisław sam szukał boju z Kazimierzem i w tym celu posunął się aż w samo serce Wielkopolski; przecięż dorywczego władcy Mazowsza żaden dawniejszy pisarz nie posądza o zamiar opanowania całego kraju; tak dalekiego ruchu mógłby on był dokonać chyba zaraz po powrocie z Niemiec Kazimierza, kiedy ten zajęty był jeszcze uwolnieniem Wielkopolski od hord najezdniczych. Ale w źródłach pierwotnych inaczéj te wypadki opowiedziano. Według Galla, Kazimierz oswobodził najprzód kraj od Pomorzan, Czechów i innych narodów, następnie ożenił się z księżniczką ruską, a późniéj dopiéro zwyciężył Moisława. Wpra-

wdzie annalista Saxo i powrót Kazimierza i jego ożenienie wspomina pod rokiem 1039, ale czasu szczegółowo nie wskazuje, mówi bowiem tylko, że się to stało „his temporibus". Nestor zgodny jest z Gallem, bo wprzód zapisuje małżeństwo Kazimierza, a poźniéj dopiéro pod r. 1047 rozgromienie Moisława. Wreszcie, już z tego, że Kazimierz żeniąc się z siostrą Jarosława zwrócił mu za wiano 800 ludzi, wziętych niegdyś na Rusi w niewolę przez Chrobrego, widać, że był już wtedy panem całego kraju, bo taka wielka liczba jeńców w różnych prowincyach rozsiedlaną być musiała.

Uważmy nadto, że walka przeciw Moisławowi prowadzona była ze strony Kazimierza zaczepnie, bitwy więc staczano, jeśli nie w głębi Mazowsza, to na jego granicach, a granicą ówczesną téj ziemi, przynajmniéj od strony Kujaw, była Wisla, skoro w czasie bezkrólewia lud chronił się pod opiekę Moisława „za Wisłę" (ultra fluvium Wysla in Mazoviam fugiebant). Jarosław wyprawił swe posiłki „na łodziach", a więc albo Sanem i Wisłą, albo raczéj Bugiem i Narwią do Wisły. Nad tą ostatnią przeto rzeką musiała zajść bitwa, w któréj Moisław poległ, i tak też czytamy u Długosza. Gdy więc goszczący na płockim dworze kronikarz powiada, że o klęsce Mazurów świadczy dotąd pobojowisko i przepaścisty brzeg rzeki, rozumiemy tylko to, że miejscowość owę oglądał naocznie, że widział mogiły, pokrywające ciała poległych, zapewne gdzieś w pobliżu Płocka, który leży „za Wisłą", na wyniosłym bardzo i urwistym brzegu, do którego wybornie dają się stosować wyrazy *praecipitium ripae fluminis*. Co do Pobiedzisk, te od innego zwycięstwa nazwę swą wzięły, najprędzéj rozbito tu Pomorzan, którzy przez długie czasy Wielkopolskę najeżdżali.

Druga hipoteza autora, jakoby budowla na Ostrowie zniszczoną została przez Krzyżaków w czasie najazdu r. 1331, zarówno wątpliwość rodzi. Prawda, że krzyżacy w okolicy jeziora Lednickiego szerzyli spustoszenie; ale gdy w liczbie miejsc zniszczonych znajdujemy wymienione nawet tak podrzędne osady, jak Klecko, Szadek, Bałdrzychów, które nigdy kasztelanów nie miały, to dziwném byłoby, gdyby spalenie grodu tak starożytnego, jak Ostrów, grodu posiadającego kościół, zostało przez świadków milczeniem pokryte. Wyprawa krzyżacka przypadła w porze ciepłéj (od końca Lipca do połowy Września), wody jeziora nie były pokryte wtedy lodem, co gród od niespodzianego napadu chroniło, a z drugiéj strony utrudniało sprowadzenie pod okopy zamku narzędzi oblężniczych. Zdobycie i zniszczenie Ostrowa mogło się zdarzyć tylko w zimie. Wypadek ten słuszniéj należy odnieść do czasów odleglejszych, po których rzadkie i ogólnikowe tylko zostały nam wspomnienia. Lelewel z te-

go zapewne powodu przypuszczał, iż to Brzetysław czeski był burzycielem Ostrowa; my zaś wolelibyśmy widzieć w tém sprawkę Pomorzan, którzy za Bolesława Krzywoustego często po kraju grasowali.

Z rozprawy p. Sokołowskiego okazuje się, że w kościele zamku Ostrowskiego grzebiono ciała członków rodziny książęcéj; owóż u Ebbona czytamy, że przed powtórną pielgrzymką ś. Ottona na Pomorze, Bolesław Krzywousty zapowiedział Pomorzanom szczecińskim wojnę w odwet za obrazę, którą mu wyrządzili. Obraza polegała na tém, wedle słów samego księcia, że ów lud dziki spustoszył jego krainy „adeo ut etiam *parentes suos e sepulchris* protraheret, et collisis capitibus dentes excuteret, ossaque eorum per publicum aggerem dispergeret.“ Bielowski przypuszczał, że to znieważenie grobów książęcych stało się w Płocku, ponieważ tam Władysław Herman był pochowany, a na téjże zasadzie p. E. Świeżawski ostre poczynił wyrzuty ks. Krzyżanowskiemu, iż fakt tak ważny w dziejach katedry płockiéj pominął. Ależ nie ma wcale pewności, żeby u Ebbona o Płocku była mowa; przeciwnie, trudno dopuścić, aby Pomorzanie szczecińscy tak odległą przedsięwzięli wyprawę, żeby jedna z główniejszych rezydencyj monarszych w dorywczym napadzie zdobytą być mogła. Wiemy wprawdzie o jednym napadzie Pomorzan na Mazowsze, ale ci byli bez wątpienia ludem z nad dolnéj Wisły, nie zaś od brzegów dalekiéj Odry. Przytém, wyraz *parentes* nie koniecznie oznacza rodziców i z większą łatwością stosować się może do przodków Krzywoustego w ogólności, a więc i do tych, których ciała spoczywały na Ostrowie. Walki z Pomorzanami staczano pospolicie w zimie (hiemali tempore, brumali tempore, asperitate hiemis: MPh. I. 453, 478, 455, 473); owóż i napad na Ostrów w zimie najdogodniéj mógł się udać i w téj porze był pewnie dokonany, skoro ś. Otto, przybywając na Pomorze w Maju 1127 r., zaraz dowiedział się i o najeździe i o zapowiedzianéj od *niejakiego czasu* wojnie odwetowéj (MPh. II. 63: expeditionem illam *tanto tempore* propositam). *Niejaki czas* czyliż nie może oznaczać kilkomiesięcznego przeciągu między zimowym najazdem Pomorzan a miesiącem Majem?

Dwie jeszcze okoliczności przemawiają pośrednio za naszém mniemaniem. Na prośby ś. Ottona Bolesław wyrzekł się zemsty: czy uczyniłby to książę czczący religijnie pamięć swojego ojca, gdyby to zwłoki Władysława Hermana zostały znieważone? Nie zdaje się. Powtóre, w tém że Warcisław szczeciński, przepraszając Krzywoustego za wyrządzoną obrazę, składa znaczną ofiarę pieniężną kapitule gnieźnieńskiéj, możnaby dopatrywać wskazówkę, iż spustoszenia

pomorskie skierowane były na dyecezyą gnieźnieńską, w granicach której Ostrów się znajdował.

Teraz zwrócimy się do głównego zadania rozprawy, t. j. do wytłómaczenia znaczenia murów na Ostrowie i kolei, jakie one przechodziły.

Ruina składa się z trzech części: 1) z części wschodniéj, okrągławéj, oznaczonéj na planie literą **A**.; 2) z budynku zachodniego, podłużno-prostokątnego, litera **C**.; i 3) ze sklepu środkowego, litera **B**, który, przerywając bezpośrednią komunikacyą między dwoma pierwszemi, otoczony jest z trzech stron ścianami budynku **C**, a z czwartéj przytyka do budowli **A**, z którą łączą go drzwi, stanowiące jedyną jego komunikacyą. Wszystkie części wzniesione są z łupanego w podłużne płyty granitu, osadzonego w murach **A** i **C** na gipsie, a w budynku **B** na wapnie. W częściach **C** i **B** ,,wystająca na zewnątrz pod ciśnieniem kamieni ze stosug zaprawa jest gładko rostarta, co tworzy lekkie otynkowanie.“ Rozprawa objaśnia nam, że najdawniéj wzniesiono okrągławy budynek **A**. Jest to szczupły kościołek, zbudowany przez Dąbrówkę, który mógł być otoczony małym cmentarzykiem dla grzebania ciał. W XI wieku do owego kościołka dobudowano od zachodu podłużną nawę, a powodem do tego mogło być spustoszenie katedry gnieźnieńskiéj przez Brzetysława, którą w pierwszych chwilach po powrocie Kazimierza przeniesiono tymczasowo na Ostrów Lednicki. Względem dobudowanéj nawy pierwotny kościołek winien był przyjąć charakter prezbiteryum; ale ponieważ drzwi prowadzące do niego były zbyt wąskie i zebranym w nawie wiernym nie dozwalałyby widziéć odbywającego się nabożeństwa, przeto na murach kościoła Dąbrówki nadbudowano piętro górne z otworem obszernym na nawę, dolne zaś zamieniono na kryptę grobową, w któréj złożono kości znamienitych osób pogrzebionych poprzednio na dawnym cmentarzyku, miejsce bowiem onego zajęte zostało pod nawę. Nadto domurowano w prezbiteryum, po lewéj, południowéj stronie ołtarza piscinę, a w nawie zbudowano schody, prowadzące na piętrowe prezbiteryum. Ten stan kościoła trwał nie zbyt długo: w XI jeszcze wieku katedrę przeniesiono napowrót do Gniezna, wielki kościół na wyspie został zaniedbany, niszczał, aż w końcu uległ częściowemu przeistoczeniu: mury zachodnie, czyli nawę przeznaczono na cele fortyfikacyjne a prezbiteryum zostało kaplicą zamkową; ponieważ jednak było zbyt szczupłém, aby wszystkich wiernych na wyspie pomieścić w swych ścianach mogło, przeto i dolnéj krypcie przywrócono dawne znaczenie, t. j. zamieniono także na kaplicę. Należało z niéj jednak usunąć trumny i kości, W tym celu zburzono schody w nawie, a na ich miejscu zbudowano

sklep **B**, zaopatrzony w grubości muru kanałem wentylacyjnym. Dla przywrócenia zaś przeciętéj przez zmurowanie sklepu komunikacyi z dolną kaplicą, wybito z niéj drugie drzwi, prowadzące przez korytarzyk: w jednę stronę po schodach na wierzch sklepu, a z drugiéj strony przez okrągłą wieżyczkę na zewnątrz murów.

Takie są w głównym zarysie rezultaty szczegółowych na miejscu badań ruiny. Ścisły rozbiór krytyczny tych wyników, dokonany przez specyalistę, byłby wielce pożądany. Gdy jednak trzeci rok upływa od chwili, w któréj delegaci Akademii sprawozdanie swoje ogłosili, a rozbioru takiego daremnie dotąd czekamy, może uwagi poniższe, oparte na porównaniu tekstu z planem zdjętym przez prof. Łuszczkiewicza, które tu podajemy bez żadnéj pretensyi do stanowczego wyrokowania, zdołają skłonić kogoś więcéj od nas kompetentnego do zabrania głosu w tym przemiocie.

1. Część wchodnia **A**, czyli kościołek Dąbrówki, zakończona jest od wschodu półokrągłą niszą czyli absydą, któréj łuk w końcu południonym przedłużony jest wewnątrz kościoła za pośrednictwem przystawki, późniéj, jak się okazało, zbudowanéj, gdyż nie jest ona związaną konstrukcyjnie ze ścianami głównemi. Znaczenie téj przystawki delegaci objaśniają tém, że nadmurowanie górnego piętra groziło osłabieniem sklepień w dolném piętrze, tam gdzie mur był cieńszy; podparto go więc rodzajem szkarp wewnętrznych. Ale przeciw temu zdaje się mówić ta okoliczność, że kopanie w gruncie nie wykazało żadnego śladu przystawki w przeciwległym, północnym końcu absydy; mogłaby więc być mowa tylko o jednéj szkarpie, któréj znaczenie powyżéj wskazane staje się tém samém wątpliwém. Rozpatrując się bliżéj w planie budynku **A**, widzimy, że symetryczność jego jest tylko przybliżoną, a bynajmniéj ściśle utrzymaną. Jak drzwi zachodnie zbaczają od osi kościoła ku południowi, tak znów absyda wysuniętą jest zabardzo ku północy, a nadto wyniesienie posadzki w absydzie przekracza po za północny kraniec jéj łuku, co samo przez się dopuścić istnienia w tém miejscu przystawki północnéj nie pozwala, a o tém, jak widzieliśmy, i brak śladów fundamentu przekonywał. Daléj, oba południowe łukowate przejścia, łączące ramiona krzyża w planie, są mniejsze od odpowiednich im łuków północnych; w framudze południowéj są dwa okna, w zwężoném zaś zagłębieniu framugi północnéj jest miejsce na jedno tylko okno, albo na drzwi. W obec tylu usterków od ścisłéj symetryi, czyżby nie dało się przypuścić, że przeznaczeniem istniejącéj przystawki było odgrodzenie pewnego zakątka, służącego może za zakrystyą dla pierwotnego kościołka?

2. W dawnych kościołach urządzano umyślne otwory, niby studzienki, zwane piscinami, do zlewania wody, którą kapłan przy mszy ręce umywał. Czy kościołek Dąbrówki nie miał takiéj piscinу? Po obu stronach drzwi zachodnich znajdowały się w grubości muru dwa pionowe zagłębienia, z których jedno mniejsze, od strony północnéj, delegaci znaleźli zamurowaném przed kilku laty, znaczenia więc onego nie objaśniają. Drugi otwór większy, z południowéj strony drzwi, uznają oni za piscinę, którą urządzić miano w tym czasie, kiedy do kościołka przystawiano zachodnią nawę **C**. „Nie chcąc poruszać starych murów, wybudowano piscinę, ale w nowym murze poprzecznym“. Jakoż porównywając fig. 1 na tabl. XIII z fig. 11 na tabl. XIV, przekonywamy się, że przez samo przymurowanie łukowatéj ścianki od strony krypty, nie uformowałaby się żadna próżnia; żeby ją utworzyć, wypadało, albo wyrąbać w grubości starego muru trapezowatą studnię, albo całkowicie stary mur zburzyć w tém miejscu i urządzić piscinę w nowym, wzniesionym natomiast murze. Jeżeli tedy postawiono mur poprzeczny nowy, to zachodzi pytanie, dla czego zachowano w nim wązkie drzwi zachodnie, które właśnie dla swéj wązkości zrodziły potrzebę zmurowania piętra nad kryptą? Czemu raczéj zamiast dawania drzwi wązkich w nowym murze, nie zostawiono obszerniejszego otworu téj szerokości jak zachodnia framuga, co usunęłoby konieczność stawiania górnego piętra?

3. Wewnątrz zachodniéj nawy, a mianowicie w południowo wschodnim jéj kącie wymurowane są dwie prostokątne lokalności, jedna szersza **H**, mająca wejście z nawy, a druga węższa **G**, do któréj miało się wchodzić przez wieżyczkę. Według sprawozdania delegatów, były to *sacraria*, mające przeznaczenie podobne do dzisiejszych zakrystyj. Objaśnienie to wydaje nam się wystarczającém, ale tylko dla lokalności **H**; lokalność zaś **G** przedstawia się zagadkowo. Bo najprzód nie ma ona żadnéj wyraźnéj komunikacyi z innemi częściami budowli, a komunikacya przez wieżyczkę opiéra się tylko na domyśle; powtóre, w jednym końcu południowéj ściany znajdują się tu dwa obok siebie otwory, przechodzące na wskróś muru na zewnątrz. Otwory te nie mogą być uważane za okna do oświetlenia lokalności służące, są bowiem zanadto szczupłych rozmiarów i zbyt mało ($^1/_{10}$ i $^1/_{20}$ metra tylko) nad poziom posadzki wyniesione, a co większa, otwory przecinają mur po płaszczyznie mocno pochyłéj, zniżającéj się w kierunku na zewnątrz, co napływ światła dziennego utrudnia. Nie mogą téż być to otwory kominowe, jak przypuszczono w sprawozdaniu, bo jakżeby w tym razie objaśnić potrzebę dwóch kominów obok siebie, których otwory przeprowadzone są w kierunku wcale nie ułatwiającym odchodzenia dymu. Zresztą ogniska w bu-

dowlach świeckich urządzano wtedy na środku izby, nie przy ścianie, a budowli kościelnych w obrządku zachodnim nigdy podobno nie opalano. Pozostaje więc tylko jedno przypuszczenie, mianowicie, że to były otwory wentylacyjne; takiemu celowi nie przeszkadzał szczególny ich kierunek, a zapobiegał naciskowi wody deszczowéj i niepotrzebnéj ciekawości przechodniów. Jeżeli domysł nasz jest słusznym, to nabiéra znaczenia fakt, przytoczony przez p. K. Szulca, że właśnie w tém miejscu znaleziono skielety twarzą do góry zwrócone, przewieszone przez północną ścianę lokalności **G**, w ten sposób, że głowy ku sklepowi **B**, a nogi ku południowi skierowane były. Ztąd nasuwa się mimowolnie przypuszczenie, że północny mur lokalności **G**, znakomicie cieńszy od murów magistralnych, i co do swéj wysokości nie wyrównywał ścianom nawy, że służył za podstawę, na któréj wpoprzek stawiano trumny, że więc lokalność **G** wraz z próżnią zawartą między tą lokalnością a sklepem **B**, stanowiła jednę całość, szeroką na 2,60 metra, czyli około 4½ łokci warsz., co w stosunku do średniéj długości trumien nie jest zbyt wiele. Gdyby nasze przypuszczenie utrzymać się zdołało, w takim razie z konieczności należałoby przyjąć, że sklep **B** dawniejszy jest od nawy, wbrew przeciwnemu zdaniu delegatów. Musimy więc tę kwestyę rozważyć.

4. Sprawozdawca wykazuje zasadnie, że w murach kościoła na Ostrowie chowano zwłoki otoczone wielką czcią, czego w obecnym wypadku nie można inaczéj rozumiéć, jak że to były zwłoki osób rodziny panującéj. Potrzeba budynku z podobném przeznaczeniem zjawiła się zaraz po przyjęciu religii chrześciańskiéj a przynajmniéj z chwilą pierwszego wypadku śmierci, zaszłego w rodzie Piastów po wprowadzeniu nowéj religii. Dla tego trudno się zgodzić na to, aby aż do czasów Kazimierza I grzebano zwłoki książęce w ziemi na cmentarzyku, na równi z osobami niższéj dostojności, i że jakoby dopiéro po wybudowaniu piętra nad kościołkiem **A**, kości wykopane w polyandrionie złożono w dolnéj kaplicy, przeznaczonéj na katakumbę.

W grubości ściany zachodniéj sklepu **B**, urządzony jest pionowy kanał wentylacyjny, czyli tak zwane *spiraculum*. Konieczność takiego kanału łatwo jest pojąć w tym przypadku, gdy w sklepie składano ciała zaraz po śmierci; ale wązka szpara, stanowiąca niemałą trudność przy wznoszeniu muru z nieociosanych głazów, mniéj byłaby potrzebną, gdyby sklep **B** wymurowano dopiéro po skasowaniu nawy, dla pomieszczenia w nim usuniętych z krypty trumien i kości. Jeżeli bowiem ciała, składane w krypcie zaraz po zgonie, nie zarażały powietrza w górném piętrze, złączoném z kryptą za pomocą wielkiego

otworu po środku posadzki,—tém mniéj było powodów po latach kilkudziesięciu do obawy, żeby zaduch nie przeciskał się do krypty ze sklepu, zamkniętego drzwiami. Nakoniec dziwném byłoby cokolwiek urządzanie otworu wentylacyjnego, zwracające wylot onego w sam środek ścian nawy, zamienionéj na twierdzę.

Wypadałoby więc raczéj przyjąć, że sklep **B** dawniejszą ma datę, czyli że wcześniéj zbudowany został od nawy. Przemawia za tém i kierunek murów sklepu. Ma on w planie postać nie prostokąta, lecz równoległoboku pochylonego z lekka ku południowi. Takiego błędu konstrukcyjnego nie możnaby sobie wytłómaczyć, gdyby sklep był budowany wśród istniejących a zupełnie prawidłowych murów nawy; bo wytknięcie linii równoległych od północnéj ściany nawy i od lokalności **G** nie przedstawiałoby wtedy żadnych trudności. Jeśli zaś przyjmiemy przeciwnie, że gdy sklep **B** budowano, mury nawy jeszcze nie istniały, to zrozumiemy, że uchylenie się osi sklepu od osi kościołka wynikło z trudności, które wykreśleniu regularnego planu stawiała okrągława i załamująca się linia murów budynku **A**. Skoro ściany sklepu wzniesiono, błąd stał się widocznym, a przeto przy późniejszém murowaniu nawy łatwiéj go już można było uniknąć.

Gdyby sklep **B** budowano dopiéro po wzniesieniu nawy, to zachodziłoby pytanie: w jakim celu pomiędzy nim a lokalnością **G** zostawiono wązką pustą przestrzeń, zamiast go domurować do lokalności **G** i **H**, przez co na materyale i pracy osiągniętoby widoczną oszczędność? Jeżeli zaś nawę murowano około istniejącego już sklepu, to zagadka ta znika, gdyż, jak to wspomnieliśmy w punkcie 3-cim, lokalność **G** wraz z próżnią na północ od niéj położoną mogła służyć za dodatkową katakumbę po zapełnieniu zwłokami sklepu **B**.

Z tych powodów ośmielamy się wyrazić mniemanie, że w kościołku Dąbrówki nigdy nie składano ciał zmarłych, że do tego celu służył od samego początku sklep **B**, że więc ten ostatni wcześniejszym jest od nawy. Fakt, iż w zamurowaném wydrążeniu ściany tego sklepu znaleziono urnę z kośćmi i popiołami, popiéra w pewnym względzie nasze zdanie, równie jak barbarzyński układ wątku w jego ścianach. Ale zarzucić nam kto może, iż ów wątek, mający zaprawę wapienną, nie da się wcisnąć chronologicznie między dwie budowy o zaprawie gipsowéj, że nie wskazujemy żadnéj przyczyny tego przerzucania się od zaprawy gipsowéj do wapiennéj, którą potém znowu gipsowa zastąpiła. Pozostawiając kwestyą tę bez odpowiedzi, nadmieniamy, że nie mieliśmy zamiaru rozwiązywania na własną rękę wszystkich zagadek, jakie ruina na Ostrowie może badaczom przedstawić. Zadanie nasze, jak czytelnikowi wiadomo, było

o wiele skromniejszém. Zaprawy poddawane były analizie chemicznéj, skład ich więc nie ulega wątpliwości. Czy zaś w obecnym wypadku możnaby uwzględnić zdanie Bischofa, że w przyrodzie zachodzić mogą przeobrażenia nie tylko wapienia w gips, ale także i *gipsu w wapień*,—sąd o tém specyalistom pozostawiamy (1).

Wreszcie przypomnieć tu nie zawadzi, iż na ścianach sklepu i nawy dochowały się ślady lekkiego otynkowania, na którém narysowano ostrzem kielni regularne stosugi, naśladujące linearną przewięź ciosowych murów. Nic naturalniejszego, jeśli w tém prostaczém przyozdobieniu ścian monumentalnego kościoła uczestniczył i dawniéj zbudowany sklep grobowy, znajdujący się wewnątrz jego nawy i lubo z frontu zasłonięty może schodami, ale z boków zapewne widzialny. Przeciwnie, przyjąwszy że sklep zmurowano po przekształceniu nawy na twierdzę, nie umielibyśmy sobie niczém objaśnić takiéj zachcianki zdobienia ścian sklepu, przy jednoczesném pozostawieniu murów piérwotnego kościołka bez żadnéj ozdoby.

5. Szczegóły, dotyczące zamurowanéj urny i skieletów znalezionych wśród ruin, traktowane są w sprawozdaniu z pewnym sceptycyzmem, zapewne dla tego, że delegaci nie byli obecni przy ich odkopaniu, a wnioski swoje tylko na dotykalnie sprawdzonych przez się faktach oprzéć pragnęli. Ostrożności tak ścisłéj należy się najwyższe uznanie; nie wiemy jednak, czy wyrażenie „jak twierdzi tradycya“ (str. 160) może być stosowaném do artykułu p. K. Szulca w Nadwiślaninie, który pisze o tém, jako o rzeczy widzianéj własnemi oczyma? Pod koniec rozprawy p. Sokołowski, opisując szturm do zamku, tak się wyraża:

„Po zdobyciu okopów, po spaleniu zabudowań drewnianych, nieliczna zapewne załoga zamkowa zamknęła się w murach bazyliki i broniła rozpaczliwie do ostatka. Na całéj stronie północnéj ruiny pozostały ślady gwałtownego ognia, który, przeniósłszy się przez dach i belki powały do budynku, przepalić musiał ściany północne. Nie zważając na walący się dach, na padające z góry tramy belkowania i na pękające mury, wdzierali się prawdopodobnie napastnicy do środka. Jak popioły wulkanu przysypały i przywaliły ich w czę-

(1) Zdaniem uczonego autora „Chemicznéj i fizycznéj geologii“, ten ostatni wypadek ma miejsce wówczas, jeżeli gips w składzie swoim zawiéra ciała organiczne, gdyż ciała te zmieniają gips (siarczan wapna, wodę zawiérający) w siarek wapu. Jeżeli na utworzony w ten sposób siarek wapu działać będą kwas węglany, woda i pary wodne, to najprzód powstaną wapno i siarkowodór. Następnie wapno, od działania na nie kwasu węglanego, przechodzi w wapień, a siarkowodór w skutek działania nań tlenu powietrza osadza siarkę i zarazem tworzy wodę.

ści zgliszcza w żywéj akcyi i ruchu. Ztąd te kości rozrzucone w nieładzie na całéj ruiny przestrzeni, ztąd te skielety przewieszone przez otwory murów z głowami przedziurawionemi i z piszczelami nóg wyciągniętemi ku podwórzu."

W tym malowniczo ponurym obrazie krwawéj katastrofy, *tradycya* uległa podobno przeistoczeniu. O ile wiemy, skielety przewieszone były nie przez otwory murów, ale, przez wierzch jednego tylko muru; skielety te nie miały czaszek przedziurawionych, a nogi ich wyciągnięte były nie ku podwórzu, lecz ku lokalności **G**. Przedziurawione zaś głowy i należące do nich skielety znajdowały się w sklepie **B**, z których trzy pod ścianą zachodnią leżały. Z objaśnień planu, który Przezdziecki ogłosił w Bibliotece Warszawskiéj, z rozmiarów wnętrza sklepu, wynikałoby prędzéj to, iż ciała złożone były przez pogrzeb prawidłowy, aniżeli iżby tam legły w boju śmiertelnym. Czaszki, które widział Przezdziecki ustawione w framugach sklepu, nie w skutek bitwy przecież znalazły się na owém miejscu. Sprawozdanie uczy nas, że ruiny Lednickie były w części budynkiem grobowym, że kilkowiekowa historya murów dzieli się na kilka różnych okresów; i kości przeto z różnych pochodzić muszą czasów i nie mogą wszystkie, a mianowicie te, o których wyżéj była mowa, należyć wyłącznie do poległych w pożarze grodu, zwłaszcza iż nikt nie wspomina, aby na nich było widać opalenia ślady.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Obawa morowego powietrza i środki zapobiegawcze po za obrębem Warszawy. Doktorzy: Biesiadecki, Nencki i Krasiński. Figle wody. Cło od zboża i ciężary wewnętrzne. Budżet Warszawy. Sprawozdanie instytucyi dobroczynności na rok 1877. Kasa oszczędności i kradzieże w Warszawie w r. 1878. Tramwaye i rada miejska. Okólnik ministra oświecenia co do towarzystw pomocy dla uczącéj się młodzieży. Instytut gospodarstwa i leśnictwa. Obietnica prywatnego muzeum pedagogicznego. Nasza bibliografia w roku 1878.

Europa staje się coraz bardziéj jednolitym i wrażliwym organizmem. Każda wieść z szybkością błyskawicy obiega jéj obszary, każde zdarzenie zaszłe w jednym punkcie, w tysiącu innych wywołuje odpowiednie zmiany. Dzięki kolejom, telegrafom i potężnie rozwiniętym stosunkom handlowym, zdaje się, że część świata, obejmująca około 200 tys. mil kwadratowych powierzchni i 300 milionów ludności, utworzyła już jednę gminę!

Ale żadna wojna, nieurodzaj, bankructwo nie stwierdziło jeszcze w tak oczywisty sposób solidarności europejskiéj, jak wypadki dni ostatnich. W Styczniu, rozeszła się pogłoska o wybuchu morowego powietrza w kilku miejscowościach nad Wołgą, a już w Lutym w Berlinie i Paryżu zaprzestano jadać kawior; Austryja i Niemcy zabroniły wwozić do siebie pewne produkta rosyjskie i wysłały specyalne komisye nad Wołgę; miasta nadmorskie rozciągnęły dozór nad okrętami przypływającemi z morza Czarnego, inne utworzyły u siebie komitety sanitarne, a szpalty dzienników i półki księgarskie zapełniły się rozprawami o morowém powietrzu.

Rzeczywiście nie pamiętamy tak wielkiego i powszechnego popłochu, jaki ogarnął Europę w ogóle, a Warszawę w szczególności, po nadejściu pierwszych alarmujących depesz z gubernii Astrachań-

skiéj. Pochwalić się będziemy mieli prawo trzema nazwiskami, które zdobędą niewątpliwie sławę w obecnym popłochu, jeżeli okoliczności pozwolą.

Pierwszém z nich jest nazwisko dra Biesiadeckiego, który na czele misyi austryackiéj udał się do nawiedzonéj morem miejscowości. Dr. Biesiadecki jest anatomopatologiem, on będzie robił sekcye (jeżeli znajdzie odpowiedni materyał) i tém samém może przyczynić się do bliższego określenia natury dżumy. Uczonego tego i jego kolegów z misyi austryackiéj i niemieckiéj, witali bardzo uroczyście przedstawiciele towarzystwa lekarskiego i prasy warszawskiéj.

Drugą osobistością, występującą do walki z morem, jest dr. Nencki, dyrektor medyczno-chemicznego instytutu w Bernie. Ogłosił on szereg uwag mających na celu wskazać środki ochronienia od zarazy osób, które stykają się z chorymi. Dr. Nencki stawia bardzo prawdopodobną hipotezę, że dżuma jest chorobą krwi, powstająca w organizmie skutkiem szybkiego rozwijania się mikroskopijnych *schystomicetów*, których 50—60 milionów waży tysiączną część grama. Jestestwa te, mnożące się w wydzieleniach z ciała chorych, wysychają na odzieży, ścianach, podłogach i, porwane przez prąd powietrza, mogą być w odległe miejsca przeniesione, a tém łatwiéj mogą dostać się do błon śluzowych ludzkich. W celu zatém uchronienia się od nich, lekarze i obsługa zadżumionych winna mieć oczy zasłonięte mocno do twarzy przystającemi okularami, a na nosie i ustach maskę, któréj otwór byłby zasłonięty gąbką, napojoną roztworem kwasu solnego, fosfornego lub siarczanego. Tym sposobem *schystomicety* nie tylko nie dostaną się do błon śluzowych, ale jeszcze zginąć muszą, zetknąwszy się z płynem przeciwgnilnym. Reszta powierzchni ciała, jako okryta naskórkiem, jest zabezpieczona od szkodliwego wpływu substancyi zaraźliwéj.

Artykuł dra Nenckiego i rysunek maski pomieszczony został w Nr. 4 *Zdrowia*. Pożądane jest, aby skuteczność podanych tam rad, niezmiernie zresztą do pojęcia i wykonania łatwych, wypróbowano zarówno nad Wołgą, jak i we wszystkich miejscowościach nawiedzonych przez choroby zaraźliwe. Maski te niewątpliwie przyczynić-by się mogły do zmniejszenia śmiertelności między lekarzami i obsługą pewnéj kategoryi chorych.

Ale największą doniosłość, jeżeli dalsze badania potwierdzą wskazane fakty, miałaby broszura dra Krasińskiego, napisana z powodu dżumy, o lekarstwie przeciw *cholerze*. Jest nim arszenik w małych dawkach.

Skuteczność tego środka dr. Krasiński wypróbował dwoma sposobami. Najprzód przekonał się, że żadna z osób spożywających ar-

szenik (albo rtęć) nie ulegała cholerze; podawał więc arszenik tym, którzy lękali się cholery, a nadto sam, mając ciągle do czynienia z odchodami cholerycznych, za pomocą lekarstwa tego uchronił się od zarazy. Tych doświadczeń nie możnaby uważać za stanowcze, wspiéra je przecież tenże rezultat na innéj otrzymany drodze. Doktór przechowywał odchody cholerycznych w słojach i zastrzykiwał je w naczynia krwionośne zwierząt. Przy tém przekonał się, że 1) odchody te są zaraźliwe między trzecim i dziewiątym dniem od chwili wyjścia z chorego, przed tym zaś i po tym czasie własności zaraźliwych nie posiadają; 2) odchody te, traktowane arszenikiem, tracą własności zaraźliwe i zastrzykiwane być mogą bez złego skutku, pod skórę. To doświadczenie zdaje się być stanowczém, o ile nie splątały się z niém i nie działały tutaj okoliczności poboczne.

Ale najciekawsze jest doświadczenie następujące. Dr. Krasiński odchodami chorych podlewał rośliny, a między innemi georginie. Po pewnym czasie kwiaty przestały się rozwijać jak należy, a szyszki kwiatowe napełnione były wypociną. Mikroskop w wypocinie téj wykazał ogromną ilość grzybków (które zdają się wywoływać objawy choleryczne). Gdy następnie płyn, wydobyty z szyszek georgini, zastrzyknął dr. Krasiński psu, zwierzę zdechło *na cholerę*, lecz gdy do płynu dodał arszeniku, zwierzęta żyły. Badanie to przekonywa, że i rośliny ulegają zarazkom cholerycznym, aczkolwiek w słabszym stopniu niż zwierzęta.

Wiadomości, któreśmy tu przytoczyli są tak ważne, że lękamy się zaufać im bezwarunkowo. Jeżeli jednak zostaną kiedyś stwierdzone, wówczas dr. Krasiński zasłuży sobie na tytuł jednego z dobroczyńców ludzkości i naród nasz okryje chwałą. Dodać w końcu musimy, iż w środku podanym przez dra K. tkwi przynajmniéj część prawdy. Dziś mniéj więcéj wszyscy lekarze zgadzają się na to, że pewna grupa chorób zaraźliwych zależy od wsiąknięcia w organizm (przez nos, usta, zranioną skórę) mikroskopijnych istot. Każdy zatém środek, który niszczy owe jestestwa, daje się wessać przez tkanki i nie szkodzi organizmowi, musi być lekarstwem na wymienione choroby, przynajmniej w początkach ich rozwoju. Może być, że arszenik okaże się takim środkiem, nie tylko w cholerze, ale nawet w dżumie, tyfusie, febrze i t. d., co już powinniby sprawdzić ludzie kompetentni.

Za pośrednictwem *Zdrowia*, dr. Markiewicz na nowo zwraca uwagę osób światłych na potrzebę zawiązania towarzystwa opieki nad zdrowiem publicznem, któreby za pomocą propagandy i przykładu szerzyło wśród ogółu obce mu pojęcia higieniczne. Zapisujemy ten głos, który ciągle, ale niestety napróżno przypomina sprawę

towarzystwa higienicznego. Czasby nareszcie załatwić ją w epoce, kiedy ludy ucywilizowane stawiają kordony na granicy, a pisma niemieckie proszą swoje władze o to, aby zabroniły żydom polskim ukazywać się w miejscach kąpielowych w ich brudnych chałatach! Mogłyby też istniejące w kraju towarzystwa lekarskie, dla uwolnienia się od zarzutu nieczynności, zrobić chociaż podania do rządu o zatwierdzenie ustawy towarzystwa opieki nad zdrowiem publiczném dla każdéj gubernii, inaczéj bowiem nie wygrzebiemy się z narastającego co roku błota.

Prócz strachu przed morowém powietrzem, doświadczamy tu jeszcze klęsk bardziéj namacalnych, jakie spowodował wylew Wisły. Powyżéj Warszawy utworzył się wielki zator lodów, a ponieważ nie został w porę rozbity prochem, woda więc płynąca z gór, zrujnowała ochronne wały i zalała 27 wsi. Domy, siano, zboża, bydło uległy zniszczeniu a 2.800 włościan jest w nędzy. Dla ulżenia ich niedoli, utworzył się w Warszawie komitet do zbiérania składek. Dano w teatrze przedstawienie choregraficzne, które przyniosło około 2.000 rs. dochodu, a ma być jeszcze koncert. Pełni współczucia dla nieszczęsnych *topielców*, nie mniéj żałujemy kraju, któremu fatalność nie pozwala uregulować biegu najważniejszéj rzeki, choć myślano już o tém przed 60-cioma laty.

Woda niemało zniszczenia szerzy w tym roku: są bowiem wylewy w południowéj Francyi i na wschodzie Europy; obfitość wody ukazała się w kopalni wielickiéj; zalane zostały kopalnie węgla w Duchcowie w Czechach, a jednocześnie znikło najgorętsze źródło w Cieplicach (Toeplitz). Słowem, natura grozi rodzajowi ludzkiemu.

Przyszłe stosunki ekonomiczne w dość ponurém także przedstawiają się świetle. Streścić je można w zdaniu, że ciężary publiczne wzrosną, a dochody z rolnictwa płynące zmniejszą się.

Na zmniejszenie się dochodów gospodarstw rolnych, wpłynąć może projektowana przez rząd niemiecki opłata celna: 25 fenigów od centnara żyta, 50 fen. od centnara wszelkiego innego zboża i 20 fenigów od sztuki bydlęcia.

Sprawą owego cła zajmowano się już u nas. Jedni twierdzili, że straty jakie ztąd dla rolnictwa wynikną dadzą się „łatwo przeboléć.“ Zboże bowiem i drzewo nasze zamiast ku granicy pruskiéj, zwróci się do rosyjskich portów morza Baltyckiego, różnica kosztów transportu będzie niewielka, główne więc straty poniosą drogi żelazne po lewéj stronie Wisły leżące i droga Nadwiślańska, z których dwie gwarantowane przez rząd. Nie będzie więc żadnych strat znacznych.

Na to odpowiada p. Ant. Aug. Eger w *Ekonomiście*, że nie będzie tak dobrze jak myślą optymiści. Najprzód bowiem drzewo kolejami przewozić trudno, w latach 1876 i 1877 spławiono materyału tego Wisłą za 22 i pół milionów marek, kolejami zaś przewieziono ledwie za 800 tysięcy marek, a więc za sumę dwadzieścia kilka razy mniejszą, a to dla tego, że spław jest kilkadziesiąt razy tańszym od przewozu, trudno zatém uwierzyć w możność wysyłania drzewa aż do rosyjskich portów.

Co do zboża, mówi daléj p. Eger, cena jego reguluje się wprawdzie nie na targach niemieckich, lecz angielskich, ale za to tam zboże nasze współzawodniczyć musi z amerykańskiém, którego ilość w zastraszający dla nas sposób wzrasta. I jakież warunki towarzyszyć będą naszemu zbożu w tém współzawodnictwie? Oto—zwiększona opłata transportowa na linjach krajowych, do któréj przyłączy się pewien procent strat na ażjo, skutkiem możliwego podniesienia się rubli papiérowych, i pewien procent opłaty celnéj na granicy pruskiéj. Ogólną sumę tych strat oblicza p. Eger w przybliżeniu na 40% w obec cen dotychczasowych, a ponieważ zboża do Prus odchodzi za 30 milionów rubli, stracilibyśmy więc na téj drodze 12 milionów rubli rocznie.

Dla zapobieżenia temu radzi p. Eger pobudować w Warszawie składy towarowe, a przedewszystkiém zbożowe, któreby ściągnęły kupców angielskich i holenderskich do kraju. Ponieważ w handlu tym nabywcy mieliby za sobą prawo tranzytu (nieopłacania cła za towary przechodzące przez terytoryum pruskie), a my pozbylibyśmy się zbytecznych pośredników, zniżka więc cen mogłaby być niewielka, a może i żadna. Prócz tego zboże z Cesarstwa napływałoby do nas w większych niż dziś ilościach, zamiast zwracać się do portów rosyjskich.

Projekt zbudowania składów towarowych, od wielu już lat w prasie stawiany, nie może jednak dotąd wejść w życie.

Mimo to nie trwoży nas przyszłość, bo mamy nadzieję, że społeczne siły z większą wystąpią energią. Każde złe, które nie miażdży jednostki czy społeczeństwa, staje się pobudką do nowéj pracy i pomysłów; dla kraju naszego, zbliżające się trudności ekonomiczne mogą raczéj wyjść na dobre, jeżeli przyśpieszą jego rozwój w kierunkach, których dziś jeszcze odgadnąć trudno.

Dodać tu możemy, że owo cło niemieckie wielką wyświadczyłoby nam usługę, jeżeliby zmusiło nas nie do wysyłania ziarna i belek po cenach zniżonych, ale do przerabiania na miejscu drzewa i zboża. Umiejętna obróbka drzewa podnosi o wielekroć jego wartość i zatrudnić może tysiące miejscowych robotników. Toż samo dzieje się ze

zbożem, zamiast którego należałoby wysyłać do Niemiec mąkę i kaszę. Wyrabiając je, nietylko podnieślibyśmy młynarstwo krajowe, oszczędzili kosztów transportu, ale jeszcze zachowalibyśmy otręby, doskonały pokarm dla zwierząt.

Co się tyczy nowych podatków, są one następujące.

Opłata od wódek słodkich w stosunku 1 rs. za każde wiadro i od prawa wyprzedaży ich w handlach i restauracyach.

Opłata od pasażerów i ich pakunków, tudzież od transportów pośpiesznych na kolejach i statkach parowych.

Opłata od stępli podniesiona o 25%.

Cło od surowéj bawełny po kop. 40 od puda. Opłata od ubezpieczeń ogniowych kop. 75 od każdego 1.000 rubli zabezpieczonych.

Przypuszczalny dochód państwa ze źródeł tych wynosić ma około 18-tu milionów rubli.

Podatki te, dotykające przeważnie klas zamożniejszych, wynoszą średnio na mieszkańca 24 kopiejek rocznie.

W ogłoszonym na rok 1879 budżecie miasta Warszawy, przewidywane są wydatki na summę 1.803.259 rs, deficyt (po potrąceniu dochodów) wynosi rs. 48.538 i pokryty zostanie z funduszu zapasowego, wynoszącego obecnie rs. 418.470.

Główniejsze rubryki wydatków przedstawiają się w sposób następujący:

Utrzymanie kancelaryi oberpolicmajstra, policyi, żandarmeryi i aresztu	rs.	604.400	czyli	33%
Roboty inżynierskie i budowlane	„	413.972	„	23%
Zarząd miasta	„	143.373	„	8%
Sądy	„	57.170	„	3%
Szkoły.	„	45.357	„	2 1/2%
Dobroczynność.	„	44.751	„	2 1/2%
Straż ogniowa	„	151.982	„	8 1/2%
Spłata długów	„	108.289	„	6%
Służba policyjno-lekarska (22.660 rs.) i służba przy bydłobójniach (rs. 19.411), razem	„	42.071	„	2 1/3%
Oświetlenie	„	50.389	„	2 7/9%
Wydatki przechodnie (rs. 51.545) i różne (rs. 36.822), tudzież nieprzewidziane (rs. 15.600), razem.	„	103.367	„	6%
Wydatki niepokryte pozostałe z budżetu za rok 1877, razem	„	39.468	„	2 1/6%

Liczby procentowe obrachowane są w przybliżeniu, w każdym razie przy pomocy ich łatwo jest uchwycić stosunek, istniejący mię-

dzy rozmaitemi pozycyami wydatków. Widzimy z tego, że oświata, sądy, dobroczynność, zdrowie publiczne i oświetlenie tworzą rubryki najmniejsze, każda z tych kategoryj zbliża się do kosztów na najem lokalów dla kancelaryj cyrkułowych, które wynoszą rs. 45.520 czyli $2\frac{1}{2}\%$ wydatków ogólnych.

Obraz działalności instytucyj dobroczynnych w Warszawie za rok 1877, tak się w liczbach przedstawia. Instytucye te posiadały w roku powyższym kapitału rs. 6.633.854, miały dochodu rs. 760.295, a wydatków rs. 701.022; zrobiono więc na nich oszczędności 59.273 rs.

Dzięki tak przezornemu gospodarstwu mienie zakładów dobroczynnych od r. 1871 do 1877 wzrosło o 1.866.339 rs.

W ciągu wymienionego roku, taki był ruch w szpitalach:

	Leczyło się:	Wyszło:	Zmarło:	Zostało:	Stosunek zmarłych do wyszłych:
W szpitalach ogólnych	15.217	12.122	1.886	1.209	1:6,5
W szpitalu Łazarza	4.634	3.803	417	414	1:9,1
W szpitalu Jana Bożego	808	278	90	440	1:3
W domach starców	653	17	68	568	
W zakładach dzieci i sierot	499	83	6	410	
W ochronach	3.616	1.409	—	2.207	
W instytucie moralnéj poprawy dzieci	72	23	—	49	
W domu podrzutków:					
a) dzieci starszych	439	360	9		stosunek zmarłych do ogółu:
b) dzieci przy piersi					
w szpitalu	4.513	—	2.467		1:1,8
na wsi	6.740	—	982		1:6,8

Z dwu ostatnich stosunków widzimy, że śmiertelność między podrzutkami oddanemi na wieś, prawie się równa śmiertelności osób chorych w szpitalach ogólnych, a jednak jest $3\frac{1}{2}$ razy mniejsza od śmiertelności podrzutków w szpitalach.

Trzecią grupę cyfr związanych z życiem naszego miasta przedstawiają: wkłady do kasy oszczędności za rok 1878, czwartą zaś — kradzieże spełnione w ciągu roku.

Kasa oszczędności, w końcu upłynionego roku posiadała 28.845 uczestników i 934.329 rubli kapitału, średnio więc jeden uczestnik kasy przypadał na 10 do 11 mieszkańców miasta i posiadał około $32\frac{1}{2}$ rubli kapitału. W r. 1877 liczba uczestników wynosiła 26.858 osób z kapitałem 717.033 rs.; w owym więc czasie jeden uczestnik kasy przypadał na 11—12 mieszkańców i posiadał około $27\frac{1}{2}$ rs. kapitału.

Co się tyczy kradzieży, tych w roku 1878 spełniono około 2.400, na sumę rs. 230.000, w roku zaś 1877 spełniono 2.752 kradzieży, na

sumę 226.000 rs. W ciągu obu lat wykryto około 78% kradzieży, jakie jednak sumy właścicielom zwrócono? o tém statystyka nie mówi. W stosunku do cyfry wydatków miejskich sumy skradzione i zameldowane wynoszą 13%, to jest tyle co z budżetu miejskiego wydaje się na szkoły, dobroczynność i zarząd miasta.

Tyle co do przeszłości i teraźniejszości miasta Warszawy; przyszłość zaś obiecuje nam koleje konne i radę miejską.

Siedm linij kolei konnych, przechodzących we wszystkich kierunkach po ludniejszych częściach miasta, mają być wykończone w ciągu trzech do czterech lat po ostateczném zatwierdzeniu przedsiębiercy, przyczém miasto ma zamiar dogodne dla siebie wymówić warunki; ale przedsiębierca jeszcze nie jest zatwierdzony, nie wiemy więc kiedy z kolei korzystać będziemy mogli.

Co do rad miejskich, nad wprowadzeniem ich do Królestwa Polskiego, zastanawiała się specyalna komisya przy Generał-Gubernatorze, jeszcze w r. 1875 i 1876. Wnioski téj komisyi mają być oddane do przejrzenia innéj komisyi w Petersburgu, a następnie — zatwierdzone przez Radę Państwa.

O ile wnosić można z projektu komisyi warszawskiéj, prerogatywy naszych rad miejskich, w porównaniu z podobnemi instytucyami w cesarstwie, będą uszczuplone. Tak np. nie będą one posiadały prawa nadzoru nad teatrami, oraz co ważniejsza nad wychowaniem. Rządzić się zaś mają tutejszém prawem cywilném i tutejszemi przepisami administracyjnemi. Zarządzanie sprawami zgromadzeń kupieckich i rzemieślniczych, tudzież kościelnych, pozostałoby przy radzie miejskiéj, do dalszego rozporządzenia.

Prawa wyborcze byłyby takie same jak w Cesarstwie. Wyborcy dzieliliby się na trzy kategorye (właściciele nieruchomości, kupcy pierwszéj i drugiéj gildyi i handlujący za świadectwami na drobny przemysł), co razem dałoby w Warszawie przeszło 8.000 głosujących, którzy wybraliby z pomiędzy siebie 72 członków rady miejskiéj. Prezes byłby mianowany przez Ministra spraw wewnętrznych z pośród trzech, przedstawionych przez radę kandydatów.

Postanowienia i korespondencye rad miejskich odbywałyby się w języku rosyjskim, rozprawy zaś — w tym języku, jakim najłatwiéj władają członkowie.

Pismo nasze w roku 1876, w artykule profesora Okolskiego p. t. Reforma miast w Rosyi, zaznajomiło czytelników z prerogatywami rad miejskich, do téj więc pracy odsyłamy ciekawych po szczegóły. Gdy zaś reforma zostanie wprowadzoną i u nas kiedyś, podamy o niéj obszerniejszą wiadomość. Dziś wspomnieliśmy o radach miejskich dla tego, że pogłoska o rychłém wprowadzeniu ich do Królestwa

Polskiego elektryzowała przez pewien czas towarzystwa warszawskie i dopiero Kuryer Poranny, zasiągnąwszy informacyi u właściwego źródła, ochłodził i uspokoił przedwczesne zapały.

Położenie ubogiéj młodzieży szkolnéj i uniwersyteckiéj zwróciło w ostatnich czasach baczniejszą uwagę ministra oświecenia, który, w okólniku do kuratorów okręgów naukowych, wzywa ich, aby odwołali się do ofiarności prywatnéj i zachęcali do tworzenia towarzystw pomocy dla uczącéj się młodzieży.

Tym sposobem rozszerzony został zakres materyalnego udziału publiczności w sprawach wychowania; pragnąć zaś należy, aby, o ile to jest możliwe, ogół przyjmował i moralny udział w téj kwestyi, jak to ma miejsce wśród dojrzałych społeczeństw.

Pierwszy krok we wskazanym przez ministra kierunku zrobił, w kraju naszym, instytut gospodarstwa i leśnictwa. Utworzył się tam komitet, złożony z dyrektora, inspektora i trzech profesorów, który obmyślił formę udzielania pomocy uczącym się.

W tym celu postanowiono kapitał obecnie przeznaczony na zapomogi (rs. 2.104) podzielić na dwie części: fundusz żelazny i fundusz obrotowy. Na zawiązek funduszu żelaznego kupiono za rs. 1.854, dwa tysiąc-rublowe bilety 5-cio-procentowéj pożyczki wschodniéj, pozostałe zaś 250 rubli gotowizną użyto na kapitał obrotowy. Z kapitału tego pożyczane będą studentom kwoty nie przenoszące rs. 25, z terminem 6-cio-miesięcznym i procentem $^1/_2{}^0/_0$ na miesiąc. Z procentów w ten sposób utworzonych zwiększać się będzie fundusz obrotowy, gdy zaś dojdzie do wysokości rs. 500, wówczas przewyżki dołączane będą do funduszu żelaznego.

Fundusz żelazny prócz tego powiększać się ma własnemi procentami i ofiarami na rzecz kasy studenckiéj robionemi. Gdy dojdzie do wysokości 10.000 rs., wówczas procent od niego (500 rs.) stanie się kapitałem obrotowym; użytym będzie na procentowe pożyczki, wszelka zaś przewyżka, jaka się otrzyma na téj drodze, rozdzielaną będzie między potrzebujących, jako zapomoga bez obowiązku zwrotu.

Tym sposobem, przy ofiarności ogółu, studenci instytutu z czasem mieć będą:

1. Fundusz żelazny 10.000 rs.

2. Fundusz obrotowy, na udzielanie pożyczek procentowych, który skoro fundusz żelazny szczęśliwie dojdzie do oznaczonéj wysokości w pierwszym już roku wyniesie 1.000 rs. w drugim 1.500 rs., w trzecim 2.000 rs. i t. d. słowem, co roku zwiększać się będzie procentem funduszu żelaznego.

3. Procenta od pożyczek udzielanych studentom, które w odpowiednim roku wyniosą 60 rs. w drugim 90 rs., w trzecim 120 rs. itd., a które użyte zostaną na bezprocentowe wsparcia.

Ma się rozumieć, że w praktyce rzeczy nie pójdą tak gładko, trzeba bowiem liczyć na nieuchronne straty. W każdym razie jest to kombinacya, która po pewnym przeciągu czasu uwolni instytut od potrzeby starania się o pomoc ogółu.

Na pochwałę instytutu dodać należy, że gdy w r. b. miano rozdzielić wsparcia z funduszu na koncercie w Warszawie zebranego, wówczas dyrektor, p. Dobrowolski, wezwał studentów, aby oni sami przedstawili mu listę potrzebujących zapomogi kolegów i listę owę zatwierdził. Jest to najwłaściwszy sposób rozstrzygania podobnych kwestyj. Z jednéj strony studenci najlepiéj wiedzą, kto z nich jest w potrzebie, z drugiéj zaś umacnia się między młodzieżą duch koleżeństwa, mocno osłabiony w ostatnich czasach.

Do urzeczywistnienia myśli wyrażonéj w okólniku ministra, uniwersystet warszawski potężną znajdzie pomoc w dwu funduszach, z których jeden (10.000 rs.) złożył dr. Perlmuter w banku Rawicza pod opiekę i dyspozycyą profesora Kasznicy, drugą zaś, nieprzyjętą niegdyś przez uniwersytet, przechowuje do właściwego użytku pan Bloch. Ta ostatnia suma wynosi obecnie 20.000 rs.

O ile wiemy, p. Bloch żądał, aby z jego kapitałów utworzono kasę pożyczkową, nad któréj operacyami ofiarodawca zastrzegał sobie pewne prawo nadzoru. Nie zgodzono się ani na jednę, ani na drugą propozycyą, choć nic chyba słuszniejszego nad to, aby właściciel funduszu miał możność czuwania nad jego obrotami. Sądzimy, że po okólniku ministra, podobne nieporozumienia między ofiarodawcą a obdarowaną instytucyą nie będą już miały miejsca, i że odtąd osoby urządzające jakiś bal czy koncert na rzecz studentów będą wzywane do kontrolowania systemu, wedle którego rozdzielają się wsparcia.

Do wielu dobrych a nieurzeczywistnionych projektów, mających na celu rozwój oświaty, przybył jeszcze jeden: projekt założenia muzeum pedagogicznego.

Celem téj instytucyi jest zgromadzić wszelkiego rodzaju środki i pomoce wychowawcze. Według planu zaś składać się ona będzie z następnych grup: biblioteki, gier i zabaw, pomocy naukowych. Biblioteka obejmować ma: elementarze, książki dla dzieci, podręczniki dla szkół elementarnych i średnich i dzieła pedagogiczne. Do oddziału gier i zabaw wejdą naturalnie tylko te, które mają znaczenie wychowawcze. Nareszcie w dziale pomocy naukowych znajdą się: rysunki i modele potrzebne do wykładu nauki o rzeczach, atla-

sy, telurya, figury solidometryczne, zbiory minerałów, narzędzia fizyczne i t. d.

Muzeum ma się mieścić przy jednym z zakładów naukowych, prywatnych. Z tém wszystkiém przedmioty zgromadzone w niém mogą być wypożyczane rodzicom i nauczycielom, za pewną opłatą.

Instytucya podobna, pod kierunkiem światłego pedagoga zostająca, wielkie oddaćby mogła usługi wychowaniu domowemu, które dziś, bez względu na wszelkie postępy i wymagania świata, toczy się koleją na którą dawniéj niż przed półwiekiem weszło. Obejrzawszy wielokrotnie muzeum podobne, rodzice jeżeli nie wyrozumieliby kierunku nowoczesnéj pedagogii, to przynajmniéj dowiedzieliby się, że po za obrębem ćwiczeń pamięciowych, jest jeszcze coś innego, i nie uważaliby za stratę czasu wykładów nauki o rzeczach. W muzeum téż dowiadywaćby się można o podręcznikach w domowéj edukacyi niezbędnych, o kształcących zabawkach i innych szczegółach, które dziś wybierane bywają na los szczęścia.

Dział ten o rzeczach dotyczących oświaty najwłaściwiéj będzie zakończyć cyframi z zakresu bibliografii. Statystyka ta opiéra się na materyałach zebranych w Warszawskim roczniku literackim na r. 1879.

Otóż w r. 1878 mieliśmy czasopism polskich krajowych i zagranicznych, posiadających prawo wstępu do nas, 78. Książek zaś i broszur w różnych miejscach wydanych, lecz zaakceptowanych przez cenzurę, wyszło z druku 577. Prócz tego mieliśmy kalendarzy i roczników 38 sztuk, map 3, nut muzycznych 66, rycin i fotografii 14 wydawnictw.

Oto spis szczegółowy, uporządkowany wedle ilości dzieł:

Książek dla dzieci, ludowych i szkolnych	102
Powieści	88
Dzieł religijnych	78
„ z zakresu historyi i literatury . .	58
„ prawa i nauk społecznych	46
Poezyi	44
Technologii i rolnictwa	41
Matematycznych i przyrodniczych . . .	25
Medycznych i higienicznych	25
Z zakresu geografii i statystyki	20
Filozofii i teologii	19
Filologii	12
Dzieł zbiorowych i encyklopedyj . . .	9
Z zakresu sztuk pięknych	7
„ pedagogiki i szkolnictwa . . .	3

Dodać winniśmy, jako objaśnienie, że między książkami temi znajduje się pokaźna cyfra tłómaczeń, garść kilkunastostronicowych broszurek, kilka przedruków, lecz i sporo prac oryginalnych, mających pewną wartość. W każdym razie jednak, przy porównywaniu naszych rocznych katalogów księgarskich z innemi europejskiemi, nauczyć się można pokory!

Po oddaniu już do druku kroniki obecnéj przeczytaliśmy w N. 46 (z d. 26 Lutego) Gazety Polskiéj, artykulik p. Konrada Prószyńskiego *w kwestyi inteligencyi wiejskiéj*, którego szerszy rozbiór dla braku czasu musimy odłożyć do następnego zeszytu, ale który jako pełen zdrowych myśli, zupełnie sprawiedliwy co do poglądu na stosunek inteligencyi do ludu wiejskiego, dzisiaj musimy jeszcze polecić czytelnikom nie tylko do przejrzenia, ale i do głębszego nad nim zastanowienia się.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie I-ym wydrukowano:

na str.	172	wiersz	5 z góry	*wstręt*	zamiast	*wtręt*
„ „	„	„	5 z dołu	*fifalki*	„	*fijalki*
„ „	173	„	4 z góry	*łąk*	„	*łąg*.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM“ w ciągu Lutego 1879 r.

1. **Pisma Franciszka Wężyka.** Poezye z pośmiertnych rękopismów. Tłómaczenia klasyków. Kraków 1878.
2. **Złote myśli** z dzieł J. I. Kraszewskiego, zebrał *St. Wegner*. Poznań 1879. Wydanie jubileuszowe na korzyść jubilata.
3. **Jan Jakób Rousseau** skreślił *Henryk Struve*. Warszawa 1879. Odbitka z Tygodnika Illustrowanego.
4. **Chedery i Melamedy**, kilka uwag w sprawie wychowania młodzieży Żydowskiej. *I. L. Grosglik*. Warszawa 1879.
5. **Notatki tyczące się higieny pokarmowej**, studya fiziologiczne. *Władysława Kleczkowskiego*. Warszawa 1879.
6. **Troistość w naturze**, czyli nowy systemat filozofii oparty na dogmacie o Trójcy Przenajświętszéj, wyłożył X. *Julijan Dobkiewicz*. Warszawa 1877.
7. **Wspomnienia z ostatnich podróży** D-ra *Teodora Tripplina*. Tom IV. Warszawa 1879.
8. **Dzieje Polski** w zarysie p. *Michała Bobrzyńskiego*. Warszawa i Kraków 1879.
9. **Dzieje Polski** do roku 1772, opracowane dla młodzieży p. *Walerego Przyborowskiego*. Warszawa 1879.

Pod prasą:

Teorya Wyznaczników (Determinantów) p. *Maryana A. Baranieckiego*. Paryż nakładem St. Jana Działyńskiego. Prenumerować można u E. Wendego w Warszawie. Cena rs. 4 kop. 50 (po ukończeniu wydania cena oznaczona na rs. 7 kop. 50). Dwa zeszyty, po 10 ark. każdy, już wyszły z druku.

KAZIMIERZ PROMYK wydał następujące rzeczy:

O księdzu Stanisławie Staszycu. Wydanie nowe, cena kop. 3 (gr. 6).

Nauka czytania, do któréj należą:

1) *Elementarz ścienny*. Elementarz ten powinien być podklejony na tekturze, na drzewie lub płótnie i zawieszony na miejscu widoczném na ścianie wszędzie, gdzie tylko mieszkają ludzie, aby ci, co czytać nie umieją, powoli zapamiętywali różne znaki, litery i zaczynali się uczyć czytać jedni od drugich.

2) *Elementarz na którym nauczysz czytać w 5 albo 8 tygodni*. Elementarz ten jest w książce i ułożony tak, aby na nim można było jak najłatwiéj i najprędzéj nauczyć czytać. W wydaniu nowém sprzedaje się po kop. 3½ czyli groszy 7.

3) *Pierwsza książeczka dla wprawy w czytaniu* tym, co już na elementarzu czytać się nauczyli. Wydanie nowe, cena kop. 3 czyli gr. 6.

4) *Druga książeczka do czytania* dla tych, co już więcéj wprawy w czytaniu nabrali. Cena kop. 5 czyli groszy 10.

Obecnie jest w druku **Nauka pisania**. oraz **Nauka czytania dla Samouków**.

Wkrótce też mają wyjść książeczki, w których będą podane wiadomości **o rzeczach obchodzących członków gromad i gmin**, o tém jakie każdy ma prawa w swojéj gromadzie i gminie, jak w nich powinien postępować dla własnego i swoich sąsiadów pożytku i tp.

Główny skład tych książek w Warszawie **w księgarni Konrada Prószyńskiego**.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

w roku 1879

wychodzi na początku każdego miesiąca zeszytami. najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

W „Ateneum“ pomieszczane są: studya ze wszystkich gałęzi nauk historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; opisy podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne; krytyka dzieł polskich i obcych, bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królestwa, oraz zagranicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wynosi:

Rocznie	Rs. 12.
Półrocznie	„ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	„ 3.

Prenumerować można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała, Nr. 7,

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsyłanie prenumeraty *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.

Дозв. Цензурою. Варшава, 20 Февраля 1878 г. Druk. K. Kowalewskiego. Królewska 23.